

KOLORY ZŁA

CZERWIEŃ

MAŁGORZATA OLIWIA
SOBCZAK

wydawnictwo
ab

„Absolutnie pochłaniająca”

Vincent V. Severski

MAŁGORZATA OLIWIA
SOBCZAK

KOLORY ZŁA: CZERWIENÍ



Copyright © by Małgorzata Oliwia Sobczak

Wydanie I

Warszawa, MMXIX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

[Dedykacja](#)

[2013](#)

[1991](#)

[1995](#)

[2013](#)

[1996](#)

[2013](#)

[1996](#)

[2013](#)

[Dziesięć miesięcy później](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Wschodzące słońce próbowało przebić się przez zwały szarych chmur. Bezskutecznie. Sopotcka plaża już od wielu dni miała kolor grafitu. Wiosna była jeszcze daleko, choć zima ostatecznie puściła. Świat znalazł się w zawieszeniu i oczekiwał rychłego przełomu. Ten jednak nie nadchodził i cały marzec zapowiadał się ciemny, zanurzony w przytłaczających kolorach, depresyjny.

– Jak co roku – mruknęła Krystyna Dumska i rzuciła nieduży kij siwemu foksterierowi.

Rudolf pobiegł za nim żwawo, capnął go w zęby, zrobił kilka szaleńczych kółek i przyniósł zdobycz swojej pani.

– Dobry piesek – mechanicznie pochwaliła go kobieta i ponownie rzuciła kij.

Pogoda naprawdę dawała w kość. Krystyna zdecydowanie wolałaby teraz siedzieć na swojej wygodnej kanapie pod kocem z kubkiem kawy w towarzystwie Anny Kareniny. Od kilku miesięcy czytała klasyków. Nigdy nie miała na to czasu. Praca w biurze rachunkowym zupełnie wysysała z niej siły. Teraz w końcu przeszła na upragnioną emeryturę i mogła zacząć żyć. Zapisła się na uniwersytet trzeciego wieku, chodziła na wykłady, na lekcje angielskiego i jeździła na wycieczki. Była też w sanatorium Elektron w Ustroniu. No i zaczęła nadrabiać lektury. Sienkiewicz, Dostojewski, Tołstoj. Pomiędzy nimi machnęła też sagę *Zmierzch*, tak dla rozluźnienia, ale także by sprawdzić, czym to zachwyca się jej wnuczka, Matylda, zafascynowana wampirami. Cztery części o Belli i Edwardzie pochłonęła o dziwo w tydzień, podczas gdy klasycy szli znacznie oporniej. Ale nadal trwała przy planie przeczytania w tym roku pięćdziesięciu dwóch książek w ramach społecznej inicjatywy, założywszy sobie, że przynajmniej połowa będzie należała do kanonu literatury pięknej.

Krystyna znów bez zastanowienia wzięła od psa kijek i rzuciła go przed siebie. Plaża była niemal zupełnie pusta. Tylko w oddali dostrzegła jakąś niewyraźną postać, pewnie też spacerującą ze swoim pupilem. Nikt zdrowy na umyśle nie wyszedłby w poniedziałek rano na taki ziąb dla przyjemności. Na domiar złego zaczął właśnie siąpić zimny deszcz, wspomagany przez porywisty wiatr zacinający od strony morza. Krystyna postawiła kołnierzyk czerwonej kurtki i mocniej owinęła się szalikiem. Oczywiście nie wzięła parasola, bo Rudolf naprawdę pilnie chciał wyjść i nie zdążyła o tym pomyśleć. Westchnęła głęboko i odkaszlnęła lodowate powietrze, które dostało się do jej płuc. Foksterier niezrażony deszczem nadal kreślił dynamiczne kółka na piasku, wesoło podskakując.

„Jeszcze tego brakowało, żebym się zaziębiła. Jak tylko wrócę, zrobię sobie herbatę z miodem, imbirem i sokiem malinowym” – przezornie postanowiła Krystyna i na myśl o gorącym napitku zrobiło się jej trochę raźniej.

Rzuciła kijek Rudolfowi i stwierdziła, że pora wracać do domu. Jednak tym razem pies nie zainteresował się patykiem. Stał w miejscu, bacznie się czemuś przyjrzał i puścił się brzegiem plaży przed siebie. Krystyna zaklęła w duchu i rozejrzała się, czy na horyzoncie nie pojawiła się jakaś suczka. Foksterier, oprócz pasji aportowania, miał wprost niezaspokojony apetyt na wszystkie

psie panie i trudno było go odciągnąć, gdy już sobie jakąś upatrzył. Ale Rudolf nie pędził teraz za suczką. Stał tuż przed linią fal i głośno, wręcz zaciekle szczekał. Kobieta skupiła wzrok i dostrzegła coś w wodzie. Podeszła do psa i wpatrzyła się w morze. Jakieś trzy, cztery metry od brzegu dryfował spory obiekt. Wyglądał jak kukła. Nieokreślonej barwy materiał swobodnie kołysał się na falach. Czarne włosy unosiły się tuż pod powierzchnią wody. Rudolf ujadał jak oszalały. Krystyna wyteżyła wzrok i dostrzegła dłoń. W tym momencie dotarła do niej makabryczna prawda – w wodzie pływało ciało człowieka.

2

Sędzia rodzinny Helena Bogucka z niesmakiem spojrzała na akta. Sprawa Rodowiczów budziła w niej irytację, którą Bogucka starała się ukryć pod maską zdystansowanej profesjonalistki. Jednak w tym przypadku trudno jej było nad sobą zapanować. Rodzice rodzeństwa, małej Dominiki i Łukasza, od kilku lat prowadzili spór sądowy o uregulowanie kontaktów z dziećmi. Wykształceni, zamożni ludzie, a na sali rozpraw zachowywali się niczym dzikie zwierzęta próbujące wyrwać sobie nawzajem krwawe łupy. Wiedziała, że i dzisiaj nie ma szans, żeby się w końcu dogadali, będzie więc trzeba wyznaczyć kolejny termin rozprawy. Do wokandy zostało jeszcze dziesięć minut. Podeszła do okna i wzięła głęboki oddech. Na zewnątrz było niemal ciemno, dzień dopiero się budził. W dodatku z nieba siąpiło coś trudnego do zdefiniowania. Niby deszcz, tylko jakiś taki dziwny. Małe kropelki wody nie opadały w dół, tylko ścinane wiatrem leciały na bok, tworząc szarą taflę unoszącą się w powietrzu. Sędzia spojrzała na piętrowy klocek z wieloma prostokątnymi oknami usytuowany naprzeciwko Sądu Rejonowego przy ulicy 1 Maja, w którym swoją siedzibę miała jednocześnie Prokuratura Rejonowa. Siedziba banku wybudowana w latach siedemdziesiątych w taką pogodę wyglądała jeszcze bardziej odstręczająco. Centrum Sopotu, park dosłownie kilka metrów dalej, a ona ze swojego gabinetu musi mieć widok akurat na coś takiego. Zakłęła w duchu, zdeprymowana odwróciła wzrok i podeszła do lustra wiszącego przy drzwiach. Spojrzała na swoją twarz. Szare cienie pod niebieskimi oczami. Wokół nich sieć drobniotkich zmarszczek. Na pewno nie wyglądała już świetnie, ale nie można było też powiedzieć, że źle. Choć najlepsze lata miała już za sobą, to jednak można ją było uznać za atrakcyjną. Przeszło pięćdziesięcioletnia kobieta, a wciąż jak mała dziewczynka, tak mówili niektórzy, choć wiedziała, że takie sformułowanie jest niewątpliwie przesadą. Filigranowa, drobna, z dość jędrnym, zadbanym ciałem, energiczna. Dobrze utrzymana fasada, pod którą ukrywał się wrak człowieka. Odświeżyła usta krwistoczerwoną pomadką – znakiem firmowym sędzi Boguckiej – przeczesła brązowe, ścięte na wysokości brody włosy i wyszła na korytarz.

Wysokie obcasy pod długą togą zastukały o parkiet. Bogucka przybrała obojętny wyraz twarzy, idąc zdecydowanym krokiem. Nie było jeszcze dziewiątej, a ona zdążyła się już zmęczyć tym cholernym poniedziałkiem. Więcej, czuła się zmęczona nadchodzącym tygodniem. Wstała jak zwykle o piątej, o szóstej miała za sobą lekturę akt nowej sprawy, do ósmej zdążyła napisać uzasadnienie wyroku w sprawie o alimenty, a następnie poprowadziła posiedzenie dotyczące ograniczenia władzy rodzicielskiej. Wcześniej nie chciała zabierać dziecka matce, miesiąc temu dała jej szansę na poprawę i próbę polepszenia swojej sytuacji. Ale szanowna rodzicielka pojawiła się dziś rano

w stanie wskazującym na spożycie i przynajmniej tygodniowy brak kąpiele. Pomimo zimna wokanda odbyła się przy otwartym na oścież oknie, ale niewiele to pomogło. Przetrawiony alkohol, czosnek i pot roztoczyły na sali woń meliny, który osiadł na skórze Boguckiej i przeniknął do jej nosa. Po godzinie sędzia nie pozbyła się uczucia zbrukania i była pewna, że nawet porządny prysznic bez mycia włosów nic by nie pomógł. Ewentualnie długi spacer po wietrznej sopockiej plaży. Ale na to musiała poczekać co najmniej do siedemnastej. Tymczasem podczas posiedzenia wskazała na podstawy uzasadniające umieszczenie dziecka poza środowiskiem rodzinnym i wydała stosowne postanowienie. Na zapijaczonej matce nie zrobiło to szczególnego wrażenia. Pewnie nie bardzo rozumiała słowa sędzi, ale Helena Bogucka nie miała siły ani chęci nic tłumaczyć. Ogłosiła swoją decyzję i szybko ulotniła się z sali.

Jej zamyślenie przerwały powitania adwokatów, którzy zwyczajowo chcieli się jej przypodobać. Strony już na nią czekały. Krystyna Rodowicz jak zwykle elegancka, w pudroworóżowej garsonce, z wełnianym płaszczem przewieszonym przez ramię, torebką Louis Vuittona w ręce i ustami ściągniętymi w krnąbrnym grymasie. Roman Rodowicz po przeciwnej stronie, w drogim, dobrze skrojonym garniturze, z perfekcyjnie ułożonymi w fale włosami, krzywo spoglądający na byłą żonę. Tak, nic się nie zmieniło i Helena wiedziała, że czeka ją godzina piekła, jakie mogą stworzyć tylko niegdyś kochający się małżonkowie, którzy aktualnie z całą mocą się nienawidzą.

Szybko okazało się, że intuicja jak zwykle jej nie zawiodła. Sędzia rutynowo zadawała pytania, choć doskonale znała odpowiedzi:

– Ma pani jakieś zastrzeżenia co do terminów zaproponowanych przez wnioskodawcę?

– Tak, oczywiście. Nie pasują mi.

– Ale czy nie byłoby miło mieć kilku popołudni w tygodniu tylko dla siebie? Mogłaby pani odpocząć, pójść do kosmetyczki, do kina, na spacer, zebrać myśli, odpocząć od codziennych obowiązków – mówiła Bogucka pojednawczo.

– Nie, nie chcę. Lubię spędzać czas z dziećmi. W niczym mi nie przeszkadzają – odpowiadała oburzona Rodowicz, choć sędzia dobrze zdawała sobie sprawę, że popołudniami dzieci siedzą same przed komputerami lub telewizorem.

– Czemu nie oddaje pani dzieci byłemu mężowi, gdy przyjeżdża po nie w wyznaczonym terminie?

– Pogoda była brzydka. Od razu by się przeziębiły. Na spacer chce je zabierać, jakby nie miał nic innego do zaoferowania. Jak mieszkaliśmy razem, to nigdy się nimi nie interesował. A teraz wielki tatuś.

– Upominam panią, że jest pani zobowiązana do realizowania kontaktów ojca z dziećmi w terminach ustalonych przez sąd.

– Tak, oczywiście, wysoki sędzie.

Bogucka starała się ukryć zniecierpliwienie. Nie miała wątpliwości, że Krystyna Rodowicz ponownie nie otworzy drzwi Romanowi, gdy ten zjawi się u nich w czwartek o siedemnastej. Mężczyzna znowu pójdzie na policję, będzie składał zawiadomienie, które zostanie wpięte do akt sprawy, i będzie się pieklił, że stróże prawa nic nie robią, jakby funkcjonariusze nie mieli na głowie ciągłych pijackich bijatyk na Monciaku, zakłóceń porządku i nieustannych telefonów sąsiadów narzekających na głośne imprezy w okolicznych klubach i mieszkaniach. Helena wiedziała, że to zwykła złośliwość Rodowicz wobec męża nie pozwalała im żyć we względnej zgodzie, bez krzywdy

dla zdezorientowanych, umęczonych stałymi kłótniami dzieci. Mąż zresztą nie był jej dłużny i gdy już wydawało się, że przyjęto jakieś uzgodnienia, zaczynał wymyślać kolejne punkty pertraktacji. Bogucka miała ochotę walnąć pięściami w stół i wrzasnąć na tych beznadziejnych, śmiesznych ludzi. Gdyby wiedzieli, co mają i co mogą stracić. Gdyby tylko mieli choć trochę świadomości, jak źle mogłoby być... Przymknęła oczy i zaczęła bezgłośnie liczyć: pięć, cztery, trzy, dwa... Zrób minę pokerzysty. Wyznacz kolejny termin. Odhacz.

„To będzie długi dzień” – pomyślała Helena Bogucka i uderzyła sędziowskim młotkiem, bo chwila jej nieuwagi zaowocowała kłótnią byłych małżonków. Choć włożyła w to sporo siły, wydrażona w środku podkładka, wyprodukowana w Zakładzie Karnym w Rawiczu, zamortyzowała cios, tak że sędzia nie zdołała osiągnąć poważnego efektu dźwiękowego. Uderzenie zabrzmiało głucho i smutno, niczym dźwięk wydobyty z dziecięcego zestawu instrumentów perkusyjnych.

„Jak zawsze wszystko spierdalone” – przemknęło jej przez głowę i ledwo powstrzymała się od wyrzucenia z siebie soczystej wiązanki inwektyw. W zamian uderzyła młotkiem w okładkę grubych akt. W końcu po sali rozpraw rozniósł się efektowny huk.

3

Prokurator Leopold Bilski obudził się z kacem. Wbrew stereotypowi nie pił ani często, ani dużo. Ale okazja była i nie wypadało odmówić. Nie co dzień przecież kumplowi rodzi się córka i punktem honoru było opić to jak należy. Gdy w jego głowie zaświdrował dzwonek telefonu, od razu pożałował wczorajszego odpięcia. Poczuł, że jego mózg pęka, kurcząc się do rozmiarów dwóch połówek mandarynki.

– Leo! Resetuj się! – krzyknął mu prosto w ucho podekscytowany Pająk i nie zważając na jęk Bilskiego, huknął: – Mamy wodnika szuwarka!

Bilski zamrugał. Suche oczy piekły niemiłosiernie. Chciał przełknąć ślinę, ale zamiast tego wydał z siebie pusty dźwięk świadczący o tym, że w jego ciele nastąpiło zupełne odwodnienie. Powoli usiadł na łóżku, rozejrzał się bezmyślnie po sypialni, odkaslnął i spojrzął na zegarek. Za dwadzieścia dziewięć. Mała wskazówka głośno odbiła od dużej, a w głowie Bilskiego w końcu zaczęły stykać przewody.

– Mors?! – zachrypiął. – Gdzie?

– Plaża, dwunastka – ryknął rozemocjonowany Pająk i szybko się rozłączył.

„Szlag by to!” – pomyślał Bilski. Że też w taką pogodę zachciało się komuś skakać do morza. Prokurator z niechęcią spojrzął na wykrzywiane wiatrem, mokre brzozy rosnące nieopodal bloku przy Mickiewicza. Perspektywa oględzin miejsca znalezienia zwłok w taką pogodę rysowała się dziś szczególnie przykro. „Ale praca, to praca – westchnął i szybko dodał: – Pasja. Praca to moja pasja”. Jakby chciał przekonać samego siebie. Zmobilizował się i postanowił od tej chwili nie mieć już kaca.

Po siedmiu minutach był na dole po ciepło-zimnym prysznicu, małym espresso prosto z wysłużonego, ale niezastąpionego ekspresu, odziany w czarną, grubą nieprzemakalną kurtkę Alpha Industries. Prokurator cenił sobie nowoczesny styl, kontrastując garnitury z ciężkimi wojskowymi butami i lotniczymi bomberkami. Zamiast znienawidzonych kaszkietów, które do płaszczy nosili inni przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości, wybierał zwykłe czapki bunny, choć i te wkładał rzadko,

zazwyczaj po kilku zimowych godzinach spędzonych w terenie. Teraz jego gęste, brązowe i w paru miejscach poprzetykane siwymi pasmami włosy poddawały się silnym podmuchom, które wywiewały mu z głowy resztki wczorajszej libacji. Prokurator zdawał sobie sprawę z tego, że wygląda naprawdę dobrze. Trzydzieści sześć lat, sprężysty krok, mocna postawa, inteligentna twarz, hipsterski zarost. I oczy. Ciemne, tajemnicze, hipnotyzujące. Idealnie pasujące do dużego prostego nosa. „Przystojniak” – powtarzały mu mama, babcia i ciotki, wpatrzone w męskiego rodzyneczka w rodzinie, w której przeważały kobiety, aż w końcu sam zaczął tak o sobie myśleć. Zresztą reakcje dziewczyn w Spatifie też zazwyczaj były jednoznaczne, dopóki nie dowiadywały się, że Leopold jest prokuratorem. Zawód prokuratorski nie był niestety lepem na niewiasty. Widocznie musiał im się kojarzyć z trupami, mafią, ryzykiem i niesłusznie niskimi zarobkami, co od razu odstraszało większość kandydatek na żonę. Bilski już dawno przestał się zresztą na poważnie rozglądać za stałą partnerką, zadowolając się płytkimi i niezobowiązującymi romansami.

Wskoczył do swojego czarnego saaba 9-3 aero, całkiem nieźle prezentującego się na drodze, choć już ciut sfatygowanego. Saaby albo się kocha, albo się ich nie zna. Bilski zdecydowanie kochał swojego i powtarzał, że do końca życia pozostanie mu wierny, choć już teraz w jego utrzymanie wkładał więcej, niż to miało sens. Deszcz ciągle się wzmagił, a wycieraczki szybko zgarniały krople z przedniej szyby. Wydawały przy tym skrzypiący dźwięk i prokurator pomyślał, że musi koniecznie wymienić pióra. Przypominał sobie o tym za każdym razem, gdy włączał wycieraczki, ale jakoś od miesiąca nie było mu po drodze. Od kilku tygodni czas po pracy spędzał z pewną czarnulką, o dziwo, niezniechęconą charakterem jego pracy. Sama była trybikiem prawniczego świata, więc pozycja Bilskiego robiła na niej niemałe wrażenie, co mile łechtало prokuratora.

Dojechał do ulicy Mamuszki, zaparkował tuż przy drodze pod kasztanem i przez Łazienki Północne przedostał się do wejścia numer 12. Morski wiatr przyjemnie owiał bolącą głowę. Leopold poczuł adrenalinę. Tak, to dla tego uczucia został prokuratorem. Po ukończeniu studiów nie musiał się długo zastanawiać nad wyborem aplikacji. Ludzie z jego roku w większości nie wiedzieli, kim chcą zostać. Wybór specjalizacji uzależniali od zarobków, stopnia trudności ścieżki kariery i oczywiście wygody. Ale on wiedział od początku. Chciał zostać prokuratorem, by rozprawiać się z najbardziej okrutnymi przestępcami. Nie zniechęciło go to, że praca prokuratora wiąże się z koniecznością posiadania dogłębnej znajomości różnych dziedzin wiedzy, w tym kryminalistyki, medycyny sądowej, psychiatrii i psychologii. Już w szkole średniej solidnie opanował podstawy wiedzy ogólnej, naprawdę przykładając się do nauki na wymagającym profilu biologiczno-chemicznym w III LO w Gdyni, uznawanym za jedną z lepszych placówek edukacyjnych w Polsce. Dzięki temu w przeciwieństwie do większości kolegów z aplikacji nie miał problemu ze zrozumieniem istoty ciśnienia parcjalnego i jego wpływu na proces wymiany gazowej, gdy omawiali przyczyny niektórych rodzajów zgonów z uduszenia. Jako jeden z niewielu szybko załapał budowę mikroskopu elektronowego, wiedząc, że wiązka elektronów musi być skolimowana.

Rozmyślając o swojej ścieżce kariery, Bilski wszedł na plażę. Poczuł przypływ energii i zadowolenia z siebie, które wypełniały go za każdym razem, gdy uzmyslał sobie, że osiągnął punkt życia dokładnie wyznaczony w chłopięcej wyobraźni.

Tuż nad brzegiem dostrzegł Pająka i Kitę. Mężczyźni w obszernych czarnych kurtkach z białym napisem POLICJA wyraźnie wyróżniali się na tle szarego otoczenia. Właśnie mocowali się z biało-

niebieską taśmą, którą próbowali przytwierdzić na regularnie zalewanym wodą brzegu. Taśma dryfowała, zaczepiając się raz po raz na długim, z daleka trudnym do zidentyfikowania obiekcie. Bilski jednak wiedział, że tym obiektem jest ciało. Zimne, sztywne ciało człowieka. Człowieka, który zapewne za dużo wypił i postanowił nocą wykąpać się w morzu. Przyjezdni ze środkowej i południowej części Polski często wpadali na takie pomysły. Widzieli wodę i głupieli. Bez względu na porę roku, pogodę czy wysokość fal ściągali ubrania i wskakiwali do morza, jakby spotkanie z tym rzadko oglądanym żywiołem zmuszało ich do bezpośredniej konfrontacji. Na osobach mieszkających całe życie nad Bałtykiem woda nie robiła takiego wrażenia. Prokurator dziwił się wręcz, że ludzie na wiadomość o tym, gdzie mieszka, popadali w pewnego rodzaju euforię, wykrzykując z nutą zazdrości w głosie: „Ach, to musi się pan często kąpać w morzu!”, „Co za szczęściarz z pana! Móc codziennie przechadzać się brzegiem morza!”, „W kurorcie pan mieszka! Przecież to tak, jakby cały rok mieć wakacje!”. Bilski czuł się wtedy trochę dezorientowany. Uśmiechał się lekko i kiwał głową, lecz gdy się nad tym zastanawiał, to ani często nie zażywał morskich kąpiei, ani też specjalnie nie przechadzał się brzegiem morza. Woda w Zatoce Gdańskiej była brudna i mętna, a latem plażę znaczyły syfiaste obślizgłe glony. Brzydził się tam zanurzać nawet stopy, nie rozumiał więc turystów, którzy chlapali się szczęśliwi, jakby Pana Boga za nogi złapali. No i już zdecydowanie nie czuł się przez cały rok jak na wakacjach. Urlopu nie brał już od kilku dobrych lat; jego życie wypełniała głównie praca.

Prokurator przebrnął przez szeroki pas mokrej plaży i przywitał się z obecnymi. Nieopodal zebrała się już grupka gapiów skupionych wokół kobiety w czerwonej kurtce, trzymającej na rękach wrywającego się pieska.

– Co my tu mamy? – rzucił w przestrzeń Bilski i przyjrzał się obiektowi leżącemu tuż przy linii wody.

– Ciało kobiety, jak przypuszczam – odpowiedział od razu Pająk, którego długie ręce wystawały z rękawów kurtki. Na wysokim i ostrzyżonym na jeża Pawle Pągowskim wszystkie ciuchy wyglądały jak po młodszym bracie. – Na razie nie odwracaliśmy. Przyciągnęliśmy tylko za nasiąknięty materiał, żeby nie odpłynęło. Dryfowało jakieś trzy, cztery metry od brzegu. Zobaczyła je kobieta w czerwonej kurtce, a raczej jej ujadający pies. – Policjant wskazał ręką w kierunku publiczności. – To oni zawiadomili policję. To znaczy ona. Ta kobieta zadzwoniła – sprostował i poczerwieniał. Najwyraźniej wczorajsza zabawa jeszcze nie do końca wyparowała mu z głowy.

Ciało zwrócone było twarzą do ziemi. Ciemnobrązowe, długie za łopatki włosy przyłgnęły do piasku. Pośrodku tyłu głowy utworzył się biały przedziałek, równiutko dzieląc mokre pasma na pół. Połyskliwy materiał kurtki przylepił się do pleców, tylko w jednym miejscu utworzył napompowany balon. Przemoczona czarna sukienka wysoko odkrywała nogi, opięte brudnymi, zapewne cielistymi, porwanymi rajstopami. Jedna stopa obuta była w krótki kozaczek na szpilce. Spod brunatnozielonego mułu, którym był pokryty, przebijał czerwony kolor. Druga stopa była naga i biała. Pofałdowana, nabrzmiąta skóra nadawała jej dziwaczny kształt, jakby należała do ssaka o zadziwiającej anatomii.

Bilski patrzył zafascynowany na ten obraz. Było w nim coś prawdziwego, odartego z całego fałszu rzeczywistości, niemal doskonałego. To była najpiękniejsza zbrodnia, jaką widział. Oczywiście nigdy nie ubrałby swojego odczucia w słowa. Mało kto by zrozumiał.

„Jesteś odrażającym typem” – skarcił się w myślach.

– Sądzicie, że to może być ona? – spytał w przestrzeń.

Nie mógł oderwać wzroku od leżącego przed nim ciała.

Kita stanął obok niego i też wlepił wzrok w martwą kobietę.

– Niepowiedziane – rzekł.

– Wezwaliście kogoś do oględzin zewnętrznych? – kontynuował jak w transie Bilski.

– Tadek już jest w drodze. – Kita głośno przełknął ślinę i pokiwał głową.

Na plażę wszedł lekarz sądowy Tadeusz Dubiela. Siwe włosy zlewały się z lekką mgłą, która zaczęła unosić się w powietrzu.

– Szlag by to – westchnął, stanąwszy nad martwą kobietą. – Ktoś chociaż zrobił zdjęcia przed wyłowieniem ciała? – Przesunął wzrokiem po członkach ekipy. – Ktokolwiek? – warknął.

Wszyscy tępo patrzyli po sobie. Pająk wzruszył ramionami i sapnął oburzony:

– Przecież mogła jeszcze żyć! Szybka reakcja, szast, prast i na brzeg.

– Szast, szrast – wkurzył się Dubiela. – Nie uczyli was, że z ułożenia ciała pod wodą można sporo wywnioskować? Miernoty... – zasyczał pod nosem i zabrał się do badania śladów.

Pochylał się nad ciałem i skrupulatnie przyglądał każdemu szczegółowi. Co chwila zapisywał coś w notatniku, kręcąc głową i mrużąc. W końcu wstał i oznajmił:

– Można przekreślić denatkę na plecy.

Pająk i Kita powoli przeturlali ciało na wznak.

Pani w czerwonej kurtce krzyknęła piskliwie.

4

„Nie miała ust. Nie miała ust” – powtarzał w głowie Bilski, jakby sam chciał siebie przekonać o tym, co przed chwilą ujrzał.

Sprzęgło zaturkotało pod stopą i prokurator zdał sobie sprawę, że cały się trzęsie. Podjechał pod budynek Zakładu Medycyny Sądowej przy Dębowej na Aniołkach w Gdańsku. Nie mógł wyrzucić z głowy obrazu nabrzmiałej, sinej, zdeformowanej twarzy pozbawionej ust. Wyraźnie widział twarde, czerwone dziąsła, z których wystawały długie, białe, idealnie równe zęby. Przymknął powieki i otrząsnął się jak pies strącający z siebie nieprzyjemne kropelki wody.

Zatrzasnął drzwi auta i ruszył ku zielonemu geometrycznemu budynkowi postawionemu tuż po wojnie. Choć z zewnątrz od momentu powstania niemal się nie zmienił, w środku dało się już dostrzec skutki unijnego dofinansowania. Bilski rozpoczął studia w połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy katedra wyposażona była w anachroniczne, toporne sprzęty. Teraz lekarze posługiwali się zdecydowanie mniejszymi, bardziej eleganckimi przyrządami, choć bynajmniej nie eliminowało to całej okropności badania zwłok. Prokurator wyraźnie pamiętał swoje pierwsze zajęcia w prosektorium. Zgromadzili się wokół stołu, na którym leżało ciało. Próbowali zachować powagę, jednak co chwila jakiś żartowniś rzucał szeptem nieprzyzwoitą uwagę, a oni zagryzali wargi, by nie parsknąć śmiechem. Dotarło do nich, że przed nimi spoczywa człowiek, któremu należy okazać szacunek, dopiero wówczas, gdy profesor rozkroił skórę i chochlą zaczął wybierać z wnętrza krew. Była gęsta i lepka. Powoli zalewała ścianki metalowej miski stojącej obok. Wtedy wszyscy umilkli.

Uśmiech zniknął nawet z twarzy Zdziśka Nalepki, która stała się nagle biała jak kreda. Zdzisiek nie zdążył wybiec z sali i zwymiotował do kubła na śmieci przy drzwiach. Nie można powiedzieć, że był to sprawdzian na kandydatów na prokuratorów, choć Nalepka prokuratorem nigdy nie został. Szybko zmienił aplikację i objął ciepłą posadkę radcy prawnego. Tak, prokuratura nie jest dla wszystkich. Trzeba mieć stalowe nerwy i trzymać emocje na wodzy.

Bilski znów przypomniał sobie wykrojony z twarzy kształt ust, obnażone dziąsła i odkryte końskie zęby. Musi wziąć się w garść. Czy czułby się inaczej, gdyby chodziło o mężczyznę? Czy makabryczny efekt byłby inny, gdyby wcześniej nie spojrział na czerwony kozaczek na długiej srebrnej szpilce? Nie wiedział, dlaczego ten widok wywołał w nim aż tak silne emocje. Być może chodziło o to (co dla wszystkich stało się jasne), że to nie zwyczajny przyjezdny topielec. Ani mors. Ani Wodnik Szuwarek. Od razu było wiadomo, że to nie był wypadek.

Prokurator Bilski zjechał windą na poziom minus jeden i przeszedł długim korytarzem do prosektorium. Tadeusz Dubiela w gumowym fartuchu i lateksowych rękawicach stał przy stalowym stole, na którym leżała denatka. Wpatrywał się w jej twarz, nie przejawiając żadnych emocji. Jego twarz była zupełnie obojętna, znieczulona wieloma latami pracy ze zmarłymi. Lekarz uznawany był w środowisku za świetnego profesjonalistę, niezwykle skrupulatnego, cierpliwego i – zdaniem niektórych – wyjątkowo upierdliwego. Bilski wielokrotnie miał okazję z nim współpracować i to, co niektórzy uważali za wkurzającą pedanterię, prokurator postrzegał jako prawdziwą determinację medyka w dążeniu do prawdy. Dubiela nierzadko weryfikował diagnozy innych obducentów, wytykając im karygodne błędy. Tak było na przykład wtedy, gdy przedstawione przez niego dowody pozwoliły na odrzucenie przyjętej tezy o pobiciu ze skutkiem śmiertelnym. Medykowi udało się wtedy wykazać, że mężczyzna zmarł z przyczyn chorobowych. Nieważne, że domniemany sprawca został uniewinniony wbrew opinii społecznej. Dla Dubieli ważna była trafność i rzetelność opinii.

Bilski przystanął obok lekarza i skupił wzrok na pierścionku mieniącym się na serdecznym palcu ofiary, tkwiącym pośród niemal odpadającego naskórka. Dłonie kobiety były białoszare, matowe, pofałdowane. Wyglądały jak za duża rękawiczka, która zsuwa się z ręki dziecka.

Prokurator przelotnie spojrział na twarz denatki i ponownie przyjrzał się połyskującemu oczku pierścionka.

– To ona – stwierdził i znów na chwilę przeniósł wzrok na zapuchniętą, fioletową skórę okalającą jamę ustną.

– Może być – odparł beznamyślnie Dubiela. – Po stanie ciała wstępnie można przypuszczać, że przeleżało w wodzie dłuższy czas. Może to być ona. Ale nie musi.

Leopold ponownie przyjrzał się kozaczkowi. Miał intensywnie czerwony kolor. To była ona. Bez dwóch zdań.

Wszystko, co działo się przed, wyrzuciła z pamięci. To było jej pierwsze wspomnienie:

Dziewczynka siedzi na dywanie przed stojącym w sypialni rodziców lustrem. Lustro bez ramy, oparte o ścianę, wpatruje się w nią, a ona wbija wzrok w swoją twarz. Patrzy na krótko przycięte ciemnobrązowe włosy, zielone oczy, zadarty nos, ładnie wykrojone usta, wydatne kości policzkowe. Uśmiecha się, ale szybko powraca do miny, w której nie widać zębów. Lustruje swoje kościste nogi, wystające kanciaste kolana. Patrzy na chude jak patyki ramiona, na których wisi przyduża koszulka z Myszka Minnie. Zbiera po bokach materiał, pod którym rysują się pączkujące piersi. Ponownie zerka na twarz. Skóra ma śniady, ciepły kolor, podkreślony mocnymi promieniami słońca, które w te wakacje nie przestawało świecić. Oczy iskrzą kocim wdziękiem. Dziewczynka znów się uśmiecha – tym razem ostrożniej, nie uchylając ust.

„Zapamiętaj to – myśli. – Zapamiętaj, jak wyglądałaś”.

Tamtego dnia postanowiła, że się zmieni i ta dziewczynka przestanie istnieć. Zostanie tylko wspomnieniem.

„Byłaby nawet ładna, gdyby nie ta fryzura. No i te zęby oczywiście” – znów zabrzmiało w jej głowie.

Była na szkolnym obozie. Chłopcy śmiali się, przyglądając się jej ostentacyjnie, a ona przyspieszyła kroku. Wtedy padły te słowa. Gdy stanęła na zbiórce, serce nadal jej łomotało i miała wrażenie, że wszyscy to słyszą. „Byłaby nawet ładna... gdyby nie ta fryzura... i zęby oczywiście”. Przygryzła wargi.

Od zawsze wstydziła się swoich zębów. Były mocno wysunięte do przodu, oddzielone przerwami. Gdzieniedzie pojawiały się na nich przebarwienia od sanostolu, który piła z powodu słabego zdrowia. A fryzura? Cóż, to mama co miesiąc zaciągała ją do zakładu pani Marioli i wydawała polecenie: „Na krótko”. Twierdziła, że pielęgnacja grubych włosów Moniki to niepotrzebny kłopot. Mycie, suszenie i szczotkowanie włosów córki zabierały zbyt dużo czasu zawsze zajętej pracą pani prawnik.

Wtedy, na zbiórce, dziewczynka uniosła rękę i nieśmiało przejechała po gęstej szczecinie stojącej na baczność niczym kolce jeża. Zerknęła na koleżanki. Stały roześmiane, pewne siebie. Ich włosy opadały na ramiona albo były związane w kucyki. Większość dziewczynek już zaczęła dojrzewać. Specjalnie nosiły trochę za małe koszulki, które opinały ich biusty i eksponowały talie. Opalały się na pomoście w dwuczęściowych strojach, flirtując z chłopakami ze starszej grupy. Ona nadal nosiła jednoczęściowy strój, garbiąc się za każdym razem, gdy ktoś na nią spojrzał. „Byłaby nawet ładna...”. Słowa znów zadudniły w jej głowie. Zmusiła się, by wyprostować plecy, i dumnie spojrziała przed siebie.

Kiedy wróciła z kolonii, po raz pierwszy sprzeciwiła się matce. Tym razem nie pozwoliła zabrać się do pani Marioli. Zapała się, a matka nie miała czasu się z nią spierać. Monika wymusiła też na rodzicach, by sprawili jej aparat korekcyjny. Mama tylko zniecierpliwiona machnęła ręką, ale tata

wysłuchał jej argumentów, spojrział zdziwiony na jej krzywy zgryz, jakby nigdy wcześniej nie dostrzegał tego mankamentu u córki, i zabrał ją do ortodonty. Przez całe wakacje niemal nie zdejmowała ruchomej nakładki na zęby, choć miała ją wkładać tylko na noc. Wyciągała aparat tylko podczas posiłków. Pilnowała się, by jeść regularnie i do syta, aż w końcu zaczęła się lekko zaokrąglać. Zmuszała się do jedzenia, nawet gdy przez cały wrzesień chorowała na zapalenie płuc i sama myśl o posiłku wywoływała mdłości. Gdy w połowie października poszła do siódmej klasy, prawie nikt jej nie poznał. Włosy zdążyły trochę odrosnąć. Nie sterczały już do góry i Monika układała je teraz na brylantynę, opuszczając pojedyncze kosmyki na czoło, jak Madonna w teledysku do piosenki *Rain*, która od lipca królowała na listach przebojów. Zęby, choć nadal dalekie od ideału, lekko się cofnęły, dzięki czemu jej twarz już mniej przypominała mordkę kapucynki. Figura stała się zdecydowanie bardziej kobieca. Piersi i biodra wyraźnie rysowały się pod ubraniem.

Tego roku przestali na nią wołać Małpka. Zyskała nowy pseudonim: Puma. Czarna Puma.

1995

1

– Cześć, śliczna! – Mario pomachał do niej z daleka i uśmiechnął się promiennie.

Odmachała i zwinnie przeskoczyła przez kałużę.

– Ale piekielna pogoda! – zawołała i pocałowała go w policzek. – Ocipiec można!

Pociągnęła go za rękę i wpadli do pobliskiej kawiarni. Monika ściągnęła kaptur z głowy, a jej gęste, długie włosy rozsypały się kaskadą wokół twarzy.

„Jaka piękna” – westchnął chłopak.

Ileć na nią patrzył, nie mógł się nadziwić, że można być tak pięknym. Mocne kości policzkowe. Jasnozielone oczy otulone czarnymi rzęsami. Duże, namiętne usta, jakby stworzone do pocałunków. Och, ileż to razy wyobrażał sobie, że je całuje. W myślach pieścił jej wystające pośladki, zrywał bluzkę i delectował się widokiem dużych, jędrnych piersi. Mario mocno zacisnął powieki, wziął głęboki oddech i przywołał się do porządku. Monika to tylko jego przyjaciółka. Tylko i aż. I tak musi zostać.

Usiedli przy wolnym stoliku pod oknem. Wiatr rozkręcił się na całego, unosząc czerwonawe liście i szarpiąc gałęziami drzew. Deszcz coraz silniej uderzał o szyby, a chłopak coraz wyraźniej słyszał wygrywany przez niego rytm. Kochał muzykę. Muzyka do niedawna była całym jego światem. Teraz obok niej pojawiła się Monika. Ona też była muzyką, więc w sumie niewiele się zmieniło, oprócz tego, że teraz świat zyskał nową głębię, otwierając przed nim nieznaną do tej pory wymiary.

Poznali się na giełdzie w Gdyni. Mariusz sprzedawał tam pirackie kasety magnetofonowe, dostarczane przez gostka powiązanego z kimś, kto miał dojścia. Dokładnie nie wiedział i w sumie nie chciał wiedzieć. Kasa była zacna i mógł przesłuchiwać wszystkie nowości, jakie pojawiały się w polskiej i zagranicznej branży muzycznej. Tamtego dnia do stoiska podeszła dziewczyna, na którą już dawno zwrócił uwagę. Często się tutaj kręciła. Na ogół w towarzystwie głośnych koleżanek i wypachnionych kolegów. Nie można było jej nie zauważyć. Wyraźnie lśniła w tłumie, gdziekolwiek poszła, oglądali się za nią mężczyźni. Patrzyli na nią lubieżnie i obleśnie. Kobiety lustrowały ją z niechęcią, starając się do niej nie porównywać. Tym razem była sama. Brała do ręki puste okładki leżące na blacie i podśpiewywała pod nosem do płynących z głośników dźwięków *Wannabe* Spice Girls. Nie znosił tego shitu, ale to właśnie się wtedy sprzedawało.

– Mogę w coś pomóc? – zapytał i momentalnie poczuł, że na jego twarzy pojawił się kompromitujący rumieniec.

Czemu zawsze musiał się stresować w kontaktach z kobietami? W *szczególności* z pięknymi kobietami?

„Co za cholerny wstyd” – jęknął w duchu.

Dziewczyna uśmiechnęła się uprzejmie i jeśli zauważyła jego zdenerwowanie, nie dała tego po sobie poznać.

– Szukam jakiegoś najnowszego trip-hopu – odpowiedziała swobodnie.

Mario wiedział już wtedy, że przepadł na całego.

– Trip-hopu... – powtórzył odurzony.

– Tak, trip-hopu. – Dziewczyna powoli zaczęła tracić cierpliwość. – Wiesz, Massive Attack, Tricky, Portishead. Chyba powinieneś się trochę na tym znać, skoro sprzedajesz kasy?

Mario spojrział na nią zmieszany i szybko się pozbierał.

– Tak, jasne, hip-hop na kwasie. Tak nazwano gatunek prezentowany przez Massive Attack na płycie *Blue Lines* wydanej pięć lat temu przez VirginRecords. Na jego brzmienie składają się przede wszystkim dub i rap oraz ciężka, mroczna atmosfera. Uważa się, że grupa Portishead wpisuje się bardziej w kategorię jazzu na kwasie, jednak tak jak wspomniałaś, często zalicza się ją do trip-hopu.

Dziewczyna spojrzała na niego z ciekawością, a Mariusz odetchnął z ulgą. Pewnie przejechał dłonią po postawionych blond włosach i przywołał swój najlepszy uśmiech.

– Chyba mam akurat coś, co mogłoby cię zainteresować. Dwa ostre debiuty z Wielkiej Brytanii, dopiero co udało mi się je zdobyć. Lamb i Faithless. Znasz?

Dziewczyna pokręciła głową. Mario wydobył z plecaka dwie kasy, które z trudem sprowadził dla siebie. Na giełdzie taka muzyka nie miała zbytu, więc nie było sensu zamawiać większej ilości.

– Masz. – Podał dziewczynie kasy. – Przesłuchaj sobie w domu. Jak ci się spodobają, to kupisz. A jak nie, to oddasz.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko i podziękowała.

– A tak w ogóle to jestem Monika. – Podała mu aksamitną dłoń.

Był stracony. Jego serce przestało bić.

Od tego momentu minęło kilka miesięcy. Monika wróciła następnego dnia, rozgorączkowana, oszołomiona wokalem Lou Rhodes. Okazało się, że sama trochę śpiewa. A on zawsze marzył, aby nagrywać.

– Naprawdę chciałbyś mieć własne studio? – zachwyciła się.

– Pewnie! – odparł z mocą Mariusz.

Na razie do realizacji tych planów było naprawdę daleko, ale dla niej mógł przyspieszyć działania. Dla niej mógł zdobyć wszystko. Cholera, ale był stracony...

– Matka totalnie mnie wykańcza – powiedziała teraz Monika. Urwała i spojrzała surowo na Maria. – Słuchasz mnie w ogóle?

– Słucham, słucham. Matka znowu cię wykańcza – powtórzył chłopak i nakazał sobie słuchać.

W obecności Moniki nigdy nie mógł się skupić. Jej fizyczność całkowicie go rozpraszała. Hormony w nim buzowały, lecz od kiedy poznał tę dziewczynę, przestał się rozdrabniać na jednorazowe akcje, które dotychczas mu wystarczały. Choć był dość nieśmiały, to jednak laski lgnęły do niego jak pszczoły do miodu. Nic specjalnie nie musiał robić. Rzucił kilka mądrych zdań, wspominał, że stracił matkę, gdy był mały, zagrał kilka nut na gitarze i bam ciach, zrzucone z krzyża. Ale teraz było inaczej. Czuł się tak, jakby się nagle obudził. Jakby przez wszystkie te lata śnił tylko, że żyje, a teraz w końcu znalazł się na jawie. Te wszystkie uczucia były dla niego tak nowe, że nie wiedział, co ma z nimi zrobić. Więc pisał piosenki. Pisał piosenki o niej i dla niej. O tym głównie, które zawsze wyśmiewał. Cały wypełniony był miłością jak jakieś pierdolone Backstreet Boys.

– ...więc mówię jej, że to nie jej sprawa, gdzie pracuję. Jestem prawie dorosła, powinna się cieszyć, że staje się samodzielna, chce coś robić, a nie tylko ciągnąć kasę od rodziców, jak moi

rówieśnicy. A ona mi na to, że dojeżdżanie do Gdańska nocą jest niebezpieczne, szczególnie dla kogoś o mojej urodzie, że mam się skupić na nauce, a nie gdzieś kelnerzyć, jak jakaś pierwsza lepsza. Kumaszu, kelnerzyć jak pierwsza lepsza! A niby żadna praca nie hańbi i wszyscy są równi! Ale nie, dla pani prawnik wszyscy są gorsi, tylko tacy jak ona się liczą, jasna błądź! Że też z takiego łona wyszłam, nie do wiary!

– No i na czym stało?

– Zaczynam w piątek. Ojciec się za mną wstawił. Powiedział matce, że to tylko weekendy i że to dobrze, że jestem przedsiębiorczą. I że przecież z Sopotu do Wrzeszcza to tylko kilka przystanków kolejki. Stało na moim. Jak zawsze. – Monika puściła do niego oko.

Tak, Monika zawsze stawiała na swoim. Co ta dziewczyna w sobie miała, że nie można było jej odmówić? Mario spojrzał w jej zielone oczy i zalała go fala ciepła.

2

Waldemar już na nią czekał. Falujące, półdługie jasnobrązowe włosy zaczesał do tyłu, skórzana kurtka opinała się na jego torsie. Waldemar – już samo brzmienie jego imienia sprawiało, że Monika czuła w brzuchu przyjemne gilgotanie. Miał imię odpowiednie do swojego wieku. Waldemar był przed czterdziestką i bardzo różnił się od chłopaków ze szkoły. Był poważny, szarmancki i twardy. Jeździł czarnym BMW, miał własne mieszkanie. No i gest. Dostawała od niego perfumy i koronkową bieliznę. Niedawno sprezentował jej prawdziwe pięćsetjedynki. Nie takie z hali, jakie nosiły jej koleżanki z liceum. Kupił je w butik na Ku'dammie.

Monika powoli się do niego zbliżała, zmysłowo poruszając biodrami. Choć jeszcze nie dostrzegła jego rysów, była pewna, że na nią patrzy. Zawsze przyglądał jej się z kamienną twarzą, ale jego oczy zdradzały pożądanie. Tak, wyraźnie je wyczuwała. Rozbierał ją wzrokiem i dokładnie wiedziała, co chciał z nią robić. Przygryzła wargi na samą myśl, która podniosła jej ciśnienie. Waldemar był zupełnie inny niż chłopcy, z którymi była do tej pory. Oni brali ją pospiesznie, łapczywie. Przygniatali ją swoimi ciałami, a potem opadali z niej w ciszy, jakby jakkolwiek dźwięk mógł zburzyć iluzję, że z nią obcowali. Dla niej nie miało to większego znaczenia. Seks nie był niczym ważnym. Nie stwarzał żadnej metafizycznej aury, nie miał w sobie nic duchowego. Monika nie bardzo wiedziała, o czym mówiły jej koleżanki przygotowujące się do pożegnania cnoty, jakby to było jakieś niebywałe przedsięwzięcie, które trzeba skrupulatnie zaplanować. Ona straciła cnotę w siódmej klasie na prywatce z chłopakiem ze starszej klasy, w którym podkochiwały się wszystkie nastolatki. Była pijana, więc niewiele poczuła. Ani bólu, ani przyjemności. Po wszystkim dumnie wyszła z pokoju, zapinając bluzkę, a ekipa zaczęła gwizdać i bić brawo. Ukłoniła się nisko, jakby wykonała przed chwilą niezły balet, i poszła pić dalej. W rzeczywistości nie był to jej pierwszy raz, choć tak wolą to pamiętać. Od tej pory sypiała z różnymi koleśkami ze szkoły, bardziej dla sportu i hecy niż dla prawdziwej rozkoszy. Rozkosz poznała dopiero z Waldemarem. Nie ma wątpliwości, że on wiedział, co znaczy seks, i Monika wiele się dzięki niemu dowiedziała.

– Cześć, kocurze – mruknęła, gdy znalazła się przy nim, lekko mrużąc oczy.

– Cześć, babe – odparł, przyciągając ją do siebie i łapiąc jedną ręką za pośladek.

Pocałował ją namiętnie, a ona totalnie odpłynęła. Czuła się przy nim jak mała dziewczynka.

Zupełnie ją onieśmielał, a przecież na co dzień było odwrotnie – to ona nad wszystkimi górowała i nigdy nie dawała się przyprzeć do muru.

Waldemara poznała w Cockneyu, klubie w centrum Wrzeszcza, między osiedlami studenckimi, niedaleko Politechniki. Przychodziła tam co sobotę z dziewczynami, żeby potańczyć i wyluzować się po całym tygodniu licealnej katorgi. Tam w końcu czuła się wolna, wśród różnobarwnych postaci, które nikogo nie udawały. Było to jedyne miejsce w Trójmieście, w którym obowiązywało zawieszenie broni pomiędzy punkowcami a skinheadami, którzy mijali się tu swobodnie, nie zwracając uwagi na podziały obowiązujące na ulicach. Przychodzili studenci. Wpuszczano ładniejsze licealistki. No i kręcił się też mafijny świątek. Wszyscy o tym wiedzieli, choć głośno tego nie komentowano. Ci goście czuli się w Cockneyu jak u siebie i tak naprawdę to oni czuwali nad wszystkim, co się tam działo. Monice odpowiadał taki kolaż środowisk. Czuła się tam sobą. I nie musiała płacić za drinki. Te atrakcyjne nigdy nie musiały. Zawsze znalazł się ktoś w czarnej marynarce, kto kiwnął do barmana.

Spojrzała na Waldemara. Imponowało jej, że był z tego ciemnego świata, w którym panowały siła i władza. Pociągał ją ten niezbadany mrok zbrodni, agresji, seksu i pieniędzy. Ceniła honor, jakim odznaczali się członkowie mafii. Wiedziała, że wszyscy kierują się jasno określonymi regułami, a ich złamanie grozi śmiercią. Nie przerażało jej to, choć wiedziała, że powinno. Jednak na samą myśl, że znalazła się tak blisko tej podziemnej rzeczywistości, czuła dreszcz ekscytacji. Taka już była Czarna Puma. Lubiła balansować na linie.

Wiatr znów się wzmaczał. Podniósł jej włosy, które zatańczyły w uwodzicielskim tańcu, a mężczyzna westchnął pełen pożądania.

– Chodź, babe, bo inaczej wezmę cię tu i teraz. – Zanurzył twarz w gęstwinie brązowych pasm i zmysłowo szepnął jej do ucha: – Tak jak luuubisz.

Monikę przeszedł dreszcz, ale nie zdążyła zareagować. Waldemar już ciągnął ją za rękę po schodkach prowadzących w dół do pubu. Gdy tylko się na nich znaleźli, deszcz przeszedł w ulewę.

Usiedli w najciemniejszym zakamarku pubu. To było ich miejsce. W rogu utrzymanego w ciepłej brytyjskiej stylistyce klubu, z dala od sceny i baru. Waldemar poszedł po piwo dla siebie i drinka dla niej.

– Glaca za chwilę podejdzie – powiedział i wsunął się na drewnianą ławę tuż obok niej.

Jego dłoń od razu powędrowała po jej udzie, znalazła się pod sukienką i zacisnęła na kroczu.

– Suka – zamruczał, a ona przymknęła powieki.

Lubiła to. Och, jak lubiła, gdy tak do niej mówił. Zaskoczył ją, gdy po raz pierwszy tak się do niej zwrócił. Po imprezie, na której ją wypatrzył, pojechali prosto do niego. Ekskluzywne mieszkanie na Jelitkowie, niemal puste, wyposażone tylko w najpotrzebniejsze meble. Drogi sprzęt grający. Na środku dużego pokoju pod sufitem zawieszona huśtawka z dwóch grubych taśm z dodatkowymi zapięciami. Monika wpatrywała się w tę huśtawkę i próbowała ocenić, czy powinna uciec, czy zostać. Waldemar podszedł do niej od tyłu, zaczął całować w kark, dotarł do ucha i szepnął: „Suczka. Moja mała suczka”.

Została i po raz pierwszy doświadczyła rozkoszy. To wtedy uzależniła się od Waldemara, który nie przestawał jej zaskakiwać, nieustannie, powoli i zawsze za jej przyzwoleniem przesuwał granice zmysłowych doświadczeń.

– Suka – zamruczał ponownie, a ona zacisnęła uda na jego ręce.

Do ich stolika zbliżał się Glaca, którego Monika знаła z widzenia. Przystojny, postawny szatyn, o ciemnej skórze. Właściciel Cockneya wyglądał jak Włoch, idealnie wkomponowując się w mafijny klimat.

– A więc to ty jesteś Puma? – spytał z uśmiechem, siadając naprzeciwko nich. – Już prawie legenda mojego pubu. – Puścił do niej oko. – Waldek nie przestaje się tobą zachwycać. Teraz rozumiem dlaczego. – Przyjrzał się jej z uznaniem. – Masz jakieś doświadczenie jako barmanka?

Monika pokręciła głową. Ale wiedziała, że to i tak nie ma znaczenia. Spojrzała na Glacę swoimi zielonymi kocimi oczami i odpowiedziała spokojnie:

– Nie sędzę, żeby to była jakaś szczególnie istotna przeszkoda. Praca tylko w weekendy. Dasz mi dziesięć złotych za godzinę. I przymkniesz oko na to, że postawię stojak z orzeszkami, żeby sobie dorobić. Stoi?

Glaca spojrzał na nią zaskoczony, po czym zaniósł się donośnym śmiechem.

– Stoi. – Wyciągnął do niej dłoń, żeby przypieczętować umowę.

Wstał i miał już odejść, ale odwrócił się jeszcze na chwilę i powiedział do Waldemara:

– Lubię tę dziewczynę. Uważaj na nią.

3

Helena Bogucka wciągała wąską ołówkową spódnicę. Jej włosy były niedbale rozrzucone na karku; poniżej wyraźnie rysowały się łopatki. Zapięła czarny biustonosz, włożyła białą koszulę. Podeszła do lustra. Poprawiła fryzurę palcami. Na usta nałożyła krwistoczerwoną pomadkę. W tafli złapała odbicie jego spojrzenia. Przyglądał się jej. Odwróciła się do mężczyzny, który nadal leżał w zmiętej pościeli. Jej mina była poważna, niemal surowa, choć jeszcze przed chwilą wyrażała najwyższą ekstazę.

– To był ostatni raz – powiedziała.

– To był ostatni raz – powtórzył z westchnieniem.

Jednak oboje wiedzieli, że to się powtórzy. Może nie jutro. Ale za tydzień, dwa ona znowu się odezwie. To zawsze była jej decyzja. To ona stawiała warunki, a on zawsze się do nich stosował. Ona zadzwoni i powie: „Jutro, tam gdzie zawsze”. Odłoży słuchawkę, niezainteresowana jego odpowiedzią. Nie musiała się obawiać odmowy. Mogła mieć pewność, że on zjawi się wyznaczonego dnia o stałej porze w hotelu Maryla. W ich hotelu.

To w tej willi z XIX wieku mieszczącej się w sopockiej dzielnicy Kamienny Potok spędzili swoją pierwszą noc wiele lat temu. Byli studentami. Zakochanymi w sobie po uszy. Pełnymi marzeń. Od tej pory wiele się zmieniło. Ona wyszła za innego i urodziła córkę. On też wkrótce założył rodzinę. Ich drogi się rozeszły i zeszyły ponownie piętnaście lat później. Spotkała Tadeusza na korytarzu w sądzie i znowu coś zaiskrzyło. Nie mogli się temu oprzeć. Poszli na kawę, a skończyli w hotelu Maryla. Spotykali się tu od ponad dwóch lat. Czasami cztery, czasami dwa razy w miesiącu. Nie częściej niż raz na tydzień. Helena za każdym razem mówiła, że widzą się po raz ostatni. Nigdy nie dotrzymywała danej sobie obietnicy.

– Na razie – rzuciła i wyszła.

Zawsze była dla niego oschła. Chyba czuła się wtedy mniej winna. Jakby zdrada była tylko cielesna, czysto fizyczna. Jakby nie oddawała temu mężczyźnie czegoś zarezerwowanego dla męża. Z drugiej strony mężowi też nie dawała tego, co powinno być dla niego zarezerwowane. Może po prostu już tego w sobie nie miała? Może była pusta, wydrażona jak skała, przez którą przepływał kiedyś wartki strumień, ale powoli wysechł? Tak się chyba właśnie czuła. Jak głaz. Martwy, twardy i samotny.

Wyszła przed hotel. Deszcz zaczął w świetle zewnętrznych lamp. Klon stojący naprzeciwko willi zgubił już prawie całe ubranie. Pożółkłe liście zebrano w równiutkie kupki w regularnej odległości. Trawnik niknął w ciemności. W oddali Helena słyszała zacinające fale. Wyobraziła sobie spienione bałwany rozbijające się o brzeg. Najbardziej lubiła plażę jesienią. Gdy była wyludniona i wyblakła. Pozbawiona zadowolonych turystów i rozświetlającego wodę słońca. Wtedy czuła, że morze śpiewa właśnie dla niej. Choć znajdowało się jakieś pół kilometra od hotelu, wyraźnie je słyszała. Było wzburzone i gniewne. Takie właśnie kochała.

Wyjęła z torby czerwoną parasolkę i ruszyła przed siebie. Do domu miała niecałe dwa kilometry. Nigdy nie brała z hotelu taksówki. Woląca iść pieszo. Nie tylko dlatego, że nie potrzebowała żadnych świadków swojego zepsucia. W ten sposób powoli się oczyszczała. Wdychała mokre powietrze. Otulała skórę zimnem. Trzeźwiała z cielesnych doznań. Stawała się żoną i matką. Często podczas tej wędrówki myślała, jak by to było, gdyby dokonała kiedyś innego wyboru. Jak potoczyłoby się jej życie.

Tadeusza poznała na pierwszym roku prawa. To był rok 1978. Chciała wsiąść do kolejki SKM w Gdańsku Głównym, lecz drzwi jeszcze były zamknięte. Choć miała na sobie nowy biały płaszcz z postawionym kołnierzem, marzła. Wtedy pojawił się młody mężczyzna i na siłę pociągnął skrzydła drzwi, które odskoczyły od siebie z głośnym sykiem. Podziękowała i weszła do pustego przedziału. Usiadła pod oknem, a on usiadł naprzeciwko niej i nieprzerwanie się w nią wpatrywał. Czuła się nieswojo.

– Przepraszam, ale my chyba się nie znamy? – spytała zmieszana i poprawiła czarną krótką grzywkę, która zaczęła się kręcić od wilgoci.

– Ja panią znam. Już panią wcześniej widziałem – odparł mężczyzna.

Miał głęboki, niski głos, który budził zaufanie.

– Hm, ja mam świetną pamięć wzrokową, więc na pewno bym zapamiętała. – Helena się zawahała i odwróciła ostentacyjnie wzrok ku oknu.

Pociąg ruszył. Przemierzyli trasę do Wrzeszcza w milczeniu. Powoli zmierzchało. Twarz mężczyzny odbijała się w szybie. Helena przyglądała się jego kształtnym ustom, włosom niesforne opadającym na czoło i niebieskim jak woda oczom, które nieprzerwanie się w nią wpatrywały. Z jednej strony to zachowanie było absolutnie impertynenckie, z drugiej – odczuwała coś na kształt przyjemności, choć nie do końca wiedziała, co jest jej źródłem. Normalnie by się przesiadła albo otwarcie powiedziała, co sądzi o takim zachowaniu. Często ktoś ją zaczepiał. Jej uroda budziła zainteresowanie i Helena już dawno nauczyła się, jak sobie radzić w takich sytuacjach. Jednak tym razem było inaczej. Jakby jej ciało dawało temu przyzwolenie, choć umysł podpowiadał, że to niewłaściwe.

W końcu kolejka zatrzymała się na stacji Wrzeszcz. Helena wysiadła. Przemierzając peron, zdała

sobie sprawę, że mężczyzna idzie za nią. Wyszła na Dmowskiego i skierowała się na Brzozową. On szedł po drugiej stronie ulicy, cały czas trzymając się kilka metrów z tyłu. Lekko mżyło. Malutkie kropelki deszczu jaśniały w świetle latarni. Helena czuła lekki strach zmieszany z podnieceniem. Gdy wreszcie znalazła się pod rodzinną willą, odwróciła się i odszukała go wzrokiem. On również się zatrzymał i z dystansu taksował ją zagadkowym spojrzeniem.

– Dziękuję, że mnie pan odprowadził – powiedziała.

On skłonił głowę i dalej stał bez ruchu. Helena wbiegła do domu, a gdy znalazła się w swoim pokoju, wyjrzała zza firanki. Mężczyzna wpatrywał się w okna i gdy ją dostrzegł, jego twarz się rozpromieniła. Helena pomachała i szybko ukryła się w mroku pokoju. Serce łomotało jej jak szalone. Jeszcze nigdy się tak nie czuła. W nocy nie zmrużyła oka. Gdy rano zeszła na śniadanie, matka spojrzała na nią nieufnie i powiedziała:

– Całą noc pod naszymi oknami kręcił się jakiś młody człowiek. – Uważnie przyjrzała się Helenie.

– Coś ci o tym wiadomo?

Helena zaprzeczyła ruchem głowy, a jej policzki oblał rumieniec. Wyglądała nieznanego w następnych dniach, lecz pojawił się dopiero w sobotni poranek. Stał dokładnie w tym samym miejscu, w którym widziała go ostatni raz – po drugiej stronie ulicy, oparty o latarnię. Zapowiadał się piękny dzień. Deszcz w końcu ustał i nad budynkami rozpościerało się bezchmurne niebo. Helena uwinęła się z poranną toaletą, włożyła fioletową zamszową spódnicę i golf, które kilka dni temu ojcu udało się sprowadzić z Zachodu, i narzuciła swój piękny skórzany płaszcz. Przejrzała się w lustrze. Wyglądała jak z żurnala. Czarne włosy obcięte na Kleopatrze układały się gładko. Ubranie wpisywało się w ostatnie trendy mody. Chwyciła jeszcze duże czarne okulary „muchy” i z obojętną miną wyszła z willi. Nie spojrzawszy nawet na drugą stronę ulicy, od razu skrzyła w lewo. Kątem oka zauważyła, że mężczyzna ruszył za nią. Gdy znalazł się kilka metrów od niej, raptem się odwróciła i spytała:

– Już zawsze będzie pan za mną chodził?

Przystanął i wyraźnie się zmieszał. Jednak po chwili znalazł się tuż obok niej i oficjalnie się przedstawił. Dalej wędrowali razem. Rozmawiając, skęcili do parku Kuźniczki i usiedli na ławce. Słońce pięło się coraz wyżej, przedostając się przez gałęzie i rozświetlając ich postacie. Dopiero teraz Helena zauważyła, że mężczyzna jest dobrze zbudowany i ma niezwykle duże, ale bardzo zgrabne dłonie.

– To piękne, że chcesz leczyć ludzi – powiedziała, gdy usłyszała, że studiuje medycynę.

Tadeusz lekko się zmieszał i odparł:

– W rzeczywistości będę leczyć dusze zmarłych. Chcę zostać lekarzem medycyny sądowej.

Helena spojrzała na niego zaskoczona.

– Lekarzem ostatniego kontaktu?! – zażartowała.

– Taa, zimnym chirurgiem. – Tadeusz puścił oko.

Parsknęła śmiechem. On też się roześmiał. Zaczął jej opowiadać o swojej fascynacji śmiercią, o roli, jaką lekarz medycyny sądowej odgrywa w odnalezieniu prawdy, o tym, że ciało ofiary to swoista księga, którą należy odczytać. Tłumaczył, że wszystkie rany, nawet te, które mają służyć utrudnieniu identyfikacji, to ślady mówiące coś o sprawcy.

– Im więcej aspektów jesteś w stanie wyłapać, tym większe prawdopodobieństwo odnalezienia mordercy, a tym samym większe prawdopodobieństwo wymierzenia sprawiedliwości. Wyobraź sobie

– Tadeusz coraz bardziej się ekscytował – że to właśnie ja będę musiał stwierdzić, czy na przykład w przypadku śmierci gwałtownej nastąpił wypadek, miało miejsce samobójstwo, doszło do zaniechania czy też chodziło o zbrodnicze działanie! To niezwykle i wymagający zawód, a do tego nie dla wszystkich. Tylko najwięksi twardziele mogą się w nim sprawdzić.

Tadeusz opowiadał z zapałem, jakiego Helena od dawna u nikogo nie widziała. Imponował jej wiedzą i charyzmą. Zadziwiła ją to, że w tak młodym wieku dokładnie wiedział, co chce robić w przyszłości, kim chce się stać. Bez wahania wybrał specjalizację, podczas gdy jego koledzy ze studiów nadal nie wiedzieli, czy będą chirurgami, czy chcą leczyć choroby skóry.

Po jakichś dwóch godzinach Tadeusz odprowadził ją pod dom i umówili się na pierwszą oficjalną randkę, podczas której wręczył jej goździki i zabrał na gorącą czekoladę. Cały czas rozmawiali. Okazało się, że on nie tylko pięknie mówi, ale również umie słuchać. Nie wiedząc czemu, Helena opowiedziała mu o rzeczach, których nigdy wcześniej nikomu nie zdradziła. Mówiła o swoich obawach i marzeniach, o prawniczej rodzinie, której oczekiwań nie chciała zawieść, o dorastaniu i planach na przyszłość. Czuli, że może mu zaufać. Czuli od niego dobro. Pozwoliła mu się pocałować na pożegnanie i był to najśłodszy pocałunek, jaki ktoś złożył na jej ustach. Po kilkunastu randkach zaproponowała mu wspólną noc w hotelu Maryla. Ona wciąż mieszkała z rodzicami, on dzielił pokój z kilkoma kolegami w akademiku. Powiedziała, że sama zapłaci za nocleg. Wiedziała, że Tadeusz pochodził z ubogiej rodziny z Kościerzyny i żył za skromne stypendium naukowe. Ale chłopak postawił sobie za punkt honoru sfinansowanie całego planu. Co więcej, czekał na nią w hotelowym pokoju z musującym winem i truskawkami. Płomienie licznych świec rzucały na ścianę ruchome cienie. Tadeusz nie zdradził, skąd wziął na to wszystko pieniądze. Domyślała się, że musiał się nieźle zapożyczyć. W każdym razie wieczór był idealny. I pierwszy. Zarówno dla niej, jak i dla niego. To była miłość, na pewno. Nie miała wątpliwości.

Och, to było tak dawno temu. Jak potoczyłoby się jej życie, gdyby wybrała inaczej?

Stała przed murowanym domem ze spadzistym dachem, który dostała od rodziców w prezencie ślubnym. Ojciec, znany adwokat, wręczył im klucze do willi w górnym Sopocie tuż po ceremonii, a wokół rozbrzmiały oklaski. Wyrazy uznania i prestiż zawsze były dla niego najważniejsze. Wtedy bezsprzecznie osiągnął zamierzony efekt.

Helena zdała sobie sprawę, że deszcz ustał. Złożyła parasolkę i zerknęła przez bramę. W salonie paliło się światło. Widziała aureę włączonego telewizora. Ostatni raz głęboko odetchnęła nocnym powietrzem i ścisnęła w pięści zimne jak lód palce. Przybrała neutralny wyraz twarzy i nacisnęła klamkę.

4

Okłamywanie matki przychodziło jej łatwo. W sumie nie musiała się nawet bardzo starać. Matka nie zwracała na nią szczególnej uwagi. Ostatnio w ogóle wydawała się przebywać myślami gdzieś daleko. Przychodziła z pracy coraz później, przeciążona problemami innych rodzin, z którymi miała do czynienia na sali rozpraw. Nie starczało jej czasu na troski własnej rodziny.

Monika, gdy wchodziła do domu późną nocą po pracy, nie starała się już nawet pamiętać, by włożyć do ust gumę do żucia. Nikt nie sprawdzał, czy nie czuć od niej alkoholu. Matka i ojciec

dawno spali, jak zwykle w osobnych pokojach. Formalną przyczyną takiego stanu rzeczy było narastające chrapanie ojca, które kazało matce zmienić sypialnię dwa lata temu.

Początkowo ojciec wychodził po Monikę na przystanek SKM. Ale nie zawsze wracała tą samą kolejką. Tłumaczyła, że czasami imprezy w klubie mocno się przeciągają, a ona musi czekać do końca, by zamknąć kasę. Tak naprawdę mogła wychodzić z pubu, o której tylko chciała. Z Głacą zawarła bardzo elastyczny układ. Po pracy najczęściej jechała do Waldemara albo szła z nim i jego znajomymi gdzieś dalej – do Cristala, Rudego Kota, Piątki, czasami do Lido. Po kilku weekendach tata przestał wychodzić na peron, co bardzo ułatwiło sprawę. Monika nie musiała już kontrolować czasu. Najpierw zastawała ojca w dużym pokoju, śpiącego w fotelu przed telewizorem, który śnieżył. Po jakimś czasie już nikt na nią nie czekał. To, że wraca późną nocą, przestało kogokolwiek obchodzić. Stało się normą wpisaną w harmonogram tygodnia.

Monikę tylko czasami męczyły wyrzuty sumienia. Na przykład gdy tata na niedzielne śniadanie przygotowywał naleśniki z twarogiem, które tak bardzo lubiła, i zostawiał je dla niej na stole z podpisem: „Dla dzielnego Pracusia”.

Praca w Cockneyu nie była ciężka. Najczęściej pod okiem profesjonalnego barmana Witolda przez kilka godzin serwowała klientom piwo i sprzedawała z trzykrotnym przebicciem orzeszki i chipsy, z których utarg brała w całości dla siebie. Rodzice zaspokajali jej wszystkie podstawowe potrzeby, a Waldemar obsypywał ją prezentami, mogła więc odkładać wszystkie zarobki. Po kilku miesiącach kupka banknotów, które przechowywała w grającej szkatułce na kluczyk, zrobiła się naprawdę pokaźna. Monika nigdy wcześniej nie miała takiej gotówki. I choć korciło ją niekiedy, żeby coś z niej uszczknąć, to jednak zawsze się powstrzymywała. Miała cel i wiedziała, że musi zdobyć sporo pieniędzy, żeby go zrealizować.

Pewnego dnia Waldemar podsunął jej małe paczuszki zapakowane w kartoniki w kilku kolorach. Z daleka wyglądały jak gumy Donald.

– Chcesz dołożyć do swoich orzeszków? – zapytał, zręcznie zonglując zawiniątkami w palcach.

– Co to? – zapytała, a oczy jej zaiskrzyły.

– Źródło szczęścia i rozpaczki – odparł i wybuchł gromkim śmiechem.

Dziewczyna przyjrzała się kolorowym pacuszkom i kiwnęła głową.

– Ile?

– Trzy dychy. Dziesięć procent zostaje u ciebie.

– Dwadzieścia.

Waldemar potargał jej włosy i potwierdził:

– Dwadzieścia. Twarda sztuka mi się dostała.

Cmoknął ją w usta i wrzucił kopertki do stojaka z przegryzkami.

– Daj znać, jak wyjdą – dodał i dosiadł się do stolika, przy którym siedziało kilku mięśniaków.

Monika zdążyła już ich poznać. Łysy o kaprawych oczach i szerokim karku nosił ksywę Szyja. To był jeden z tych gości, którzy z powodu masy swoich ramion trzymają telefon w ręce przeciwległej do ucha. Wysoki i barczysty typ z włosami postawionymi na jeża przedstawiał się jako Wata. Kalafior, były bokser, miał zdeformowane uszy. Nie takie równe jak u zapaśników, którzy regularnie odciągają krew z małżowin. Jego uszy były odstające i zbąblowane jak zepsuty kefir. Sprawiały, że wyglądał jak przedpotopowy gad. Bracia Wachu i Ciemol zajmowali się „sprowadzaniem” aut

z Berlina. Był jeszcze Pażałsta – Ukrainiec, prawa ręka Waldemara. Niski, nakoksowany, przysadzisty. Jako jedyny patrzył na Pumę nieufnie i nigdy się do niej nie uśmiechał. Dla reszty stanowiła doskonałą maskotkę drużyny. Pażałsta okazywał jej ostentacyjną niechęć i zawsze trzymał ją na dystans.

Zbliżała się dwudziesta. Do pubu schodziło się coraz więcej osób. Zaczęło się robić tłoczno. Rozbrzmiały pierwsze dźwięki muzyki. Dziś występował u nich Lech Janerka. Monika nie bardzo wiedziała, jak sprzedać kopertki. Podawała kufle z piwem i wydawała resztę. W końcu podszedł do niej dość przystojny, niezłe ubrany chłopak. Pewnie student z dobrej rodziny. Swoją swoją zawsze wyczuje.

– Donaldka do orzeszków? – zagaiła i wskazała na stojący przy ladzie stojak, w którym pomiędzy słonymi przekąskami widać było kolorowe paczuszki.

Chłopak wychylił głowę, zerknął do środka i rozpromienił się.

– Kopia?

– Źródło szczęścia i rozpacz, bracie. – Monika powtórzyła słowa Waldemara i puściła do studenta oko.

Wziął trzy zawiniątka. Po chwili zaczęły podchodzić nowe osoby i pytać o donaldy. Fama się rozeszła.

Mniej więcej w połowie koncertu, podczas którego pod sceną pogowiała połowa sali, towar się skończył. Monika nachyliła się do Waldemara i zdała raport.

– Misja wykonana, kocurze. Masz tego więcej czy mam już strzepnąć brokat?

– Puma cała w brokacie. Nie do wiary – odparł Waldek i podał jej pod stolikiem kolejne pakuneczki.

Zacisnęła drobne dłonie, żeby niczego nie zgubić po drodze.

– Czy Glaca o tym wie? – spytała jeszcze.

Waldemar złapał ją za brodę.

– Niech to będzie nasza słodka tajemnica, babe – powiedział łobuzerskim tonem.

5

– Zostałaś teraz dealerką?! Pogięło cię zupełnie?

Mario zrobił się cały czerwony. Jego nogi nerwowo majtały się nad przepaścią. Siedzieli na zwalonym tuż nad klifem drzewie. Po ostatnim sztormie wprowadzono zakaz wchodzenia na stromy brzeg Kępy Redłowskiej. Wokół nich znajdowało się mnóstwo odkrytych korzeni. Wszędzie wały się gałęzie. W wiadomościach ostrzegano przed zagrożeniem osunięcia się błota i piasku. Więc gdzie Monika chciała się wybrać na spacer? Na klif, a jakże!

Było czwartkowe popołudnie. W końcu się roz pogodziło. Wilgotne mchy parowały od zachodzącego słońca, wydzielając niezwykły zapach. Słodkiej, sfermentowanej świeżości. Mario nie widział Moniki jakichś trzy tygodnie. Ostatnio nie miała dla niego zbyt dużo czasu i czuł się trochę urażony. Kilka razy wpadł nawet do tego jej pubu, ale siedzące tam chłystki nie zrobiły na nim najlepszego wrażenia. Zahukane studenciny i skoksowane tępaki. Nie przepadał za takimi miejscami.

– Tam od razu dealerką! – obruszyła się dziewczyna. – Jej, nie musisz do wszystkiego

podchodzić tak poważnie. – Spojrzała na niego pochmurnie i wyduła wargi.

– No dobra, dobra. Zostałaś dystrybutorką leków. – Mario uśmiechnął się do niej przekornie. Parsknęła śmiechem.

– Taa, przedstawicielem farmaceutycznym!

Drzewo, na którym siedzieli, zaczęło się niebezpiecznie chybotać. Mario przyłożył palec do ust i szepnął:

– Zabici przez śmiech.

Spojrzeni uśmiechnięci na spienione morze. Lubili tu przychodzić. To było ich miejsce. Tu byli tylko oni, otoczeni wyludnionym światem. Mario często wyobrażał sobie, że nastąpiła apokalipsa zombi i tylko im udało się przeżyć. Dla niego to był idealny scenariusz. Nie potrzebował do życia nikogo prócz niej.

– A tak na serio: po co ci to? – spytał cicho.

– Śmierć przez śmiech?

– Ta zabawa w farmaceutę. Kurczę, czasami cię nie rozumiem. Przecież biedna nie jesteś, niczego ci nie brakuje. Mieszkasz w zajebicie dużym domu. Chodzisz do świetnego liceum. Po cholere ci ta praca w durnym pubie i do tego jeszcze dragi? Nie wspomnę o tym całym podejrzanym Waldku i jego szemranym towarzystwie z mordami zakazanymi. Ciebie naprawdę popierdoliło, Monique.

Uśmiechnęła się lekko. Lubiła, kiedy tak się do niej zwracał. Jej zwyczajne imię błyszczało wtedy francuskimi fajerwerkami.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Chyba... – Zrobiła krótką pauzę. – Czułeś kiedyś jakiś brak w sobie? Mówię o takim uczuciu... Nie zwykłym dole czy smutku. Ale uczuciu, że niby wszystko jest normalnie, ale w brzuchu masz pustkę. Jakbyś był głodny albo wypełniało cię powietrze... jakbyś zgubił połączenie pomiędzy umysłem a ciałem. Hmm, nie wiem, jak to opisać. Ale gdy robię te wszystkie rzeczy, nie czuję się właśnie tak. Nie czuję się jak Małpka. Czuję się jak Puma.

– Małpka?

– Kiedyś ci opowiem, Mario. Kiedyś ci opowiem...

Chłopak przyjrzał się jej profilowi. Zadarty nos, pięknie ukształtowane, pełne wargi i myślące lekko wystające czoło rysowały się na tle czerwonego, niknącego za horyzontem słońca. Powoli zapadał zmrok. Las za nimi stawał się czarny. Silniejszy pod wieczór wiatr wypełnił go dziwnymi dźwiękami. Mario usłyszał gałązkę, która pękła pod czyjąś stopą. Zbliżało się zombi.

– Pora się zbierać – powiedział i pomógł dziewczynie wstać.

6

– No sztachnij się – zachęcał. – Spróbuj. Po jednym razie jeszcze nikt nie umarł.

Monika spojrzała na równe białe kreski na szklanym stoliku.

– Co to?

– Koks. Nie ten syf, który rozprowadzamy w pubie.

– A co rozprowadzamy? – spytała zdezorientowana.

Waldek zerknął na nią rozbawiony i odpowiedział:

– Rozprowadzamy amfę. Amfetaminę, czyli proszek dla gówniarzerii. Tani shit, co napędza ciało energią, a umysł wypełnia myślami, które wydają się niesamowitym objawieniem, choć tak naprawdę są banałami. Wyżera mózg, ale przez chwilę pozwala się czuć panem świata. To jest koks. Kokaina. Sprowadzany z Kolumbii organiczny związek chemiczny pozyskiwany z liści krasnodrzewu pospolitego. Kokaina zwiększa wytrzymałość, wywołuje euforię, zmniejsza niepokój i daje poczucie pewności siebie. No i jest zupełnie nieszkodliwa. Wiesz, sama natura, zero chemii.

Dziewczyna ponownie spojrzała na biały proszek uformowany w ścieżki. Dokąd miały ją zaprowadzić?

– Entuzjizm, pożądanie, nienasycenie, zapal – wyliczyła.

Mężczyzna pytająco podniósł brew.

– Entuzjizm, pożądanie, nienasycenie, zapal – to mnie interesuje. To sprawia, że mój umysł żyje.

Biały proszek wyznaczał kilka przejść. Podniosła do nosa cienką firkę, wybrała jedno z nich, wciągnęła i podążyła przed siebie.

Po kilku minutach poczuła mrowienie w nosie. Podniebienie zdało się zamarzać, stając się jedwabiste. Czuła twarde i śliskie zęby, które lekko o siebie uderzały, wydając krystaliczny dźwięk. Było jej gorąco, a zarazem zimno. Wyraźnie czuła każdą cząstkę ciała, słyszała, jak przepływa przez nią krew, wartka i pulsująca w rytm jej serca. Czuła się piękna. Żywa. Zmysłowa. Spojrzała na Waldemara. On przyglądał się jej od jakiegoś czasu, chłonąc jej emocje, przypominając sobie, jak to było, gdy sam doświadczył tego po raz pierwszy.

– Puma zadowolona? – spytał.

– Zadowolona. Pełna. Nasycona... Chyba po prostu żywa? – Starła się jak najtrafniej oddać stan, w jakim się znalazła.

– Chodź, moja filozofko. – Waldemar pociągnął ją za rękę. – Uniesienia dopiero nas czekają.

Poprowadził ją pod ceglana ścianę zamykającą duży pokój. Powoli zaczął rozbierać. Zsunął wąskie ramiączka z jej barków i sukienka z cichym szelestem opadła na podłogę. Dziewczyna wydała subtelny jęk. Wydało jej się, że czas stoi w miejscu, a oni znajdują się poza rzeczywistością. Jak w filmach anime, które uwielbiała, gdzie bohaterowie wzlatują w powietrze otoczeni pierścieniem światła. Waldemar rozpiął jej stanik. Materiał koronkowych majtek przesunął się po jej nogach, lekko głaszcząc skórę. Bezwiednie podniosła po kolei stopy, by mężczyzna mógł odrzucić bieliznę. Stała przed nim zupełnie naga, a nieoczekiwane uczucie wstydu kazało jej zasłonić piersi i łono. Waldemar delikatnie rozsunął jej dłonie i ułożył wzdłuż boków. Przyglądał jej się spokojnie, bez pośpiechu, pomrukując. W końcu pchnął ją lekko ku ścianie. Zderzyła się z cegłami, a po jej pośladkach przeszedł nieznaczny prąd bólu. Była oszołomiona. Mężczyzna podszedł do niej i odwrócił ją twarzą do muru. Schwycił jej ręce i podniósł wysoko. Usłyszała szcęk żelaza i poczuła ucisk na nadgarstkach.

– Wypnij się – szepnął, a ona spełniła jego prośbę.

Wygięła się w łuk i wtedy usłyszała świst. Po jej ciele rozeszło się ciepło. Pałace, rozkoszne, straszne.

„Entuzjizm, pożądanie, nienasycenie, zapal” – powtórzyła w głowie i oddała się temu, co się działo.

„Był tam ktoś jeszcze?” – pomyślała, gdy obudziła się w swoim pokoju. Przypomniała sobie ceglana ścianę, stalowe obręcze wokół rąk, dźwięk bicza uderzającego o jej pośladki, plecy, nogi. Przypomniała sobie uczucie ulgi, kiedy czarny pejcz w końcu znalazł się obok jej twarzy, a skórzane frędzle podrygiwały regularnie wraz z mężczyzną. Ale widziała tam jeszcze coś. Bładoniebieskie spojrzenie gdzieś w oddali. Mroźne, ostre, jak u psa husky.

Czy był tam ktoś oprócz nich, czy tylko to sobie wymyśliła?

Miała wrażenie, jakby ta noc nigdy tak naprawdę się nie wydarzyła, że wszystko jej się przyśniło. Wspomnienie wibrowało w dotykanej, białej jak mleko, puszystej mazi, z której wyłaniało się bładoniebieskie spojrzenie.

Czy ktoś ich wtedy obserwował? Czy Waldemar o tym wiedział?

Zacisnęła powieki i starała się skupić. Im bardziej jednak chciała sobie wszystko przypomnieć, tym bardziej wspomnienia zalewała mgła. Zakrywała obrazy i gesty. Zagłuszała dźwięki i odczucia.

Monika przewróciła się na plecy. Zasyczała z bólu, jakby skórzany bat ponownie opadł na jej ciało. Wydarzyło się. Było. Zaistniało. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Powoli zsunęła się z łóżka i podeszła do stojącego pod ścianą lustro. Czy zmieniła się przez tę noc? Czy to, co zrobiła, odbiło się w jakiś sposób na jej twarzy? Przed nią stała młoda kobieta o długich, ciemnych, lekko potarganych włosach. Zielone oczy płonęły jak w chorobie. Usta były czerwone, lekko obrzmiałe od dzikich pocałunków nocy. Pod dwuczęściową bawełnianą piżamą rysowały się jędrne piersi i pośladki. Przypomniała sobie wychudzoną dziewczynkę z krótko przyciętymi włosami i wystającą szczęką. Małpki już nie ma. Czarna Puma spojrzała na nią wymownie. Czy coś się zmieniło?

Zeszła na dół. Bose stopy cicho zagłębiały się w puszystej wykładzinie. Przypomniała sobie, jak zawsze skradała się po schodach w wigilijną noc, starając się przyłapać Świętego Mikołaja. Ale nigdy się na niego nie natknęła. Kubek mleka i talerzyk z maślanymi ciasteczkami pozostawione przed snem na parapecie zawsze były opróżnione. Prezenty mieniły się kolorami w świetle lampek na choince. Kiedy to było? W jakimś innym życiu. Łzy zakręciły się jej w oczach. Po raz pierwszy od wielu lat zatęskniła za przeszłością, za czasem, którego już dawno nie było, za dziewczynką, którą zabiła.

Mama robiła w kuchni kawę. Dwie kopiaste łyżeczki wpadły do obłego kubka i czekały na zalanie.

Gwizdek powoli zaczął oznajmiać gotowość wody. Monika przesunęła krzesło, które lekko zaskrzypiało. Mama podskoczyła.

– Ale mnie przestraszyłaś! – zawołała. – Dzień dobry, skarbie. – Uśmiechnęła się do córki i przez grubą rękawicę chwyciła uchwyt czajnika.

Już prawie nikt takiego nie używał. Mama jednak twierdziła, że woda podgrzewana przez elektryczną grzałkę jest gorsza w smaku.

– Kawki? – spytała i wyjęła drugi kubek.

Była dzisiaj w wyjątkowo dobrym humorze.

Zwinnym ruchem nasypała do niego odpowiednią ilość zmielonych ziaren, pozostawiła w nim łyżeczkę i zalała gorącą wodą – z góry, kilkakrotnie obniżając i podnosząc czajnik. Od zawsze

niezmiennie stosowała ten sposób, żeby kawa dobrze się zaparzyła. Tata lubił, gdy na górze tworzyła się gęsta, nieprzepuszczalna powłoka z piany. Wsypywał łyżeczkę cukru i obserwował, czy utrzyma się na powierzchni. Jeśli cukier od razu nie zniknął, kiwał potwierdzająco głową i mówił:

– Mhm. Dobrze zaparzona.

Dopiero wtedy robił w kubku kilka kółek łyżeczką i upijał pierwszy łyk.

– Taty nie ma? – spytała Monika.

– Nie, pojechał do kancelarii nadrobić zaległości – odparła mama.

Postawiła kawę przed Moniką i przysiadła się do stołu. Jak zawsze zapomniała, że córka pije z mlekiem. Woda nalana była do pełna, Monika musiałaby więc wstać i trochę jej odlać, a mama zrobiłaby tę swoją pełną poczucia winy minę. Monika wsypała więc łyżeczkę cukru i patrzyła, jak powoli wsiąka w brązowo-beżową pianę.

– Dobrze zaparzona – stwierdziła i podniosła kubek do ust.

Kawa wypełniła jej nozdrza mocnym aromatem. Monika uśmiechnęła się do siebie. Ten zapach kojarzył jej się z babcią Stefanią. Babcia miała włoską urodę, którą odziedziczyli po niej ojciec i Monika – śniadą cerę, ciemne falujące włosy. Chodziła w taki specyficzny sposób. Kręciła na boki szerokimi biodrami, kołysząc się w prawo i lewo. I zawsze pachniała kawą. Choć była elegancką kobietą, to po domu zawsze chodziła w fartuchu z kieszeniami, w których grzechotały ziarna kawy. Babka podjadała je raz po raz, rozgryzając je z chrzęstem. Tłumaczyła, że w jej rodzinie kobiety robiły tak od pokoleń, starając się zdążyć z wszystkimi obowiązkami. Monika raz spróbowała przegryźć twarde ziarno kawowca, ale jego smak był dla niej nie do przyjęcia. Gorzki i cierpki. Wywołał nieprzyjemny dreszcz.

– Myślisz o babci Stefanii? – zagadnęła mama z uśmiechem.

Dziewczyna przytaknęła.

– Ja też – odparła mama. – Zawsze, gdy czuję zapach kawy, babcia staje w kuchni w tym swoim fartuchu i żuje ziarenko. Pamiętasz, cała pachniała kawą. Jej twarz, włosy, jej dłonie... To była dobra kobieta – dodała.

– Uwielbiałam ją, gdy byłam mała.

– No. Ciągłe dopytywałaś: „Kiedy Stanka psyjedzie?”. – Mama zaczęła się śmiać. – Taka byłaś malutka. – Popatrzyła na córkę. – A teraz jesteś prawie dorosła. Kiedy ten czas tak zleciał, co? – Pokręciła z niedowierzaniem głową. – A jak w szkole? – zmieniła temat.

Monika wzruszyła ramionami.

– Dobrze – odparła. Po chwili dodała: – Mamy nowego historyka. Kopalnia wiedzy normalnie. Pięknie opowiada. Widać, że lubi to, co robi. Reszta po staremu. W porządku.

– Jak w porządku, to w porządku. – Mama lekko się uśmiechnęła. Chciała coś jeszcze dodać, otworzyła usta, ale się rozmyśliła.

Zebrała kubki ze stołu i wstawiła do zlewu. Przejechała ściereczką po blacie. Stała w bezruchu, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Może byśmy się wybrały dzisiaj do kina, co? A potem jakaś pizza czy coś, hmm? – spytała wreszcie, starając się zachować neutralny ton głosu.

Mężczyzna o bładoniebieskich oczach nadal intensywnie obserwował Monikę.

– Kino, pizza, super – wykrztusiła dziewczyna i wysiliła się na swój najlepszy uśmiech.

Żółto-czerwone liście wlatywały nad ziemię, kręcąc piruety. Monika Bogucka stała na niskim wzgórku, z którego dostrzegała mieniące się w słońcu wody rozlewiska. Słyszała ptaki. Wydawało jej się, że ich głosy rozlegają się tuż nad jej głową, zajmując całą przestrzeń. Wiatr wzmagał się, co chwila łapczywie porywając jej włosy. Puchowa kurtka szczelnie ją opatulą, nie przepuszczając zimna.

– I jak ci się podoba? – spytał Mario, stając obok niej.

Podał jej parujący kubek herbaty.

– Bardzo! – szepnęła. – Matko, jak tu pięknie!

Chłopak uśmiechnął się zadowolony. Gdy była szczęśliwa, i on był szczęśliwy.

– Od kiedy macie ten dom? – chciała wiedzieć Monika.

– Ojciec go kupił, kiedy matka zachorowała. Miałem wtedy jakieś czternaście lat.

– Zachorowała? – cicho spytała Monika.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Mario nigdy nie opowiadał o swojej rodzinie, podczas gdy ona paplała o matce niemal nieustannie.

– Tak, mama zmarła na raka. Tata kupił tę daczę, gdy zaczęła przyjmować pierwszą chemię. Była wściekła, że coś takiego wymyślił. Wiesz, tu wszystko było zarośnięte na amen. Dom ledwie stał. Generalnie ruina. Ale ojciec systematycznie tu ogarniał. Wszystko powycinał, wyrównał, usypał ten pagórek, żeby można było obserwować z niego wodę. Postawił tę ławeczkę. Wszystko dla niej. Dom remontowaliśmy razem. Wymieniliśmy cegły, zbudowaliśmy altanę. Wspólna męska robota. Chyba było mu to wtedy potrzebne. Żeby nie myśleć o najgorszym, jak przypuszczam. I matka zaczęła tu przyjeżdżać. Początkowo przesiadywała tylko na tej ławeczce i gapiła się na wodę. Gdy zaczęła odzyskiwać siły, zainteresowała się ogrodnictwem. Kupiła masę książek o tym. Czytała i planowała. Mówiła ojcu, co ma kupić – jakie nasiona, jaki rodzaj gleby, jakie odżywki, i wskazywała, co gdzie sadzić. Potem sama zaczęła pleć, siać, podlewać. Chyba odnalazła w tym pasję.

Mario rozejrzał się wokół. Gdzieś tam stały samotnie powbijane paliki. Trawnik pokryły liście. Podeschnięty gęsty żywopłot ciągnący się wokół posesji oddzielał ją od świata.

– Po śmierci matki ojciec stracił serce do tego miejsca. Nadal je odwiedzamy co jakiś czas, żeby nagrzać mury, odgrzybić, pomyśleć. Ale teraz zrobiło się tutaj męsko. Kiedyś to był świat stworzony dla mamy. Teraz to taka nasza męska przystań, nasza samotnia.

Zerknął na Monikę. Posmutniała i widać było, że przetwarza to, co przed chwilą usłyszała.

– Chodź. – Mario chwycił ją za rękę, rozładowując grobowy nastrój. – Coś ci pokażę.

Przeszli przez drewniany taras i weszli do dużego pokoju. Masywny stół pokryty był kurzem, ale wszędzie panował wzorowy porządek. Książki były równiutko poustawiane na półkach, drewno leżało we wnęce obok kominka, pogrzebacz, łopatka i miotełka wisiały na haczykach tuż obok. W otwartej kuchni też wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Monika rozejrzała się z ciekawością.

– Ojciec jest pewnego rodzaju pedantem – wyjaśnił Mario, uprzedzając jej pytanie. – Lubi, gdy wszystko jest optymalnie zorganizowane, tak by nie musiał tracić czasu na szukanie. Skrzywienie zawodowe.

Zaprowadził ją na górę i wyjął z kieszeni klucz.

– No dobra. Teraz moje królestwo.

9

Pomieszczenie było ciemne i mroczne. Story zaciągnięto. Przedostawał się między nimi tylko wąski pasek światła padający na drewnianą podłogę. Książki zapelniające wszystkie ściany wydawały wilgotny, stęchły zapach starości. W starej willi we Wrzeszczu, od kiedy Helena pamiętała, unosiła się ta specyficzna woń przenikająca wszystkie jej ubrania. Za dużym dębowym biurkiem siedział stary mężczyzna. Siwe gęste włosy zaczesane miał do tyłu. Z nosa zsuwały się ciężkie okulary w brązowej oprawie. Spojrzenie miał chmurne. Jak zawsze. Odłożył na bok fajkę, którą przed chwilą miał zamiar nabić.

– Czyli chciałabyś wziąć rozwód, tak?! – huknął.

Helena Bogucka spuściła wzrok. Ojciec nadal wywoływał w niej strach. Choć była już dorosłą, prawie czterdziestolletnią kobietą. Poważaną panią sędzią.

– Tak – przyznała cicho. – Nie mogę tak dalej... Zrozum, ja...

– Nie będę tego wysłuchiwać. Nie obchodzą mnie twoje osobiste pretensje do świata. Nie rozumiesz, że małżeństwo to świętość! Że to zobowiązanie na całe życie! Że to nazwisko, ród, majątek! To nie jest coś, z czego można tak po prostu się wypisać!

Ryszard Deskur z trudem wstał zza biurka, założył dłonie za plecy i zaczął spacerować po pokoju. Jego ciężka postać przez ostatnie lata jakby się skurczyła, jednak i tak był większy niż przeciętny mężczyzna w sile wieku. Stał w smudze padającego z zewnątrz światła i pokój ogarnęła złowieszcza ciemność. Wydał się Helenie cyklopem, który miał ją zaraz ugodzić wykutym przez siebie piorunem. Przypomniała sobie, jak zabierał ją do swojego gabinetu, gdy jego zdaniem zachowała się niewłaściwie. Sadzał ją w fotelu, stawał nad nią niczym drapieżca, mrużył oczy i milczał. Świdrował ją spojrzeniem, a ona nie mogła spuścić wzroku, bo to tylko wzmagало jego gniew. Czasami nie zmieniał tej pozy przez dobry kwadrans, który ciągnął się w nieskończoność. Helena nigdy nie mogła się zdecydować, czy woli to bezsłowne karanie, czy wielogodzinne wykłady wygłaszane kategorycznym, nieznoszącym sprzeciwu głosem. Raz na jakiś czas ojciec wyciągał ze spodni pasek. Uderzał nim tylko raz. Ale za to mocno, żeby popamiętała na długo. Pręga na poślaskach utrzymywała się co najmniej przez dwa tygodnie.

Matka Heleny była cichą, usłużną kobietą, całkowicie zdominowaną przez męża adwokata. Choć poznali się na studiach, zajmowała się domem, nigdy nie podjąwszy żadnej pracy. Ojciec miał w tej kwestii jednoznaczne przekonania – kobieta powinna pracować, gotować, sprzątać i rodzić dzieci. Barbara Deskur, z domu Krzyżewska, była w stanie dać mężowi tylko jednego potomka, w dodatku niezadowolającej go płci, co było źródłem jej nieustannego poczucia winy. Ryszard też nigdy nie dał jej o tym zapomnieć, w każdej kłótni nazywając ją jałowym darmożjadem. Helena także przez całe swoje życie czuła, że zawiodła ojca, który niczego nie pragnął bardziej niż przedłużenia ciągłości swojego szanowanego rodu.

– Nie zgadzam się! – ryknął, znów wchodząc w cień i odsłaniając smużkę jasności. – Nie zgadzam się na żaden rozwód! Słyszysz?!

Helena coś tknęło. Jakieś wspomnienie, które wstydliwie tliło się w jej głowie przez wszystkie te lata. Podniosła głowę i spojrzała na ojca z niesmakiem.

– Już kiedyś usłyszałam twoje „nie zgadzam się”, tato. – Położyła silny akcent na ostatnie słowo, które zabrzmiało wręcz obelżywie.

To było dokładnie siedemnaście lat temu. Co by się stało, gdyby tamte słowa nie padły? Jak potoczyłoby się jej życie, gdyby wybrała inaczej?

Tadeusz tego dnia przyszedł na kolację. Wręczył jej mamie bukiet róż, a Helenie bukiet konwalii. Uścisnął rękę Ryszardowi, który zmierzył go od góry do dołu krytycznym spojrzeniem, oceniając jego tani garnitur. Usiedli do stołu. Ojciec był poważny i pełen dystansu. Matka uprzejmie się uśmiechała. Sztućce głośno brzęczały, zagłuszając kłopotliwą ciszę. Zestresowana Helena w końcu wypaliła:

– Tadeusz będzie patologiem sądowym. Będzie leczył dusze bliskich zmarłego, dowiadując się, co było przyczyną śmierci. To fascynujące. Zresztą niech Tadeusz sam opowie. On... tak fantastycznie o tym opowiada. O tej misji. I tak dalej. To znaczy... ech. Tadeusz studiuje medycynę! – ostatnie zdanie niemal wykrzyczała.

Matko, ależ była zestresowana. Niemal nie oddychała. Tak bardzo jej zależało, żeby ojciec go polubił.

Ojciec odłożył nóż i widelec. Otarł kąciki ust serwetką i chrząknął.

– A więc zamierza pan być lekarzem medycyny sądowej, czy tak, młody człowieku? – zwrócił się do Tadeusza, bacznie mu się przyglądając.

– Tak, proszę pana – odparł grzecznie Tadeusz. – Jestem na drugim roku medycyny. Potem kursy specjalizacyjne i staże kierunkowe, no i na końcu PES, to znaczy państwowy egzamin specjalistyczny. Marzę, żeby pracować w zakładzie medycyny sądowej.

– Ummm – mruknął ojciec. – Czyli zacznie pan zarabiać za... hmm... no właśnie?

Tadeusz się zmieszał i nerwowo poprawił na krześle.

– Tak, w istocie, jeszcze minie kilka lat, zanim...

– Czy może pan liczyć na pomoc ojca?

– Rodzice nie są zbyt zamożni. Ale są bardzo prawi i dobrzy. Z pewnością pomogą, ile tylko będą mogli... jednak ich możliwości są... hm, ograniczone.

– Rozumiem. A czy medyk sądowy to zawód, pana zdaniem, intratny?

– Nigdy się tym nie interesowałem. Powołanie jest według mnie ważniejsze niż korzyści, które można pozyskać z zawodu – odpowiedział twardo Tadeusz. – Nie rozumiem jednak, do czego pan zmierza.

Ojciec powoli odsunął krzesło. Wstał i podszedł do okna. Założył ręce za plecy, jak zawsze, gdy chciał okazać swoją wyższość, i wpatrzył się w ciemny las rysujący się za oknem. W tafli szkła odbijała się jego twarz. Helena wyraźnie dostrzegła jego zmrużone oczy i zaciśnięte usta. Poczula ucisk w żołądku.

– Przypuszczam, że przybył pan tu dzisiaj, by prosić o rękę mojej córki. – Ryszard powoli odwrócił się do gościa i spojrzał mu bacznie prosto w oczy. – Czy tak?

Tadeusz zdecydowanym ruchem wstał od stołu.

– Tak. Rzeczywiście. – Spojrzał przelotnie na Helenę, a ona zauważyła w jego oczach błysk

nadziei. – Chciałem prosić o zgodę na nasz ślub i o błogosławieństwo – powiedział dźwięcznie, a na jego usta wypłynął uśmiech.

Ojciec wyprostował się jak struna. Jego twarz była nieprzenikniona. Zupełnie bez wyrazu.

– Heleno, zapraszam cię do gabinetu – powiedział. – Pan wybacz.

Skinął obojętnie głową i wyszedł z jadalni. Helena w ciszy podążyła za nim.

To było siedemnaście lat temu. To wtedy zdała sobie sprawę z tego, że żyła w iluzji. Dowiedziała się, że nie może decydować o własnym życiu.

– Nie zgadzam się. Nie zgadzam się na żaden ślub. Słyszysz?

Wtedy jednak powiedział to spokojnie. Bez afektacji. Bez większych emocji. Wiedział, że córka mu się nie przeciwstawi.

Gdy się teraz nad tym zastanawiała, ojciec przez całe życie podejmował za nią decyzje, a ona nawet tego nie zauważała. Sekcja gimnastyki w sportowej szkole podstawowej, trzecie liceum ogólnokształcące, studia prawnicze.

– Nie możesz decydować za mnie. To moje życie – powiedziała cicho. – Ja naprawdę go kocham. A on kocha mnie. Przecież to nie dziewiętnasty wiek. Nie możesz za mnie decydować. – Helena zaczęła płakać.

Ojciec ściągnął usta, jakby zastanawiał się nad tym, co przed chwilą powiedziała. Następnie, tak jak poprzednio, stanął twarzą do okna i rzekł:

– Dobrze. Wybieraj sama. Ale jeśli zadecydujesz źle, chłopak nigdy nie zrobi kariery w sądownictwie. Ani jako patolog, ani jako psi ławnik. Rozumiesz? Już ja o to zadbam.

Łzy ciurkiem spływały Helenie po policzkach. Dojrzała w szybie jego twarz. Niewzruszoną, surową, martwą.

Dziś jego fizjonomia nie była już tak spokojna. Choć znajdował się w półmroku, córka widziała dziki grymas, który wykrzywił jego usta. W pokoju rozbrzmiewał jego ciężki oddech. Ojciec oddychał przez nos, jak rozjuszony byk. Helena słyszała, że na sali rozpraw też nie potrafił nad sobą panować tak doskonale jak za młodu. Coraz częściej docierały do niej słuchy, że stary adwokat podnosi głos, obraża podsądnych, wygłasza długie, pełne emocji tyrady, nie pozwalając sobie przerywać. Ojciec tracił uznanie środowiska i dobrze o tym wiedział. Nie dawał się jednak zbić z pantałyku. Niezbicie twierdził, że to inni nie mają racji i zachowują się nieprofesjonalnie. Nigdy by się nie przyznał, że to on mógł zrobić coś źle. Nie przyznałby się do tego, że nie jest idealny.

– Już kiedyś postawiłeś mi ultimatum, pamiętasz? – spytała Helena.

Robiła się coraz bardziej zła. Haniebne wspomnienie z przeszłości obudziło w niej ducha walki, którego zawsze w sobie tłumiała.

– Pamiętasz, tato? – powtórzyła pytanie. – To przez ciebie wybrałam życie z kimś, z kim nie chciałam go spędzić. To przez ciebie zrezygnowałam z miłości. Z prawdziwej, żywej miłości, której ty nie zdołałeś poznać przez całe życie. – Helena wstała z fotela i dumnie stanęła naprzeciwko ojca.

Jak wyglądałoby jej życie, gdyby dokonała innego wyboru?

– Już nigdy nie pozwolę, żebyś zadecydował za mnie. Możesz zabrać mi dom. Możesz zniszczyć moją karierę. Mam to gdzieś. Nie podporządkujesz mnie sobie.

Wyszła, energicznie roztrzając dwuskrzydłowe drzwi. Nie obejrzała się za siebie.

Tego dnia poczuła się taka silna. Chyba po raz pierwszy w całym swoim życiu. Sama zdecydowała o swojej historii. Bez żadnego nacisku z zewnątrz, bez niczyjej sugestii. Pani sędzia Helena Bogucka, która na co dzień podejmowała decyzje o czyimś losie, w końcu wzięła swój we własne ręce.

Po wyjściu od ojca wsiadła do auta, wybrała numer telefonu i swobodnie rzuciła: „przyjdź”. Ruszyła do centrum handlowego Klif i w salonie MaxMara kupiła straszliwie drogą seksowną czerwoną sukienkę, na którą normalnie by sobie nie pozwoliła. Następnie skierowała się w stronę morza. Zaparkowała przy Orłowskiej i poszła do restauracji Maxim. Nie była tu od lat. Ekskluzywny lokal w kształcie płaskiego prostokąta otwarto na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych – mniej więcej wtedy, gdy zaczęła się spotykać z Romanem. Night club szybko stał się kultowym miejscem odwiedzanym tłumnie przez obcokrajowców, marynarzy i trójmiejskich cinkciarzy, którzy wyrzucali w kierunku baru pliki dolarów. Pod Maxima zawsze podjeżdżały luksusowe limuzyny, z których wysiadały eleganckie kobiety w futrach. Przybywali biznesmeni, aktorzy, reżyserzy i piosenkarze. Helena była świadkiem tego, jak Violetta Villas pokładała się na Bohdanie Łazuce, a Bogusław Linda z Cezarym Pazurą wznosili wymyślne toasty. Właściciel Maxima, tak zwany Mecenas, przyjaźnił się z jej ojcem. Często bywał u nich w domu, prowadząc z Deskurem zacięte dysputy filozoficzno-prawne.

Ale to Roman, jej przyszły mąż, zabrał ją tam pierwszy. Pamiętała ten wieczór ze szczegółami. W domu rodziców gościł wówczas Anatol Bogucki, kolega ojca ze studiów. Podobnie jak Deskur był cenionym w środowisku adwokatem. Towarzyszył mu syn – przystojny brunet o ciemnych oczach, który miał czuwać nad tym, by głowa rodziny bezpiecznie wróciła do domu. Starsi mężczyźni raz po raz stukali się kieliszkami i wychylali je do dna. Pani Barbara donosiła zakąski – ogóreczki, wędlinki i drób w galarecie. Rozmowa w salonie stawała się coraz głośniejsza, rozbrzmiewając w całym domu. Helena siedziała w swoim pokoju i próbowała uczyć się do sesji. Od rozstania z Tadeuszem minęło kilka miesięcy. Miesiące pustki i łez, które ciągnęły się w nieskończoność.

– Helena! – usłyszała głos ojca, gdy przemykała do kuchni zrobić sobie herbatę. – Pozwól tu do nas!

Gdy weszła do dużego pokoju, ojciec zerwał się z fotela i przyskoczył do niej. Otoczył ramieniem jej głowę i dokonał prezentacji:

– A to moja piękna córka, Helena! Heleno, przywitaj się z gośćmi – zwrócił się do niej cukierkowym, nienaturalnym tonem. – Pan Anatol Bogucki, mój przyjaciel i druh. I jego syn Roman, wybitnie utalentowany i świetnie zapowiadający się adwokat.

Helena lekko dygnęła i próbowała się wyswobodzić z objęć ojca, lecz ten trzymał ją mocno, przyciskając ją do siebie zgrzanym ciałem.

– Roman, bierzesz moją córkę na przejażdżkę – zakomenderował, nie pytając młodych o zdanie. – Rozerwijcie się, co będziecie siedzieć ze starymi. Tylko wróć po Anatola, jak już będzie pora. – Pogroził palcem chłopakowi i pociągnął go w stronę Heleny.

Roman zachwiał się niepewnie. Spojrzał na mężczyzn, którzy już wrócili do rozmowy, i w końcu skierował wzrok na dziewczynę. Uśmiechnął się, wskazał na drzwi i rzekł kurtuazyjnie:

– Panie przodem.

Gdy znaleźli się na korytarzu, Helena przystanąła i bez uśmiechu powiedziała:

– Bardzo dziękuję, ale nie mam ochoty na żadną przejażdżkę.

– Przepraszam, że przeze mnie znalazłaś się w tak niekomfortowym położeniu – rzekł Roman. – Rozumiem twoją niechęć. Może jednak pozwoliłabyś się wyciągnąć na pół godzinki, zrobimy małą rundkę po okolicy i wrócimy. Tym sposobem oboje wyjdziemy z twarzą z tego ambarasu.

Helena przyjrzała się młodemu mężczyźnie. W jego sposobie mówienia było coś ciekawego. Jakaś anachroniczna nuta, która sprawiła, że dziewczyna poczuła do niego sympatię. Widziała, że Roman czuje się tak samo niezręcznie jak ona.

– Daj mi pięć minut – powiedziała i poszła na górę się przebrać.

To wtedy zabrał ją do Maxima.

Od tej pory minęło wiele lat. Teraz Helena przeszła obok drzewa, które rosnęło w jednej z sal restauracji, wystając koroną wysoko ponad dach, i usiadła w kameralnej łoży. Podszedł do niej kelner.

– Kuchnia jest jeszcze zamknięta – powiedział. – Otwieramy dopiero za godzinę.

Helena kojarzyła tego mężczyznę. Teraz miał tylko bardziej poszarzałą, zmęczoną twarz, a kosmyki jego włosów posiwiały.

– A dałoby radę napić się kawy? – Uśmiechnęła się do niego zrelaksowana. – Chciałam sobie tylko powspominać. – Pewna siebie puściła do mężczyzny oko.

Napięcie karku, które odczuwała od lat, zupełnie ustąpiło. Głowa zdawała się lekka. Była inną osobą.

– Już się robi – odparł kelner z uśmiechem. – Rozejrzył się i dodał: – To miejsce to już tylko wspomnienie. – Jego wzrok zatrzymał się na stojącej w rogu starej szafie grającej. Mecenas jako pierwszy sprowadził taki sprzęt do Polski. – Puścić dla pani coś specjalnego? – Wskazał brodą na urządzenie. – *U Maxima w Gdyni?* – zaśmiał się ironicznie.

Helena zastanowiła się i odrzekła:

– Może Annę Jantar?

Kelner schylił się do szafy grającej i zapytał:

– *Gdzie są dzisiaj tamci ludzie?* Może być?

Tak, mogło być. To właśnie ten utwór królował na dansingach, gdy to wszystko się zaczęło. Muzyka w lokalu rozbrzmiała, a Helena przeniosła się do roku 1979.

Roman uściskał rękę młodemu bramkarzowi z krzaczastymi brwiami, lśniąco ciemnymi włosami i szerokim uśmiechem. Helena jeszcze wówczas nie wiedziała, że ten mężczyzna stanie się w przyszłości mózgiem polskiej mafii samochodowej. Drzwi uchylono i głośna muzyka wydostała się na zewnątrz. W lokalu panował gwar. Goście siedzący przy stolikach przekrzykiwali się i wybuchali śmiechem. Ściskający się przy barze ludzie próbowali kupić drinki, które kosztowały wówczas tyle co przeciętna pensja. Na parkiecie w rytmie disco tańczyły pary. Roman wziął Helenę za rękę i przeprowadził przez tłum. Po drodze witał się z bywalcami, kiwając głową, ściskając dłonie, serdecznie się uśmiechając. Usiadł w rogu w łoży, która nagle zrobiła się nie wiedzieć czemu pusta. Roman skinął na barmana, który zaraz wniósł tacę z wódką i przekąskami, nalał złotawy płyn do kieliszków i zniknął.

– Zdrowie! Za znajomość. – Roman podniósł szkło, a gdy Helena powtórzyła jego ruch, delikatnie

stuknął swoim kieliszkiem w jej. – Ja tylko symbolicznie. – Uśmiechnął się i delikatnie zanurzył usta w alkoholu.

Ona również wzięła mały łyżeczek i w jej przełyku rozlała się pałaca gorycz. Muzyka tętniła w głowie. Helena wodziła wzrokiem po twarzach w tłumie. Kobiety wyglądały jak z zachodnich żurnali. Mężczyźni z daleka pachnieli pieniędzmi. Nigdy wcześniej nie była w takim towarzystwie. Podekscytowana sączyła trunki i po jakimś czasie poczuła się całkiem swobodnie. Roman zabawiał ją rozmową. Dyskretnie wskazywał na barwne postaci i opowiadał o nich pikantne historyjki.

– Ten w czerwonej muszce to znany gdański bursztynnik. Szanowana głowa rodziny, ale gustuje w młodych aktorach. Ta blondynka z odważnym dekoltem to Miss Sopot. Spotyka się tylko z tymi, których stać na brylanty. Tamten to poeta bez grosza przy duszy, ale nigdy nie wychodzi stąd trzeźwy. A tam diwa operowa, prezes spółdzielni ogrodniczej, piosenkarz, aktor, dystrybutor prezerwatyw – wyliczał. – A ten niski kudłaty to wybitny reżyser, Polański. – Zniżył głos. – Oskarżony o gwałt na nieletniej w domu Jacka Nicholsona.

Helena z zainteresowaniem się wszystkim przyglądała. Wypytywała. Co chwila wybuchała śmiechem. Alkohol powoli krążył w żyłach, odprężając ją. Po pewnym czasie Roman porwał ją do tańca, a ona wirowała wśród tych wszystkich niezwykłych ludzi, sama też czując się niezwykłą. W końcu odwiózł ją pod dom. W oknach nie paliło się już światło. Było cicho i ciemno. Roman odprowadził ją pod furtkę.

– Dziękuję – powiedziała. – Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak świetnie się bawiłam.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł szarmancko Bogucki i spojrzał jej głęboko w oczy.

Helena spuściła wzrok i cicho rzuciła:

– Dobranoc.

Jednak on zdążył złapać ją za rękę i przyciągnąć do siebie. Poddała się jego pocałunkowi. Oszołomiona i uległa.

Muzyka ucichła, a wspomnienie odpłynęło. Znów zagubiło się w czasie, który przeminął tak szybko i nieubłaganie. Ich córka była niemal pełnoletnia, a ona w końcu znalazła w sobie siłę, by odejść. Uśmiechnęła się do siebie. Tak, podjęła decyzję. Nie było odwrotu.

Zostawiła na stoliku banknot pokrywający cenę kawy i suty napiwek. Wyszła z lokalu i skierowała się na molo. Zmierzchało. Szarość niepostrzeżenie obejmowała wszystko wokół, wyzwalając światło latarni. Powoli zbliżała się zima. Wyraźnie wyczuwało się ją w powietrzu. Zapach dymu z kominów wiązał się z nadmorskim mrozem w tę niezwykłą woń, która zawsze przywodziła Helenie na myśl dzieciństwo, długie wieczory spędzane na dworze z kolegami i koleżankami z podwórka, zabawę w chowanego po klatkach okolicznych kamienic. Szła przed siebie. Wiatr owiewał jej twarz. Fale odbijały się z szumem od drewnianej konstrukcji wchodzącego daleko w głąb morza pomostu. Doszła na sam koniec i oparła się o barierkę. Do spotkania miała jeszcze trochę czasu. Spojrzała na niespokojne morze, nad którym krążyły już ledwie widoczne mewy. Nieopodal na słupku przysiadła rybitwa z czarnym czubkiem łebka. Wlepiła w nią spojrzenie osadzonych w dużej głowie oczu.

– Wiem, wiem – Helena zwróciła się do niej konspiracyjnym szeptem. – To ważna decyzja. Tak, przemyślałam to. Tak, dokładnie. Myślałam o tym niemal od siedemnastu lat.

Ptak pokiwał zagiętym dziobem, poruszył długim, rozwidlonym ogonem i zerwał się do lotu.

Helena odprowadziła go wzrokiem, zerknęła na zegarek. Dochodziła osiemnasta trzydzieści.

„Już czas – pomyślała. – Już najwyższy czas zmienić swoje życie”.

Ostatni odcinek trasy przemierzyła niemal biegiem. Była tak podekscytowana, że nie czuła mroźnego powietrza dostającego się do płuc. Wsiadła do auta i w siedem minut dotarła do hotelu Maryla. Odebrała klucz do pokoju, który poza szczytem urlopowym niemal zawsze od dwóch lat czekał na nich wolny. Szybko przebrała się w nową sukienkę, poprawiła włosy i podmalowała usta pomadką. Dziś się sobie podobała. W swoich oczach dostrzegła iskierki, których dawno tam nie odnajdywała. Usiadła na łóżku i wpatrzyła się w drzwi. Czuła się jak mała dziewczynka, która nie może się doczekać otrzymania prezentu lub zdradzenia najgłębszej tajemnicy. Nie mogła się zdecydować, który z tych stanów jest bliższy temu, co czuła. Miała wrażenie, że zaraz wybuchnie w niej wulkan, który drzemał spokojnie przez lata i raptem się obudził.

Niecierpliwie spojrzała na zegarek. Pięć po siódmej. Tadeusz nie miał zwyczaju się spóźniać. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że chyba nigdy nie była w tym pokoju przed nim. Ani razu nie była tu sama. Zawsze wyczekiwał na nią przy oknie, a gdy wchodziła, odwracał się do drzwi i promiennie uśmiechał. Poczowała się nieswojo.

„A co, jeśli nie przyjdzie?” – przemknęło jej przez głowę.

Nie powinna tak myśleć. Przecież zawsze przychodził. Bez względu na to, jak była podła i nieczuła, niezależnie od jej zmiennych nastrojów i wątpliwości.

Ponownie zerknęła na zegarek. Piętnaście po. Wstała i podeszła do okna. Wyrzała za kotarę, ale na podjeździe nie dostrzegła żadnego samochodu. Znów usiadła na łóżku. Jej serce biło szybko i głośno. W głowie poczuła ciśnienie, które zacisnęło się na jej mózgu jak ciasna obręcz.

Wpół do ósmej. W oczach Heleny zakręciły się łzy. Podniosła twarz do sufitu i nie pozwoliła im spłynąć.

Nie, nie będzie płakać. Sama jest temu winna. Przecież ostatnio oznajmiła, że to jest koniec. Tym razem wziął to na poważnie. Tym razem wyznaczyła granicę, której nie można było cofnąć.

Przeszła do łazienki, zdjęła sukienkę i z powrotem przebrała się w dżinsy i tunikę, które miała wcześniej na sobie. Szpilki zmieniła na botki. Otuliła się grubym beżowym płaszczem. Po raz ostatni spojrzała na pusty, głuchy pokój, w którym pozostawili tyle głośnych westchnień.

Cicho zamknęła za sobą drzwi.

11

Monika Bogucka postawiła tacę na stoliku w rogu, zdjęła czarną puchową kurtkę i usiadła. Na głowie zostawiła czapkę z daszkiem z naszywką „Brygada Kryzys” – jej znak rozpoznawczy. Siorbnęła przez słomkę coca-colę z ogromnego kubka i odpakowała cheeseburgera. Rozejrzała się. Grupki młodzieży, rodziny z dziećmi, pary, samotnicy. Lepiej i gorzej ubrani. Wszyscy, którzy mogli sobie pozwolić na zakup zestawu Big Mac za trzydzieści jeden tysięcy złotych. W sumie cały przekrój społeczny. Idealne miejsce, by nie zwracać na siebie uwagi.

Pierwszy McDonald’s w Gdańsku otwarto na dworcu głównym PKP trzy lata wcześniej. Restauracja pobiła wówczas światowy rekord transakcji jednego dnia. Obecny był przy tym ksiądz prałat Henryk Jankowski, który poświęcił obiekt. Dla wielu osób zasady, którymi kierowała się sieć fast foodów, były wręcz szokujące. Obsługa musiała chować stojaki z darmowymi serwetkami, bo

klienci masowo wynosili je do domu. Mieszkańcy Trójmiasta nie mogli się nadziwić, że w Polsce coś można dostać bezpłatnie, więc rzucali się na wszystkie gratisy, które oferował lokal. McDonald we Wrzeszczu, w którym siedziała Monika, otwarto rok później. Stał się swoistym symbolem przeobrażeń kulturowych terenu, na którym w 1992 roku w miejscu zajezdni autobusowej wybudowano Centrum Handlowe „Sukces”. Od tej pory budynek McDonalda, w którym wcześniej funkcjonował komisariat Milicji Obywatelskiej, a potem salon gier, stał się punktem spotkań młodych ludzi, wielopokoleniowych rodzin, biznesmenów, cwaniaczków robiących lewe interesy, członków mafii. Każdy wiedział, że to właśnie tu, zupełnie anonimowo i bez budzenia podejrzeń, można przekazać sobie ważne informacje, dokumenty, a nawet narkotyki.

To tutaj Monika umawiała się z odbiorcami. Gdzieś kiedyś usłyszała, że McDonaldu to najlepsze lokale do robienia ciemnych interesów. Wtedy wydało jej się to komiczne. Teraz jednak była zadziwiona genialnością i prostotą tego pomysłu. *Eat and out. Deal and out.*

W tym momencie naprzeciwko niej usiadł mężczyzna w szarym garniturze. W średnim wieku, szpakowaty, zadbany. Postawił tacę z shakiem na jej stoliku i trzema kęsami pochłonął hamburgera. Zerknął w okno, po czym spojrzął na Monikę. Spokojnie przejął pod stołem białą teczkę A4, a następnie przekazał jej pieniądze. Wstał. Odstawił tacę na kontuar. Zabrał kubek z shakiem i wyszedł z restauracji. *Eat and out. Deal and out.*

Monika weszła w nowy interes miesiąc temu. Zawiniątka z białym proszkiem ograniczała tylko do Cockneya. Wydawało jej się zbyt ryzykowne rozszerzać rynek poza pub, choć Waldemar kilka razy o tym wspominał. W jej głowie od razu odzywał się wzburzony głos Maria: „Zostałaś teraz dealerką?! Pogieło cię zupełnie?”. Nie, nie chciała być dealerką i właściwie już kombinowała, jak się z tego dyskretnie wycofać. Kasa za ten gówniany proszek była w sumie żadna, więc ustukanie z tego jakiegoś przyzwoitego zarobku trwałoby strasznie długo. Nie mówiąc też o skali ryzyka. Sprawdziła przewidywaną karę za handel narkotykami w jednym z kodeksów mamy stojących na półce w salonie. Choć samo posiadanie narkotyków nie było karalne, osiągnięcie korzyści majątkowych z udzielania innej osobie środka psychotropowego zagrożone było karą pozbawienia wolności od roku do dziesięciu lat. Gra niewarta świeczki. Jedynym plusem było poważanie wśród klientów. Szanowali ją. Witali się z nią, jakby była kimś ważnym.

To, czym zajmowała się teraz, to była zupełnie inna bajka. Nie do wykrycia, nie do namierzenia.

Wata zaczepił ją któregoś dnia i zawarli układ. W zupełnej tajemnicy. Nie wiedział o tym nawet Waldemar. Ale przecież nie musiała mu się spowiadać. Mogła mieć tylko swoje sprawy i nic mu do tego. Teraz żałowała, że na początku tyle mu o sobie powiedziała. O tym, gdzie mieszka, o dziadku Ryszardzie, o mamie sędzi i ojcu adwokacie. Uznała, że była nierozsądna. Nie myślała. Ale teraz już się pilnowała. Miała świadomość, że kiedyś wszystko może zostać wykorzystane przeciwko niej.

Umawiała się z Watą na spotkania w przelocie. On zamawiał piwo albo przechodził obok niej w drodze do toalety i rzucał na przykład: „Środa, osiemnasta”. Gdy termin jej nie pasował, wypowiadała w przestrzeń hasło: „Czerwone. Dwudziesta”. Wtedy on przytakiwał, mówiąc: „Zielone”. I odchodził.

Cały ten proceder był dość karkołomny. Waldemar rzadko spuszczał ją z oczu. Czują jego spojrzenie na sobie, nawet gdy głośno rozprawiał o czymś z kumplami.

Zrobiło się wygodniej, kiedy sprezentował jej telefon komórkowy – najnowszy model, Nokia

1610, z możliwością wysyłania esemesów. Wysyłanie wiadomości tekstowych, które po chwili docierały do odległego odbiorcy, było dla Moniki niemal objawieniem. Możliwość takiej szybkiej komunikacji była zachwycająca. I niezwykle praktyczna. Zarówno w kontakcie z Waldemarem, jak i z Watą.

Plan Waty był przemyślany. Wykluczał przypadek. Zachowywali najwyższy poziom konspiracji. Byli tak ostrożni, jak tylko się dało. Choć Wata z tymi swoimi postawionymi na żel i farbowanymi na blond włosami sprawiał wrażenie niezbyt rozgarniętego, to jednak interesy prowadził jak profesjonalista: szybko, sprawnie i po cichu. Monika nie wiedziała dokładnie, czy sam był mózgiem operacji, czy miał zwierzchnika. Niewątpliwie jednak współdziałał z nim cały sztab ludzi specjalizujących się w podrabianiu dokumentów.

Zawsze spotykali się w tym samym miejscu – na szóstym piętrze najdłuższego z falowców na gdańskim Przymorzu przy Obrońców Wybrzeża. Bryła bloku w kształcie fali ciągnąca się przez osiemset sześćdziesiąt metrów miała szesnaście klatek schodowych, łączących galerie mieszkań. Konstrukcja bloku pozwalała przejść przez galerie z jednej klatki do drugiej. Wata wchodził pierwszym wejściem od strony morza. Ona wchodziła ostatnim. Spotykali się mniej więcej w połowie drogi. Zazwyczaj mężczyzna czekał na nią zrośnięty ze ścianą w kącie przy drodze ewakuacyjnej. Przekazywał jej teczkę z papierami i bez słowa wracali tymi samymi trasami, którymi przed chwilą przyszli. Potem Monika przekazywała dokumenty wcześniej ustawionemu klientowi.

Tym oto sposobem zaopatrzyła pół Trójmiasta w dyplomy ukończenia szkół średnich i wyższych, lewe dowody tożsamości, książeczki wojskowe, a nawet podstemplowane książeczki mieszkaniowe. Rzadko teraz pozwalała sobie zaglądać do teczek. To, co mogła tam znaleźć, trochę ją przerażało. Kilka razy natknęła się na nazwiska znanych sportowców, biznesmenów, a nawet prokuratorów. Po pewnym czasie już po dotyku potrafiła wyczuć, jaki typ dokumentu jest w obiegu.

Uwielbiała tę fuchę. Przemierzając po kryjomu piętra falowca z teczką pod pachą, przekazując ją potem klientowi i odbierając od niego pieniądze, czuła się jak tajna agentka. Postać z filmu, która z każdej opresji, nawet najbardziej niebezpiecznej, wychodzi cało. Miała dziwne poczucie misji, jakby robiła coś ważnego – dla innych i dla siebie. Gdy patrzyła w lustro, jej oczy iskrzyły jeszcze bardziej niż zwykle. Tajna agentka Monika Bogucka.

– Nazywam się Bogucka. Monika Bogucka – powtarzała, trzymając w ręku niewidzialne martini z wódką.

Pudełeczko z pozytywką wypełniało się banknotami, a ona wiedziała, że jest coraz bliżej celu.

12

Mario nie znosił Wszystkich Świętych. Tego tłumy na cmentarzu, ludzi uwijających się jak w ukropie, żeby oporządzić zaniedbane na co dzień groby, księży odprawiających wielogodzinne modły, mrozu, który szczypał w policzki i palce. Matka leżała na sopockim cmentarzu katolickim. Sam w sobie cmentarz nie był zły. Położony na wzgórzu, u podnóża którego zachowała się trójłukowa brama i kaplica projektu autora ratusza oraz Łazienek Północnych i Południowych. Zadrzewiony. Kameralny. Wręcz przytulny. Mario lubił patrzeć, jak starsi ludzie wdrapują się zdeterminowani pod górę, by odwiedzić swoich bliskich, jak ślizgają się na błotnistych tarasach

miejskami tylko brukowanymi. Ale nie dzisiaj. Dziś był tu z musu. Jak co roku, od sześciu lat.

Ojciec zgarniał ostatnie liście, przesuwając wieniec – o centymetr w lewo, o centymetr w prawo, wybierając najlepsze ułożenie, jakby miało to coś dać zmarłej matce. Jednorazową chusteczką przejechał zdjęcie na nagrobku, ocierając twarz żony z kropel deszczu i przygnanego wiatrem błota. Mario zerknął na wizerunek matki. Nie pamiętał jej takiej – pulchnej, rumianej blondynki z niebieskimi roześmianymi oczami. Zawsze wydawało mu się, że ze zdjęcia patrzy ktoś zupełnie mu obcy, jakaś postać, z którą nigdy się nie zetknął. Gdy wspominał matkę, w głowie pojawiał się obraz kobiety zręcznej, ciekawskiej, wszystkim wokół narzucającej swoją wolę. Lustrującej ludzi i przedmioty spod przymróżonych powiek. Gdy zdarzyło mu się zaprosić kolegów na urodziny, weszła na antresolę, na której znajdował się jego pokój, wysunęła głowę ponad schody i zapytała podniesionym, skrzeczącym głosem: „Maniek! Manieek! Koledzy nie wiedzą, o której się wychodzi?!”. Potem wszyscy w szkole opowiadali sobie tę historię i się z niego wyśmiewali. Matka zawsze potrafiła narobić mu wstydu. Gdy inni chłopcy na balach szkolnych występowali jako kowboje, Indianie, strażacy albo Zorro, on przychodził w stroju Misia Uszatka albo Krecika. Gdy chłopcy spędzali czas wolny na boisku, on grał w osiedlowym teatrzyku, występując w roli Małpy albo Śnieżynki. Kiedyś stwierdzono, że nie nadaje się do żadnej roli, więc musiał siedzieć za zasłoną i robić za chór. Albo gdy w pobliżu ich domu otwarto pierwszy sklep dyskontowy. Matka kupiła piętnaście kilo cebuli i przewiozła ją do domu wózkiem sklepowym. Zadzwoiła domofonem i kazała Mariuszowi zejść na dół i odprowadzić wózek do sklepu. Oponował, ale w końcu nie miał wyjścia i musiał odstawić kosz na parking przy dyskoncie. Prowadził go ulicami i jak na złość po drodze spotkał chyba wszystkich znajomych. Tym razem w szkole przez dłuższy czas wołano na niego „wózkowy”.

Mario po raz kolejny spojrzał na zdjęcie uśmiechniętej, sympatycznej blondynki. Czy ojciec taką ją poznał? Co w sobie miała, że chciał z nią spędzić całe życie?

– Módlcie się! – zawył ksiądz z trzeszczącego głośnika, a ludzie dokonujący ostatnich korekt w ustawieniu chryzantem i zniczów na płytach nagrobnych raptownie stanęli na baczność.

Mroźny listopadowy wiatr dmuchnął z całą siłą w twarz Maria. Chłopak zaklął w myślach i nastawił się na trzygodzinną mękę.

13

– Byłem wczoraj na imprezie. Nagle wszyscy się rozbierają, gaszą światło i zaczynają uprawiać seks. Słyszę wokół jęki. Wstaję, zapalam światło i mówię poruszony: „Zaraz, zaraz! Tak nie może być! Musimy ustalić jakieś zasady, bo ja już dwa razy byłem brany od tyłu!”.

Choć opowiadający lekko się jękał, wszyscy wybuchli śmiechem. Gruby mężczyzna w marynarce w pepitkę trząsał się bezgłośnie, uderzając ręką o kolano. Inny, równie rozrośnięty, zrobił się cały czerwony i zaczął się krztusić. Reszta śmiała się tubalnie, szeroko rozdziawiając usta. Muskularny i opalony, ten, który stał przy opowiadającym, poklepał go z uznaniem po plecach:

– Kazar, ty to umiesz opowiadać, bracie! Normalnie się poryczałem! – Otarł mokre oczy i ponownie wydał z siebie dźwięk zarzynanego prosiaka.

Kazar trzymał w dłoni szklaneczkę whisky. Powoli zakręcił rdzawym płynem, obmywając szkło,

po którym spłynęły złote smugi. Wodził po zgromadzonych wokół niego mężczyznach ciemnymi, głęboko osadzonymi oczami, lekko się uśmiechając. Tylko odrobinę podnosił kąciuki ust. Trudno było wyczytać z jego twarzy prawdziwe emocje. Wtedy jego wzrok zatrzymał się na niej. Monika spuściła głowę, zdając sobie sprawę, że cały czas otwarcie mu się przyglądała. Jej twarz oblał rumieniec. Siedziała po drugiej stronie pokoju, ale wiedziała, że to dostrzegł. Zauważył jej zawstydzenie. Była przekonana, że również wyczuł jej niepokój.

„Co on tu robi? – przemknęło jej przez głowę. – Czemu Waldemar go zaprosił?”.

Przypomniała sobie wieczór, w którym poznała Kazara. Waldemar zabrał ją do Cristalu – nocnego klubu we Wrzeszczu, który od kilku lat był miejscem spotkań biznesmenów i polityków, słynąc ze śledzia à la Wałęsa lub à la Kwaśniewski oraz deseru księdza prałata Jankowskiego, z podpisanymi przez nich certyfikatami. Bawili się w najlepsze, gdy w restauracji pojawił się on – facet z krótko ostrzyżonymi włosami, o ciemnych, przenikliwych oczach. Otaczali go inni mężczyźni, torując mu drogę, jakby był co najmniej kimś z rodziny królewskiej. Cały Cristal na sekundę wstrzymał oddech, by za chwilę znów rzucić się w wir zabawy. Kazar bacznie rozglądał się po klubie i wtedy jego wzrok padł na nią. Nie wiedziała, kim on jest, ale poczuła się nieswojo, gdy jego spojrzenie taksowało ją natrętnie, zbyt długo jak na przypadkowy rzut oka. Skierował się w jej stronę i po chwili był przy jej stoliku. Waldemar wstał szybko, niemal przewracając krzesło. Ukłonił się czerwony i zaczął mówić coś nieskładnie. Ale tamten nie patrzył na niego. Nie odrywał wzroku od twarzy Moniki. Wydawał się zahipnotyzowany. Bezceremonialnie przysiadł obok niej, przesuwając ją na sofie naporem swojego ciała. Podniósł rękę i wskazał palcem na stolik, dając znak kelnerowi, że ma podać drinki. Nieopodal przystanęła jego gwardia, czuwając na posterunku. Nieznajomy ujął dłoń Moniki, jeszcze przez chwilę patrzył, a następnie wyciągnął dziewczynę zza stolika i okręcił wokół jej osi. Monika zawirowała niepewnie, nie bardzo wiedząc, co się dzieje. Pytająco spojrzała na Waldemara, lecz ten siedział niewzruszony. Jego mina nie wyrażała nic – ani zdziwienia, ani zazdrości, ani zdenerwowania. Była zupełnie bez wyrazu. Tymczasem Kazar pokiwał głową z uznaniem i zdecydował:

– Ona będzie moją żoną. – Odwrócił się do swoich towarzyszy i powtórzył donośniej: – Nie no, ona będzie moją żoną! Ona będzie moja!

Rozległy się śmiechy, gwizdy i oklaski. Monika oniemiała. Nie wiedziała, czy też ma się śmiać, czy ma się czegoś obawiać. Ta absurdalna scena trochę ją nawet bawiła.

Mężczyzna spoważniał. Przesunął wzrok na Waldemara, jakby ten dopiero się tam pojawił. Kiwnął na niego głową, dając mu znak, że ma iść za nim. Waldek wstał bez słowa, szepnął tylko Monice, że zaraz wróci, i obaj zniknęli w tłumie. Wtedy wszystko potoczyło się błyskawicznie. Tuż przed nią wyrósł Pazałsta, ukraiński drab, który zawsze okazywał jej niechęć. Chwytał ją za rękę i poprowadził przez tłum do łazienki. Wskazał boczne okno i polecił:

– Wtekty, diwczynu! Szwydko!

Monika spojrzała na niego zdezorientowana.

– Uciekaj, mówię – powtórzył Pazałsta zniecierpliwiony. – I to już!

Spojrzała na niego hardo. Zaczynała być wkurzona.

– Co tu się, do jasnej cholery, dzieje! Kto to był? Po kiego grzyba mam uciekać?!

Pazałsta po raz pierwszy spojrzał na Monikę łagodnie. Teraz wydał się zmęczony, jakby zabrakło

mu sił, by utrzymać mimikę we wrogim grymasie.

– To Kazar. Trójmiejski gangster. Niebezpieczny. Nieobliczalny. Moim zdaniem też nienormalny. Jak sobie kogoś upatrzy, to koniec. Jego ostatnia „żona” – Paźalsta narysował w powietrzu cudzysłów – nagle zniknęła i słuch po niej zaginął. Już wiesz, o co mi chodzi?

Monika kiwnęła głową. Otworzyła okno i wysunęła nogę na zewnątrz.

– Waldek? – spytała.

– Przekażę mu.

Od tego wieczoru minęły dwa tygodnie. Właściwie całkiem o tym zapomniała. Waldek też nie wrócił do tematu, nie zapytał, gdzie zniknęła. A teraz Kazar nagle pojawił się na imprezie u niego, co nigdy dotąd się nie zdarzyło. Czy kojarzył ją z tamtego wieczora?

Monika wstała z fotela i poszła do kuchni. Tu było ciszej, mogła spokojnie pozbierać myśli. Oparła rękę o blat i spuściła głowę, nabierając głęboko powietrza. Usłyszała, że ktoś wszedł za nią. Paźalsta stanął pod ścianą ze złożonymi rękoma. Popatrzyła na niego bez słów. Miał poważną minę. Nie wroga ani złośliwą. Raczej surową i smutną. Chwilę tak stał, podniósł brwi, opuścił. Westchnął.

– Chyba już nie uciekniesz – stwierdził w końcu i wyszedł.

Nic nowego. Wiedziała, że nie ma dokąd uciec, gdy tylko Kazar przekroczył próg mieszkania.

Leopold Bilski zaparkował pod beżowym blokiem, którego szczytową ścianę pokrywał kolorowy mural przedstawiający raketę kosmiczną. Wieńczący dzieło napis: „The future was here!”¹ w zaistniałej sytuacji wydał mu się okrutny, jakby los ironicznie zaśmiał mu się do ucha. Ta zmarła miała przecież swoje plany, swoje marzenia. Jej przyszłość była na wyciągnięcie ręki. A teraz dziewczyna leżała na stole w prosektorium, pozbawiona ust. I wszystkiego, co mogło ją jeszcze w życiu spotkać. Prokurator oddychał głęboko. To była pierwsza tak poważna sprawa w jego karierze. Wcześniej mierzył się z niefortunnymi wypadkami, awanturami, które kończyły się aktami agresji, raz prowadził sprawę kobiety, która zadźgała męża nożem w obronie własnej. Ale we wszystkich tych zdarzeniach śmierć można było wytłumaczyć: głupotą, strachem, skrajnym zdenerwowaniem czy działaniem w afekcie. Wycięcie ofierze ust nie miało dla prokuratora racjonalnego wytłumaczenia i Leopold był przekonany, że żadne śledztwo do niego nie doprowadzi. Pomysł pozbawienia kobiety ust był wytworem chorego umysłu, a Bilski niczego w życiu nie bał się tak jak psychopatów budujących w głowie maniackalny świat.

Ponownie zerknął na drwiący napis i skierował się do klatki B. Kaletowie mieszkali na ostatnim piętrze. Szybko wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie. Bardzo chciał mieć to spotkanie za sobą.

Drzwi otworzył wysoki, dość przystojny brunet. Gęste włosy miał ułożone niezwykle starannie, jakby właśnie wyszedł od fryzjera. Popatrzył na Bilskiego wzrokiem bez wyrazu.

– Prokurator Leopold Bilski. – Wyciągnął legitymację i przytrzymał ją na wysokości wzroku mężczyzny. – Chciałbym zadać państwu kilka pytań. Czy poinformowano państwa, że się zjawię?

– Mhm – mruknął amant i przesunął się do środka.

Bilski niepewnie przestąpił próg.

– Buty proszę zdjąć – warknął tamten, gdy prokurator już szedł w stronę pokoju. – Teściowa dopiero co zmyła podłogę – dodał łagodniej.

Leopold cofnął się, zbity z tropu. To chyba pierwszy przypadek w historii, że funkcjonariuszowi polecono zdjąć obuwie. No, ale zważywszy na okoliczności, zastosował się do upomnienia bez słowa.

W końcu znalazł się w dużym pokoju. Przy stole siedział łysawy mężczyzna. Jego twarz zlewała się z szarym swetrem opiętym na wystającym brzuchu w kształcie pokaźnej piłki. Na fotelu siedziała kobieta – nieco otyła, z ogorzałą twarzą i zapuchniętymi powiekami. Jej wzrok był nieobecny, cierpiący. Bilskiemu ze zdenerwowania żołądek podszedł do gardła.

– Prokurator Leopold Bilski – ponownie się przedstawił. – Przepraszam, że państwa nachodzę w tak ciężkich chwilach. Muszę jednak zadać kilka pytań. Z pewnością już państwo na nie odpowiadali, jednak chciałbym potwierdzić zeznania, co może mieć istotny wpływ na przebieg śledztwa.

Kobieta podniosła głowę i w końcu chyba dostrzegła prokuratora.

– Czy to ona? – spytała. – Policjanci mówili, że ona. Ale trudno uwierzyć...

Bilski przełknął ślinę.

– Na razie trudno to potwierdzić. Ciało znajduje się w... stanie ehm... utrudniającym identyfikację. Leżało dość długo w wodzie, a twarz... yhm... Wystąpiły dodatkowe okoliczności utrudniające potwierdzenie tożsamości. Pobraliśmy już próbki DNA, jednak musimy poczekać na wynik. Niestety, ubranie ofiary, buty, pierścionek na palcu serdecznym odpowiadają opisowi państwa zaginionej córki.

– Czyli może być ona, ale nie musi – westchnęła kobieta. – Teraz moda taka sama dla wszystkich. Czerwone kozaczki to pół miasta przecież nosi! A pierścionki zaręczynowe jak pierścionki. Świecące oczko, i tyle. To wcale nie musi być ona.

– Tak, oczywiście, pani Mario. Pewność będziemy mieli dopiero po odebraniu wyników testów DNA. Tymczasem chciałbym zadać państwu kilka pytań dotyczących okoliczności zaginięcia córki.

Kobieta wpatrzyła się w okno zamyślona. Starszy mężczyzna siedział nieporuszony, tępo wpatrując się w blat stołu. Prokurator zerknął do notatek, które dostał od policjantów zbierających wstępne dowody.

– Ostatni raz widzieli państwo córkę w piątek, trzynastego marca. Córka szykowała się na nocne wyjście z koleżankami do Sopotu i opuściła mieszkanie około dwudziestej pierwszej, czy tak?

Matka lekko pokiwała głową, nie podnosząc wzroku.

– Pani Martyna umówiła się z trzema przyjaciółkami: Katarzyną Werańczuk, Malwiną Upstrzycką i Sylwią Mazurek. Przypominają sobie może państwo, czy miał jej towarzyszyć ktoś jeszcze?

– Nie – cicho odparła matka. – Zawsze wychodziła z Kasią, Malwiną i Sylwią. To była jej stała paczka. Od dzieciństwa niemal...

– O której Martyna zazwyczaj wracała z tego typu, hm, wyjść?

– W domu była zawsze najpóźniej koło drugiej, może trzeciej. Na dziesiątą w sobotę chodziła do pracy. W jubilerze w Tesco pracuje. Więc z domu wychodziła koło dziewiątej. Jak wstałam, to myślałam, że już wyszła. Nawet nie wiedziałam, że nie wróciła do domu. Boże, przecież matka zawsze powinna wiedzieć takie rzeczy! Jak ja mogłam nie wiedzieć, jak mogłam... – Pani Maria zaniósł się płaczem.

– Pani Mario, przepraszam, jeszcze tylko kilka pytań. W jakich klubach najczęściej bawiła się Martyna?

– Spatif, Sfinks, chyba Soko czy Soho, jakoś tak.

– A w jaki sposób córka wracała w nocy z Sopotu?

– Zawsze z dziewczynami brały na spółkę taksówkę. W Molo Taxi kartę miały, to jeszcze taniej było. Pilnowały się nawzajem... Tak zawsze myślałam...

– Czy Martyna miała jakichś wrogów, z kimś była pokłócona, ktoś jej groził? Czy kiedykolwiek słyszeli państwo, by była zaniepokojona jakąś sytuacją?

– Nie, Martynkę wszyscy bardzo lubią! To dobra osoba, nigdy nie miała wrogów! Czemu ktoś chciałby zrobić jej krzywdę? – rzucił nagle Zygmunt Kaleta i podniósł się, ze zgrzytem odsuwając krzesło.

Machnął ręką i wyszedł z pokoju.

Pani Maria rozszlochała się na dobre, przykładając zwiniętą zużytą chusteczkę do ust. Bilski natrafił na czujny wzrok młodego bruneta, więc zwrócił się tym razem do niego:

– Pan jest narzeczonym zaginionej, tak? Pan Adrian Jakubiak?

Mężczyzna przytaknął.

– Ostatni raz widział się pan z panią Martyną w dniu poprzedzającym jej zaginięcie, czy tak?

– Tak. Dzień wcześniej wyjechałem rano do Szamotuł na spotkanie z klientem. Nocowałem pod Poznaniem, w motelu Comet. Następnego dnia miałem kilka innych umówionych spotkań w Poznaniu, więc żeby nie jechać po nocy, spędziłem tam drugą noc.

– Zajmuje się pan sprzedażą aut, czy tak?

– Tak, pracuję u dealera Volkswagena. Mamy teraz sporo sezonowych promocji, jeśli by pan chciał... Yhh. No, tak jak mówiłem, byłem w Poznaniu i wróciłem dopiero koło południa w sobotę. Myślałem, że Martyna jest w pracy, więc dopiero wieczorem, gdy coś długo nie wracała, zaczęliśmy z teściową, to znaczy przyszłą teściową, trochę się niepokoić. Telefon nie odpowiadał. Teściowa zadzwoniła do tego sklepu jubilerskiego w Tesco, w którym Martyna pracowała, to znaczy pracuje, eee, tak jakby, no i tam powiedzieli, że w ogóle nie zjawiła się w pracy.

– A kiedy ostatni raz miał pan z nią kontakt? W trakcie pana nieobecności dzwoniliście do siebie, pisaliście?

– Napisałem do niej tylko esemesa, jak dotarłem do Szamotuł, że jestem na miejscu. Martyna zawsze prosi, żebym napisał, jak dojadę, żeby się nie denerwowała. Ona taka trochę przewrażliwiona jest, wie pan. Ciągłe się zamartwia, że coś złego może się po drodze zdarzyć. Jej brat – Jakubiak zniżył głos i spojrzał niepewnie na teściów – zginął w wypadku samochodowym. No więc taka trauma. W każdym razie Martyna odpisała „ok”. I od tej pory nie mieliśmy kontaktu.

– Przez całe dwa dni pana nieobecności nie dzwoniliście do siebie? Narzeczeni?

– E, no nie. Ja byłem ciągle na spotkaniach, w piątek to wiedziałem, że wieczorem wychodzi z koleżankami na imprezę do Spatifu, więc jakoś tak wyszło. Nie było kiedy.

Bilski zakreślił coś w notesie i zadał nieoczekiwane pytanie:

– Jak się pan czuje w związku z zaginięciem narzeczonej?

Jakubiak spojrzał na niego wściekły.

– A jak mam się, kurwa, czuć?! – krzyknął. – Chujowo się czuję, ot co!

– Nie chciałem pana urazić, panie Adrianie. Spokojnie. Po prostu muszę poznać wszystkie aspekty tej sprawy... Proszę się nie denerwować, ale muszę spytać: czy kłócił się pan z narzeczoną? Jak określiłby pan wasze relacje?

– Nasze relacje? Nasze relacje? Jak niby mam je określić? Dobre były! Kochaliśmy się! Pobrać się mieliśmy niedługo! A czy się kłóciliśmy? No jak wszystkie pary, jasna cholera! Martyna miała wybuchowy temperament, to nie szło się nie kłócić. Ale kochaliśmy się jak psy! – Mężczyzna mocno zaakcentował ostatni wyraz i uderzył pięścią w stół, który podskoczył z głuchym hukiem.

Pani Kaleta również podskoczyła i znów zaczęła płakać.

– Rozumiem, że pan wraz z zaginioną mieszka tutaj, u teściów?

– Tak. Ale to Martyna tak chciała! Ona strasznie rodzinna jest i nie chciała przed ślubem na swoje iść. Mieliśmy dopiero po ślubie... Po ślubie mieliśmy coś własnego znaleźć. – Głos mężczyzny zaczął drżeć, a Bilski pomyślał, że może źle ocenił Jakubiaka.

Uśmiechnął się pocieszająco, przygryzając usta. Tę minę Bilski wystudiował już dawno, wykorzystując ją wtedy, gdy w profesjonalnej sytuacji musiał wykazać się odrobiną empatii. Chyba zadziałała, bo Jakubiak spojrział na niego z wdzięcznością, trochę się uspokajając.

– Czy mógłbym zerknąć do państwa pokoju? Chciałbym lepiej zrozumieć osobowość pani Martyny. Może to coś podpowie...

Jakubiak wstał, poprowadził Bilskiego korytarzem i wskazał szklane drzwi w miedziane romby. Pokój okazał się średniej wielkości. Kanapa była rozłożona i nieposłana. Pościel zmierzwiona, a na niej rzucone bokserki. Poza tym wnętrze robiło wrażenie kobiecego. Przy oknie pyszniła się różowa toaletka. Na półkach stały porcelanowe figurki i inne bibeloty – kilka książek, sporo płyt CD, zdjęcia, ususzone kwiaty. Adrian sprawnym ruchem poprawił kołdrę i chwycił bokserki. Bilski podszedł do regału. Ze zdjęć uśmiechała się do niego młoda ciemnowłosa kobieta. Ładny uśmiech. Zielone oczy. Trochę śmieszny nos – nieco zadarty, z szeroko rozstawionymi dziurkami. Martyna była bez wątpienia atrakcyjną dziewczyną. Na kilku zdjęciach pozowała sama, na innych obejmowała się z trzema koleżankami, z którymi jak podejrzewał Bilski, spędziła feralną noc. Były też fotki Adriana. Wymuskanego bruneta, który pozował do zdjęć niewiele gorzej od dziewczyn. Patrzył prosto w obiektyw, usta układał w dzióbek, prężył klatę. Nawet gdy obejmował Martynę, doskonale wiedział, gdzie znajduje się oko kamery.

„Czy byłby w stanie zabić? – zastanawiał się Bilski, wpatrując się w jego twarz. – Czy byłby w stanie wyciąć ofierze usta, pozbawiając ją urody, odbierając jedną z oznak kobiecości, godności, człowieczeństwa?”.

Przeniósł wzrok na Jakubiaka, który stał oparty o framugę drzwi, wlepiając wzrok w zdjęcia, które przed chwilą oglądał prokurator.

– Czy to ona? Czy to jej ciało wyłowiliście? – zapytał cicho. – Czemu nie możemy jej zobaczyć?

– Ciało przeleżało sporo czasu w wodzie i... zostało dodatkowo okaleczone. Widok może być naprawdę drastyczny. Chyba lepiej poczekać na badania DNA. Zapewniam pana.

– Chcę ją zobaczyć. Proszę, pozwólcie mi ją zobaczyć! – krzyknął Adrian.

Bilski przyjrzał mu się uważnie, zastanawiając się, czy ta afektacja to gra, czy prawdziwa rozpacz.

– Dobrze, proszę ze mną. Pojedziemy na identyfikację ofiary.

2

Nagie ciało połyskiwało w świetle reflektorowych lamp. Dzięki blokadzie umiejscowionej pod plecami ofiary klatka piersiowa wystawała do góry, a ręce i szyja opadały do tyłu, by ułatwić dokonywanie cięć tułowia. Ciemne, posklejane włosy przerzucone nad głowę spływały z krawędzi stalowego stołu. Obok w plastikowych workach leżała dokładnie opisana odzież, z której medyk zdjął już liczne próbki do badania.

Tadeusz Dubiela został sam. Chwilę wcześniej prosektorium opuścili prokurator Bilski z narzeczonym ofiary. Adrian Jakubiak długo wpatrywał się w twarz martwej kobiety. Dopiero po jakiejś minucie pokiwał bezgłośnie głową i cicho stwierdził: „To ona”.

W swojej wieloletniej karierze lekarz medycyny sądowej spotykał się z najróżniejszymi reakcjami na śmierć najbliższych. Niektórzy wylili i rzucali się na martwe ciała, nie chcąc wypuścić ich z objęć.

Niektórzy zanosili się płaczem i nie mogli wykrztusić słowa. Niektórzy wymiotowali lub wybiegali na zewnątrz. Byli też tacy, którzy znosili ten widok zupełnie spokojnie. Zamierali. Tak jak mężczyzna przed chwilą.

Tadeusz Dubiela spojrział na twarz kobiety. Patrzył na zadarty nos, zielone tęczęwki otwartych oczu. Choć skóra była napęczniała, deformując rysy, był pewny, że ofiara za życia była atrakcyjna. Zatrzymał wzrok na ziejącej jamie wyciętych ust. Podszedł bliżej i pęsetą przesunął po granicy cięcia. Było wykonane w sposób precyzyjny. Skrupulatnie wycięte wargi, od łuku Kupidyna, przez kąciki ust do dolnej czerwieni wargowej. Odsunął mięsień, przyjrzał się dziąsłom, uzębieniu. Szczęki były mocno zaciśnięte, więc wyłamał żuchwę i obejrzał język. Pobrał spod niego jakieś ciało obce i wrzucił do specjalnej torebki. W jamie gębowej nie było uszkodzeń, żadnych ran, żadnych braków. Zniknęły tylko usta. Lekarz przymknął oczy. Doskonale pamiętał tamtą twarz sprzed siedemnastu lat. Tak samo zielone oczy, podobna, choć nieco inna krzywizna nosa. I brak warg odsłaniający dziąsła i lekko wystające zęby. Podobieństwo było uderzające. Choć wtedy usta wycięte były niedbale, zupełnie po amatorsku, nie tak profesjonalnie jak teraz. Jak to możliwe, że po siedemnastu latach powtórzyło się coś podobnego? Czy to naśladowca, czy po prostu osoba o podobnych skłonnościach? A może to ten sam sprawca, który po niemal dwóch dekadach poczuł nieodparte pragnienie, by powtórzyć ten sam makabryczny akt zbrodni, by znów poczuć skrajne emocje towarzyszące morderstwu i okaleczeniu? Przecież nigdy go nie złapali. Nigdy nie ujeli mordercy, który tak bardzo skrzywdził tyle osób...

Tadeusz wziął nożyczki i zaczął tuż przy skórze obcinać włosy kobiety, które zbadał już wcześniej. Następnie ogolił głowę i otworzył jamę czaszkową. Przeciął powłoki miękkie między małżowinami usznymi i okieżnie przepiłował kości sklepienia czaszki. Zbadał zatokę strzałkową, stwierdzając brak obecności skrzepów i krwi płynnej. Nie zdiagnozował żadnych uszkodzeń sugerujących uderzenie ciężkim narzędziem. Następnie wziął skalpel i sprawnym ruchem ciął powłoki ciała w linii środkowej do spojenia łonowego. Odseparował płaty skórno-mięśniowe, otworzył jamę otrzewnej, uważnie, by nie uszkodzić jelit i nie doprowadzić do wylania treści jelitowej do jamy brzusznej. Kontynuując cięcie w kierunku spojenia łonowego, przeciął mięśnie jamy brzusznej i dojrzał wnętrze jamy otrzewnej. Zanim otworzył klatkę piersiową, zbadał wysokość przepony, określił odległość między brzegami płuc i ich kształt, a następnie pobrał próbki płynu z jamy opłucnej. Potem po kolei wyjmował narządy, ważył je na wadze, oglądał i opisywał. Praca trwała wiele godzin. Powoli zbierał materiał, zapisując wszystkie dane i nanosząc uwagi. Zawsze pracował sam. Tylko tak potrafił się skupić; technikowi sekcyjnemu pozwalał wejść na salę na samym końcu, w zasadzie jedynie po to, by podpisał protokół. Nie spieszył się, metodycznie przechodząc kolejne etapy procedury. Na samym końcu przystąpił do badania narządów miednicy małej.

Gdy już wszystko zostało zrobione, wiedział, że nadszedł ten czas, w którym musi w końcu o niej pomyśleć. Musiał przemyśleć, w jaki sposób powiedzieć Helenie Boguckiej, zanim sędzia dowie się o tym z mediów.

3

Małżeństwo siedziało na sali, wpatrując się w nią wyczekująco. Helena Bogucka wzięła do ręki

wydruk i ogłosiła postanowienie o przysposobieniu pełnym. Kobieta i mężczyzna rzucili się sobie w ramiona, zanosząc się płaczem. Sędzia uśmiechnęła się do nich lekko, a w jej oczach ponownie pojawiły się łzy. Ci ludzie byli niesamowici. Przez dwa lata byli rodziną zastępczą dla czterolatki z zespołem FAS. Dziewczynka miała chore nerki, chore oczy. Pochodziła z rodziny alkoholików. Grabowscy pokochali ją jak swoją córkę i teraz stali się jej pełnoprawnymi rodzicami. To, jak opowiadali o procesie wzajemnego poznawania się, budowania więzi, narodzinach miłości... Wszyscy płakali. I oni, i protokolantka, i świadkowie, i sędzia Bogucka.

Helena jeszcze raz popatrzyła na tę kochającą się parę i poczuła ukłucie zazdrości. Mieli rodzinę, coś tworzyli, czuli się szczęśliwi. Pewnie to błogie uczucie niedługo minie. Wszystko wróci do normalności. Zacznie się życie, a wychowywanie dziecka z tak ciężką przeszłością na pewno nie będzie łatwe. Ale to nic. Liczyła się ta jedna chwila triumfu. Tu i teraz. Helena marzyła, by choć przez jeden dzień znaleźć się w ich skórze.

Kiedy ostatni raz czuła, że wszystko jest tak, jak należy? Że życie się do niej uśmiecha, że niesie dla niej coś specjalnego? Kiedy czuła zadowolenie, satysfakcję, spełnienie? Kiedy ostatni raz miała nadzieję? Nie mogła sobie przypomnieć. To było bardzo dawno temu. Tak dawno, że nie pamiętała nawet, kim wtedy była.

Grabowscy pokiwali Boguckiej na pożegnanie i opuścili pomieszczenie. Pani Janina, protokolantka, powiedziała jeszcze rozedrganym głosem:

– Ach, co za wspaniali ludzie! Takich to ze świecą...

I wyszła, lekko pochlipując.

Helena powoli zbierała akta i starała się pokrzepić myślą, że ona, sędzia Bogucka, przyczyniła się do tego dzisiejszego wzruszenia. W końcu to ona zbadła sprawę, wysłuchała świadków, przeanalizowała dokumenty MOPS-u i ostatecznie wydała pozytywną decyzję. To dzięki niej ta rodzina będzie dziś świętować, a mała dziewczynka zyskała mamę i tatę. Była w tym niemała zasługa Heleny. A jednak cień satysfakcji był ledwo dostrzegalny, unosił się gdzieś daleko, jakby poza granicami jej świadomości. Musiała się napić. Wiedziała, że kupi dziś butelkę wina i wieczorem osuszy ją do dna. Tylko wtedy miała szansę coś poczuć. Zazwyczaj były to emocje złe i dręczące, ale przynajmniej były. Przynajmniej przez chwilę nie czuła się pusta i wydrażona. Ta myśl dodała jej otuchy. Wino i ona. Nierozłączni przyjaciele.

Uzbroiła się w dystygowaną minę i opuściła salę.

Dostrzegła go, gdy zbliżała się do swojego pokoju. Stał tuż przy drzwiach i nerwowo wodził wzrokiem po kręcących się na korytarzu ludziach. Ich spojrzenia się spotkały. Helena wstrzymała oddech i na chwilę spuściła wzrok. Poczuła się tak, jakby straciła grunt pod nogami.

„Co on tu robi?” – przemknęło jej przez głowę.

Podniosła wzrok. Tadeusz patrzył na nią łagodnie, z bladym uśmiechem na ustach. Miała ochotę uciec, ale się przełamała. Nie mogła zawrócić.

W końcu stanęła tuż przed nim. Milczała. On też nic nie mówił, ale nie odrywał od niej oczu. Helena poczuła lekką tęsknotę, jednak szybko odrzuciła to uczucie i powiedziała oficjalnym tonem:

– Tadeusz. Co cię sprowadza?

Jego twarz odrobinę się napięła, ale po chwili wróciła do swojej miękkiej formy.

– Helena – odparł Dubiela cicho, wręcz niedosłyszalnie. – Czy moglibyśmy... moglibyśmy

porozmawiać? Chcę... Muszę ci coś powiedzieć. To ważne.

Spojrzała na niego czujnie. Co takiego chciał jej powiedzieć? Co nagle było tak bardzo ważne, po tylu latach, teraz... Przypomniała sobie ich ostatnie spotkanie i poczuła skurcz żołądka. Musiała się oprzeć o ścianę, bo świat niebezpiecznie zawirował.

– Dobrze się czujesz? Helena? – zapytał Tadeusz, dotykając jej ramienia.

Strzepnęła jego dłoń. Rzeczywistość powoli wracała do swoich kształtów. Bogucka wyprostowała się i rzuciła przez zęby:

– Nie mam ci nic do powiedzenia. I nie obchodzi mnie, co ty masz do powiedzenia mnie.

Energicznie chwyciła klamkę, weszła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi. Przywarła do nich plecami, desperacko łapiąc powietrze.

4

Za oknami budynku sopockiej Prokuratury Rejonowej przy 1 Maja zaczęło się ściemniać. Od momentu odnalezienia ciała prokurator Leopold Bilski zapoznał się z protokołem zaginięcia sprzed trzech tygodni i przesłuchał sześć osób. Choć materiał zebrany wcześniej przez policjantów wydawał się wyczerpujący, Bilski lubił spotykać się ze świadkami sam. Z mimiki, gestów i tembru głosu można czasem wyczytać znacznie więcej niż z suchych faktów. Podejście psychologiczne – to było jego zawodowe motto.

Po raz kolejny wczytywał się w dzisiejsze zeznania Katarzyny Werańczuk, Malwiny Upstrzyckiej i Sylwii Mazurek. Wyjechały taksówką spod domu Martyny około dwudziestej pierwszej, taksówkarz wysadził je na ulicy Pułaskiego. Przecięły plac z fontanną Jasia Rybaka i weszły do Spatifu. Tam się bawiły, tańczyły i piły alkohol. Zaczepiało ich kilku facetów, ale nikt „wart zapamiętania”. Nie widziały, żeby przyjaciółka rozmawiała z kimś obcym. W pewnym momencie Martyna powiedziała, że źle się czuje, że rozboleła ją głowa i chyba pojedzie już do domu. Było około północy. Dziewczyny chciały jeszcze zostać. Zresztą Martyna nalegała, żeby bawiły się dalej i „znalazły sobie lepiej jakichś narzeczonych”. Katarzyna Werańczuk zaproponowała jej, że odprowadzi ją do taksówki, ale Martyna powiedziała, żeby nie była głupia, bo taksówki stoją po drugiej stronie ulicy i da sobie radę. Wyszła. Koleżanki były przekonane, że pojechała prosto do domu.

W tych zeznaniach nie było nic, czego można byłoby się złapać. Przyjaciółki nie zachowywały się w jego opinii podejrzanie. Bacznie obserwował ich sposób wyrażania emocji. Były podręcznikowo zdenerwowane, smutne, przerażone – właśnie takie, jakie powinny w tej sytuacji być. Nie sądził, by coś przed nim ukrywały.

Dość ciekawie przedstawiał się biling telefoniczny Kalety. Wskazywał, że tuż po północy Martyna odebrała jeszcze połączenie z niezarejestrowanego telefonu. Pre-paid został uaktywniony chwilę wcześniej. Połączył się ze stacją przekaźnikową na Augustyna Kordeckiego i więcej już się nie logował. Z kim dziewczyna mogła rozmawiać tuż przed zniknięciem? Tego nie sposób było jak na razie ustalić.

Summa summarum Martyna Kaleta wyszła ze Spatifu w piątkową noc około dwudziestej czwartej, przez dziesięć minut rozmawiała z kimś przez telefon, następnie ślad się urwał. Nagrania z monitoringu z tej nocy zostały sprawdzone tuż po zgłoszeniu zaginięcia Martyny. W raporcie

napisano, że zarejestrowały ją na kilku kamerach przemysłowych z okolic Monte Cassino. Uwieczniły też, że dziewczyna wsiada do taksówki Molo Taxi na Królowej Jadwigi i odjeżdża. Ale w korporacji nie odnotowano tej nocy żadnego kursu na ulicę Pilotów. Inne kursy na Zaspę zostały sprawdzone, ale żadną z tych taksówek nie jechała Martyna Kaleta.

Bilski sam musiał przejrzeć te nagrania. Wiedział, jak się je ogląda w wypadku zgłoszenia zaginięcia. Pobieźnie i po łebkach. Nikomu przecież nie chciało się tkwić w skupieniu nad wielogodzinnym materiałem, jeśli nie było poważnego powodu – na przykład wyłowionego z morza ciała kobiety bez ust.

„To będzie długa noc” – pomyślał prokurator i przeciągnął się na starym skórzanym fotelu. Po jego plecach przeszedł prąd bólu, który doskwierał mu już od jakiegoś czasu. Leopold pomyślał o Ani i jej magicznych dłoniach i znów poczuł się dziwnie. Jego asystentka zupełnie mimochodem wymasowała mu ostatnio ramiona, gdy wspominał, że wszystko go boli od siedzenia przed komputerem. Od tego momentu czuł się w jej towarzystwie dziwnie skrępowany, choć wcześniej nigdy nie myślał o niej w ten sposób. Owszem, była atrakcyjna. I to nawet bardzo, jak się teraz nad tym zastanowił. Ciemne, gęste włosy związane w kucyk, brązowe oczy, zgrabny nos. Może usta trochę zbyt wąskie, ale zarazem ładnie zarysowane. Nie, nie ma co udawać, Ania była całkiem niezłą laską, choć wcześniej nie zwracał na to uwagi. Dopiero gdy położyła dłonie na jego ramionach i zacisnęła na nich palce – dość silne palce jak na taką drobną istotę – poczuł dziwny dreszcz. I od tej pory Ania... och, Ania. Myśl o niej sprawiała, że stawał się rozlany jak mleko na posadzce. Nigdy dotąd nie czuł czegoś takiego. To było nowe, zaskakujące, niepokojące. Natomiast Ania po tym masażu zupełnie się wobec niego nie zmieniła, nadal była pogodna, naturalna i chyba zupełnie na niego obojętna. Matko, jak to się stało, że w ogóle się nad czymś takim zastanawia? To przecież jego asystentka, a w pracy lepiej zachować profesjonalne relacje.

Zerknął w kierunku pokoju sąsiadującego z jego gabinetem. Drzwi były otwarte. Anna Górka siedziała przy biurku i w skupieniu pisała coś na komputerze. Na nosie miała duże okulary w czarnych grubych oprawkach, które wkładała do czytania. Wyglądała w nich jak rasowa bizneswoman, niemal jak Demi Moore w filmie *W sieci*. Hmm, tam chyba też był taki motyw z masażem karku w pracy. I nie skończyło się to dobrze. Oj, nie. Do diaska, musiał wziąć się w garść i przestać zawracać sobie głowę miłośkami jak jakiś młokos. W końcu już dawno ustalił sam ze sobą, że związki to nie dla niego. Romanse to co innego. Spotykał się obecnie zupełnie niezobowiązująco z Kasandrą. Wprowadziła miała dziwne imię, ale za to była nieskomplikowana i miło spędzali czas, przede wszystkim w łóżku. Pomyślał o Kasandrze, ale przez jego ciało nie przepłynął żaden dreszcz. A przecież powinien, bo ostatnia wspólna noc była naprawdę gorąca...

Bilski zdał sobie sprawę, że przez cały czas wlepił wzrok w Anię. Przywołał się do porządku i skupił się na sprawie. Na razie nie było żadnych tropów, żadnych śladów, żadnych poszlak. Ale może coś się pojawi, gdy przyjdą wyniki sekcji.

Gdy Bilski dumał nad zebraną dokumentacją, do gabinetu wszedł Tadeusz Dubiela.

– Dzień dobry, panie Leopoldzie – powiedział.

Bilski czuł do lekarza sądowego pewien rodzaj sympatii. Oczywiście go szanował, ale lubił też przebywać w jego towarzystwie. W Dubieli było coś... kojącego, choć zważywszy na fakt, czym się zajmował, to odczucie było dość absurdalne.

– Panie Tadeuszu. – Prokurator się poderwał. – Co pana sprowadza? Mamy jakieś nowe informacje? Właśnie miałem do pana podjechać.

– Na wyniki badań toksykologicznych i histopatologicznych musimy jeszcze poczekać. Ale po wstępnych oględzinach mogę stwierdzić, że przyczyną śmierci było utonięcie.

– Utonięcie?! – zakrzyknął Bilski. – Czyli to jednak nie było morderstwo? A usta? Czy to możliwe, żeby wyżarła je jakaś drapieżna ryba albo...

– Nie – przerwał mu lekarz. – Usta zostały wycięte ostrym narzędziem. I to z chirurgiczną precyzją. Takich śladów nie mogła zostawić żadna ryba. Cięcia zostały wykonane po śmierci ofiary.

– Czyli morderca najpierw ją utopił, potem wyłowił, żeby wyciąć usta, i z powrotem wrzucił do morza? Hmm, przecież to jakoś zupełnie bez sensu...

– To byłoby zupełnie bez sensu, ale musimy wziąć pod uwagę fakt, że ofiara miała rozdęte płuca. Duże, wypełniające szczelnie przestrzeń klatki piersiowej, bladoróżowe.

– No, to chyba normalne przy utonięciu?

– Normalne, ale nie w słonej wodzie.

Bilski spojrzał na Dubielę zupełnie zbity z tropu.

– Rozedma wodna płuc nie występuje w przypadku utonięcia w słonej wodzie. Nie pojawia się też w razie utonięcia o nietypowym przebiegu. Co więcej, ofiara nie miała wody w płucach, co również potwierdza tezę o utonięciu w słodkiej wodzie.

Prokurator nie spuszczał z lekarza zdziwionego spojrzenia.

– Ze względu na hipoosmotyczność słodkiej wody przenika ona do krwi w całości i nie pozostaje w płucach – wyjaśnił medyk. – Jest jeszcze jeden ciekawy trop. Spod języka denatki wyjąłem rozmokły fragment jakiejś rośliny. Jeszcze go badają. Zobaczymy, może wyniki coś wniosą.

– Czyli ofiara została utopiona w jakimś jeziorze, następnie morderca sprofanował zwłoki i wyrzucił je do morza.

– Może w jeziorze, ale mogła wystarczyć kałuża. To wcale nie musiał być duży zbiornik wody.

Bilski opadł na fotel i analizował to, co przed chwilą usłyszał.

– To nie wszystko – powiedział raptem Dubiela. – Jest jeszcze jedna sprawa... hmm, jak by to ująć... – Lekarz zerknął wymownie na pokój, w którym pracowała Ania, i wyraźnie się zawahał.

Dziewczyna od razu zorientowała się, o co chodzi, i dyskretnie przymknęła drzwi. Uspokojony Tadeusz założył ręce za plecy i skupił wzrok na pogrążających się w ciemności budynkach za oknem.

– Siedemnaście lat temu doszło do podobnej zbrodni. Nie wiem, czy pan pamięta, przez chwilę było o tym głośno, ale z braku tropów sprawę w końcu umorzono. W każdym razie sprawcy nigdy nie znaleziono. Ciało badał wtedy mój młodszy kolega, Wiesiek Żurowski, ale ja dokładnie pamiętam wyniki sekcji. Czytałem je wielokrotnie, starając się odnaleźć coś, co można było przegapić, bo ta historia... hmm, dotyczyła mnie w pewnym sensie osobiście. To znaczy ofiarą była wówczas córka mojej... hmm, koleżanki i bardzo chciałem jej jakoś pomóc. W każdym razie siedemnaście lat temu ciało również odnaleziono na plaży w Sopocie i tak jak teraz dziewczyna poniosła śmierć przez utonięcie w słodkiej wodzie. I też pozbawiono ją ust. Tylko cięcia były amatorskie, zupełnie krzywe. Nie tak dokładne jak teraz. No ale ewidentnie jest wiele wspólnych punktów. Zresztą dziewczyny, tę sprzed lat i tę teraz, łączy jakieś podobieństwo fizjonomiczne, że tak to ujmę. Zielone oczy, zadarty nos. Nie wiem. Może to przypadek, ale może...

– Mamy seryjnego mordercę – wymamrotał Bilski i niespokojnie spojrzął na Dubielę.
– Albo naśladowcę – odparł medyk. – Musi pan sprawdzić wszystkie hipotezy. Radziłbym zapoznać się z aktami tej sprawy sprzed lat. Chodzi o śmierć Moniki Boguckiej. W kwietniu 1996 roku.

– Boguckiej – zapisał Bilski i zamarł. – Mówił pan, że to córka koleżanki...

– Tak, chodzi o córkę sędzi Heleny Boguckiej. – Dubiela wyprzedził pytanie prokuratora.

Leopold starał się zachować profesjonalizm, ale sprawa stawiała się coraz bardziej frapująca. Naturalnie znał sędzię Bogucką. W końcu pracowali w tym samym budynku. Zadbana, nadal atrakcyjna kobieta, witała się zawsze uprzejmie, choć z dystansem. Budziła powszechny szacunek. Uchodziła za wzór profesjonalizmu. Kiedyś obito się Bilskiemu o uszy, że straciła dziecko, ale nigdy nie pomyślałby, że w takich okolicznościach.

– I stąd moja prośba – kontynuował lekarz. – Jutro ta sprawa na pewno wypłynie do gazet. Węszą tu od rana. W internecie już można znaleźć pierwsze wzmianki. Wiadomo, na plaży byli świadkowie. Widzieli, w jakim stanie było ciało. Helena do internetu raczej nie wchodzi. W każdym razie tak mi się wydaje. Ale poranną prasę przed pracą zawsze przegląda. I... hmm, pomyślałem, że lepiej by było, gdyby dowiedziała się o tym zabójstwie od kogoś znajomego, a nie z gazety. Nawet jeśli nie ma to nic wspólnego z zabójstwem jej córki, to jednak same okoliczności mogą wywołać w niej silne emocje, złe wspomnienia. Chyba nie powinna być przy tym sama. A że to pan prowadzi sprawę...

– A nie byłoby lepiej, żeby dowiedziała się od... powiedzmy... od pana? – Leopold spojrzął na Dubielę zdziwiony.

– Hmm, przyjmijmy, że nie ma takiej możliwości – odparł tamten.

Bilski przyjrzał się lekarzowi medycyny sądowej i zrozumiał, że nie należy drażnić tematu.

– Może pan na mnie liczyć – obiecał, choć nadal czuł się z tym trochę nieswojo.

Dubiela skinął w podziękowaniu głową, a wychodząc, dodał jeszcze:

– Tylko proszę, niech pan będzie delikatny. Ona wbrew pozorom jest bardzo krucha.

5

Wino miało głęboki, ciemny kolor. Gdy pokręciła kieliszkiem, osiadało na ściance i powolutku, kuliście spływało, by połączyć się z resztą płynu. Helena Bogucka wzięła pierwszy łyk i poczuła się spokojniejsza. W żołądku rozeszło się znajome ciepło, dając sygnał ciału, że może odetchnąć. Wypiła kolejny łyk, delektując się lekkim pieczeniem na języku, po chwili przeradzającym się w słodycz. Wino z nutą chili i czekolady. Jej ulubione.

Jeszcze dzisiaj marzyła, by choć przez chwilę poczuć się żywą. Teraz jednak żałowała tych myśli. Jakby ktoś wysłuchał jej życzenia i zarządził: „A więc chcesz poczuć się żywa? Proszę, przypomnij sobie, jak to jest”.

„No więc jak jest?” – zapytał ją jakiś niewyraźny głos w głowie.

– Parszywie jest! – odpowiedziała na głos. – Parszywie.

Przecież nic takiego się nie stało. Po prostu zamieniła z nim dwa zdania, i tyle. Niby nic. A jednak poczuła się tak, jakby znów otworzyły się jakieś drzwi i wypełzło z nich coś obrzydliwego.

Dokładnie pamiętała ten dzień, gdy widziała go po raz ostatni. Najgorszy dzień jej życia. Dzień,

o którym tak bardzo chciała zapomnieć. Dzień, który nigdy nie powinien się zdarzyć. A jednak był, zaistniał, przeminął i zabrał ze sobą wszystko, co kiedykolwiek miało znaczenie.

Siedziała na twardym drewnianym krześle i czekała. Nie było z nią nikogo. Nie poinformowała Romana. W sumie nie wiedziała dlaczego. Nie potrzebowała go. Sądziła, że sobie poradzi. Wszystko to wydawało się jej snem i chyba w ogóle nie brała pod uwagę tego, że to naprawdę może być Monika. Myślała, że wejdzie, rzuci okiem na czyjaś twarz, pokręci współczująco głową i na tym koniec. Czekala tam jakieś pół godziny i wreszcie uznała, że chyba o niej zapomnieli, że coś się komuś pomyliło i może w ogóle nie miało jej tam być. Zapukała więc w metalowe drzwi, raz i drugi, i w końcu pchnęła je chyba za silnie, bo otworzyły się szeroko, uderzając o ścianę. Nad ciałem leżącym na stole w głębi stał mężczyzna. Jego fartuch i rękawice były całe we krwi. Spojrzał na nią pytająco, a ona niepewnie powiedziała, że miała się zgłosić na identyfikację. Mężczyzna odłożył jakiś przyrząd, który trzymał w ręku, i odparł:

– Właściwie już skończyłem, ale ciało jest nieprzygotowane. Czy ktoś z panią jest?

– Nie, jestem sama – odparła Helena i nie wiedziała, czy czekać, czy wycofać się na korytarz.

Lekarz zamruczał coś pod nosem i dał jej znak, by podeszła. Postąpiła więc kilka kroków do przodu i przystanęła, wpatrując się w dziwny, zdeformowany jasny kształt. Po chwili zaczęła rozpoznawać członki. Nabrzmięte stopy, brzuch i klatkę piersiową. Zszywki łapiące rozciętą skórę układały się w niesymetryczny wzór. Helena zerknęła na coś dziwnego leżącego obok i po chwili zdała sobie sprawę, że to ręka. Wyłamana, jakby odseparowana od reszty. Zrobiła jeszcze kilka kroków do przodu i jej wzrok zatrzymał się na głowie. Była zupełnie łysa i również pozszywana zszywkami. Helena starała się omijać bordowy kolor, który przyciągał jednak jej uwagę. W końcu pozwoliła sobie spojrzeć. Dziaśła były odkryte. Wyraźnie rysowały się zęby. Zęby specyficznie zwrócone ku przodowi, lekko skrzywione. Znajome zęby. Spojrzała na nos, a potem dostrzegła oczy. Zielone oczy córki, które tyle razy patrzyły na nią z wyrzutem.

Stała tak dłuższą chwilę, nie mogąc oderwać wzroku od tych oczu. Wiedziała, że gdy tylko przestanie w nie patrzeć, będzie musiała to przyznać. Będzie musiała przyznać, że jej córka nie żyje.

Wtedy do sali wszedł Tadeusz. Podbiegł do niej i krzyknął do tego drugiego:

– Zakryj ją natychmiast!

Dokładnie pamiętała brzmienie jego głosu. Było wysokie, jakby nie z tego świata. Chciał jej dotknąć, ale Helena szybko się odsunęła, wciąż patrząc w tym samym kierunku, jakby coś ją trzymało, jakby ktoś ją zahipnotyzował. Biały materiał wzdął się i nakrył Monikę. Monika była. Monika znikła.

Helena odwróciła się na pięcie i zaczęła iść do wyjścia. Tadeusz starał się złapać ją za rękę, lecz ona zrobiła zgrabny unik i zaczęła biec. Biegła tak aż do auta stojącego na parkingu. Szybko do niego wsiadła i ruszyła. Jechała przed siebie. Świat wokół nie istniał. Wszystko zasnuło się mgłą. Ten drugi samochód zobaczyła w ostatniej chwili. Zahamowała raptownie, uderzając lekko w jego tył. Głowa poleciała jej na kierownicę. Helena zawyła, a po policzkach popłynęły pierwsze łzy.

Smak wina zmieszał się ze łzami. Bogucka zacisnęła oczy. Nie chciała pamiętać takiej Moniki. Nie chciała widzieć jej ogolonej głowy, napuchniętych kończyn, pozszywanych piersi. Nie chciała wpatrywać się w jej martwe, nieobecne oczy. Nie chciała zaglądać w jej twarz pozbawioną ust. Jej pięknych, zmysłowych, idealnie zaprojektowanych ust. Duszką wychyliła kieliszek i do wysokiej

lampki naląła resztę wina z butelki.

„To wszystko przez Tadeusza. To wszystko przez niego! – pomyślała. – Mógł mnie ochronić. Mógł mnie przed tym wszystkim ochronić. Wtedy. Kiedyś. Powinien był wiedzieć, że tam na stole leży moja córka. Powinien był coś zrobić. Powinien zabronić”.

Helena znów zaniosła się płaczem. Kiedyś był dla niej najbliższy. Teraz stał się kimś najdalszym ze wszystkich. Często zastanawiała się, co by było, gdyby przypadkiem na siebie wpadli. Co by poczuła? Czy w ogóle by coś poczuła? Spotykasz kogoś nagle, jakby nigdy nic, wybierając mleko na półce w sklepie. Staje obok ciebie i w rzeczywistości robi się wyrwa. Ta obecność chwieje całym wszechświatem. Tętno raptownie wzrasta, ciało zalewa pot. Przestajesz się kontrolować. Helena zazdrościła osobom, które nie okazują emocji, duszą wszystko w środku, na zewnątrz pozostając nieskazitelne. Taka była jej matka, dlatego Helena nigdy nie potrafiła jej pojąć. Nie wiedziała, o czym myśli, co czuje, czy w ogóle czuje.

Po co znów zjawił się w jej życiu? Po tylu latach. Nagle stanął przed jej drzwiami. W jakim celu? Czy uważał, że minęło wystarczająco dużo czasu, by w końcu zapomniała, by jego widok przestał przywozić jej na myśl najstraszliwszy obraz, jaki może stworzyć umysł? Nie widziała go siedemnaście lat. W sumie to dziwne, że przez tak długi czas nie spotkali się gdzieś choćby przypadkiem. W końcu Trójmiasto nie było znów tak duże. Obracali się w podobnych kręgach zawodowych, mieli wspólnych znajomych. Ale Helena przestała gdziekolwiek wychodzić. Po pracy wracała prosto do mieszkania przy Armii Krajowej, brała długą kąpiel, jadła kolację, oglądała coś w telewizji i szła spać. Zerwała niemal wszystkie kontakty. Przez pierwsze miesiące, a nawet pierwsze dwa lata dawni przyjaciele starali się odzywać, wyciągać ją gdzieś, proponowali spotkania, dzwonili. Ona zawsze odmawiała. Potem w ogóle przestała odbierać telefony. Nikogo nie potrzebowała.

Raz wydawało jej się, że widziała Tadeusza, gdy przejeżdżała samochodem aleją Niepodległości. Szedł chodnikiem i rozmawiał przez telefon. Choć to wcale nie musiał być on. Mógł to być jakiś inny mężczyzna o podobnej posturze. Tak sobie wtedy wmówiła. Zresztą ciągle gdzieś mijała Monikę. Każda młoda dziewczyna o ciemnych włosach wydawała jej się z daleka córką. Zamierało jej serce, a w uszach słyszała pisk. Ale gdy się do niej zbliżała, Monika przemieniała się w jakąś obcą osobę. Czasami bardzo młodą, czasami bardzo starą. Zazwyczaj zupełnie niepodobną do jej córki. Tak zabawiała się z Heleną jej wyobraźnia. I choć Bogucka wiedziała, że Monika nigdy nie wróci, to jednak za każdym razem miała nadzieję. Nadzieję, że to wszystko było jakąś paskudną pomyłką i tak naprawdę nigdy się nie zdarzyło.

Jak w ogóle można mieć jakąkolwiek nadzieję po tym, gdy zobaczyło się własną córkę w takim stanie? Bez włosów, bez ust, rozprutą jak lalka. Jak można mieć nadzieję? A jednak wiara, że to wszystko jest okrutnym snem, z którego Helena zaraz się obudzi, nie mijała. Mama ją niewypowiedzianą obietnicą, wciąż więżąc w tamtym czasie.

Wypiła ostatni łyk wina. Poczula się strasznie zmęczona. Emocje powoli opadały. W końcu ogarnęło ją upragnione zobojętnienie. Jej ciało było ciężkie. Próbowwała się podnieść, ale niebezpiecznie się zachwiała. Tej nocy nie zmyła nawet makijażu. Zwinęła się w kłębek pod kocem i zapadła w głęboki sen.

6

Leopold Bilski zaspał. Ciężkie granatowe chmury wisiały nisko, sprawiając, że poranek był niemal tak ciemny jak noc. Bilski był pewien, że włączył pięciminutową drzemkę, ale najwyraźniej zupełnie wyłączył budzik. Tym sposobem ocknął się o swojej zwyczajnej porze, choć miał jeszcze przed pracą podjechać do sędzi Boguckiej. Dostał jej prywatny adres od Dubieli. Mógł to w sumie załatwić jeszcze wczoraj wieczorem, ale nie chciał jej nachodzić nocną porą. Do jakiejś drugiej nad ranem oglądał film z monitoringu, aż jego mózg powiedział „dość”, przestając rejestrować cokolwiek, co można było dostrzec w niezbyt ostrym obrazie z kamery przemysłowej. Nawet nie dotrwał do momentu, w którym zaginiona Martyna wsiadła do taksówki. No nic, będzie musiał nadrobić to po pracy. Zerwał się z łóżka, włączył ekspres do kawy i pobiegł do łazienki. Telewizor starej Kuczyńskiej jak zwykle włączony był na cały regulator. Zazwyczaj sąsiadka oglądała o tej porze powtórki starych odcinków *Na dobre i na złe*. Każdego rana Bilskiego witali lekarze z Leśnej Góry, których głosy niesły się kanałami wentylacyjnymi tak wyraźnie, jakby nadajnik zainstalowany był u niego. Tym razem Kuczyńska oglądała wiadomości.

„To było straszne!” – Bilski wyłapał rozedrgany głos, który zabrzmiał znajomo. „Rudolf okropnie się przestraszył. Od tej pory ciszej szczeka. Ciało kobiety było napuchnięte. Wyglądało to naprawdę przerażająco”.

Bilski zaklął, a bryzgi białej pasty do zębów upstrzyły lustro nad umywalką. Ze szczoteczką w zębach popędził do dużego pokoju i włączył telewizor. Twarz Krystyny Dumskiej pojawiała się na wszystkich kanałach informacyjnych.

„Najgorsze było to, że ta kobieta, co ją z morza wyłowili, to nie miała ust – kontynuowała Dumska. – Aż krzyknęłam, jak ją odwrócili”.

„Niech to szlag” – pomyślał prokurator. Przecież pouczał babę, żeby dla dobra śledztwa na razie z nikim o tym nie rozmawiała. Ale czego tu oczekiwać. I tak przez jeden dzień w mediach była względna cisza. Jakieś wzmianki w internecie, coś w lokalnych wiadomościach. Ale bez szczegółów. Tylko o wyłowieniu ciała kobiety z morza. To i tak nieźle. Ale teraz lawina ruszyła. Wiedział, że zrobi się duży szum. Dziennikarze będą węszyć w prokuraturze jak sępy. Ach, i jeszcze Bogucka. Czy naprawdę ta sprawa może być powiązana z wydarzeniem sprzed siedemnastu lat? Jakoś nie chciało mu się w to wierzyć, ale trzeba sprawdzić każdy trop. Będzie musiał przejrzeć dziś akta związane ze śmiercią córki Boguckiej. A tymczasem czekało go spotkanie z panią sędzią. Nie czuł się z tym komfortowo, ale jak obiecał, to obiecał. Nie wiedział tylko, czy nie spóźni się z tą rozmową.

„Trzeba przypomnieć, że dokładnie siedemnaście lat temu na trójmiejskiej plaży wyłowiono z morza zwłoki młodej kobiety okaleczonej w taki sam sposób. Sprawcy nigdy nie znaleziono. Prokuratura na razie nie chce komentować sprawy, ale...”.

– Psiamać – zaklął Bilski, wyłączył telewizor i wypadł z mieszkania.

7

Sędzia Bogucka chciała jak najszybciej znaleźć się w swoim gabinecie. Rozprawa zaczynała się za godzinę, a ona nawet nie przejrzała akt sprawy. Jej głowę atakowały igielki bólu, przy każdym

kroku wkluwające się w mózg. Marzyła o kawie – czarnej, mocnej, która przywróciłaby rankowi jego naturalny rytm. Po drodze minęła Nawrocką i Makuszewskiego, którzy na jej widok ściszyli głos i posłali jej dziwne spojrzenia. Młoda aplikantka wychodząca z łazienki też uśmiechnęła się do niej jakoś smutno i dwuznacznie. Cholera, aż tak widać, że ma kaca? Przecież zrobiła staranny makijaż. Korektor pod oczy doskonale przysłonił szare cienie. Zęby wyszczotkowała przed wyjściem dwa razy. Chyba zaczyna popadać w paranoję. Pomyślała o kawie i przyspieszyła kroku.

Pod jej gabinetem stał jakiś mężczyzna. Przez chwilę myślała, że to znowu Tadeusz, i żołądek podszedł jej do gardła. Ale po chwili dostrzegła młode rysy przystojnego prokuratora, którego często mijala na korytarzach. Gdy się zbliżyła, mężczyzna oderwał się od ściany i stanął przed nią niemal na baczność.

– Pan do mnie? – spytała niepewnie.

– Tak, ja do pani, pani sędzio. Czy mógłbym zabrać chwilę? – odpowiedział Bilski i powstrzymał się przed szurnięciem stopą, które nie wiedzieć czemu chciało wyrwać się z jego ciała.

Poczuł się trochę jak na studiach przed ważnym egzaminem.

Bogucka przez dłuższą chwilę szukała klucza w przepastnej torebce, a potem, otwierając drzwi gabinetu, posłała prokuratorowi nerwowy uśmiech i w końcu zaprosiła go do środka.

– Proszę usiąść. – Wskazała Bilskiemu krzesło przed biurkiem, ściągając płaszcz i odwieszając go do szafy. – Pozwoli pan, że zaparzę kawę? Jeszcze dzisiaj nie piłam, a ciśnienie takie, że nie mogę się dobudzić. Ma pan ochotę?

Bilski marzył o kawie. Ale wydało mu się to zbyt dużym spoufaleniem, zważywszy na temat, który zaraz miał poruszyć.

– Dziękuję. Już dzisiaj piłem – skłamał, uprzejmie się uśmiechając.

Bogucka w końcu usiadła naprzeciwko niego i wzięła pierwszy łyk kawy. Po jej twarzy przemknął wyraz ulgi.

– Czym mogę służyć? – spytała i prokuratorowi wydało się, że dopiero teraz przyjęła do wiadomości jego obecność.

Leopold odkaslnął lekko i przybrał najbardziej neutralny ton, na jaki było go stać:

– Nie wiem, czy pani sędzia słyszała, ale dwa dni temu na sopockiej plaży znaleźliśmy ciało młodej kobiety. Było... hm... okaleczone. To znaczy okaleczona była twarz ofiary.

Bogucka zbladła, choć mogło się to wydawać niemożliwe, bo już wcześniej jej skóra była biała jak kreda. Patrzyła na Bilskiego bez słowa.

– To okaleczenie znajduje się w... eeee, wokół ust. Okoliczności tej sprawy i sposób zadania ran mogą przywodzić na myśl... yyy, sprawę sprzed siedemnastu lat dotyczącą... – Bilski ciężko westchnął – dotyczącą pani córki.

Wyraz twarzy Boguckiej się nie zmienił. Nie drgnęła jej nawet powieka. Sędzia zupełnie skamieniała.

– Nie mamy na razie żadnych podstaw, by przypuszczać, że te dwie sprawy mają ze sobą związek. Może to być całkowity przypadek. Na razie mamy zbyt mało danych, żeby coś stwierdzić na pewno. Chciałem tylko, żeby pani wiedziała. Od rana w mediach o tym huczy, a podobieństwo do sprawy sprzed lat już zostało podchwyczone. Mam nadzieję, że nikt z prasy nie będzie pani niepokoił. Ale wie pani, jak to teraz wygląda. Najlepiej by było, żeby oczywiście z nikim pani o tym na razie nie

rozmawiała. Ja ze swojej strony postaram się informować panią na bieżąco o wszelkich postępach w śledztwie, które mogłyby wskazywać na... eeee, jakiegokolwiek powiązanie tych dwóch spraw.

Bogucka nadal patrzyła prosto na niego. Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

Bilski niepewnie podniósł się z krzesła i powiedział:

– Dziękuję za poświęcony mi czas. Będę się... będę się kontaktował w razie potrzeby.

Bogucka lekko kiwnęła głową, jakby chciała przywołać swoje ciało do życia. Ale z jej ust nie wypłynęły żadne słowa. W sumie Bilski nie bardzo wiedział, czy ta rozmowa przebiegła tak, jak życzył sobie patolog sądowy Dubiela.

Pożegnał się i powoli opuścił pokój. Gdy zamykał za sobą drzwi, dostrzegł, że Bogucka chwyciła parujący kubek kawy i odwróciła się z nim na obrotowym krześle ku oknu.

8

Helena bez ruchu patrzyła przed siebie. Deszcz, który przed chwilą lunął, bębnił o parapet. Gwałtowny wiatr targał gałęziami drzew. Pourywane myśli wypełniały jej głowę. Twarz córki raz po raz przewijała się przed jej oczyma. Monika śmiała się. Monika płakała. Monika tupiła nogami i trzaskała drzwiami. Monika jadła z nimi kolację i wesoło opowiadała o szkole.

„Czy byłam złą matką?” – pytała się Helena w duchu i samo to pytanie sprawiało, że jej ciało przenikało cierpienie.

Wiedziała, że tak było, choć nigdy przed nikim by się do tego nie przyznała. Jednak ona to czuła i nie potrafiła się oszukać.

Był rok 1979, gdy Monika się urodziła. Słońce chowało się za drzewa. Jego czerwona poświata zalewała świat. Liście na kasztanowcach i klonach były krwiste, pomarańczowe i wściekle zielone. Mniej więcej tak wtedy wyglądał krajobraz.

W połogu ból był niewyobrażalny. Ciągnął się w górę do pępka i w dół niemal do kolan. Promieniował. Jeszcze rok wcześniej życie było nieznanne, wyśnione, abstrakcyjne. Była młoda i pełna planów. Wydawało jej się, że sama może decydować o tym, co będzie. Tamtego dnia, gdy pojawiła się Monika, Helena uświadomiła sobie, że dokładnie wie, co będzie za rok, za pięć, za dziesięć lat. Nic już nie mogło jej zaskoczyć.

Jak to się stało? Jak mogło do tego dojść?

Jedna przypadkowa noc. Noc na pocieszenie – tak sobie mówiła. Noc, która miała przynieść zapomnienie, a która zmusiła do pamiętania o wszystkim, czego już nigdy nie osiągnie.

Nie panikowała, gdy spóźniła jej się miesiączka. Przecież uważali. Przecież się zabezpieczyli. W końcu Roman był doświadczony i wiedział, co robić. Ale gdy minęły dwa tygodnie, nie można już było zaprzeczać. Wyniki badań potwierdziły to, czego się domyślała, choć tak bardzo chciała się mylić. Zima zmierzała ku końcowi. Zimą, która też w tamtym roku się spóźniła, ale za to uderzyła z potrójną siłą. Zima stulecia. Tak ją nazwali. 29 grudnia za sprawą bardzo rzadko spotykanego układu niżów i wyżów do Polski zaczęły napływać lodowate masy powietrza znad Skandynawii. Temperatura spadła do minus dwudziestu pięciu stopni, potęgowanych przez porywisty wiatr, a zaspasy były tak duże, że mieszkańcy w czynnie społecznym musieli odśnieżać chodniki i ulice. Helena pamiętała, jak wracała od lekarza z dokumentem potwierdzającym ten straszliwy błąd.

Przebijają się przez marcowy prąd zimna, co rusz ślizgając się na zmrożonym śniegu. Raz niebezpiecznie się nawet zachwiała, a w jej sercu zatliła się nadzieja, że upadek mógłby pozbawić ją problemu. Jednak los nie pchnął jej na twardy lód. Pozwolił płodowi zakorzenić się i rozwinąć w jej łonie.

Roman również nie był zachwycony faktem, że ma zostać ojcem. Przyjął to jednak z godnością i obiecał, że postąpi „jak należy”. Helena stała przed nim zmarznięta. Palce miała skostniałe, jednak od razu zrobiło jej się gorąco. Czuła żar na twarzy i miała pewność, że jej gniew zapali za chwilę pożółkłe firanki w oknach. Pragnęła, by powiedział, że się tym zajmie. Była pewna, że zaproponuje jej pieniądze, że wskaże jakiś adres, umówi na wizytę, która utnie to nieporozumienie. Jednak jego nie tak wychowano. Roman pochodził z porządnej rodziny i nie zamierzał uciekać. Chciał wziąć na siebie odpowiedzialność i zrobić tak, jak przystało honorowemu człowiekowi.

Czy się sprzeciwiła? Czy wyraziła swoją opinię? Nie. Ją też nie tak wychowano. Jak zwykle pozwoliła zadecydować komuś za siebie.

Potem był szybki ślub. Urządzenie domu, który wniosła w wianie. Partnerstwo Romana w kancelarii ojca. Wszyscy byli zadowoleni, jakby nie mogło ułożyć się lepiej. Nikt się nie przejmował tym, że przez pierwsze trzy miesiące Helenę nieustannie mdliło, że każdy zapach wywoływał wymioty, że musiała wziąć dziekanę już po pierwszym semestrze studiów, który tak obiecująco zamknęła. Ojciec nigdy nie był dla niej miłszy. Nie krzyczał, że była nieodpowiedzialna, nie był zły, nie wpatrywał się w nią karcącym wzrokiem. Chyba nawet był z niej dumny. Roman także jakby nie pamiętał, że to wszystko jest wynikiem czystego przypadku, i odcinał kupony od całej sytuacji. Z sukcesem prowadził same poważne i trudne sprawy, które powierzał mu ojciec, coraz lepiej zarabiał, zyskał niemały prestiż w środowisku. Chwalił się naokoło piękną małżonką, dumnie prezentując jej wypukły brzuch. Generalnie wywiązywał się ze wszystkich obowiązków jako mąż. Tylko co jakiś czas wracał do domu, lekko się zataczając, oblepiony smrodem alkoholu i papierosów. Tłumaczył wtedy, że „taka była potrzeba”, a ona wiedziała, że Roman załatwiał tego wieczora jakieś niezwykle ważne interesy.

Miesiące do porodu minęły nie wiadomo kiedy. W końcu któregoś dnia pod wieczór odeszły wody i Roman odwiózł ją do szpitala nowiutką pomarańczową ładą 2106 – jednym z najbardziej pożądaných owoców bratniej produkcji motoryzacyjnej – której dorobił się w ostatnich tygodniach. Helenę położono na zbiorowej sali, pełnej krzyków, głośnych oddechów i przekleństw. Kobiety wokół wiły się w bólu, mokre od potu i łez. Ona nie czuła nic. Nie miała żadnych bólów. Przyglądała się twarzom, wyłapywała te specyficzne grymasy świadczące o niebywałym wysiłku. Co jakiś czas do rodzących podchodziły pielęgniarki, patrzyły im między nogi, zasuwwały kotary, a krzyk jeszcze bardziej się wzmacniał. Helena leżała spokojnie, choć panujący wokół nastrój coraz bardziej się jej udzielał. Zaczynała się stresować. W końcu i do niej podeszła pielęgniarka, uchyliła prześcieradło i spojrzała między nogi.

– Przecież główka już wyszła! – Cofnęła się przerażona i huknęła na Helenę: – Co pani nie krzyczy?!

Helena grzecznie przeprosiła i cicho dodała:

– Ale ja nic nie czuję.

Zrobiło jej się wstyd. Czy była aż tak nieprzygotowana, że nawet nie poczuła, jak wychodzi z niej

dziecko?

„Będę okropną matką” – pomyślała i w tym momencie wypchnęła z siebie noworodka.

Rozległ się przeraźliwy płacz. Jak skrzeczenie archaicznego ptaka. Pielęgniarka uniosła dziecko na wysokości jej wzroku i stwierdziła:

– Dziewczynka.

Po czym wsunęła zawiniątko w ramiona młodej matki. Mały człowiek miał czerwoną, pomarszczoną twarz i burzę ciemnych włosów. Helena nigdy nie widziała, żeby niemowlak miał tyle włosów. To była ostatnia myśl, jaką pamiętała. Pielęgniarka nie zdążyła jej naciąć, więc podczas jednego jedyne go pchnięcia, do którego się na końcu zmusiła, wszystko jej popękało. Z góry na dół. Krew popłynęła strumieniem. Pamiętała, że zrobiło się jej strasznie gorąco i zaczęła odpływać. Zerknęła na tę burzę włosów i już jej nie było. Nie było dziecka, nie było nowego domu, nie było Romana. Zanurzyła się w kojącą ciemność i wcale nie chciała się obudzić.

Później było dziecko, był nowy dom, był Roman. Tylko nie było Heleny. Płacz córki przerywał jej myśli. Dźwięk wywoływał ukłucie w żołądku. Mały potworek z minuty na minutę płakał coraz głośniej. Jakby ktoś nakręcał korbą wydobywający się z niego dźwięk.

Monika... Takie imię nadał jej Roman. Helena nie potrafiła wybrać. Odwiedził ją następnego dnia w sali pooperacyjnej, a pielęgniarka wniosła małą.

– Córcię pan ma! – powiedziała i podała mu ją na rękę.

Roman promieniał. Spojrzał na dziecko i od razu rozpoznał w nim siebie.

– Bogucka – powiedział dumny. – Jak nic Bogucka.

Helena poczuła ucisk zazdrości. Ona nie zdołała dojrzeć w córce nic, co byłoby jej znane i drogie.

– Jak jej damy na imię? – zapytał Roman.

Wzruszyła ramionami.

– Może ty wybierz. W końcu to twoja krew. – Starła się powiedzieć to miło, ale jej głos zaskrzypiał jak stara płyta, która od lat nie była w użyciu.

Mąż przyjrzał się córce.

– Może Monika? Jak moja babka. Wydaje mi się, że to wykapaną babka.

Ukołysał małą i szepnął:

– Monika Bogucka.

– „Mówię wam, Monika to ma cud urodę...” – zanuciła pielęgniarka rozradowana. – Hmm, nie pamiętam, co było dalej. „Mówię wam, Monika to ma cud urodę...”, nana nanananana. Jakoś tak, wiecie państwo? Zenon Laskowik.

Helena nie kojarzyła tej piosenki.

– Monika Bogucka – powtórzyła. – Może być. Ładnie brzmi. – Uśmiechnęła się słabo.

Było jej wszystko jedno. Nie miało to wtedy znaczenia.

Dopiero potem zaczęła się zastanawiać, czy Monika to dobre imię. Przyglądała się jej twarzy. Dziecko leżało w łóżeczku i coraz donośniej płakało. Robiło się całe czerwone. Czerwień jej skóry jeszcze bardziej podkreślały czarne, gęste włosy, które opatulały głowę córki niczym stara peruka.

– Monika. Monika Bogucka – wypowiadała Helena na głos. – Monika. Monika Bogucka – powtarzała, lecz nie czuła z tym imieniem żadnej bliskości.

Brała małą na rękę i zaczynała ją kołysać. Dziecko nie przestawało płakać. Odpychało rączkami jej

twarz, drapiąc skórę zadartymi pazurkami.

– No cicho, już cicho – powtarzała Helena, czując narastającą panikę. – Proszę cię, nie płacz. Proszę, nie płacz! – I sama zaczęła płakać.

Lzy skapywały na małe paluszki, które wyciągały się do góry, szukając pomocy. Maluch kwilił jak kot. Rozdzierająco, nierealnie, wydając dźwięki jak z nie tego świata.

Czy byłoby inaczej, gdyby to Helena wybrała jej imię? Czy odczuwałaby inną aurę, gdyby po porodzie nie odpłynęła na dwadzieścia cztery godziny i w tym czasie budowała więź ze swoim dzieckiem? Czy byłoby inaczej, gdyby u Moniki nie stwierdzono zapalenia płuc i nie pozostawiono jej w szpitalu na dwa tygodnie, a matkę wypisano do domu? Helena nie mogła jej odwiedzać. Nie mogła się ruszyć. Nie mogła dojść do toalety. Nie mogła nawet zrobić siusiu. Jak można nie odwiedzać własnej córki? – zastanawiali się wszyscy wokół. Czy ktoś potrafił pojąć skalę bólu, który ją przeszywał, gdy zrobiła najmniejszy krok? Nikt nie rozumiał. Nikt jej nie rozumiał.

Gdy podnosiła się z łóżka, jej ciało przechodził prąd – od głowy do dużych palców u stóp.

– Kto cię tak ciasno zszył?! – wrzasnął lekarz sprawdzający jej szwy. – Ty w ogóle możesz się załatwiać?

Spojrzał jej prosto w oczy, czekając na odpowiedź. Zaczerwieniła się po same uszy i milczała.

„Nie, nie mogę się załatwiać! Nie mogę oddychać! Nic nie mogę!” – chciała krzyknąć, ale z jej ust nie wydobywały się dźwięki.

Była niema i sparaliżowana. Nie mogła się wyrwać z tego stanu.

Gdy w końcu przyjechała odebrać córkę ze szpitala, dziecko uśmiechało się do pielęgniarek. Przy niej zaczynało płakać. Nie poznawało jej. Wolało te pulchne kobiety w białych kitlach niż rodzoną matkę.

– Jednak to nie było zapalenie płuc. Zwykle przeziębienie. No, ale lepiej chuchać na zimne – stwierdziła wtedy jedna z nich, podając jej niemowlę.

Monika zmarszczyła twarz i wydała skowyt.

Czy gdyby... Czy gdyby... Czy byłoby inaczej, gdyby...?

9

Na biurku czekały na Bilskiego dokumenty. Ania jak zwykle się spisała. Nigdy o nic nie trzeba było jej prosić dwa razy. Obok akt leżał raport z sekcji i wyniki testu DNA. Dubiela też najwyraźniej się sprężył. Zazwyczaj wyników badania DNA prokurator wyglądał tygodniami, zatem patolog zdecydowanie musiał przycisnąć kogoś z laboratorium.

Dokument potwierdził to, co Bilski już właściwie wiedział – ofiarą wyłowioną dwa dni temu z wody była Martyna Kaleta. Jej rodzina została poinformowana z samego rana przez policjantów posterunkowych. W raporcie prokurator znalazł informacje, które już wczoraj przedstawił mu Dubiela. Bilski położył na stole dwa zdjęcia ofiary – żywej i martwej. Następnie otworzył akta sprawy sprzed siedemnastu lat i wydobył z nich zdjęcia Moniki Boguckiej. Faktycznie dziewczyny były do siebie podobne. Obie bardzo atrakcyjne, takie... inne? Ciemne grube włosy, zielone oczy, zadarte nosy. Ale miały w sobie jeszcze coś, co je upodabniało. Prokurator nie mógł tego do końca zdefiniować. Obie kogoś mu przypominały.

Zestawił pośmiertne zdjęcia kobiet. Wycięcia w okolicach ust wyglądały naprawdę przerażająco. Dokładnie przyjrzał się zbliżeniom okaleczeń. Zamysł był z pewnością ten sam, choć cięcia mocno się różniły. Te sprzed lat były nierówne, postrzępione, zaś usta Martyzny Kalety zostały wycięte precyzyjnie. Czy mógł tego dokonać ten sam człowiek?

Akta Moniki Boguckiej były niezbyt obszerne. Krótka lista przesłuchanych świadków. Żadnych poważnych podejrzanych, ale za to kilka wzmianek o osobach powiązanych ze środowiskiem mafijnym.

„Uuuu, grubo” – pomyślał Bilski.

Siedemnastolatka, córka sędzi, a w jej aktach przewijają się nazwiska, które prokurator kojarzył z doniesień prasowych i opowieści zasłyszanych w dzieciństwie – Waldemar Miła, Krystian Borowiec vel Wata, Łukasz Kazarski. Leopold zatrzymał się przy ostatnim nazwisku.

– Jasny gwint – powiedział pod nosem zupełnie zaskoczony. – A to ci dopiero.

Każdy znał Kazara. Był szef gdańskiej mafii, prawdziwa legenda. Na początku nowego milenium dokonano zamachu na jego życie. Ocalał, ale kula utknęła w kręgosłupie i go sparaliżowała. Jako trójmiejski boss był skończony. Toczyły się przeciwko niemu jakieś sprawy sądowe, ale nigdy nic mu nie udowodniono. Potem słuch po nim zaginął. Bilski nawet nie wiedział, czy Kazar jeszcze żyje.

Cholera, w co ta mała się wpakowała? Prokurator starał się zrozumieć, w jaki sposób siedemnastolatka z dobrej rodziny nawiązała relacje z kimś pokroju Kazara.

Sprawa zaczynała go coraz bardziej intrygować. Nim się obejrzał, na dworze zupełnie się ściemniło, a on miał za sobą kilkakrotną lekturę najważniejszych zeznań, analizę zebranych tropów i dowodów oraz dość niejasne zdanie o Monice Boguckiej, która złożona była chyba z dwóch osób o zupełnie odmiennym charakterze. W ręku trzymał adres zamieszkania wielokrotnie karanego Waty. Na razie nie udało mu się ustalić miejsc, w których mogli znajdować się Waldemar Miła i Kazar. Ale wiedział, że to tylko kwestia czasu. Tacy jak oni nie znikają bez śladu.

10

Tadeusz Dubiela zasnął. Spał spokojnie, bez ruchu. Jedną rękę podłożył pod policzek. Pomimo swoich ponad pięćdziesięciu lat wyglądał teraz jak mały chłopczyk. Helena Bogucka wpatrywała się w jego twarz. Bała się poruszyć. Nie chciała go zbudzić. Zupełnie nie wiedziała, co miałaby mu powiedzieć. Jego obecność wydawała jej się naprawdę dziwna. Z drugiej strony była tak naturalna, jakby wcale nie dzieliło ich te siedemnaście lat rozłąki.

Potrzebowała dzisiaj kogoś poczuć. Nie mogła spędzić tego wieczoru sama. Bała się, że przekroczy jakąś niewidoczną granicę i już się nie odnajdzie. Starła się przywołać swoje bezpieczne miejsce. Wypracowała je na terapii, na którą chodziła po śmierci Moniki. Zielona łąka na końcu świata, pełna odgłosów ptaków. Helena leżała na plecach na trawie i wpatrywała się w niebo. Zupełnie czyste, błękitne niebo, na którym nie było żadnych chmur – chmur, których kształty mogłyby się układać w niepożądane obrazy. Była tylko ona i to niebo. Czasami, gdy nerwy sprawiały, że gotowała się w środku, wyobrażała sobie, że łąka jest zasypana śniegiem, a jej ciało lekko się w nim zanurza. Myśli zamarzały, nieruchomiały. Było tylko zimno, które zabierało wszystko wokół.

Dziś łąka nie przynosiła ukojenia. Po niebie szybko przepływały puszyste obłoki, które układały

się w twarze. Twarze były brzydkie i szydercze. Wyszczерzały do niej zęby. Ptaki nie śpiewały delikatnie i błogo. Skrzeczały, krzyczały, gwizdały, rozrywając jej mózg. Jedyne miejsce, które mogła zwizualizować, był pokój w motelu Maryla. Pokój, który omijała w pamięci od tak wielu lat, którego istnienie wyparła do najgłębszych zakamarków umysłu. W pokoju był też Tadeusz, który chciał ją objąć, który przywoływał ją swoim uśmiechem. Dawno go takiego nie widziała. To był Tadeusz „sprzed”, nie Tadeusz „po”. Nie Tadeusz, który kojarzył się jej tylko z tym dniem w prosektoarium. Wykręciła więc numer i rzuciła „przyjeźdź”. Nie pozwoliła mu powiedzieć nawet jednego słowa. Nie chciała rozmawiać. Chciała poczuć drugiego człowieka. Chciała się poczuć żywa.

Wiedziała, że będzie tego żałować. Ale miała to gdzieś. Teraz świadomość powoli przedostawała się do jej mózgu, a motelowy pokój wydał się duszny – pełen wspomnień i wyrzutów sumienia. Cichutko wstała z łóżka, włożyła dzinsy i sweter, pozbierała swoje rzeczy i bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi. Mieszkanie przy Armii Krajowej czekało na nią puste i ciche. Nie było nikogo, przed kim musiałaby udawać.

11

Prokurator Bilski opuścił ulicę Morską i wjechał na estakadę Kwiatkowskiego. Gdyński port wieczorową porą wyglądał zachwycająco. Podświetlone dźwigi wyciągały szyje ku piętrzącym się kontenerom. Blask tysiąca żarówek odbijał się w wodzie. Białe, wielkie jak całe osiedle domów prom zapraszał w nieznaną, wyjątkową podróż. Leopold uwielbiał tędy przejeżdżać, gdy był mały. To było jego ulubione miejsce na całej planecie. Od ciotki mieszkającej na Obłuzu wracali zawsze późną nocą, a on, choć był bardzo zmęczony, starał się trzymać oczy szeroko otwarte, by nie przegapić przejazdu przez wiadukt. Teraz zdjął nogę z gazu i jechał powolutku, delektując się widokiem terminalu.

Wata mieszkał na Pogórze, za cmentarzem parafii pod wezwaniem Świętego Andrzeja Boboli. Bilski powinien był siedzieć teraz nad materiałem z kamery przemysłowej, ale morderstwo sprzed lat zupełnie go dziś pochłonęło. Na razie nie miał jak uzasadnić wznowionego śledztwa, a tym samym nie mógł włączyć w działania służb policyjnych, jednak wypełniała go ekscytacja, której dawno nie doświadczył. Koniecznie chciał się dowiedzieć czegoś więcej. Może to poranne spotkanie z sędzią Bogucką sprawiło, że zaczął angażować się w tę sprawę osobiście? Nieważne. Działał przecież po godzinach, choć w kontekście przedwczorajszych wydarzeń pojęcie „po godzinach” nie miało zastosowania. Wiedział, że już jutro zaczną się naciski z góry. Jak zawsze, gdy włączały się w coś media.

Prokurator zjechał z estakady i wspinał się pod górę. Podjechał pod jeden z wysokich szarych bloków, które dominowały w tej dzielnicy Gdyni. Gdy szedł do klatki, zastanawiał się, czy wyskakiwać z prokuraturą już przez domofon. Na szczęście drzwi wejściowe, na których widniały liczne tagi, były tylko przymknięte – zamek, zważywszy na wżartą w blachę rdzę, wyrwano już dawno. Bilski wszedł do ciasnej windy, która pod jego ciężarem przechyliła się na bok ze złowieszczym skrzypieniem. Już miał nacisnąć siódme piętro, ale rozmyślił się i szybko wyskoczył na klatkę. Wolał trochę się spocic niż spędzić w tym pudle noc albo co gorsza, runąć z nim do piwnicy. Lepiej dmuchać na zimne.

W końcu dotarł pod mieszkanie numer 21. Lekko zdyszany przycisnął dzwonek, którego dźwięk odbił się echem po pustym piętrze. Odczekał kilkanaście sekund i ponownie przycisnął guzik. Po chwili usłyszał szuranie. Przez skórę poczuł, że ktoś przygląda mu się przez wizjer, uśmiechnął się więc półgębkiem, starając się wyglądać niepozornie. Zamek zazgrzytał i na progu pojawiła się blondynka o szarej cerze. Z pewnością jeszcze dekadę temu musiała uchodzić za atrakcyjną. Jednak wypalone papierosy odcisnęły piętno na jej twarzy; usta opadały w dół w nieprzyjemnym wyrazie. Kobieta spojrzała na Bilskiego obojętnie i czekała na jego słowa. Prokurator wyjął legitymację i zapytał o Krystiana Borowca. Blondyna zgryźliwie się uśmiechnęła i wpuściła go do środka. Weszli do zadymionego pokoju. Zapach tytoniu był tak duszący, że Bilskiemu w pierwszej chwili zrobiło się słabo.

– Coś ty znowu nawywijał, Wata? – zakrzyknęła kobieta i machnęła ręką, zniechęcona.

Dopiero teraz w chmurze dymu Bilski dostrzegł mężczyznę siedzącego na fotelu. Był naprawdę duży, nabity. Patrzył na przybyłego nieufnie, mrużąc oczy. Jego siwe włosy stały niemal dęba i Bilski pomyślał, że niewiele się zmienił w porównaniu do zdjęć sprzed siedemnastu lat.

– Prokurator Leopold Bilski. – Ponownie machnął legitymacją, która i tak była niewidoczna w szarych kłębach unoszących się w pokoju. – Przepraszam za późną porę. Czy mógłbym zadać kilka pytań? Nie zajmę zbyt dużo czasu.

Blondyna kąśliwie parsknęła i wycofała się na korytarz. Wata przypatrywał się Bilskiemu dłuższą chwilę w milczeniu i w końcu spytał chrapliwym głosem:

– Jestem o coś oskarżony?

– Nie, nie – pospieszył z odpowiedzią prokurator. – Mam tylko kilka pytań w związku ze sprawą sprzed lat. Chodzi o śmierć Moniki Boguckiej.

Wata jeszcze bardziej zmrużył oczy. Wyglądał jak wąż sondujący ofiarę.

– Moniki Boguckiej – powtórzył.

– Tak, Boguckiej. Została zamordowana siedemnaście lat temu, sprawcy do tej pory nie odnaleziono. Być może pojawił się nowy trop w tej sprawie, więc mam do pana kilka pytań. Pamięta pan Monikę? Siedemnaście lat temu potwierdził pan, że ją znał.

Wata odpalił następnego papierosa od tłącego się kiepa, którego dopiero co wyjął z ust.

– Tak, poznałem Monikę. Takich dziewczyn się nie zapomina.

– Jaki był charakter waszej znajomości?

– Monika była dziewczyną mojego kumpla. Poza tym nic mnie z nią nie łączyło.

– Waldemara Mili.

– Tak, Waldka. Pracowała w Cockneyu, tam ją poznałem. Kilka razy wszyscy razem imprezowaliśmy. Nic więcej.

– Czy Monika kiedykolwiek wspominała, że czuje się zagrożona? Czy słyszał pan, żeby ktoś jej groził?

– Jak mówiłem, słabo ją znałem. Nie zwierzała mi się.

– A tak po latach, jak pan sądzi, kto ją zabił? Co się mogło zdarzyć?

– Nie mam pojęcia. Wtedy nie miałem, to i teraz nie mam. Choć... – Wata się zawahał.

Bilski spojrzał na niego pełen oczekiwania.

– Tak? Proszę mówić, zupełnie nieformalnie, co panu podpowiada intuicja.

– No, ja naprawdę nie wiem. Ale był taki jeden, co się na Monikę zawsze dziwnie gapił. Taki świr z Ukrainy. Nie pamiętam, jak naprawdę się nazywał. Mówili na niego Pażałsta.

– Pażałsta? – Bilski zapisał w notesie.

– To był taki przydupas Waldka. To zresztą Waldek wymyślił mu tę ksywę. Wszyscy mieli z tego niezły ubaw.

– Mhm – mruknął prokurator. – Chciałby pan dodać coś jeszcze?

– Nic mi już nie przychodzi do głowy. – Wata odpalił nowego papierosa od tłącej się tuż przy jego palcach końcówki.

– Okej. Dziękuję – powiedział Bilski. – I jeszcze ostatnie pytanko. Co robił pan w nocy z dnia pierwszego na drugiego marca tego roku? W sobotę trzy tygodnie temu.

Wata zerknął na niego zdziwiony.

– Tego roku?

– Tak, trzy tygodnie temu w sobotę.

– Hmm, niech no pomyślę. Na robocie byłem. W Łodzi. Teraz na koparkach jeżdżę, to mnie firma ciągle gdzieś wysyła. Papiery na ostatniej odsiadce zrobiłem. Pierwsze legalne papiery, jakie mam w życiu. – Zaniósł się śmiechem i spojrzał na Bilskiego rozbawiony.

– Taa. To ci dopiero. – Prokurator lekko się uśmiechnął. – A tę kobietę pan kojarzy? – spytał, podsuwając Wacie zdjęcie Martyny Kalety.

Wata przyjrzał się jej uważnie. Oblizał usta, gwizdnął i rzekł z uznaniem:

– Niezła lala. Niestety, nie miałem przyjemności.

Znów spojrzał na zdjęcie i stwierdził:

– Ale typ urody jakiś taki znany.

– Co ma pan na myśli?

– Małpiatka. Bogucka też miała coś z małpki. Takiej sexy małpki. Taak. – Wata znów zmrużył oczy, tym razem jednak Bilskiemu wydało się to lubieżne.

– Okej. Dziękuję. Na razie to wszystko. Jeśli coś by się panu przypomniało... – Prokurator zostawił na stole wizytówkę.

„Małpiatka” – pomyślał, zbiegając po schodach. Faktycznie to było to, co stanowiło o podobieństwie obu kobiet. Że też wcześniej na to nie wpadł. Może wizyta nie była zupełnie bezużyteczna? W końcu pojawiła się też nowa postać do sprawdzenia – niejaki Pażałsta. Tymczasem Bilski musiał w końcu obejrzeć całość nagrań z monitoringu. Nie mieli na razie nic innego. Żadnego tropu. Żadnego podejrzanego.

Znów wjechał na estakadę Kwiatkowskiego. Rozświetlone dinozaury nadal pracowały. Tu nic nigdy nie stało w miejscu. Leopold Bilski zwolnił i wpatrzył się w światła odpływającego promu. Tym razem nie miał ochoty być na pokładzie. Chciał być tutaj. Czuł się jak tropiciel, który poszukuje grubej zwierzyny.

Helena Bogucka dojrzała dziennikarzy przed bramą wjazdową. Był też wóz transmisyjny. Z daleka widziała różnokolorowe gąbki osadzone na wysokich mikrofonach. Dwóm mężczyznom i jednej

kobiecie udało się wejść na osiedle i czekali na nią przed klatką.

– Jak się pani czuje w związku z odnalezieniem zwłok kobiety identycznie okaleczonych jak ciało pani córki?

– Czy ma pani nadzieję na ponowne otwarcie sprawy?

– Czy przez te lata podejrzewała pani kogoś konkretnego?

Sędzia Bogucka szybko przemknęła obok nich, uparcie wpatrując się w chodnik. Przebiegła do hali garażowej znajdującej się kilka metrów od klatki i roztrzęsiona wdużyła guzik zamykający za nią bramę wjazdową. Wsiadła do samochodu i oparła głowę na kierownicy. Nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Po tylu latach znów ją osaczyli i wiedziała, że będzie tylko gorzej. Jakiś kolejny wariat zamordował młodą kobietę, a dziennikarze, zamiast skupić się na pomocy w śledztwie, tylko szukali sensacji. Nieważne, że ktoś ranią, nieważne, że nie ma to pewnie nic wspólnego z zabójstwem Moniki. Istotna jest oglądalność.

Wzięła kilka głębokich wdechów. Wyobraziła sobie pudełko – kolejny trik, którego nauczyła ją terapeutka. Wsadziła do pudełka obraz Moniki wyłowionej z morza. Jej czarnych włosów rozrzuconych na boki niczym wodorosty. Takie zdjęcie zobaczyła dzisiaj w telewizji. Tylko że to nie była Monika. To ta druga dziewczyna, którą odnaleziono trzy dni temu. Ale Helena nie mogła pozbyć się wrażenia, że to Monika znów leży tam skostniała i martwa. Zatrzasnęła w wyobraźni szufladkę i zamknęła ją na klucz. Klucz schowała w wielkim pęku innych kluczy, który trzymała za piecem. Nie wiedziała, czemu wybrała właśnie piec. Mogła przecież jako miejsce przechowywania klucza zwizualizować sobie na przykład sejf. Ale wtedy na terapii przed jej oczami wyrósł piec – taki, jaki miała babcia Moniki, Stefania. Wydał jej się najbezpieczniejszym sprzętem, za którym można coś ukryć.

Odpaliła silnik i szybko wyjechała z garażu. Dziennikarze poruszyli się, ale nie odważyli się biec za samochodem. Mijając bramę, Bogucka zobaczyła skierowane na jej samochód kamery. Wóz transmisyjny ruszył za nią. Skręcili w prawo na rondzie przy Almie, przejechali Armii Krajowej i zjechali w dół, by zatrzymać się przy sądzie.

– Bogu dzięki za garaż podziemny dla pracowników – westchnęła Bogucka i wjechała do budynku z boku.

13

– Bilski! Co tu się, do kurwy, wyprawia?!

W drzwiach gabinetu prokuratora stanął jego przełożony Ildefons Ambroziak. Jego twarz była purpurowa.

Leopold Bilski był przygotowany na to najście. Gdy tylko zobaczył rano dziennikarzy węszących w budynku, od razu wiedział, że Ambroziak się u niego zjawi.

– Dzień dobry – powiedział spokojnie i wysilił się na swój najbardziej czarujący uśmiech. – Media szukają sensacji. Standard. – Wzruszył ramionami.

Ambroziak nie dał się jednak zbić z tropu.

– Co mamy? – warknął.

– Mamy zidentyfikowaną ofiarę. Osobiście rozmawiałem z rodzicami, narzeczoną

i przyjaciółkami, które były z nią tej nocy. Pająk i Kita od dwóch dni rozpytują wszystkich znajomych ofiary, ludzi z pracy, rozmawiali z barmanami ze Spatifu, a nawet z innych pobliskich lokali. Oczywiście funkcjonariusze przeanalizowali też bilingi telefoniczne Martyny. W noc zaginięcia chwilę po północy Martyna Kaleta odebrała telefon z niezarejestrowanego numeru. Niestety, nie jesteśmy w stanie ustalić, z kim rozmawiała.

– Jak to nie jesteście w stanie?! – wydarł się Ambroziak.

– Karta pre-paidowa została aktywowana tylko na chwilę, następnie jej ślad się urywa, czyli prawdopodobnie została zniszczona, podobnie jak telefon, z którego korzystano. Zapewne dzwoniło z jakiegoś szrota z lombardu.

Szef Prokuratury Rejonowej w Sopocie zmarszczył groźnie brwi, więc Bilski asekuracyjnie dodał:

– Kita poprosił jeszcze jakiegoś wielkogłowego we flanelowej koszuli, żeby przyjrzał się sprawie, ale raczej marne szanse, by coś nowego wyciągnął.

– Kurwa – syknął stary. – No dobra, nawijaj dalej.

– Zamówiłem profil psychologiczny mordercy u Mądzika. Musimy na niego chwilę poczekać.

– Monitoring?

– Na nagraniu Kaleta wsiada do taksówki i odjeżdża. W korporacji mówią, że nie było kursu na Zaspę. Sprawdziliśmy wszystkie adresy, pod które jechała ta taksówka tamtej nocy. Ślepy zaułek. Taksówkarz nie pamięta dziewczyny. Mówi, że co pół godziny ma kurs z jakimiś, cytuję: „czarnymi dziuniami”, więc zupełnie nie kojarzy kobiety ze zdjęcia.

– Przycisnąć mi jeszcze tego taksówkarza! Nie pamięta, jak nie pamięta, co nie pamięta? Jak można nie pamiętać kogo się wiozło i o której?!

Ambroziak był wzburzony. W Sopocie dawno nie było takiej sprawy. Chyba wszystkim siadały nerwy.

– A ta sprawa sprzed lat? Media totalnie z tym oszalały!

– A to, szefie, to całkiem ciekawa akcja! – ożywił się Bilski. – Akta chudziutkie jak na ten kaliber sprawy, same poszlaki, zaledwie kilkoro świadków, ale za to padają zaskakujące nazwiska. I w sumie nic z tego nie wynika. Dziewczyna została okaleczona w ten sam sposób, przez wycięcie ust ostrym narzędziem. Przyczyna śmierci też taka sama: utonięcie, ale nie w morzu, tylko w słodkiej wodzie. No i wygląd ofiar podobny. Obie miały w sobie coś z... małpiatki, ogólnie mówiąc.

– Bilski, bo ja za siebie nie ręczę! – warknął Ambroziak. – Małpiatki?

– No, gęste brązowe włosy, śniada skóra, zielone oczy, zarysowane kości policzkowe i szczęka lekko wysunięta do przodu. Atrakcyjne małpiatki. – Bilski dostrzegł w oczach przełożonego błyskawice. – Taki typ urody – dodał szybko i głupio się uśmiechnął.

– Ja cię pierniczę – westchnął pokonany Ambroziak. – Jeśli to seryjny, to trzeba będzie wezwać posiłki. No i trzeba zadzwonić do Archiwum X, czy mają tę sprawę u siebie. Może ruszyli do przodu przez te siedemnaście lat.

– Tak jest – rzucił szybko Bilski, choć nie było to po jego myśli, by wciągać w tę sprawę policyjną komórkę zajmującą się nierozwiązanymi zbrodniami. To było jego śledztwo i sam chciał je przeprowadzić. Instynkt tropiciela kazał mu bronić terytorium, po którym się poruszał.

Gdy Ambroziak wyszedł, w drzwiach stanął Pająk.

– Coś mam – pochwalił się z szerokim uśmiechem.

Prokurator rzucił mu spojrzenie: „Dawaj, albo zastrzele”.

– Dobra. – Policjant nadal się nie spieszył. – A więc ten narzeczony Kalety, Adrian Jakubiak, wcale nie nocował w czwartek poprzedzający feralny weekend w motelu Comet pod Poznaniem. Miał tam zapłacony przez firmę pokój, ale się nie pojawił. Czwartkową noc spędził w mieszkaniu u swojej przyjaciółki, Wioletty Serdelak, w Poznaniu. – Wymawiając słowo „przyjaciółka”, Pająk zrobił w powietrzu cudzysłów. – Ale w piątek wieczorem, jak zeznała przyjaciółka, wracał już do domu. Eeee? Newsik? – spytał uradowany policjant.

– Newsik, newsik – potwierdził Bilski, kiwając głową. Koleś od razu mu śmierdział. – Tylko na razie mało. Jedź do tego Jakubiaka i wywal mu, że jest głównym podejrzanym. Może zmięknie i zacznie gadać. Jedź z nim na ostro. Ojciec zaczął się spinać.

– Się robi. – Pająk jeszcze bardziej się ucieszył. Lubił igrzać z przesłuchiwanymi.

Bilski tymczasem zaczął opracowywać oficjalne oświadczenie. Na dwunastą zorganizowano konferencję prasową, żeby ukrócić dziennikarskie spekulacje. Ich rzecznik prasowy jak na złość był na zwolnieniu, więc to na prokuratora spadł obowiązek spotkania z dziennikarzami. Jakiś czas temu w telewizji poszła jego wypowiedź na temat którejś ze spraw i Ambroziak stwierdził, że Bilski świetnie wypada przed kamerą. Ale prawda była taka, że Leopold nie znosił publicznych wystąpień. Choć pozornie zachowywał spokój, to w środku przewracały mu się flaki.

„Na razie nie mamy żadnych podstaw, by twierdzić, że oba morderstwa są powiązane – napisał. – Badamy różne opcje, jednak dla dobra śledztwa nie możemy obecnie udzielić żadnych szczegółowych informacji”. Standardowe formułki, które wypowiada się w takich okolicznościach. Tego się będzie trzymał. Poczł ucisk w żołądku i pobiegł do toalety.

14

Nie wyszło dobrze. Tym razem nie tylko on to czuł. Wiedzieli to wszyscy świadkowie jego porażki. Dziennikarze niemal zjedli go żywcem. Gdy tylko przeczytał oświadczenie, zasypali go lawiną pytań, na które nie miał odpowiedzi. Bezsilnie powtarzał, że dla dobra śledztwa nie może udzielić żadnych informacji, jednak pytania były coraz nachalniejsze. W końcu dziennikarze sami zaczęli prowadzić między sobą zażartą dyskusję, formułując sensacyjne wnioski i budując historię o seryjnym mordercy, który uaktywnił się po latach. Bilski początkowo zaprzeczał, próbował odpierać ataki dotyczące nieudolności działań podejmowanych przez służby. Z każdym zarzutem stawał się jednak coraz bardziej spocony. Czuł, że nad górną wargą zebrała mu się błyszcząca warstewka wilgoci. Mechanicznie starł ją rękawem marynarki. Na granatowym materiale pojawiła się plama. Nie mógł przestać myśleć o tej plamie, którą było widać za każdym razem, gdy podnosił mikrofon do ust. Zupełnie go to rozproszyło. Zaczął coś dukać, w sumie sam nie pamiętał teraz co. Wreszcie Ambroziak rzucił się do mikrofonu i stanowczo przerwał konferencję. Wyprowadził sparaliżowanego Bilskiego z sali, mocno ściskając go za ramię. Prokurator wiedział, że przełożony jest wściekły.

Choć od konferencji minęło osiem godzin, Bilskiego nadal piekły policzki. Czuł wstyd. Miał świadomość, że totalnie się skompromitował. Pająk i Kita cały dzień darli z niego łacha, a Ania patrzyła na niego z lekkim uśmiechem, chcąc dodać mu otuchy. Zaproponowała nawet, że posiedzi

z nim wieczorem nad taśmami z kamery przemysłowej, których prokurator do tej pory nie przejrzał w całości. Współczuła mu! Koszmar. Nie ma nic bardziej obraźliwego dla honoru mężczyzny niż współczucie kobiety. Dowód absolutnej porażki.

Bilski podszedł do lodówki i wyjął z niej schłodzone piwo. Duszkiem wypił połowę butelki, którą następnie przyłożył do płonącej twarzy.

– Weź się w garść! – nakazał sobie. – Mazgaisz się jak baba! Bądź facetem, do jasnej kurwy! – upomniał się i poczuł się trochę lepiej.

Zaraz miała się zjawić Ania. Otworzył czerwone wino, żeby trochę pooddychało, i przemieszał chińszczyznę, którą przed chwilą przyrządził. Gotowanie zawsze go uspokajało. Chyba wyniósł to z domu, w którym dominowały kobiety.

W tym momencie usłyszał dzwonek do drzwi.

Ania miała na sobie obcisłe dżinsy i oversize'owy sweter, ale wyglądała pięknie jak nigdy dotąd. Leopold od razu poczuł się lepiej, a wydarzenia minionego dnia wydały mu się mniej ważne.

Ania rozejrzała się i pochwaliła jego mieszkanie. Wygodnie rozsiadła się na kanapie, stopy założyła po turecku. Zgrabnie łąpała makaron pałeczkami i popijała winem. Oburzała się też na dzisiejsze zachowanie dziennikarzy, obracając całą sytuację na korzyść Bilskiego. To nie on nie sprostował sytuacji. To media okazały się niepoważne i żądne krwi. Potem omawiali zdenerwowanie Ambroziaka i Ania zażartowała, że szef chciał mieć swoje pięć minut na wizji. Bilski dawno nie czuł się w niczym towarzystwie tak dobrze. Obecność tej kobiety w jego salonie wydawała się naturalna, jakby Ania przebywała tu niemal od zawsze. Prokurator znów stał się pewnym siebie mężczyzną i odetchnął pełną piersią.

W końcu odpalił pamięć i na dużym ekranie telewizora pojawiła się czarno-biała ulica Bohaterów Monte Cassino. Bilski przesunął film do momentu, w którym kamera złapała cztery dziewczyny zmierzające do Spatifu.

– Martyna Kaleta, Katarzyna Werańczuk, Malwina Upstrzycka i Sylwia Mazurek – wymieniła asystentka i przybrała czujną postawę. – Jeszcze nieświadome, że jedną z nich niebawem spotka coś tak makabrycznego – skomentowała cicho.

Bilski spojrział na Górską ukradkiem i poczuł, że stała mu się w jakiś sposób bliska. Zakochał się – był tego pewny, choć to uczucie przyszło do niego po raz pierwszy od czasów przedszkolnych, gdy zupełnie zadurzył się w Kasi Staszek, obok której leżakował dzień w dzień przez cztery lata.

Nagranie leciało przez trzy godziny. Analizowali z Anią każdy element, zapisywali każdego pojawiającego się na ekranie mężczyznę, przybliżali i kadrowali twarze. Zapisywali zrzuty z ekranu z postaciami, które jutro chcieli wrzucić do bazy osób notowanych. Może akurat któryś z tych mężczyzn miał jakieś zatargi z prawem. W końcu doszli do fragmentu, w którym Martyna Kaleta wyszła ze Spatifu. Z ujęć z kolejnej kamery prześledzili, jak przecięła Monciak i wsiadła do czekającej taksówki. Nikt za nią nie szedł. Nikt nie patrzył w jej stronę. Deptakiem powoli przechodzili jacyś imprezowicze. Po chwili taksówka zawróciła w zatoczce i odjechała ulicą Królowej Jadwigi.

– Tu ślad się urywa – powiedział Leopold. – Taksówkarz nie pamięta, żeby wiozł ofiarę, korporacja nawet nie odnotowała tego kursu. Jakaś czarna dziura. – Bilski wzruszył ramionami. – Jeszcze wina? – Uśmiechnął się do Ani niewinnie, choć miał świadomość, że jego intencje nie są do

końca niewinne.

Pożądanie coraz bardziej rozchodziło się po jego ciele. Miał ochotę wpić się w usta dziewczyny i zanieść ją do sypialni.

Anna Górską skinęła głową i podała mu swój kieliszek. Leopold podszedł do szafki i wyciągnął kolejną butelkę wina. Gdy mocował się z korkiem, który jak na złość zaczął się kruszyć pod naciskiem korkociągu, w pokoju rozległo się soczyste:

– O ja pierdolę!

Leopold odwrócił się do Ani rozbawiony, a po chwili butelka wypadła mu z rąk i rozbiła się na posadzce.

– O ja pierdolę! – powtórzył zdumiony prokurator.

Ania cofnęła nagranie. Taksówka po minucie znów podjechała pod Monciak od strony Królowej Jadwigi i wysiadła z niej Martyna Kaleta.

1996

1

Mario przyjechał po nią pomarańczowym dużym fiatem. Nie mogła uwierzyć, że ktoś jeszcze jeździ czymś takim.

– Pożyczyłem od ojca. – Zażenowany chłopak wzruszył ramionami, gdy Monika Bogucka wsiadała do auta. – Stoi od lat nieużywany w garażu, ale nadal odpala. – Puścił do niej oko.

Monika cmoknęła go w policzek na przywitanie i cicho się zaśmiała. Potrzebowała normalności, oderwania od tego całego syfu, który wypełnił jej życie.

– To gdzie mnie zabierasz? – spytała.

– Na statek kosmiczny – powiedział tajemniczo Mario i ruszył na najwyższych obrotach.

Z głośników ryknął utwór *Safe from Harm* z płyty *Blue Lines* Massive Attack. Płaty śniegu oświetlane reflektorami samochodu i ulicznymi latarniami zdawały się lecieć prosto na nich. Mario pomimo ślizgawicy przemykał ulicą Niepodległości płynnie i bez przeszkód. Nie każdy wiedział, że wieczorem można śmignąć z odpowiednią prędkością niemal przez całe Trójmiasto bez zatrzymywania się na czerwonych światłach.

W końcu wyjechali z Gdańska Głównego i przedostali się na ulicę Elbląską. Za chwilę przed ich oczami wyrósł jarzący się silnymi światłami kompleks budynków. Strzeliste srebrne tuby, metalowe konstrukcje i stalowe wijące się rury przywodziły na myśl obrazy Giger. Mario zaparkował na poboczu naprzeciwko rafinerii. Zgasił silnik, leciutko ściszył muzykę i powiedział:

– Witam na moim statku kosmicznym.

Monika wydała cichy pisk. Była zachwycona. Nie miał wątpliwości.

– Kurczę, nigdy nie przejeżdżałam tędy nocą. Jak to możliwe, że wcześniej nikt mi tego nie pokazał?!

Chłopak był zadowolony. Miał cichą nadzieję, że zaskoczy Monikę. Spokojnie wyjął z paczki papierosów grubego jointa i odparł:

– Magia tego miejsca zależy przede wszystkim od posiadacza statku. Dzisiaj właścicielami możemy być właśnie my. – Puścił do niej oko i mocno się zaciągnął.

Po chwili podał jointa Monice. Lekko się zakrztusiła i poczuła łagodne wirowanie w głowie. Wymieniali się kilkakrotnie, aż wydało się jej, że statek kosmiczny poderwał się nad ziemię i kołuje nad nimi. Zaczęli się śmiać. Monika nie pamiętała, kiedy ostatni raz tak się chichrała. Chyba w zupełnie innym życiu.

– Powoli zbieram sprzęt. Na razie nic konkretnego, ale popytałem tu i tam i mogę załatwić kilka przydatnych rzeczy.

– Cudownie! – ożywiła się Monika. – Właśnie! Chcę ci coś dać.

Sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej jakieś zawiniątko. Odwinęła materiał i podała chłopakowi gruby plik banknotów.

– Jasna cholera! – krzyknął Mario. – Co to jest? Skąd to masz?

– Spokojnie. Zarobiłam. Odkładałam. To na nasz projekt – odpowiedziała Monika rozpromieniona.

– Da się za to kupić coś porządnego?

Mario przejechał palcem po brzegach banknotów.

– Musiałbym się dowiedzieć. Ale myślę, że coś już z tego mogłoby być.

Monika nie przestawała się uśmiechać.

– To weź pieniądze i załatwiał. Niedługo dostarczę coś jeszcze. U mnie matka może je w każdej chwili znaleźć i będzie chryja. A tobie ufam. Wiem, że mnie nie oszukasz?

Zabrzmiało to jak pytanie, ale Mario nie dał po sobie poznać, że ten ton trochę go zabolął.

– Pewnie, że nie. Wiesz, że ja dla ciebie... – zawiesił głos i choć w aucie panował mrok, Monika była pewna, że się zarumienił.

– Czy tobie też się wydaje, że statek wzleciał trochę w powietrze? – spytała Monika, znów wlepiając wzrok w rozświetloną tysiącem świateł rafinerię.

– Uff, myślałem, że mam zwidy – odparł Mario i znów zaczęli się szaleńczo śmiać.

W końcu chłopak odpalił silnik i spytał:

– To gdzie teraz?

– Zaskocz mnie. Wiem, że potrafisz – odparła Monika prowokująco.

Mario znów podkreślił głośność muzyki.

– „I know that I’ve been mad in love before and how it could be with you. Really hurt me baby, really cut me baby. How can you have a day without a night...” – Monika zaczęła śpiewać wraz z Sharą Nelson.

Mario spojrzał na nią z podziwem. Uwielbiał, jak śpiewała. Miała naprawdę piękny głos.

2

– Mam dla ciebie prezent – powiedział Waldemar i wskazał złote pudełko leżące na łóżku.

Monika, która właśnie zjawiła się w jego mieszkaniu, zdjęła oprószoną śniegiem kurtkę i skórzane rękawiczki.

– Super – odparła od niechcienia.

Waldemar spojrzał na nią poirytowany. Złapał jej twarz jedną ręką i ścisnął.

– Co, nie interesują cię już prezenty? – wycodził przez zęby.

Monika zamarła, po czym delikatnie odepchnęła jego dłoń.

– Pewnie, że interesują, głuptasie. – Wysiliła się na uśmiech, choć szczęka od twardego chwytu naprawdę ją zabolęła.

Odeszła na bok i wzięła głęboki oddech. Coraz bardziej bała się Waldemara. Ostatnio stał się nerwowy. Agresywne zachowania zdarzały mu się coraz częściej. Nie pierwszy raz złapał ją w ten sposób za twarz. Ostatnio, kiedy się na nią zdenerwował, chwycił ją za szyję, a kiedy zaczęła tracić oddech, popchnął na szafkę. Do tej pory bolała stłuczona ręka. Monika chciała się wycofać z tego układu, ale nie bardzo wiedziała, jak to rozegrać. Była pewna, że Waldemar nie da jej tak po prostu odejść.

Poza tym zachowywał się ostatnio dziwnie i Monika bała się, że odkrył jej interesy z Watą. To, że nie chciała już rozprawiać dragów, też go wyprowadziło z równowagi, ale jakoś w końcu

przełknął tę wiadomość. Coś wisiało w powietrzu i Monika wiedziała, że najwyższa pora się ewakuować.

– Nie rozpakujesz? – spytał Waldemar.

Teraz jego ton był przymilny.

„Cholerny schizofrenik” – pomyślała Monika, ale nadal podtrzymywała na ustach wymuszony uśmiech.

Podeszła do pudełka, zdjęła wieczko i spod szeleszczącego ozdobnego papieru wydobyła bieliznę. Bardzo skąpą, zmysłową koronkową bieliznę.

– Chciałbym, żebyś ją teraz włożyła – powiedział Waldemar, nim zdołała odpowiednio zareagować na prezent. – Zaraz będziemy mieli gościa.

Monika spojrzała na niego zdziwiona.

– Jakiego gościa?

– Zobaczysz. A teraz wkładaj. I zostań w niej. W sypialni masz czarne szpilki.

– Mam to włożyć dla gościa?! – krzyknęła wzburzona Monika. – Porąbało cię?!

Waldemar w trzech susach znalazł się przy niej i otwartą ręką uderzył ją w twarz. Monika zachwiała się i złapała za palący policzek. W jej oczach stanęły łzy.

– Nie będziesz mi rozkazywał! Nie masz do tego prawa! Nie będziesz mi mówił, z kim mam spać! Nie jestem dziwką!

Waldemar napał na nią całym ciałem, aż musiała cofnąć się do ściany.

– Nie dyskutuj – powiedział złowieszczym szeptem. – Bo to się źle skończy. A tego byś nie chciała, prawda? Co by powiedziała mamusia sędzia, gdyby się dowiedziała, co wyprawia jej córeczka? Albo co gorsza: jak by się czuła, gdyby córeczki zabrakło, hmm?

Pogładził ją delikatnie po obolałym policzku i wpił się w jej usta. Monika poczuła jego język na swoich zębach i zrobiło jej się niedobrze. Zaczęła płakać. Łzy spływały po skórze i spadały na usta Waldemara, który zaczął łapczywie zlizywać słone krople z jej twarzy, po czym histerycznie się roześmiał.

– No, nie maź się już, bo będziesz wyglądać jak zmokła kura. Ogarnij się! – zakomenderował. – Za pięć minut masz być gotowa – dodał, spoglądając na zegarek.

Monika zaczęła się rozbierać, zdruzgotana. Cała się trzęsła. Ręce latały jej tak, że przez chwilę nie mogła sobie poradzić z haftkami stanika. W końcu włożyła seksowną bieliznę. Stała w szpilkach przed lustrem i nie rozpoznała osoby, która się w nim odbiła. Kobieta stojąca przed nią była obca. Monika zupełnie zniknęła.

Usłyszała za sobą zgrzyt zamka. Waldemar opuścił mieszkanie. Po chwili wszedł do niego ktoś inny. W lustrze odbiły się ciemne, głęboko osadzone oczy. Patrzyły wprost na nią. Doskonale znała to spojrzenie. Kazar. Zacisnęła na chwilę powieki i wzięła głęboki wdech.

„Może jak dobrze to rozegram, nie będzie tak źle?” – pomyślała, starając się oszukać własny umysł.

Odważnie odwróciła się w stronę mężczyzny.

– Jak zawsze wszystko to moja wina! – ryknął Roman Bogucki. – Czemu uważasz, że to ja jestem sprawcą całego zła na świecie?!

– Nie mówię, że to twoja wina – odpowiedziała spokojnie Helena. – Mówię tylko, że gdybyś nie pozwolił jej tam pracować, nie zawałiłaby szkoły.

– No i dochodzimy do punktu wyjścia. To wszystko moja wina. Jak zawsze. Bo ja się zgodziłem, żeby tam pracowała. Ale ty też tam byłaś! Jesteś matką! Mogłaś się sprzeciwić! Aaaa, no nie, przecież ty nigdy nie chcesz brać odpowiedzialności za żadne decyzje, które dotyczą twojej rodziny.

Helena Bogucka zrobiła się czerwona. Była naprawdę wściekła. Pewnie dlatego, że Roman miał rację. Trafił w jej czuły punkt i dobrze o tym wiedział.

– Tak jakby ci to nie pasowało! – wrzasnęła. – Ty i twoja ciągła chęć, żeby wszystkimi dyrygować, żeby wszystko kontrolować, żeby wszystko było po twojej myśli. Ty i twój... – Helena na chwilę zawiesiła głos. – Ty i twój mały świat, w którym wszystko kręci się wokół ciebie! Ty i twoje interesiki! Ty i twoi cholerni klienci spod ciemnej gwiazdy!

Roman spojrział na żonę zbitą z tropu.

– Phy – prychnęła Helena. – Myślisz, że nie wiem, z kim się zadajesz? Myślisz, że jestem aż taka głupia? Myślisz, że tak dobrze się maskujesz? Wszyscy o tym wiedzą! Cały sąd huczy od plotek, jak to mąż sędzi Boguckiej bierze łapówki od największych cwaniaków! Jak to z oddaniem broni ludzi z mafijnego światka, choć doskonale wiadomo, że są winni najgorszych świństw! Kiedy się taki stałeś? No kiedy? – Helena zaczęła płakać. – Mam już dość! Rozumiesz?! Mam już dość! Ciebie, tego małżeństwa, tego życia! Mam dość! – Usiadła na schodach, schowała twarz w dłoniach i załkała.

Roman kucnął obok niej i położył ręce na jej kolanach. Helena wzdrygnęła się, jednak on pozostawił swoje dłonie na jej nogach i delikatnie je gładził.

– Ej. Już cicho – powiedział spokojnie. – Cichutko. Nie płacz – poprosił. – Są rzeczy, o których... o których nie mogę ci powiedzieć. Dla twojego bezpieczeństwa. Dla twojego spokoju. Myślisz, że mi łatwo? Wpieprzyłem się w coś i nie wiem, jak z tego wyjść. Oni... Ech, nie wiem, co robić... Ale załatwię to w końcu. Obiecuję. Obiecuję, że wszystko będzie dobrze. Że nic wam nie grozi. Nie pozwolę na to. Ja...

– Grozi? – Helena podniosła na niego zapłakane oczy. – Jak to grozi? O czym ty mówisz? Mnie i Monice? O czym ty, do cholery, mówisz?!

Roman przysiadł obok niej na schodku. Głęboko westchnął.

– Nie, nic, tak tylko powiedziałem, żeby cię uspokoić. Ja... ja niedługo to wszystko utnę. Nie będę już prowadzić tych spraw. Daj mi tylko trochę czasu, proszę. Jesteśmy rodziną, pamiętaj. Jestem twoją rodziną! Nie możesz rozbić rodziny! Nie możesz nas opuścić! – Tym razem to głos Romana zadrżał i Helena była pewna, że mąż wstrzymywał łzy.

W tym momencie usłyszeli, że otwierają się drzwi. W progu stanęła Monika.

– Hej, słonko! – Roman zerwał się ze schodów. – Już jesteś? Super! Głodna? Może, hmm, szybką jajówę zrobię, co? Zjadłabyś? – Starał się, by jego głos zabrzmiał pogodnie i naturalnie.

Monika kiwnęła głową. Powoli odwiesiła kurtkę i zdjęła kozaki. Starannie unikała wzroku matki, która nadal siedziała na schodach i czujnie się jej przyglądała. W końcu nie wytrzymała napięcia i zapytała:

– A ty co tak siedzisz?

Helena wstała i otrzepała spodnie na pośladkach.

– A tak sobie tylko siedziałam – odparła. – Zaparzę herbaty, co?

– Mhm – mruknęła Monika i wysiliła się na uśmiech.

Matka też się uśmiechnęła i ruszyła w stronę kuchni. Każda z nich czuła się jak oszustka.

4

Monika wysiadła z tramwaju na jednym z przystanków na Przymorzu i poszła w stronę najdłuższego falowca. Śnieg skrzypiał pod jej butami, choć chodnik posypany był solą pozostawiającą białe zacieki na butach. Ulica Obrońców Wybrzeża, po której niedawno przejechała odśnieżarka, powoli znów pokrywała się czystą powłoką puchu. Dziewczyna naciągnęła na uszy wełnianą czapkę i rozejrzała się niepewnie wokół. Miała ciągle wrażenie, że ktoś ją obserwuje, jednak nie zauważyła nikogo podejrzanego. Ludzie spieszyli gdzieś przed siebie ze wzrokiem wbitym w ziemię, walcząc z zimnym wiatrem od morza i starając się choć trochę ochronić twarze przed nieprzyjemną wilgocią dużych płatków śniegu.

„Chyba popadam w paranoję” – uznała Monika, jednak nie mogła pozbyć się uczucia, że ktoś się jej przygląda. Wiedziało o tym jej całe ciało. Znów się odwróciła i rozejrzała. Podejrzewała, że to sprawka Waldemara. Na pewno dowiedział się o jej interesie z Watą i chciał ją przyłapać na gorącym uczynku. Może wysłał kogoś, kto miał mu przynieść zdjęcia. A może to Kazar? Facet dostał obsesji na jej punkcie. Musiała mu towarzyszyć na wszystkich spotkaniach, służąc za coś w rodzaju maskotki. Oczywiście już dawno nie pracowała w Cockneyu, bo Kazar chciał dysponować jej czasem. Jego kierowca podjeżdżał nawet pod jej szkołę i zabierał ją do niego w ciągu dnia. Zawałała lekcje, miała coraz gorsze stopnie. A frekwencja... Nie uda się tego długo zachować w tajemnicy przed rodzicami. Zupełnie nie wiedziała, co robić.

Szybko otworzyła drzwi ostatniej klatki i wbiegła po schodach. Chwilę nasłuchiwała, czy ktoś za nią nie idzie. Słyszała włączone w mieszkaniach telewizory, strzępy rozmów, wybuchy śmiechu, kłótnię. Ktoś smażył ryby – zapach nie pozostawiał wątpliwości. Odczekała jeszcze minutę i przebiegła galerię. Znów wspięła się do góry i pobiegła w bok. Starła się zgubić trop, na wszelki wypadek. W końcu pod ścianą dostrzegła Watę. Stał nieruchomy jak mumia z naciągniętym na głowę kapturem. Gdy się zbliżyła, podał jej teczkę i syknął:

– Co tak długo?

– Przepraszam, tramwaje mają opóźnienia. Pogoda taka, wiesz...

Wata już jej nie słuchał. Oderwał się od ściany i chciał szybko odejść.

– Poczekaj – zawołała za nim. – Wata!

Mężczyzna niechętnie się cofnął.

– Ciszej! – syknął. – No co?

– To był ostatni raz – szepnęła dziewczyna.

Wata spojrział na nią zaskoczony.

– Co niby?

– No, ostatni raz odbieram od ciebie teczkę. Muszę się wycofać. Nie jest bezpiecznie.

Monika znów się rozejrzała. Wata zrobił to samo.

– O czym ty mówisz? – spytał niepewnie.

– Nie wiem, wydaje mi się, że ktoś mnie śledzi. Waldemar chyba się domyśla. A Kazar...

Wata zareagował natychmiast:

– Kurwa, Kazar?! Ja pierdołę! – Złapał się za głowę. – Jak mu coś piśniesz, to cię, kurwa, zajebię, rozumiesz? Morda w kubeł! Jeśli Kazar się dowie, to... to jestem skończony. I ty też, rozumiesz?!

Monika pokiwała głową.

Wata przeszedł kilka kroków, po czym znów się cofnął, chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował i zbiegł po schodach.

Dziewczyna została pośrodku pustej galerii, pełnej głosów codzienności, która wydała jej się największym marzeniem. Powoli zeszła na dół i znalazła się na ulicy. Zauważyła, że ktoś przygląda się jej z czarnego samochodu stojącego na skraju parkingu. Auto ruszyło. Wydało się jej, że mignęły mroźne niebieskie źrenice. Znała ten wzrok. Przychodził do niej w snach, w których Waldemar okładał jej ciało biczem.

Naprawdę popadała w paranoję. Przecież niemożliwe, żeby dostrzegła kolor czyichś oczu z tak daleka. Pokręciła głową.

– „Weź się w garść – nakazała sobie. – Idiotka. Jesteś największą idiotką świata” – pomyślała smutno.

5

Monika miała na sobie czerwoną sukienkę. Siedziała na pikowanej kanapie tuż obok Kazara. Za nimi stała jego obstawa – łyse karki w garniturach. Wyglądali jak parodia włoskich mafiosów. Kazar był w wyjątkowo dobrym humorze. Opowiadał kawał za kawałem, a wszyscy wybuchali donośnym śmiechem – tak fałszywym jak cały świat, w którym znalazła się Monika. Za tłumkiem przydupasów, którzy najgłośniej reagowali na kawały Kazara, zauważyła Waldemara. Stał spokojnie ze szklaneczką whisky w ręku, a gdy spotkał jej wzrok, podniósł drinka, lubieżnie oblizał usta i wypił alkohol do dna.

Monika poczuła mdłości. Myślała, że Waldemarowi na niej zależało. Myślała, że był wobec niej szczery. A on ją po prostu przekazał innemu mężczyźnie. Jakby była rzeczą. Jakąś dmuchaną lalką, którą można się pobawić, a gdy się znudzi, oddać w następne ręce.

Zacisnęła szczęki. Nie chciała płakać. Nie mogła mu dać satysfakcji. Z pogardliwą miną ominęła go wzrokiem i dalej przyglądała się gościom. Szukała mroźnych niebieskich oczu, które nawiedzały ją we wspomnieniach, które natarczywie na nią patrzyły, które nieustannie migały jej gdzieś w mieście, choć nie mogła ich zlokalizować. Nie było tu nikogo o takim spojrzeniu. Dostrzegła twarz Paźalsty. Facet opierał się o ścianę i też czujnie rozglądał się na boki, jakby gdzieś w pobliżu czaiło się zagrożenie. Wyczuł na sobie jej wzrok, lecz zerknął na nią tylko przelotnie i dalej lustrował towarzystwo. Był spięty. Coś wisiąło w powietrzu. Monika musiała jak najszybciej zniknąć.

Chciała wstać, lecz Kazar złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie.

– A ty gdzie?

– Do łazienki – odparła spokojnie.

Kazar posadził ją sobie na kolanach i zawołał:

– To moja przyszła żona! Gdy tylko ją zobaczyłem, od razu wiedziałem, że to ona!

Wpił jej się w usta. Poczula zapach papierosów i alkoholu, mdłości jeszcze się wzmogły. Wszyscy zaczęli się śmiać. Niektórzy gwizdali. Inni klaskali. Ktoś krzyknął:

– Bierz ją, Kazar!

W tym momencie mafioso oderwał usta od ust dziewczyny i rozejrzał się po zgromadzonych.

– Który to powiedział?

Śmiechy powoli ustały, choć wszyscy nadal wydawali się zadowoleni, nie zdając sobie sprawy z nadchodzącego zagrożenia.

– Który to powiedział?! – Tym razem głos Kazara nie pozostawiał wątpliwości, że jego właściciel jest wściekły.

Wszyscy nagle zamilkli, bojąc się nawet drgnąć. Zapadła głucha cisza.

Kazar wodził po zebranych półprzymkniętymi oczami, sondując twarze. Zatrzymał je na Tłuściochu. Tak wszyscy wołali na gościa, który ważył ponad sto pięćdziesiąt kilo. Jego kark był tak szeroki jak dwa karki mężczyzn o regularnej budowie. Na jego czole pobłyskiwał pot.

– Tak tylko zażartowałem, szefie. – Tłuścioch zrobił się ciemnoczerwony.

– Bierz ją? To był żart? Bierz ją? O mojej przyszłej żonie jak o jakiejś suce?! – wrzasnął Kazar.

– Przepraszam, szefie, ja tylko tak, nie miałem nic złego na myśli. Tak się poddałem chwili... – Tłuścioch urwał.

Zdał sobie sprawę, że każde słowo może zostać użyte przeciwko niemu.

Kazar przesadził sparaliżowaną strachem Monikę ze swoich kolan na kanapę i wstał. Tłum przed nim rozstał się niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem. Kazar podszedł do Tłuściocha i objął go ramieniem.

– Poddał się chwili – powtórzył jego słowa. – Tłuścioch poddał się chwili. – Kazar zaczął się śmiać, a inni skwapliwie mu zawtórowali.

Znów zrobiło się głośno i wszyscy wyraźnie odetchnęli. Kazar jednak nieoczekiwanie przestał się śmiać i jednym sprawnym ruchem przejechał po grdyce Tłuściocha ostrzem małego sprężynowca, który nie wiedzieć skąd znalazł się w jego ręku. Zraniony złapał się za gardło i wybałuszył oczy. Dwóch gwardzistów Kazara od razu znalazło się przy Tłuściochu i wyprowadziło go z pokoju.

Kazar tymczasem znów usiadł na pikowanej kanapie, a zgromadzeni zamknęli go w szczelnym kręgu.

– A znacie to? Przychodzi gruba baba do lekarza i pyta: „Jak mogę skutecznie schudnąć?”. „Musi pani zacząć jeść dupą!” – odpowiada lekarz. Po miesiącu przychodzi baba, bardzo chuda, i dziwnie dupą kręci. Lekarz pyta: „Dlaczego tak dziwnie kręci pani dupą?”. „Bo gumę żuję!”.

Wybuchły salwy śmiechu.

Monika zacisnęła powieki. Poczula, że spada i nie może się zatrzymać.

6

Stanąła przed ogrodzeniem. Wysokie czapy śniegu pokrywały żywopłot ciągnący się w dwie strony od żeliwnej bramy. Spojrzała na okno w kuchni. Było ciemne. Jednak dostrzegła zapaloną lampę w gabinecie. Oznaczało to, że dziadek jest w domu. Nie wiedziała, czy dobrze robi, ale nie miała

wielkiego wyboru. Dziadek Ryszard był najsilniejszym człowiekiem, jakiego znała. Był twardy, ostry i niezłomny. Właśnie kogoś takiego potrzebowała.

Nacisnęła guziczek znajdujący się obok furtki. Poczekala chwilę, ale nikt się nie pojawiał. Ponownie przycisnęła dzwonek, tym razem trzymając na nim palec kilka dobrych sekund. Wieczorny wiatr się wzmaczał. Zacinał zimnem w twarz, targał szalem. W oczach Moniki stanęły łzy i dziewczyna pomyślała, że dłużej nie wytrzyma. Musiała zrzucić z siebie choć trochę lęku. Potrzebowała pomocy. Teraz. Właśnie teraz.

W tej chwili usłyszała zgrzyt zamka u drzwi i w progu stanął dziadek Ryszard.

– To ja, Monika! – krzyknęła dziewczyna i uniosła rękę.

Brzęknął domofon. Monika popchnęła furtkę i podbiegła do schodków, które pokonała dwoma susami. Dziadek cofnął się do korytarza i pozwolił jej wejść. Jego mina była surowa. Z dezaprobatą patrzył, jak wnuczka zdejmuje w przedpokoju ośnieżone buty, pozostawiając na podłodze mokre plamy. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego przeprasząco, unosząc ramiona.

– Taka pogoda, dziadku – oznajmiła, a w oczach Ryszarda zapaliło się coś na kształt przychylności.

– No chodź, chodź do środka. Na pewno zmarzłaś. Mam rosół. Gospoia wczoraj zrobiła.

Monika skwapliwie poszła za nim do kuchni. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że od rana nie miała nic w ustach. Zapach podgrzewanej na ogniu zupy sprawił, że donośnie zaburczało jej w brzuchu.

Kiedy pałaszowała rosół, Ryszard Deskur nalał sobie kieliszek brandy i usiadł przy stole.

– Pycha. – Monika wytarła rękawem usta i przeciągnęła się na krześle niczym kot.

Poczuła się nagle straszliwie zmęczona.

– Babcia robiła lepszy – stwierdził oschle dziadek i zakołysał kieliszkiem z rdzawym płynem.

Monika dawno nie myślała o babci – zawsze cichej, zahukanej kobiecie, spędzającej większość czasu w kuchni.

– A pamiętasz, jak babcia Renia... – zaczęła.

– To była dziwna kobieta. – Dziadek bezemocjonalnie przerwał Monice, dając jej do zrozumienia, że nie ma ochoty rozmawiać o swojej zmarłej żonie. – Po co przyszedłaś? – spytał i spojrzał jej prosto w oczy.

Monika przez chwilę milczała, po czym wyznała:

– Mam kłopoty.

– Aha. – Deskur łyknął brandy.

– Wmieszałam się w... poznałam takich ludzi. Niebezpiecznych, tak mi się wydaje. Nie wiem, jak się z tego wykręcić...

Dziadek wstał i podszedł do okna. Splótł ręce z tyłu w charakterystyczny dla siebie sposób i spojrzał w ciemność.

– Byli u mnie – powiedział spokojnie.

– Co?! – krzyknęła Monika.

Dziadek odwrócił się od okna i znów spojrzał prosto na nią.

– Byli u mnie. Już jakiś czas temu. Na początku myślałem, że to zwykły szantaż ludzi z mafii. Wiesz, w stylu „jeśli nie będziesz nam pomagał, to twoja rodzina znajdzie się w niebezpieczeństwie”.

Ale ja mam swoje wtyczki. Powęszyłem tu i tam i dowiedziałem się więcej. O tobie. Przypuszczam, że nie wszystkiego, ale zrozumiałem, że nie bez przyczyny trafili właśnie do mnie.

Monika spojrzała na dziadka ze skrucą.

– Ja nie wiedziałam, że tak to wyjdzie. Nie myślałam, że oni... Po prostu poznałam parę osób i jakoś tak nagle okazało się, że nie mogę się z tych znajomości wycofać. Sytuacja zrobiła się napięta. Boję się, dziadku. Nie wiem, co robić. – Monika zanosła się płaczem.

Stary Deskur usiadł przy stole i głośno westchnął.

– To mamy ambaras, psiakrew – rzucił zrezygnowany. – No dobrze. Musisz mi powiedzieć wszystko. Nazwiska, ksywy, miejsca, przekrety, akcje. Wszystko, co wiesz, rozumiesz? Wszystko. Każdy element się liczy. A ja spróbuję się rozeznąć, jakie mamy możliwości. Może wystarczy zapłacić, żeby nam dali spokój, a może trzeba będzie użyć grubszej artylerii. Zobaczymy. Ufasz mi? – spytał poważnym tonem.

– Ufam – odpowiedziała równie poważnie Monika.

– Dobrze. Coś wymyślimy. Tymczasem powinnaś zniknąć.

– Zniknąć? – zdziwiła się Monika.

– No, wyjechać na jakiś czas. Lepiej, żeby nie mieli cię pod ręką. Nie zbliżają się ferie?

– Tak, za tydzień.

– To idealnie. Rodzicom powiesz, że jedziesz ze znajomymi ze szkoły w góry, czy coś. Zresztą, jak cię znam, to wymyślisz jakieś zgrabne kłamstewko, które ich przekona. – Monika spiorunowała dziadka wzrokiem, lecz ten nic sobie z tego nie zrobił i ciągnął: – Tymczasem umieścimy cię, hmm, powiedzmy, gdzieś na Kaszubach. Kolega ma tam domek letniskowy.

– Nie trzeba. Chyba wiem, dokąd mogę pojechać – przerwała dziewczyna.

– No i dobrze. W sumie lepiej, żebyś nie wiedział, gdzie jesteś.

Zabrzmiało to naprawdę złowieszczo. Monika chyba dopiero teraz zrozumiała, że nie tylko ona znalazła się w niebezpieczeństwie, ale również dziadek, a może i cała rodzina. W jej oczach znów pojawiły się łzy.

Dziadek Deskur spojrzał na nią surowo i stwierdził:

– Nie pora na łzy. Teraz pora na działanie. Opowiadaj.

Martyna Kaleta przecięła ulicę Bohaterów Monte Cassino i zniknęła za rogiem Grunwaldzkiej. Przez całą uchwyconą na nagraniu drogę trzymała przy uchu telefon.

Leopold Bilski i Anna Górska znieruchomieli. Patrzyli na ekran telewizora bez słowa i w animowanym świecie z pewnością zbieraliby właśnie szczęki z podłogi.

– Nikt nie obejrzał tego do końca? – spytała w końcu Ania i z niedowierzaniem spojrzała na Bilskiego.

Prokurator spaşowiał.

– Wiesz, ciągle coś... i jakoś tak... Szeregowi, którym zleciłem analizę monitoringu, też musieli dotrzeć tylko do odjazdu taksówki, uznając, że nie ma co dalej oglądać. – Bilski pokiwał głową. – Przerąbane. Ambroziak się wścieknie!

– Ej, spokojnie. Mamy przynajmniej coś nowego, a to już dużo! – pogodnie rzekła asystentka. – Trzeba działać! Pewnie nie masz nagrań z Grunwaldzkiej?

Bilski zaprzeczył ruchem głowy i zarządził:

– Okej. Zbieramy się. Dzwonię do Kity.

Wybrał połączenie.

Niespełna kwadrans później taksówka wyrzuciła ich pod komendę policji przy Armii Krajowej. Przed budynkiem czekał już na nich Adam Kowalewski, zwany Kitą. Postawny mężczyzna ze spłaszczonym bokserским nosem nosił długi koński ogon, który wystawał spod czapki. Otrzepał ośnieżone glany i wpuścił ich do środka. Długim korytarzem dotarli do pomieszczenia, w którym stały liczne monitory.

– Zdążyłem zaparzyć – rzekł Kita, wskazując na dzbanek z czarnym parującym płynem.

Bilski nalał kawy do trzech kubków, postawił je na stoliku przed monitorami, po czym zajął miejsce między Kitą a Anią. Policjant już szukał odpowiednich nagrań w systemie i po chwili na monitorach pojawiła się ulica Grunwaldzka.

– Przewiń do dziesięć po dwunastej.

Kita przesunął suwak na linii czasu. Pomimo późnej pory i mrozu Sopot tętnił życiem. Co rusz chodnikiem przechodziły grupki osób. Śmiały się, gestykulowały, podskakiwały. Chłopaki w puchowych kurtkach podawali zza pazuchy alkohol dziewczynom w kusych spódnickach. Nagle zza rogu wyłoniła się Martyna Kaleta. Wciąż trzymała telefon przy uchu. Wydawała się zadowolona. Na jej twarzy można było dostrzec uśmiech.

Kita przesłuchiwał na obraz z kolejnych kamer wraz z tym, jak Martyna kierowała się przed siebie. Ulica, oddalając się od Monciaka, robiła się coraz bardziej wyludniona. Dziewczyna przeszła tuż obok kamery. Ruch jej ust świadczył, że coś mówiła. Potem schowała telefon do kieszeni i przeszła przez jezdnię, znikając pomiędzy budynkami.

– Macie w tych kamerach dźwięk? – spytał Bilski.

Kita najechał na twarz Martyny i na wykresach, które pojawiły się na jednym z monitorów, zaczął wydobywać ścieżkę dźwiękową. Zaskrzybiało. Usłyszeli odgłosy ulicy, przejechało auto. Nadjeżdżała piaskarka.

– Wiesz, że nie mogę pojechać. Zresztą zaraz sama... – mówiła Martyna Kaleta, przechodząc pod urządzeniem rejestrującym.

Piaskarka przejechała tuż obok, zagłuszając dźwięk.

Kita przeskoczył po obrazach z kolejnych kamer. Martyny nigdzie nie było. W końcu pojawiła się na Promenadzie. Przysiadła na chwilę na ławce, poprawiła kozaczek, który pewnie ją uwierał. Wtedy kamera zarejestrowała w oddali jakiegoś mężczyznę. Martyna przeszła jeszcze kilka metrów i skręciła na plażę. Mężczyzna powoli się zbliżał. Przystanął przed wejściem numer 29 i rozejrzał się wokół. Kita najechał na jego twarz. Bez cienia wątpliwości był to Adrian Jakubiak.

– Jasny gwint! – zakrzyknął Bilski. – Zbieraj chłopaków, Kita. Zapowiada się długa noc – dodał zadowolony.

Prokurator spojrział na Anię. Ta podniosła wysoko brwi i szczerze się uśmiechnęła.

Bilski znów poczuł się jak myśliwy. Tym razem złapał wyraźny trop.

2

Adrian Jakubiak opierał brodę na stole. Podkrążone oczy były otwarte.

– Myśli. – Bilski uśmiechnął się w duchu. – Kombinuje, jak się z tego wywinąć.

Prokurator przypatrywał mu się zza lustra weneckiego.

– Kombinuj, kombinuj. Im więcej będziesz kombinował, tym bardziej się zapętlisz.

Pół nocy Jakubiaka męczyli Pająk i Kita. Facet oczywiście do niczego się nie przyznał. Ani do tego, że ma kochankę, ani do obecności w Sopocie w noc zaginięcia Martyny. Kręcił tylko głową i powtarzał: „Ja nic nie wiem. To wszystko nieprawda”.

Oczywiście na razie nikt nie zapoznał go z dowodami. To było zadanie Bilskiego. Standardowo po czarnej robocie złych policjantów wkraczał dobry szeryf.

Bilski wychylił kolejne espresso. Adrenalina nadal trzymała go w formie. Wziął pod pachę teczkę z dokumentami i wszedł do pokoju przesłuchań.

– Dzień dobry, panie Adrianie – powiedział pogodnie.

Mężczyzna lekko drgnął na dźwięk jego głosu, jednak nie podniósł głowy.

– Kawki? – zapytał Leopold, ciągle sztucznie przyjaznym tonem. – Gorąca. Trochę się pan orzeźwi.

Podsunał Jakubiakowi plastikowy kubek z parującym płynem.

Adrian powoli podniósł głowę z blatu stołu i wyprostował się na krześle. Spojrzął z wyrzutem na Bilskiego.

– Czemu mnie tu przetrzymujecie? Przecież mówię, że ja nic nie wiem.

– Panie Adrianie, no niestety, dowody nie są dla pana przychylnie – odpowiedział ze współczuciem Bilski.

Przesłuchiwany podniósł na niego pytający wzrok.

– Ale jakie dowody? Ja nic nie wiem. Proszę o adwokata. Mam do niego prawo.

– Naturalnie. Czekamy na adwokata z urzędu. Ale wie pan, to może trochę potrwać. Tymczasem porozmawiajmy sobie jak mężczyzna z mężczyzną. Bez owijania w bawełnę. Ja panu powiem, co wiem ja, a pan powie mnie, co wie pan. Zgoda?

Jakubiak przyjrzał mu się uważnie, starając się wybadać, na ile może zaufać prokuratorowi.

– A więc... – zaczął Bilski, wyjmując z teczki plik papierów. – W czwartkową noc nie nocował pan w podpoznańskim motelu Comet. Pomimo rezerwacji w ogóle się tam pan nie zjawił. Noc spędził pan w Poznaniu u Wioletty Serdelak, z którą jak zeznała ona, łączą pana intymne stosunki. – Adrian chciał coś powiedzieć, ale Bilski podniósł palec, podkreślając, że to jeszcze nie koniec wyводу. – Co więcej, przyjaciółka nie gościła pana u siebie w domu w piątkową noc, gdyż jak powiedziała, musiał pan wracać do domu, do Trójmiasta.

Bilski zamilkł i wskazał na Jakubiaka, dając mu znać, że przyszła jego kolej na zwierzenia.

– Wioletta... to tylko taka moja koleżanka. Wie pan, z dawnych lat. Nic wielkiego mnie z nią nie łączy. Od czasu do czasu gości mnie u siebie, jak jestem w pobliżu, a ja oszczędzam na motelu. A w piątek to faktycznie u niej nie nocowałem, bo miałem baby już dość. Awanse mi jakieś robiła, chyba faktycznie źle zrozumiała sytuację, a ja przecież narzeczoną miałem, więc powiedziałem, że muszę wracać.

– I gdzie spędził pan noc z piątku na sobotę? – zapytał słodkim tonem Bilski.

Jakubiak milczał. Znow sondaż prokuratora, zastanawiając się, ile ten wie.

– No, panie Adrianie. Gdzie spędził pan noc, podczas której zaginęła Martyna? To chyba proste pytanie?

Jakubiak nadal milczał. Wpatrywał się tym razem w blat stołu, nerwowo stukając w niego palcami. W końcu wydukał:

– Faktycznie wróciłem do Trójmiasta. I całą noc szwendałem się po sopockich klubach.

– Mhm – mruknął Bilski. – Czy widział się pan tej nocy z Martyną?

– Nie! – szybko zaprzeczył mężczyzna. – Nie odbierała telefonu. Szukałem jej po knajpach, ale nigdzie jej nie było. Dotarłem do Sopotu dopiero przed pierwszą, więc musiała już wtedy wyjść.

– Mhm. – Bilski pokiwał głową. – Na jej przyjaciółki też się pan nigdzie nie natknął?

– Nie, ich też nie spotkałem.

– Aha. No dobrze. A więc przybył pan do Sopotu przed pierwszą w nocy. I dokąd pan poszedł?

– Najpierw do Sztosa na kilka lufek, potem Ego, Soho, Spatif, Sfinks. Taki melanz sobie zrobiłem, wie pan.

– I podczas tego melanzu nigdzie przypadkiem nie wypatrzył pan swojej narzeczonej? Nie mignęła panu gdzieś na ulicy, a pan, powiedzmy, nie zaczął jej śledzić?

Jakubiak zrobił się czerwony.

– Co pan opowiada?! Nie, nie widziałem Martyny tego wieczoru! – krzyknął podenerwowany.

Prokurator, nie spiesząc się, otworzył teczkę i wyjął z niej zdjęcia. Nauczył się, że taktyka selektywnego ujawniania dowodów sprawdza się najlepiej. Powolutku rozłożył zdjęcia przed Jakubiakiem. Martyna Kaleta idzie pustym deptakiem. Za Martyną Kaletą w oddali pojawia się postać mężczyzny. Mężczyzna idzie za Martyną w pewnym oddaleniu. Martyna skręca na plażę. Zbliżenie twarzy rozglądającego się mężczyzny przy wejściu numer 29. Mężczyzna wchodzi na plażę.

Jakubiak bez ruchu wpatrywał się w zdjęcia. Zupełnie zeszywniał. Bilski spokojnym krokiem zrobił kilka kółek wokół stołu i w końcu zatrzymał się tuż za przesłuchiwanym.

– Ja to widzę tak: pokłócił się pan z kochanką – wiadomo, zaczęła za dużo oczekiwać, zagroziła, że opowie o wszystkim Martynie. Może postawiła panu ultimatum: albo ona, albo Martyna. Wraca pan do Sopotu, próbuje pan znaleźć narzeczoną. Nagle spostrzega ją pan w tłumie i zaczyna za nią iść. Ona rozmawia z kimś przez telefon, śmieje się i idzie wzdłuż plaży. Czy idzie na jakieś spotkanie? Pan jest wzburzony, pewnie też lekko wstawiony. Idzie pan za nią na plażę. Tam dochodzi pomiędzy wami do kłótni. Martyna podejrzewa, że jest pan niewierny, pan oskarża ją o to samo, Martyna grozi, że od pana odejdzie. Wtedy wpada pan w szał.

Bilski wiedział, że ta wersja wydarzeń nie trzyma się kupy. Martyna Kaleta zginęła wprawdzie przez utonięcie, jednak nie w słonej wodzie. Może na plaży znajdował się jakiś inny niewielki zbiornik wodny? Jakubiak złapał dziewczynę i w afekcie przytrzymał jej głowę pod wodą, aż przestała oddychać? Tylko że ta zbrodnia wydawała się raczej przemyślana, z góry zaplanowana. I po co Jakubiak miałby wycinać narzeczonej usta? Czy potrafiłby zrobić to tak precyzyjnie? Musiałby przecież w tym celu przetransportować gdzieś jej ciało, a auto miał co najmniej kilometr dalej. Zostawił jej ciało w krzakach i po nie wrócił? W tej historii było zbyt dużo dziur. Nic nie trzymało się kupy. Ale Bilski chciał przycisnąć Jakubiaka. Musiał go trochę nastraszyć, żeby ten zaczął w końcu mówić.

Jakubiak jednak milczał. Zeszywniały i spięty wpatrywał się w zdjęcie, na którym rozpoznawał własną twarz. Prokurator nachylił się do jego ucha, chuchając mu w kark. Jakubiak miał się poczuć osaczony. Bilski wierzył w skuteczność takich elementów psychologicznej gry. Po chwili znów zaczął mówić spokojnym, rytmicznym głosem:

– Martyna miała kogoś innego. Kogoś, z kim miała się spotkać na tej plaży. Nic dziwnego, że wpadłeś w szał. No, Adrian, kto by nie wpadł? – Bilski zaczął mówić do Jakubiaka na ty. – Narzeczone szlaja się gdzieś po nocach, nie wiadomo, co jeszcze robi. Wyobrażasz sobie najgorsze sceny. Dłonie innego mężczyzny na jej nagim ciele. Jej ciepłe pocałunki na jego skórze. Zrozumiałe, że nie wytrzymałeś. Więc wpadasz w szał i...? Co dalej? Topisz ją? Trzymasz pod wodą, aż przestaje oddychać?

Jakubiak nagle się przebudził. Zaczął kręcić głową, jakby starał się strącić słowa Bilskiego ze swojego karku.

– Nie, nie, nie! – krzyknął. – Nie zabiłem jej! Nie zabiłem Martyny! Nie tak było! Chcę adwokata! Nic więcej nie powiem! Nic nie powiem! Chcę adwokata, mam do niego prawo! Słyszysz pan? Mam prawo!!! – ryknął i próbował wstać.

Bilski chwycił go mocno za ramiona i przycisnął do krzesła. Kiwnął głową w stronę weneckiego lustra i po chwili do pokoju weszli Pająk i Kita. Stanęli nad przesłuchiwanym.

– Spokojnie, ziomuś – powiedział Kita tubalnym głosem.

Wściekły Jakubiak popatrzył na policjantów i powtórzył:

– Żądam adwokata. Bez niego nie powiem już ani słowa.

– No, to masz farta, bo twój adwokat właśnie się zjawił. Na twoim miejscu zastanowiłbym się, jak było naprawdę, bo na razie smród się ciągnie za tobą na kilometr. – Pająk z impetem klepnął Jakubiaka w plecy i szyderczo się zaśmiał.

Bilski skierował się do drzwi. Nagle coś przyszło mu do głowy, cofnął się i zadał jeszcze jedno pytanie:

– A do szkoły średniej to do której pan chodził?

Jakubiak spojrział na niego z pogardą i odwrócił twarz w stronę ściany. W tym momencie do pokoju wszedł adwokat z urzędu.

3

Sędzia Bogucka opuściła salę rozpraw. Czuła, że nie ma już siły na tę pracę. To praca zawsze pozwalała jej jakoś wszystko ciągnąć. Była jedyną odskocznia w jej pozbawionym wartości życiu. Ale teraz męczyła. Problemy innych ludzi totalnie Helenę przygniatały i sprawiały, że czuła się jeszcze gorzej. Dziś prowadziła sprawę dotyczącą odebrania praw rodzicielskich matce, której jedenastoletni syn mierzący metr czterdzieści osiem wzrostu ważył osiemdziesiąt kilo. Wezwała już wcześniej matkę do przebadania chłopca pod kątem różnych chorób, poddania go leczeniu, wdrożenia diety. Przez trzy miesiące matka nie zrobiła nic. Żadnego działania, żadnej inicjatywy. Sama natomiast wyglądała jeszcze gorzej niż poprzednio. Skrajna anoreksja zupełnie ją niszczyła. Może przekarmiając chłopca, zagłuszała swoje wyrzuty sumienia? Trudno powiedzieć. Na pewno sama potrzebowała pomocy psychologa, ale czy to był powód, żeby zabierać jej dziecko?

Sędzia Bogucka westchnęła i weszła do swojego gabinetu. Na biurku czekała na nią prasa. „Dziennik Gazeta Prawna”, „Rzeczpospolita”, „Dziennik Bałtycki”, „Wyborcza”. Helena lubiła być ze wszystkim na bieżąco. Uważała, że jej obowiązkiem jest nie tylko orientować się w aktualnych zmianach przepisów, ale także znać najważniejsze sprawy społeczne, o jakich mówiło się w kraju. Asystentka dbała więc o to, żeby na jej biurku znalazły się te gazety. Sprzedawczyni z kiosku na dole zawsze je dla niej odkładała. Tym razem sędzia obawiała się nawet spojrzeć na nagłówki. Na samym wierzchu leżała na szczęście „Gazeta Prawna”, a pierwsza strona poświęcona była reformie unijnej związanej z własnością intelektualną. Jednak Bogucka doskonale wiedziała, co znalazłaby pod spodem. Gdy przechodziła dziś obok kiosku, dostrzegła tytuł z pierwszej strony któregoś z dzienników: „Zatrzymany narzeczony. Czy zabił Martynę K.?”

Odsunęła gazety na sam skraj biurka, włączyła ekspres do kawy i popatrzyła za okno. Na dole przy bramie nadal wystawiali dziennikarze, których prezes zabronił wpuszczać do sądu. Rozmawiali między sobą, pewnie wymieniali żarty, palili papierosy i tupali o chodnik, by choć trochę rozgrzać zmarznięte stopy. Dla nich była to tylko praca. Codziennie gonili za innym tematem, starali się jako pierwsi zdobyć newsa i zebrać pochwały przełożonego. Czy zdawali sobie sprawę, że za każdym tym dramatem stoi żywy człowiek? Czy myśleli o jego bólu? Dla nich emocje były źródłem sukcesu. Helena nie sądziła jednak, by po wielu latach pracy potrafili je naprawdę dostrzec. Ona sama musiała przecież zdystansować się do spraw, które prowadziła. Oceniała postępowanie stron, odnosiła je do przepisów, wydawała wyroki zgodne z literą prawa. Czy potrafiła jednak jeszcze współczuć? Czy to, że straciła córkę, sprawiło, że stała się lepszym sędzią? Chyba nie. Coraz częściej ludzie, którzy brali udział w rozprawach, budzili w niej odrazę. Miała ochotę na nich wrzeszczeć. Sprawić, żeby się obudzili, choć sama przecież wiele lat temu zapadła w głęboki sen.

Ktoś zapukał do pokoju. Nie odezwała się, ale po chwili w wejściu stanął Tadeusz Dubiela.

Uśmiechnął się do niej lekko i choć Bogucka nie zaprosiła go do środka, przestąpił próg i delikatnie zamknął za sobą drzwi – tak, jakby najcichszy dźwięk mógł ją spłoszyć. Helena znów odwróciła się do okna i głęboko westchnęła. Po chwili powiedziała cicho:

– Zaparzyłam właśnie kawę. Masz ochotę?

Tadeusz odparł nieco zawstydzony:

– Jeśli to nie problem, to chętnie.

Bogucka podeszła do ekspresu i nalała kawy do filiżanki.

– Nadal pijesz czarną? – spytała.

Dubiela uśmiechnął się i przytaknął.

Helena usiadła naprzeciwko niego przy biurku i spytała:

– Co cię sprowadza?

Tadeusz poczerwieniał. Uśmiech zszedł mu z twarzy.

– Nie traktuj mnie jak obcego – powiedział urażony.

Bogucka po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy. Chciała coś powiedzieć, otworzyła usta, ale w końcu zrezygnowała.

– Hela, jak się czujesz? Tak szczerze. – Tadeusz starał się mówić łagodnym, kojącym tonem.

– Dobrze – odpowiedziała.

– A tak naprawdę?

Helena wzruszyła ramionami. Obróciła się na krześle ku oknu i skupiła wzrok na szarych chmurach powoli sunących po niebie. Nie chciała, żeby Tadeusz dostrzegł w jej oczach łzy, które zbierały się coraz obficie.

– Wiem, że musi ci być ciężko... że znowu jest ci ciężiej. Chcę, żebyś wiedziała, że jestem, że zawsze dla ciebie jestem. Hela, spójrz na mnie, proszę.

Kobieta powoli odwróciła się w jego stronę.

– Może wybrałabyś się ze mną na spacer? Dziś, jutro, kiedy chcesz.

Znów spojrzała mu prosto w twarz, a po jej policzku spłynęła pierwsza łza.

4

– No, Bilski! – Ambroziak wszedł do gabinetu prokuratora i zatarł ręce. – Dobra robota! W końcu mamy jakieś postępy!

Przysiadł zadowolony na biurku Leopolda i klepnął dłońmi w kolana.

– Już myślałam, że nas media zjedzą! Ale koniec końców wyszło na nasze.

Bilski uśmiechnął się zdawkowo i odpowiedział:

– Zawsze to jakiś początek. Tylko że na razie trudno racjonalnie poskładać tę historię. Kupy się to wszystko nie trzyma. A sam Jakubiak nie bardzo pasuje do profilu zabójcy. – Bilski podniósł kartkę, którą miał na stole. – Dzisiaj przyszedł wstępny raport od Mądzika. Anna Górską, moja asystentka, pomogła przyspieszyć akcję; okazało się, że profiler ma słabość do jej ciotki z Oruni.

Ambroziak zmierzył Bilskiego surowym spojrzeniem, dając mu do zrozumienia, że nie ma cierpliwości do takich opowieści.

– W każdym razie – podjął prokurator i zaczął czytać: – „Morderca Martyzny Kalety to mężczyzna

w przedziale wiekowym od trzydziestu do pięćdziesięciu lat, mieszkający na terenie Trójmiasta. Pochodzi ze średnio zamożnego domu, prawdopodobnie skrzywdzony w wieku młodzieńczym. To osoba cierpliwa, systematyczna, opanowana, skrajnie wrażliwa. Wykazuje uzdolnienia artystyczne. Ma w sobie głębokie pokłady empatii”. – Przeczytawszy opis, Bilski dodał: – A Jakubiak, choć ma akurat trzydzieści cztery lata, to jednak pochodzi z biednej rodziny, no a cierpliwość i opanowanie to cechy, które moim zdaniem są mu zupełnie obce. Skupiony raczej na sobie. Co do empatii, to na razie nie jestem pewien, musiałby się wypowiedzieć psycholog, ale...

– Bilski, do stu diabłów! – Ambroziak zerwał się z biurka. Jego twarz była purpurowa. – Bo za siebie nie ręczę! Co ty mi tutaj z psychologicznymi dyrdymałami wyjeżdżasz?! Mamy na kamerze Jakubiaka? Mamy. Szedł za Kaletą? Szedł? Dla mnie sprawa jest jasna jak słońce! Nie ma co wymyślać!

– No niby tak. Ale co z Moniką Bogucką? Analiza profilerka wykazała ogromną zbieżność, jeśli nie tożsamość osobowościową...

Ambroziak wściekł się nie na żarty.

– Liczą się fakty, Bilski! Fakty i tylko fakty. Przyskrzynić mi tego Jakubiaka i nie kombinować, bo jak Boga kocham, nie ręczę za siebie!

Ambroziak wyszedł z gabinetu, trzaskając drzwiami. Ania wychyliła się ze swojego pokoju.

– Prawdziwy nosorożec – stwierdziła. – Jak ty to robisz, że zawsze go doprowadzasz do takiego stanu, co? – Zapytała rozbawiona.

– Taki już mój urok osobisty. – Leopold wzruszył ramionami.

Po chwili dodał już poważnie:

– Zadzwoń, proszę, do Kity. Niech sprawdzi Jakubiaka. Jego powiązania, ciemne interesy, konszachty, znajomych. Chcę wiedzieć, czy kiedykolwiek łączyło go coś z Waldemarem Miłą lub Krystianem Borowcem. No i czy nie otarł się kiedykolwiek o środowisko Łukasza Kazarskiego. I niech Kita sprawdzi mi jeszcze jedno: gdzie Jakubiak chodził do szkoły średniej.

– Do szkoły średniej? – zdziwiła się Ania.

– Trzeba sprawdzić, czy Adrian Jakubiak mógł znać Monikę Bogucką.

5

Dźwięk pociągu. Helena lubiła się w niego wsłuchiwać. Za dnia niemal nie dawał o sobie znać, zagłuszony przez stłumione odgłosy radia, gotowania obiadu czy mycia naczyń. Ale w nocy, gdy leżała w ciszy pod kołdrą, wtedy stawał się wyraźny i donośny. Kodowała w głowie rozkład jazdy. O dwudziestej czwartej, punktualnie lub z niewielkim opóźnieniem, przejeżdżał towarowy. Dokładnie rozpoznawała jego terkotanie.

„Towarowy” – oznajmiała w myślach i lekko się uśmiechała.

Koło drugiej przemykał pasażerski. Pewnie dalekobieżny. Tak jej się wydawało, choć nigdy tego nie sprawdziła. Wyobrażała sobie, jak sunie. Wyraźnie widziała światła w wagonach, ludzi siedzących przy oknach. Śpiących lub wpatrujących się w noc. Zastanawiała się, dokąd mogą zmierzać, o czym myślą, co czują, od czego uciekają. Lubiła tworzyć scenariusze, wchodzić w inne życia, stawać się kimś innym. Lubiła przez chwilę nie być sobą.

Czasami, gdy sobie na to pozwoliła, widziała Monikę. Dziewczyna o ciemnych włosach patrzyła przed siebie. Obok leżał niebieski plecak i kurtka z szarym kożuszkim, którą tak lubiła. Zaciskała usta i zniknęła. Było ją widać tylko przez sekundę. Wagon pędził do przodu. Była daleko. Od dawna. W ciągu tych siedemnastu lat zdążyłaby zwiedzić cały świat.

Nie odnaleziono jej szybko. Ani następnego dnia, ani po tygodniu. Minął dokładnie miesiąc. Była jeszcze rano, a potem zniknęła. Nie przyszła na kolację, na którą Helena przygotowała lasagne. W ramach przeprosin. Bo nie powinna była tego mówić. Nie miała prawa. A jednak nie mogła się powstrzymać, tak jakby coś w niej szeptało, że musi, bo inaczej pęknie. Więc słowa padły i chciała je wymazać pysznym posiłkiem w miłej atmosferze. Ale córka nie przyszła, choć obiecała, że będzie tego dnia wcześniej. Lasagne wystygła i stwardniała. Helena też jej nie tknęła. Wiedziała, że stało się coś złego. Matki zawsze wiedzą takie rzeczy. Nie chciała się najpierw do tego przyznać, ale wiedziała. Czuła to od chwili, gdy wskazówka minęła dziewiętnastą, a Monika się nie zjawiała. Tak, matki zawsze wiedzą.

Kim stała się Helena, gdy zginęła jej córka? Czy jest jakieś określenie na osobę, która straciła dziecko? Gdyby umarł jej mąż, zostałaby wdową. Gdyby umarli jej rodzice, zostałaby sierotą. Kim się stała, gdy zabrakło Moniki? Często o tym myślała. Leżała w ciszy nocy, zastanawiając się godzinami, jak nazwać stan, w którym się znalazła. Ale odpowiednie określenie nie przychodziło. Nie było go też w słownikach. Nikt nigdy nie skonstruował słowa, które mogłoby oddać tego typu stratę. Nikt nie próbował czy po prostu to było niemożliwe?

Kim się stała?

Zaciskała powieki i starała się pobudzić mózg. Ale właściwe słowo nie przychodziło. Tak jakby jej status się nie zmienił, choć zmieniło się wszystko.

Czasami nie mogła uwierzyć, że Monika kiedyś była. Taka realna, ciepła, namacalna. Gdy córka była mała, Helena mogła wsłuchiwać się w bicie jej serca. Wystarczyło przyłożyć głowę do jej oddychającej piersi, leżąc obok dziecka, które spało z rączkami wyciągniętymi za głowę, na pleckach, odkrywając brzuszek. Podobno, gdy psy czują się bezpiecznie, kładą się właśnie w takiej pozycji, pozwalając właścicielowi głaskać się po brzuchu. Gdy Helena przyglądała się śpiącej córeczce, często myślała o tym psim zachowaniu, uznając, że małej jest dobrze i błogo. Czy często nasłuchiwała rytmu jej serca? Nie mogła sobie przypomnieć. Zawsze gdzieś się spieszyła, coś trzeba było zrobić, załatwić. Albo była potwornie zmęczona. Tak, to pamiętała dokładnie. Była tak bardzo zmęczona, że raczej nie delectowała się delikatnym pukaniem dobiegającym z klatki piersiowej Moniki. Gdy tylko kładła obok niej głowę, zasypiała kamiennym snem. Snem ciężkim, nieprzynoszącym żadnych obrazów.

Tak bardzo teraz tego żałowała. Przecież mogła słuchać bicia serca swojego dziecka. Czemu tak rzadko to robiła? Gdyby teraz mogła... Gdyby teraz mogła choć raz, ostatni raz poczuć życie córki, oddałaby za tę chwilę wszystko.

Albo czemu nie chodziła z nią częściej na spacer? Mogła pokazać jej to piękne miejsce widokowe w sopockim lesie, w którym ma się wrażenie, że statki oddalone o kilka kilometrów znajdują się na wysokości wzroku. Pewnie zrobił to ktoś inny. Może chodziła tam z przyjaciółmi, a może zaprowadził ją chłopak, który przez jakiś czas był jej bliski. Wielu mieszkańców Sopotu znało to miejsce. Lecz czemu ona nie pokazała go córce pierwsza? Potem Monika zawsze by wspominała, że

to matka ją tam zabrała. Helena nigdy na to nie wpadła. Teraz żadna siła by jej przed tym nie powstrzymała. Ale teraz było za późno. Zdecydowanie za późno.

Przecież zdarzały się w przeszłości takie chwile, gdy naprawdę były razem. Oglądały film, jadły popcorn i śmiały się jak szalone, rzucając w siebie białymi prażynkami. Czasami były takie momenty, ale jakoś nigdy tego nie pociągnęła. Tak jakby coś przygniatało ją do podłogi, a ona nie mogła tego pokonać. Teraz nie dałaby córce odejść, nigdy nie pozwoliłaby, by znalazła się daleko.

Pociąg znów przemknął po szynach, pozostawiając za sobą cichy szum. Helena dojrzała na ścianie cień profilu dziewczyny patrzącej przez okno. Zniknął tak szybko, jak się pojawił.

6

Leopold Bilski podjechał pod zakład karny w Kwidzynie, w którym przebywał Anatolij Marczenko. Nietrudno było namierzyć Pażałstę. Widać jego ksywka przyjęła się w trójmiejskim półświatku, bo w bazie danych przewijała się z mniejszymi lub większymi przerwami mniej więcej od lat dziewięćdziesiątych.

Ceglany budynek przeznaczony dla recydywistów penitencjarnych otoczony był drutem kolczastym. Po południu miało zapaść postanowienie o tymczasowym aresztowaniu Adriana Jakubiaka. To była właściwie formalność – już na tym etapie śledztwa materiał dowodowy jednoznacznie obciążał narzeczonego. Z drugiej strony Bilski czuł, że ta sprawa nie mogła być tak prosta. Intuicja nadal mu podpowiadała, by iść tropem morderstwa sprzed siedemnastu lat, choć Ambroziak stanowczo zabronił prowadzenia jakiegokolwiek śledztwa związanego ze śmiercią Boguckiej. Ale przecież w oczekiwaniu na informacje od Pająka i Kity Leopold mógł spożytkować czas w dowolny sposób.

Po przejściu standardowej procedury kontroli dostał się w końcu do środka. Wyszedł do niego dyrektor Wincenty Mazurek, z którym wcześniej prokurator umówił się telefonicznie.

– Pażałsta jest teraz na zajęciach z malowania – powiedział, wyciągając do Bilskiego rękę. – Nie będzie zadowolony, że mu się przerywa.

– Na zajęciach z malowania? – zdziwił się prokurator, przypominając sobie barczystą, umięśnioną postać Marczenki z policyjnych akt.

– Tak, bardzo je lubi. Twierdzi, że malowanie go „uspokaja”.

Wprowadził Bilskiego do pokoju spotkań.

– Niestety, nie mogę zaoferować bardziej kameralnego miejsca. Mamy obecnie remonty w innych pomieszczeniach. Wie pan, modernizacja, przebudowy, europejskie normy. Jednym słowem idziemy do przodu – powiedział dyrektor, nie kryjąc dumy. – No, zostawię pana. Za chwilę podeślę Pażałstę.

– Dziękuję – odpowiedział uprzejmie Bilski i rozejrzał się.

Przy jednym ze stolików siedziała biuściasta blondynka, która z czułością nachylała się ku wydziaranemu, przypakowanemu gościowi w podkoszulku. Nieco dalej siedział ciemnowłosy typ wyglądający na Latynosa. Dwoje dzieci w wieku przedszkolnym bawiło się na podłodze. Naprzeciwko niego zajmowała krzeselko dość ładna kobieta w zaawansowanej ciąży. Wyglądała na zmęczoną, choć próbowała się uśmiechać, gdy tylko któreś z dzieci niepewnie na nią spojrzało. W sali znajdował się jeszcze jeden osadzony – w średnim wieku, szpakowaty. Jego rozmówca nosił

dobrze skrojony, bez wątpienia drogi garnitur.

„Jak nic papuga” – pomyślał Bilski, choć nie kojarzył twarzy tego adwokata.

Wyłapał strzępki rozmowy blondynki z nakoksowanym kochankiem:

„Jak w końcu załatwisz dla nas osobną salę widzeń, to zrobię ci tak doobrze – zamruczała kobieta.
– A ty jak mi zrobisz, Misiu?”

W tym momencie do pokoju wprowadzono Anatolija Marczenkę. Dość niski, dobrze zbudowany mężczyzna spojrział na prokuratora nieufnie, mrużąc i tak wąskie oczy. Bilski wskazał mu krzesło naprzeciwko siebie i spróbował się uśmiechnąć, choć prawdę mówiąc, widok osadzonego wywołał w nim lekki niepokój.

– Leopold Bilski, prokurator – przedstawił się, wyciągając przed siebie legitymację.

Pażałsta klapnął ciężko na krzesło i chmurnie wpatrywał się w przybyłego.

Bilskiemu zaschło w ustach. Nigdy nie odczuwał specjalnego lęku przed zbrodniarzami, ale w tym było coś takiego, że poczuł dziwną słabość. Pomyślał o czynie karalnym, za który Pażałsta został skazany dziesięć lat temu: morderstwo ze szczególnym okrucieństwem. Żadne zajęcia z malowania ani dobre zachowanie nie przyczynią się do skrócenia dwudziestopięcioletniej odsiadki. Bilski miał świadomość, że milczenie pomiędzy nimi ciągnie się zbyt długo. Wykrztusił więc w końcu:

– Nie zajmę panu dużo czasu. Wiem, że spieszy się pan na zajęcia, więc... mam dosłownie kilka pytań.

Pażałsta siedział z założonymi rękoma. Był tak szeroki w barkach, że czubki jego palców nie dosięgały nawet połowy przedramion.

– Chodzi o Monikę Bogucką. Pamięta ją pan?

Pażałsta nie zareagował. Jego twarz była jak kamienna maska. Prokurator nie mógł z niej wyczytać żadnej emocji.

– Monika Bogucka była dziewczyną Waldemara Mili, pana... hmm, zwierzchnika, że tak to ujmę. Zginęła siedemnaście lat temu. Czy kojarzy pan tę sprawę?

Mężczyzna wpatrywał się tępo w twarz Bilskiego. Gdy prokurator pomyślał już, że niczego się nie dowie, tamten pokiwał nagle głową.

– Świetnie. Jakie były pana relacje z Moniką Bogucką?

Pażałsta milczał przez dłuższą chwilę, aż w końcu wydobył z siebie głos:

– Lubiłem Monikę. Była inna niż reszta. Pogubiła się.

Mówił ze wschodnim akcentem. Dźwięki, które wydobywał z gardła, były dość wysokie. Nie pasowały do jego przysadzistej postury.

– Czemu twierdzi pan, że się pogubiła?

– Chyba sam fakt, że obracała się w towarzystwie ludzi takich jak ja, już o tym świadczy, co nie?

– Tak – potwierdził Bilski, który powoli się rozluźniał.

Pażałsta wydał mu się nagle całkiem sympatycznym facetem, co zważywszy na zbrodnię, za którą siedział, było dość absurdalnym odczuciem.

– W co się wplątała? – spytał Bilski prosto z mostu.

– W Waldka się wplątała. Ten gość to były chodzące kłopoty. Chciał się wybić, ale głupi był, to się nie wybił. Ale też przystojny, to laski do niego ciągnęły. W Monice to naprawdę się zakochał, choć nigdy się do tego przed nikim nie przyznał. Ale ja to dobrze widziałem. Jak Monika przeszła w ręce

Kazara, to wkurwiony był tak, że ciągle jakieś burdy urządzał. Idiota. Zazdrość go zżerała.

– Monika przeszła w ręce Kazara? – zapytał z niedowierzaniem Bilski.

Paźalsta spojrzął na niego z politowaniem i zaczął się śmiać:

– Kurwa, tyle lat minęło, a wy niczego się, widzę, nie dowiedzieliście! Nic dziwnego, że go nigdy nie dorwaliście. Ja pierdołę!

– Kogo? – zawołał Bilski, a wszyscy w sali ucichli i spojrzeli na nich. – Kogo? – Prokurator opanował głos.

– Kogo, kogo? Mordercy. A nie o niego chodzi?! Nic się, widzę, nie orientujecie, ofermę same tam u was siedzą. Ale coś jednak chyba w końcu macie, jeśli nagle pytacie mnie o Monikę, nie? – Osadzony zmierzył Bilskiego wzrokiem i wyraźnie czekał na odpowiedź.

– W sumie nic... nic takiego. – Bilski się zająknął. – Tak tylko sprawdzam stare tropy.

– Taa – mruknął Paźalsta. – Stare sropy. Taki kit to możesz wciskać swojej babci – prychnął, po czym rozejrzał się i z wysiłkiem nachylił ku Leopoldowi. – Zresztą nieważne. Jeśli nadal was ta sprawa interesuje, to coś powiem. Teraz Kazar nad grobem stoi, to już chuj mi może zrobić. Ale i tak żadnych dowodów na niego nie znajdziecie. Inni nie znaleźli, to i ty nie znajdziesz. W każdym razie, jeśli chcesz znać moje zdanie, to oczywiste jest, że to był ktoś, kto latał dla Kazara. Pewnie nie on sam, musiał to komuś zlecić. Kto wie, czy nie Waldkowi. Kazar zawsze miał dziwne poczucie humoru, to pewnie taki pomysł nieźle by go ubawił.

– Czemu uważa pan, że to był Kazar? – Bilski starał się trzymać emocje na wodzy, choć zrobiło mu się gorąco.

– Monika pewnie chciała mówić. Może była w kontakcie z glinami? W sumie nie wiem. Ale na pewno widziała wiele i miała dość. Musiała jakoś się z tego wyplątać. A Kazar wszędzie miał swoich ludzi, więc się dowiedział. A on nie wybaczał zdrady, nigdy. To zabili dziewczynę i wycięli jej usta, jako ostrzeżenie dla innych, którzy chcieliby gadać. To było tak skuteczne, że do tej pory nikt nigdy nie zeznawał przeciwko Kazarowi. Takie jest moje zdanie. Zresztą tak się o tym u nas mówiło, a Kazar nigdy nie zaprzeczył.

Prokurator Bilski milczał. Patrzył w zakratowane okno i starał się uporządkować nowe informacje.

– Kilka dni temu znaleźliśmy młodą kobietę wyrzuconą na brzeg morza. Podobnie jak Monika Bogucka miała wycięte usta.

Paźalsta coś mruknął i znów zmrużył oczy.

– Kazar to już kaleka na wózku. Z tego, co się orientuję, raczej nie robi w branży. Ale może ktoś wziął z niego przykład? Kto wie? Głośno o tym było. Kazara zaczęto traktować z jeszcze większym szacunkiem, ale i ostrożnością. Nie wiadomo było, co mu strzeli do łba. Wszyscy o tym mówili. Nie że zabójstwo, bo to, wiadomo, było na porządku dziennym. Ale że młoda dziewczyna, i to taka... trudno było nie zwrócić na nią uwagi. Chyba każdy od nas ją kojarzył. To nie była taka zwyczajna cizia, co się u nas przewijały. Ona była... inna. Nie pasowała tam. Znalazła się w tym towarzystwie przez przypadek i tak okropnie skończyła. – Paźalsta machnął ręką.

Siedzieli chwilę w milczeniu. W końcu więzień wstał.

– Jeśli nie masz więcej pytań, to ja się zmywam. Malowanie dobrze mi teraz robi – stwierdził.

– W sumie mam jeszcze jedno pytanie. Niezwiązane ze sprawą, ale teraz zaczęło mnie nurtować.

– Dawaj.

– Czemu to zrobiłeś? Dziesięć lat temu. Czemu zamordowałeś tego mężczyznę? – Bilski zdał sobie sprawę, że to zabrzmiało absurdalnie.

– Bo tak było sprawiedliwie – odparł spokojnie Pażałsta i wybuchł donośnym śmiechem.

Jego rechot poniósł się po pomieszczeniach więzienia. Dudnił w uszach Bilskiego jeszcze długo po tym, jak prokurator opuścił teren zakładu.

7

Gdy Bilski dotarł do prokuratury, pozostały dwie godziny do posiedzenia sądu, na którym miał wystąpić z wnioskiem o tymczasowe aresztowanie podejrzanego.

– Gdzie byłeś?! – Ania już spieszyła z kawą dla niego. – Ambroziak zaglądał tu dwa razy. – Przewróciła oczami. – Musiałam mu naściemniać, że przygotowujesz mowę. Choć tak pewnie właśnie było. Czy nie?

– Tak jakby – odparł Bilski. – Jakies wieści od Kity?

– Kita też cię szukał. Prosił, żeby po niego zadzwonić, jak wrócisz. Chyba coś ma – powiedziała Ania i poszła wybrać numer policjanta.

Po kwadransie w drzwiach gabinetu prokuratora stanął Kita. Jego włosy były jak zwykle starannie zaczesane do tyłu, a koszulka z napisem „AC/DC” wyglądająca spod czarnej kurtki nadawała mu wygląd rockmana.

– Ukoooooohasz mnieee – oznajmił, przeciągając słowa, wyraźnie z siebie zadowolony.

– Zobaczmy – mruknął Leopold. – Co mamy?

– No więc ten Jakubiak ogólnie czysty. Żadnych powiązań ze światkiem. Obraca się głównie w towarzystwie handlowców. Koledzy z dzielni też niezamieszani.

– Półtorej dekady temu też?

– Nazwisko nie wyskakuje w żadnej bazie. Żadnego połączenia z Miłą, Watą czy Kazarem ani też innym szanowanym przedstawicielem ciemnej strony.

– To za co te uściski, Kita, co? – mruknął sceptycznie Bilski.

– Czekaaj, czekaaj. Jednak będzie chyba dziś jakieś buzi. Monika Bogucka... – Kita zawiesił głos, czekając na aplauz.

– Kita, bo nie ręczę za siebie. Uczą was, jak przeciągać strunę, na jakimś szkoleniu czy co?

– Dobra, dobra. Po co te nerwy, Leoś? Może byś chociaż kawkę zaproponował, bo zmarłem jak cholera. – Kita zatarł ręce i kilka razy w nie chuchnął.

– Kawka będzie, jak zasłużysz. A teraz nawijaj, bo zaraz mam posiedzenie.

– Okej. Okej. – Kita dał za wygraną. – No więc, Adrian Jakubiak mógł znać Monikę Bogucką.

– Zamieniam się w słuch – syknął coraz bardziej zniecierpliwiony Bilski.

– Jakubiak, tak jak Bogucka, chodził do sopockiej dwójki. Był w klasie od niej wyżej, bo raz siedział.

Bilski pokiwał głową.

– Dobra, na małą kawę zasłużyłeś – stwierdził.

– To nie wszystko. Jego najlepszy przyjaciel, Tomek Piechowicz, był chłopakiem Moniki przez pierwsze półrocze jej pierwszej klasy. Więc raczej nie ma siły, żeby się nie poznali. Co ty na to?! –

Kita zabębnił dłońmi o uda, jakby grał na perkusji.

– Jakież hipotezy dotyczące motywu? – spytał Leopold.

– Jakubiak to szaleniec zabijający z zazdrości. Jeśli nie może mieć dziewczyny albo ta dziewczyna wymyka mu się z rąk, topi ją w najbliższym zlewie i wycina jej usta symbolizujące kobiecość, której nie mógł posiadać – oznajmił z patosem Kita.

– Niby do obronienia – przyznał Bilski. – Dobra robota. Słuchaj, ja już muszę się zbierać, ale mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie.

– Wal.

– Martyna Kaleta i ciemna strona. Jakikolwiek powiązania, znajomości, coś, co mogłoby prowadzić do świata przestępczego.

Prokurator chwycił akta pod pachę i skierował się do drzwi.

– A! – Odwrócił się jeszcze w progu. – I poszperaj, proszę, jak mafia traktuje ludzi, którzy za dużo gadają.

8

Helena Bogucka z wysiłkiem wniosła po schodach kilka siatek z zakupami i postawiła je na podłodze w kuchni. Zdjęła eleganckie spodnium, które miała na sobie w pracy, i włożyła wygodny dres. Włączyła radio i zatrzymała się na stacji nadającej *Piechotę do lata* Bajmu. Uwielbiała tę piosenkę. Kojarzyła jej się z początkiem studiów, beztróskim czasem, gdy myślała, że świat jest stworzony właśnie dla niej. Podgłośniła. Muzyka rozbrzmiała w całym mieszkaniu. Helena zaczęła rozpakowywać zakupy, poruszając się w takt muzyki. Dzisiaj w końcu odetchnęła. Adrian Jakubiak, narzeczony tej biednej dziewczyny znalezionej na plaży, został tymczasowo aresztowany w celu zabezpieczenia prawidłowego toku postępowania. Odkryto nagrania, na których śledził swoją dziewczynę tuż przed jej zniknięciem. Dowody były raczej niezbite i aresztowanie stanowiło tylko formalność – tak powiedziała jej koleżanka z wydziału karnego.

„Niedługo znów wszystko wróci do normy” – pomyślała niemal zadowolona. Nikt nie będzie jej nagabywał. Skończą się te dziwne spojrzenia z ukosa. Ludzie przestaną być dla niej przesadnie uprzejmi. Wszystko znów będzie takie samo. Bezrefleksyjne i automatyczne. Potrzebowała swojej rutyny. Tylko ona pozwalała jej funkcjonować.

Helena otworzyła czerwone wino i naląła sobie dużą lampkę. Dziś miała ochotę na spaghetti. Pokroiła cebulę i czosnek, które po chwili zrumieniły się na gorącym oleju. Dodała paprykę, świeże pomidory, oliwki i serek ricotta. Na końcu starła parmezan. Odcedziła idealnie ugotowany makaron. Wszystkie te czynności sprawiały jej przyjemność. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz tak dobrze jej się gotowało. Czerwone wino smakowało wybornie. Napełniła kieliszek po brzegi, nałożyła sobie porządną porcję makaronu i przeszła do dużego pokoju. W radiu leciało właśnie Queen. „Don't stop me now” – śpiewał Freddie Mercury. Przy tym kawałku tańczyła pewnej nocy z Tadeuszem. Chyba na jakiejś studenckiej imprezie w akademiku. Uśmiechnęła się do siebie. Tadeusz. Myśl o nim miło połaskotała ją w brzuchu. Tak jakby tamto w ogóle się nie wydarzyło. Jakby złe wspomnienie przestało się wiązać z jego osobą. Byli wczoraj na spacerze. Przechadzali się sopockimi uliczkami, przyglądając się kamienicom. Postali chwilę na mostku niedaleko dworku Sierakowskich, gapiąc się

w milczeniu w dół. Potem poszli na deser do malutkiej kawiarni, która przetrwała od ich czasów studenckich. W sumie przemierzili swoją stałą drogę z dawnych lat, niczego nie ustalając, idąc po prostu przed siebie. Niewiele mówili. Niemal nie rozmawiali. Żadne z nich nie czuło potrzeby, by wypełnić ciszę słowami.

Tadeusz odprowadził ją pod bramę osiedlową. Nie proponował mu, by wszedł. On też nie naciskał. Dawał jej przestrzeń. Wiedział, że właśnie tego potrzebowała. To niesamowite, jak dobrze ją znał. Od zawsze. Nawet teraz, choć minęło tyle lat, a ona tak bardzo się zmieniła, potrafił z niej czytać jak z książki. Może odczytywał ją lepiej niż ona sama siebie.

Nawinęła makaron na widelec i wsunęła do ust. Popiła czerwonym winem. Smakowało jej. Dawno nie jadła posiłku w tak dobrym nastroju, który pobudził jej kubki smakowe. Zadzwoił telefon. Spojrzała na wyświetlacz: Roman. „Roman były mąż” – dokładnie tak zapisała go w kontaktach. Skrzywiła się. Nie miała ochoty odbierać. Muzyczka wybrzmiała do końca, a ona nie nacisnęła zielonego przycisku. Jadła dalej, ale nie czuła się już tak zrelaksowana. Jakby coś nad nią zawisło i zepsuło jej aurę.

„Cholerna służbistka” – pomyślała o sobie. Czy nie mogłaby tak po prostu zbagatelizować tego telefonu, udać, że wcale nie zadzwonił?

Nie potrafiła. Czuła, że musi oddzwonić, bo będzie ją to męczyło. Będzie gniotło w żołądku, dopóki nie wykona działania.

Nacisnęła zieloną słuchawkę. Po chwili usłyszała tubalne „halo”. W tle dało się słyszeć śmiechy i dziecięce piski. Kilkakrotnie zaszczekał pies. Przed oczami Heleny stanął dom z kominkiem na gdyńskiej Dąbrowie, złotowłosey labrador, nastoletnie dzieci i jeden mały chłopiec biegnący po salonie. Idylla, w której żył teraz jej były mąż.

– Halo, Heła? – powtórzył Roman.

– Tak, cześć. Dzwoniłeś – stwierdziła Helena.

– Tak, dzwoniłem. Chciałem, to znaczy chcieliśmy się dowiedzieć, jak się czujesz. Kornelia bardzo się o ciebie martwi. Wiesz, cała ta sytuacja z tą dziewczyną na plaży...

Helena przymknęła powieki. Kornelia się o nią martwi. Też coś. Jakby nie miała się o kogo troszczyć. Bogucką strasznie drażniła ta jej przesadna uczuciowość, ta nieustanna afektacja, ta ciągła dbałość o innych. Do wyrzygu. Już sam dźwięk imienia Kornelia wywoływał u niej mdłości.

„Anioł, nie człowiek” – pomyślała sarkastycznie i niemal prychnęła do słuchawki.

– Dziennikarze pewnie cię zadreczają? – ciągnął Roman. – U nas też byli. Stali pod domem przez dwa dni. Dzieciaki zdezorientowane. Sąsiedzi ciekawi. Teraz już nikt na nas nie patrzy normalnie. Kornelia się zdenerwowała. Jakies napary ziołowe sobie robi, na uspokojenie...

Helena prawie nie słuchała. Przytakiwała co jakiś czas, rzucała uniwersalne „aha”. Nie miała ochoty na opowieści o rodzinie Romana. Nic jej nie obchodziły. Czy winiła męża, że tak szybko się ustatkował po rozwodzie? Że tak szybko zdecydował się na nowe dzieci? Że potrafił iść dalej po śmierci Moniki? Nie. W zasadzie nie. Po części nawet była zadowolona. Miała mniejsze wyrzuty sumienia, że gdy Monika zniknęła, ona nie potrafiła już z nim być. Nie umiała go pocieszyć, nie mogła nawet na niego patrzeć. Oddalili się od siebie jeszcze bardziej, choć trudno uwierzyć, że można było być dalej niż oni przez te wszystkie lata małżeństwa. Roman cierpiał. Widziała to doskonale. Cierpiał tak samo jak ona. Ale nie potrafiła okazać mu choćby krztyny ciepła. Nie

pozwoliła mu wypłakać się na swoim ramieniu. Nie umiała wyjść poza własny ból.

To dobrze, że tak szybko zjawiała się Kornelia. Uratowała go. Helena była tego pewna. Ale to nie sprawiało, że nowa żona Romana stawała się mniej irytująca. Jej usposobienie miało w sobie coś, czego Helena nie mogła znieść. Stanowiły swoje całkowite przeciwieństwo.

– Byliśmy ostatnio na grobie Moniki. – Helena wyłapała nagle słowa eksmęża. – Smutno tam tak. Żadnych kwiatów. Kupa śniegu na płycie. Zdjęcie przybrudzone od deszczu. Posprzątaaliśmy z Kornelią. Kupiliśmy kwiaty. Sztuczne, wiesz, żeby dłużej poleżały, bo przy takiej pogodzie to świeże zaraz by zwiędły...

Tak, Helena nie chodziła na grób córki. W ciągu siedemnastu lat była tam raptem kilka razy. Ludziom wydawało się to dziwne. Nawet niepojęte. „Jak matka może nie dbać o grób własnej córki?” – szeptali za jej plecami. Ale Helena nie mogła się przemóc. Gdy stawała nad marmurowym nagrobkiem, przyglądała się czarno-białemu zdjęciu w owalnej srebrnej ramce, patrzyła na wysoki krzyż, odczytywała wyryte i pomalowane na złoto litery: „Zmarła śmiercią tragiczną”, na które uparł się Roman, wydawało się jej, że znajduje się w makabrycznym świecie Freddy’ego Kruegera. Nie czuła Moniki. Nie było jej tam. Jej dusza nigdy nie zatrzymała się w tym miejscu. Było tam tylko okaleczone, zdeformowane ciało jej dziecka, zjadane przez robaki i okrutny czas.

Ludzie nie rozumieli, dlaczego nie przychodziła na cmentarz. „Czemu nie odwiedzasz Moniki” – spytał ją kiedyś Roman. To słowo – „odwiedzać” – zawsze uderzało w nią jak obuch. „Odwiedzać można tylko żywą istotę!” – miała ochotę krzyknąć. Och, jacy ludzie byli śmieszni z tym wymyślaniem słów niosących pociechę, z tym posługiwaniem się pojęciami, które miały mniej boleć. Łudzili się, że jak przychodzą na cmentarz, to umarli ich słyszą. Wmawiali sobie, że mogą sobie przysiąc na ławeczce, porozmawiać ze zmarłym, trochę się pożalić. Dzięki temu czuli się lepiej. Mniej samotni, mniej opuszczeni, pewnie mniej puści. Na nią to nie działało. Nie wierzyła, że Monika słyszy jej słowa. Ani na cmentarzu, ani w żadnym innym miejscu, do którego by się udała. Monika jest gdzieś indziej albo Moniki nie ma. W sumie Helena nie wiedziała, która wersja jest dla niej mniej obciążająca emocjonalnie. Czy to w ogóle robi jakąś różnicę?

Przypomniała sobie, jak kilkanaście miesięcy po śmierci Moniki na cmentarzu spotkała Romana i Kornelię. To było chyba jakieś święto. Dzień Wszystkich Świętych? Wigilia? A może rocznica urodzin Moniki? Nie pamiętała. Tamte miesiące zlewały się jej w jedną czarną linię. Kornelia była wtedy w ciąży. Jej płaszcz opinał się na wystającym brzuchu. Gdy się żegnali, podeszła do płyty nagrobnej i wyciągnęła rękę. Z czułością pogładziła twarz Moniki na zdjęciu i coś do niej szepnęła. Uściskała Helenę i oddaliła się z Romanem. Helena stała bez ruchu. Przez pierwszą minutę była tylko zdziwiona, ale gdy mijały kolejne sekundy, rosła w niej wściekłość.

„Jakim prawem ta kobieta dotyka zdjęcia mojej córki? Jakim prawem gładzi Monikę po twarzy, jakim prawem wyciąga do niej dłoń!” – powtarzała w myślach coraz bardziej zła.

Ale w głębi duszy wiedziała. Wiedziała, że nie chodzi o rękę Kornelii wyciągniętą do zdjęcia Moniki. Tak naprawdę Helena była zazdrosna. Nie o Romana. Nie, to w ogóle nie miało znaczenia. Była zazdrosna o wiarę. O wiarę, której jej brakowało. O pociechę, którą ludzie czerpali z wiary. O to dzikie, nierealne wyobrażenie, że mogłaby jeszcze kiedykolwiek porozmawiać z córką. Że Monika usłyszałaby jej słowa.

– Dobrze, że od razu znaleziono sprawcę – mówił Roman. – Chłopaka aresztowali, jest na

nagraniach, więc raczej trudno, żeby się wywinął. Całe szczęście. Wiesz, dla rodziców tej dziewczyny, ale i dla nas. Przesną nas zamęczać. Można będzie iść dalej. Zapomnieć... to znaczy... yyy... – Roman się zająknął, bo chyba dotarło do niego, jak to mogło zabrzmieć. – To znaczy na tyle, na ile można zapomnieć. Wiadomo, o śmierci dziecka zapomnieć się nie da. No w każdym razie całe szczęście, że policja tak sprawnie działa.

– Taak – zgodziła się Helena.

Zdała sobie sprawę z tego, że właściwie tak samo dziś myślała. Jakkolwiek było to okrutne i płytkie. Chciała iść dalej. Bardzo chciała zapomnieć. Jednocześnie nie była w stanie sobie na to pozwolić. Tak jakby jej kara nie dobiegła końca. Nie dopilnowała własnego dziecka. Nic nie wiedziała o jej życiu. Nie interesowała się. Zdecydowanie nie mogła sobie tego tak łatwo przebaczyć.

– Słuchaj. – Coś nagle przyszło jej do głowy. – Coś sobie ostatnio przypomniałam. Naszą rozmowę. Kiedyś. Dawno temu. Jeszcze przed... No wiesz... Nie daje mi to spokoju przez ostatnich kilka dni.

– Tak? – zainteresował się Roman. – O co chodzi?

– Pamiętasz, byłam zła, że wplątałeś się w jakieś bagno w pracy. Współpracowałeś z jakimiś bandziorami. Wszyscy o tym mówili. I ty mi wtedy powiedziałeś... nie wiem, czemu wcześniej tego nie skojarzyłam, ty mi wtedy powiedziałeś, że nic nam nie grozi, że się tym zajmiesz. Że nas ochronisz. Nie pamiętam, jak to wtedy dokładnie sformułowałeś. Ale taki miało to wydźwięk.

Roman milczał.

– Słyszysz mnie, Roman?

– Tak – odparł cicho. – Nie wiem, nie pamiętam. To było tyle lat temu. Czemu pytasz?

– Wiesz, ja zupełnie o tej rozmowie zapomniałam. Zresztą weszła Monika i więcej do tego tematu nie wróciliśmy. Ale ostatnio rozmyślałam. Sprawa tej dziewczyny... Jakoś znowu zaczęłam to wszystko analizować. I nagle przypomniałam sobie te twoje słowa. I wszystko stało się jasne.

– O czym tym mówisz, Hela?

– Jakby umysł zaczął dopiero teraz przetwarzać. – Helena mówiła jak w transie. – Wszystko zrozu miałam. Tak... – Zawiesiła głos.

– Co zrozu miałaś, Hela? – Głos Romana stał się nerwowy.

– To ty. To przez ciebie. To przez ciebie zginęła nasza córka.

Helena zakończyła połączenie. Wpatrzyła się w okno. Umysł nie przestawał pracować. Spaghetti dawno ostygło.

9

Adrian Jakubiak siedział w pokoju przesłuchań. Wyglądał naprawdę koszmarnie. Pod oczami rysowały się szare cienie. Policzki miał zapadnięte, włosy skołtunione. Kilkudniowy zarost dodał mu kilka dobrych lat. Leopold Bilski wraz z Pajakiem przyglądali mu się zza weneckiego lustra.

– Coś marnie wygląda nasz Hannibal – sarkastycznie stwierdził Kita, który w tej chwili wszedł do pomieszczenia.

– Do Hannibala to mu jeszcze daleko – kąśliwie odpowiedział Bilski. – Ale na necie natknąłem się na ksywki Lipstick i Lipstar. Pojawiło się też określenie Cążki. Nie sądzę, żeby się przyjęło.

– To może Skalpel – rzucił Pająk. – To chyba byłoby chwytliwe?

Prokurator ciężko westchnął.

– No dobra, panowie. Pora brać się do pracy. Przydomkami niech się zajmą pismaki. Kita, udało się ci coś ustalić?

Bilski zwrócił się do policjanta, który nadal z głupim uśmiechem przyglądał się Jakubiakowi. Kita wydobył spod pachy aktówkę i rzucił ją na blat stolika.

– Niestety, namierzenie, z kim Martyna Kaleta rozmawiała przed zniknięciem, jest bez szans.

– Ej, no bez kitu, Kita, mamy dwudziesty pierwszy wiek! – zdenerwował się Bilski.

– Dzwoniono z jakiegoś klekota, nie ze smartfona czy nawet starego feature phone’a. Najprostszy model kupiony pewnie za granicą w lombardzie albo od jakiegoś ziomala na ulicy. W każdym razie dane abonenta nie do ustalenia, nawet dla mojego jajogłowego kolegi.

– A karta SIM?

– Wydawałoby się, że dystrybutor powinien wiedzieć, do jakiego kiosku czy sklepu przekazał daną partię numerów, nie?

– No.

– Niestety nie. Okazało się, że to zupełna loteria. Zresztą nawet gdybyśmy namierzyli sklep, a koleś płaciłby gotówką, to i tak nie doszlibyśmy do tego, kto kupił numer.

– A monitoring? Jeśli osoba wykonująca telefon połączyła się ze stacją bazową na Augustyna Kordeckiego, to musiała złapać ją też tam jakaś kamera.

– Też o tym pomyśleliśmy. Niestety, na Kordeckiego monitoringu brak, choć i tak nie jest powiedziane, że dzwoniono właśnie stamtąd. Telefon znajduje się zazwyczaj w zasięgu kilku stacji bazowych, przy czym wybiera do połączenia stację o najsilniejszym sygnale, czyli oczywiście najbliższą. Ale nawet jeśli znamy tę lokalizację, to granica błędu określenia pozycji dzwoniącego wynosi kilkadziesiąt metrów.

– Nie udało się skorelować danych o połączeniach telefonu ze stacją bazową razem z monitoringiem?

– Normalnie można byłoby zdefiniować przybliżoną trasę na podstawie sekwencji połączeń telefonu z poszczególnymi stacjami bazowymi, a nawet prędkość poruszania się abonenta, ale nasz rozmówca się nie przemieszczał. Pozostaje nam przejrzanie monitoringu z najbliższych okolic, czyli z Łazienek Południowych, w tym przede wszystkim z Parku Kaczyńskich, choć w sobotni wieczór kręciło się tam mnóstwo osób i pewnie co druga miała w ręce telefon. Sprawdzenie wszystkich zajmie nam kilka dobrych dni i nie daję gwarancji, że wśród nich znajdzie się, ehm, Skalpel. – Kita z uśmiechem popatrzył na Pajaka.

Bilski przewrócił oczami.

– No dobra. A towarzystwo Kalety? Ktoś podejrzany?

– Też na razie nic. Ale pracuję nad tym. Może uda się nawinać jakiś kłębek.

– Aha. Czyli dupa. W sumie nic nowego – skonstatował Leopold.

– Ale za to zgłębiłem trochę mafijny słownik – pochwalił się Kita.

– I?

– „Zabij jednego, a przestraszysz dziesięć tysięcy” – to hasło sycylijskiej mafii. Mafiosi w myśl tej zasady dokonują najbardziej wymyślnych, makabrycznych zbrodni, które mają wywoływać strach

i pozostać w ludzkiej pamięci na długo. Wyjątkowo chore formy morderstw zarezerwowane są dla członków mafii, którzy poszli na współpracę z policją. Sposób morderstwa ma nawiązywać do przestępstwa, jakiego się dopuścił. Czyli jeśli wydlubano mu oczy, oznacza to, że za dużo widział, jeśli obcięto uszy – za dużo słyszał. Odcięte genitalia świadczą o amorach z kobietą innego mafiosa.

– Słyszałem o przypadkach, w których odcięte klejnoty wkładano w usta ofiar. Przekaz dość dosadny, nie? – Pająk zaśmiał się ponuro, po czym przesadnie wzdrygnął.

Przez chwilę panowało ciężkie milczenie.

– Taaa – podjął w końcu Kita. – W każdym razie, odchodząc od przemiłej kwestii genitaliów, włoscy chłopcy mają jeszcze coś, co określają mianem omerty. To nic innego jak nakaz milczenia. Jak ktoś się rozpruje o tym, co się dzieje w środowisku, to obcina mu się język. Nie natknąłem się na przypadki wycinania ust. Ale symbolika i w tym wypadku może być dość czytelna, choć każda mafia ma swój własny kodeks i system znaków. U nas może to wyglądać inaczej. Niestety, nie dokopałem się do żadnej encyklopedii polskiej tradycji mafijnej. Z doświadczenia wiemy, że przypadki podobne do tych, o których wspomniałem, miały też miejsce na naszej rodzimej glebie.

– Niezły research, Kita. – Pająk kilkakrotnie klasnął w dłonie. – Bidulku, my tu uganiamy się za przestępcami, a ty musiałeś cały dzień przesiedzieć w bibliotece. Niedługo sam przywdziejesz flanelę. – Zaśmiał się tubalnie.

Kita rzucił mu spojrzenie pod tytułem „pocałuj mnie w dupę” i podjął wywód:

– No i w mafijnych zbrodniach ważny jest nie tylko sposób zabijania, ale też miejsce pozostawienia zwłok. W takim kontekście trzeba byłoby się zastanowić, czemu komuś zależało, żeby ciało wypłynęło na plaży. Nie było niczym obciążone, więc zabójca dążył do tego, żeby zostało odnalezione. Nie miał zamiaru ukrywać swojej zbrodni.

Leopold Bilski pokiwał głową. Nie była to nowa myśl, ale czasami coś musi zostać powiedziane, żeby pewne szczegóły nabrały znaczenia. Pająk też milczał – powstrzymał się przed kolejną szyderczą ripostą. Wszyscy znów popatrzyli przez lustro weneckie na Adriana Jakubiaka. Zastanawiali się, co też mogło się kryć w zakamarkach chorego umysłu mordercy Martyny Kalety.

10

– Adrian. Nie ściemniaj. – Kita nachylił się nad Jakubiakiem. Głęboko się zaciągnął. – Zaczynasz śmierdzieć, a to dobrze ci nie wróży.

Adrian Jakubiak skurczył się w sobie i Leopold Bilski był pewien, że dostrzegł w jego oczach łzy. Czuł, że Jakubiak powoli mięknie.

– Panie Adrianie, to jest ostatni moment, żeby powiedział pan, co tak naprawdę zdarzyło się tej nocy. Nie podważy pan nagrań z kamery. Był tam pan. Szedł pan za narzeczoną. Jest pan ostatnią osobą, która widziała ją żywą.

Aresztowany nadal milczał, choć Bilskiemu wydało się, że zrobił się jeszcze mniejszy. Prokurator wyczuwał jego strach. Był tak widoczny, że niemal unosił się nad Jakubiakiem niczym chmura papierosowego dymu.

– Okej. Jeśli nie chce pan mówić o Martynie Kalecie, to zacznijmy od początku. Monika Bogucka. Adrian Jakubiak nie zareagował. Wcisnął głowę w ramiona. Wzrok wlepił w blat stołu.

– Monika Bogucka. Jak dobrze ją pan znał? – spytał już bardziej natarczywie Bilski.

Aresztowany podniósł w końcu na prokuratora pustą, zmęczony wzrok.

– Nie znałem jej – oznajmił cicho.

– Proszę spojrzeć. Może jednak pan sobie przypomni. – Bilski podsunął Jakubiakowi zdjęcie Moniki Boguckiej. – Nic? Nie kojarzy pan?

– Nie – odparł stanowczo Jakubiak i lekko się wyprostował.

– Hmm, a to ciekawe, wie pan? Bo tak się składa, że chodziliście do tej samej szkoły. II LO w Sopocie.

Jakubiak znów skurczył się w sobie.

– A Tomka Piechowicza pan kojarzy? Pański przyjaciel z lat licealnych. Ponoć trzymaliście się razem przez całą szkołę średnią.

Adrian mocno zacisnął usta. Rzucił Bilskiemu wrogie spojrzenie.

– A co to ma do rzeczy? – wycedził przez zęby.

– Tomek Piechowicz potwierdził, że spotykał się z Moniką Bogucką przez kilka miesięcy. Chodziła wtedy do pierwszej klasy. Wy byliście w trzeciej.

– Nie wiem. Nie pamiętam. Tomek ciągle się z kimś spotykał. Ksywę Don Juan miał – rzucił zgryźliwie Jakubiak.

– Don Juan, mówi pan? To nie zmienia faktu, że znał pan Monikę Bogucką. – Bilski wziął do ręki dokumenty, przerzucił kilka kartek. – Jak to szło? – zastanowił się na głos. – A, tak. Cytuję: „Byliśmy razem na kilku imprezach. Adi mi jej zazdrościł. Długo nie mógł uwierzyć, że wyrwałem taką dupę”.

Adrian Jakubiak zrobił się czerwony.

– Pierdolenie! – krzyknął. – Faktycznie było czego zazdrościć! Laska z wielkim zadem i krzywymi zębami! – Zamilkł, uświadomiwszy sobie, że popełnił duży błąd.

– A więc Monika Bogucka nie była w pana typie? – udał zdziwienie prokurator. Popatrzył na Kitę, który stał pod ścianą za Jakubiakiem z założonymi rękoma i szeroko się uśmiechał. Leopold ledwo się powstrzymał, by wyrazem twarzy nie zdradzić zadowolenia. – Bo mnie się z kimś kojarzy. – Podsunął Jakubiakowi kolejne zdjęcie.

Martyna Kaleta była naprawdę podobna do Moniki Boguckiej. Obie dziewczyny patrzyły w obiektyw pełne powagi. Miały w sobie coś z włoskich gwiazd kina lat pięćdziesiątych.

– Podobne, nieprawdaż? – Bilski nachylił się nad zdjęciami i przeniósł wzrok na Adriana. – Nie w pana guście?

Jakubiak wpatrywał się w zdjęcia jak zahipnotyzowany. Widać było, że bije się z myślami.

– Dwie ofiary. Dwie podobne do siebie młode kobiety. Obie utopione i okaleczone w ten sam sposób. Obie pan znał. Za ostatnią szedł pan w noc jej zniknięcia. Nagranie pokazuje, jak wchodzi pan za Martyną Kaletą na plażę. Potem już nikt nie widział jej żywej – perorował Bilski, przechadzając się spokojnie po pokoju przesłuchań. – Hmm. Podwójne morderstwo. To będzie jakieś... dożywotnie więzienie. Jak nic. – Prokurator zatrzymał się i rozłożył ręce. – Jakkolwiek by kombinować, nie wywiniesz się. Chyba że... – zawiesił głos. – Przedstawisz nam inną historię. Powiesz, jak było z twojej perspektywy. No, nadal wierzę, że masz coś na swoją obronę. Jak widzisz, chcemy ci pomóc. Tylko nam coś daj, okej?

Adrian Jakubiak drgnął. Spojrzał na Bilskiego nieufnie. Szacował swoje szanse.

– Dobra, powiem, jak było. Ale wy i tak mi nie uwierzycie. Już uznaliście mnie za winnego.

– Spróbuj nas przekonać – odparł prokurator i wysilił się na nikły uśmiech.

– Od kilku miesięcy spotykałem się z Wiolettą. Poznałem ją na jednym z wyjazdów służbowych i coś zaiskrzyło. Ona wiedziała, że mam narzeczoną. Mówiła, że jej to nie przeszkadza. A mnie... podobało się, że mam tajemną kochankę. Kochałem Martynę, i to bardzo. Ale ta presja ślubu, codzienność, to wszystko mnie przytłaczało. Potrzebowałem odskoczni. I Wioletta stała się taką odskocznia. Spędzałem u niej kilka wieczorów w miesiącu. Wszystko było dobrze, dopóki Martyna nie zaczęła się dziwnie zachowywać. Stała się jakaś taka odległa. Mniej czuła. Nie wiem. Ciągłe patrzyła na mnie z wyrzutem, denerwowała się, robiła mi awantury o byle co albo się obrażała. Najpierw bałem się, że coś przeczuwa albo się domyśla. Przewornie kasowałem wszystkie esemesy od Wioletty, czyściłem telefon nawet z wybieranych do niej połączeń. Ale potem coś mnie tknęło i zacząłem obserwować Martynę. Wieczorami wychodziła częściej niż kiedyś, przyłapałem ją kilka razy w nocy, jak z kimś pisała. Chciałem wejść w jej wiadomości, ale zawsze nosiła telefon ze sobą. Zabierała go nawet, kiedy szła do toalety, a przecież tak to nigdy nie mogłem się do niej dodzwonić, bo zawsze go gdzieś zostawiała i o nim zapominała. To wszystko wzbudziło moje podejrzenia. Zacząłem się czuć oszukiwany i zazdrosny, naturalnie. A im bardziej się czułem zazdrosny, tym bardziej mi miłość do niej wracała i jakoś ta cała Wioletta wydała mi się zupełnie nijaka i niepotrzebna. W piątek miałem zostać u niej, ale się pokłóciliśmy. Zaczęła grozić, że powie o nas Martynie. Wściekłem się i powiedziałem, że wracam do domu. Zdałem sobie sprawę z tego, jaki jestem głupi. Widziałem, że Martyna wychodzi wieczorem z koleżankami, więc pojechałem prosto do Sopotu. Czułem wielkie pragnienie, żeby ją zobaczyć. Zaparkowałem niedaleko Monciaka i gdy szedłem w stronę Spatifu, zobaczyłem ją. Wysiadła z taksówki na Królowej Jadwigi. Rozmawiała z kimś przez telefon. Zatrzymałem się i czekałem, aż mnie zauważy. Ale ona przeszła kilka metrów ode mnie i zupełnie nie zwróciła na mnie uwagi. Była cała roześmiana, zadowolona. Chciałem do niej podbiec, ale powstrzymałem się. Zacząłem iść za nią. Promenada była pusta, więc szedłem dość daleko. Zobaczyłem, że skręca na plażę. Powoli też podszedłem do tego wejścia i rozejrzałem się, czy nikt nie idzie. No, na przykład ten koleś, z którym szła się spotkać, jak dedukowałem. Chciałem ją przyłapać na gorącym uczynku. Ostrożnie wszedłem na plażę. Ale tam nikogo nie było. Było ciemno, wiał wiatr. Rozglądałem się, poszedłem w jedną i drugą stronę, dotarłem do brzegu. Nic. Martyny nie było. Jakby zapadła się pod ziemię. – Jakubiak ciężko westchnął. – Wiem, że to brzmi absurdalnie, ale taka jest prawda! Pobiegłem brzegiem morza w stronę Gdańska. Rozglądałem się, ale plaża była pusta. Zacząłem szukać telefonu. Chciałem do niej zadzwonić i spytać, gdzie jest. Albo usłyszeć gdzieś dzwonek telefonu. Ale zorientowałem się, że zostawiłem komórkę w aucie. Zawsze przyczepiam ją w trasie do szyby na wysięgniku. Więc zawróciłem i popędziłem plażą w stronę auta. Zajęło mi to może jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut. Wybrałem jej numer, ale telefon był wyłączony. Wściekłem się, że tak mnie niewierna suka wyrolowała. Poszedłem do pierwszej knajpy z brzegu. Piłem całą noc, szwendając się po klubach. Rozglądałem się za narzeczoną, ale jej nigdzie nie było. Co jakiś czas wybierałem jej numer. Abonent był czasowo niedostępny. Nie pamiętam, o której wróciłem do domu. Pewnie późno. Spałem ciężko do południa. Kiedy się obudziłem, w pokoju nikogo nie było. Stwierdziłem, że musiała wrócić po mnie i wstać rano do pracy.

– Nie zaniepokoiło pana, że Martyny nie było w domu, gdy sam pan dotarł do mieszkania, cytując:

„pewnie późno”.

– Nie wiem. Nie myślałem. Byłem zalany. Po prostu się położyłem i zasnąłem.

Bilski pokręcił głową. Historyjka nie brzmiała zbyt wiarygodnie. Występował tutaj tajemniczy mężczyzna, z którym Martyna być może umówiła się na schadzkę. W końcu rozmawiała z kimś tuż przed wejściem na plażę i na pewno nie był to Adrian Jakubiak.

– Jak pan sądzi, kim mogła być ta osoba, z którą w pana przekonaniu umówiła się pana narzeczona, czy inaczej, kim mógł być mężczyzna, z którym wcześniej Martyna potencjalnie wymieniała esemesy?

– Nie mam pojęcia. Niestety. Cholera, jestem na siebie wściekły, że wcześniej tego nie wybadałem! Ale choć coś podejrzewałem, to jednak ciągle wmawiałem sobie, że to nieprawda, że nie mogę mierzyć Martyny swoją miarą, że sobie coś wymyśliłem. W sumie nie miałem żadnych wielkich dowodów niewierności. Ale teraz... teraz jestem pewien, że ten ktoś... że ten ktoś ją zabił! Boże! – krzyknął Jakubiak i wybuchł płaczem.

Bilski przyglądał mu się z zaciekawieniem. Adrian po raz pierwszy okazał jakieś emocje związane ze śmiercią Martyny. Czy to była tylko gra? A może po prostu płakał nad sytuacją, w której się znalazł? Użalał się nad sobą? Trudno powiedzieć. Bilski z jednej strony mu nie ufał, z drugiej jednak – nie mógł sobie wyobrazić tego gościa w roli maniakałnego mordercy.

– No dobrze. A Monika Bogucka? Znał ją pan w końcu czy nie?

– Nie. To znaczy tak. Tak jakby – wydukał przez łyżę Jakubiak. – No, kojarzę ją jak przez mgłę z dawnych czasów. Faktycznie kręciła przez jakiś czas z Tomkiem. Ale potem wypadła z paczki. Jakieś dwa lata później zaginęła. No i znaleziono jej ciało. W szkole było o tym głośno. Kwiaty na ołtarzykach laski kładły. Po chwili sprawa ucichła. Nie myślałem o tym aż do momentu, gdy jej nazwisko padło w mediach w związku ze śmiercią Martyny. To tyle. To cała prawda. Nic więcej nie wiem. Naprawdę. Musicie mi uwierzyć! – Jakubiak znów zaniósł się płaczem.

Prokurator wiedział, że dziś nie wyciągnie z niego nic więcej. Kiwnął do Kity, żeby odprowadził Jakubiaka do celi. Tymczasem przez głowę przemknął mu jakiś obraz. Wiedział, że było to coś ważnego, ale nie potrafił go przywrócić.

11

Prokurator Bilski wracał już do domu, gdy nagle postanowił zjechać na osiedle Dolina Gołębiowska. Zaparkował samochód niedaleko bramy i zerknął na zegarek. Dochodziła dziewiętnasta. Niezbyt odpowiednia pora na niezapowiedziane wizyty, ale z drugiej strony jeszcze nie za późna. Wysiadł z samochodu i szybkim krokiem skierował się do furtki. Wcisnął guzik domofonu. Deszcz zdążył już zelzeć, choć nadal małe kropelki osiadały mu na ubraniu i moczyły włosy. Prokurator skulił się odruchowo, chowając brodę za kołnierzem kurtki. Po chwili ponownie wcisnął guzik. Gdy już chciał się poddać, coś zaskrzypiało i usłyszał ciche „tak?”.

– Prokurator Leopold Bilski – przedstawił się. – Przepraszam, że niepokoję o tej porze. Czy mógłbym zająć chwilkę?

Po drugiej stronie nastała cisza. Bilski nie był pewien, czy łączność się urwała, czy kobieta nie może się zdecydować, by go wpuścić. Gdy dla pewności rzucił w przestrzeń „halo”, furka w końcu

brzdęknęła. Popchnął ją energicznie i długimi susami, omijając kałuże, pokonał dziedziniec. Wsłuchując się w głośnie odgłosy pobudzonego domofonu, czekał znów dłuższą chwilę przed drzwiami do klatki. W końcu znalazł się przed mieszkaniem sędzi Heleny Boguckiej. Stała w ciemności. Nikłe światło padało na nią jedynie od tyłu. Nie widział wyrazu jej twarzy. Cofnęła się i bez słowa wpuściła go do środka. W dużym pokoju paliła się niewielka lampka stołowa. Helena wskazała Bilskiemu fotel znajdujący się nieopodal.

– Napije się pan ze mną wina? – spytała bez ogródek.

Dopiero teraz prokurator zauważył na wpół opróżnioną lampkę, którą kobieta trzymała w dłoni. Dostrzegł również lekko rozmazany makijaż oczu. Sędzia musiała płakać.

– Chętnie – rzekł szybko, gdy Bogucka zawstydzona odwróciła wzrok.

Nalała mu czerwonego wina do obłego kieliszka na długiej nóżce, który wydobyla z barku. Bilski rozejrzał się po pomieszczeniu. Urządzone było elegancko. Meble w stylu klasycznym, jasne kolory. Dwa regały wypełnione po brzegi książkami. Na ścianach kilka obrazów olejnych. Choć nie znał się zbyt dobrze na sztuce, był pewny, że musiały mieć sporą wartość.

Prokurator wziął łyk wina i lekko się uśmiechnął. Bogucka usiadła w fotelu po przeciwnej stronie stolika.

– Monika nie lubiła czerwonego wina – powiedziała nagle i delikatnie pokręciła kieliszkiem. – Kilka razy proponowałam jej do obiadu, ale zawsze odmawiała. Zresztą chyba nigdy nie napiła się przy mnie alkoholu. Ale na pewno go spróbowała. W końcu pracowała w pubie. Jednak nigdy nie widziałam jej pijanej. Hii. – Ostatni dźwięk był wysoki i Bilski zdał sobie sprawę, że sędzia musiała wcześniej wypić więcej niż jeden kieliszek. – Ma pan dzieci?

– Nie, nie mam.

– Ale chciałby pan mieć?

– Hmm, jeszcze się nad tym nie zastanawiałem – przyznał prokurator. – Ale w przyszłości, kto wie, nie wykluczam.

– Dzieci wszystko zmieniają. Wszystko, wie pan? Póki ich nie ma, wydaje się, że życie jest proste. Człowiek myśli tylko o tym, czego sam potrzebuje, co chciałby osiągnąć, gdzie chciałby dotrzeć. Gdy pojawia się dziecko... okazuje się, że my nie jesteśmy ważni. Przystajemy być w centrum swojego życia. Dziwne, co?

– Tak, dziwne – przyznał Bilski. – Ale czy to nie jest tylko kwestia podejścia?

– A gdy dziecko umiera, to staje się jeszcze ważniejsze, niż kiedykolwiek było. – Bogucka kontynuowała wywód, nie zwracając uwagi na Leopolda. – I znikamy zupełnie, bezpowrotnie. Jest tylko pamięć o tym dziecku. I dziecko wypełnia caaaały świat. – Helena podniosła rękę i zrobiła gest obejmujący horyzont.

Bilski spoglądał na sędzię z zaciekawieniem. Ta kobieta pokazała mu się z zupełnie nowej strony. Nagle przestała być zdystansowaną, nieokazującą emocji profesjonalistką. Stała się jakby... ludzka. Alkohol ją obnażył, pozbawił maski, którą na co dzień nosiła.

– A śmieszne jest to, że dziecko, które wspominam jak opętana, to tylko stworzony przeze mnie jego obraz! Wie pan, że ja mojej córki prawie w ogóle nie znałam? Monika była skryta. Nigdy nie opowiadała o swoim życiu, o chłopakach, uczuciach. Nigdy nie przyprowadziła żadnego kolegi do domu. W sumie nie wiem nawet, czy kiedykolwiek była zakochana. – Bogucka westchnęła i wzięła

łyk wina.

– Ale musiała chyba mieć jakichś przyjaciół? Kogoś, komu się zwierzała? Jakąś przyjaciółkę? – zapytał Bilski.

W sumie właśnie po to dziś tu przyszedł. Niemożliwe, by dziewczyna w wieku Moniki nie miała najlepszej koleżanki, której powierzała swoje tajemnice. W aktach niestety nikogo takiego nie wymieniono. W ogóle im dłużej przyglądał się materiałowi dowodowemu sprzed lat, tym silniejsze odnosił wrażenie, że zbadano sprawę bardzo pobieżnie. Jakby wcale nie chciano odnaleźć sprawcy i dążono do jak najszybszego zamknięcia sprawy.

– Nie wiem, czy się komuś zwierzała. Na pewno nie mnie – mruknęła Bogucka. – Miała taką jedną przyjaciółkę, jeszcze od czasów podstawówki. Poszły zresztą do tego samego liceum. Alicja Grędzińska się nazywała. Kiedy były młodsze, bywała w naszym domu dość często. Nawet u siebie nocowały. Ale potem zjawiała się coraz rzadziej. W sumie nie pamiętam, jak to było. – Zastanowiła się. – Ta Alicja mieszka nadal w rodzinnym domu, nieopodal, na Zaciszu. Kilka razy mijałam ją podczas spacerów. Zresztą gdzieś tu powinnam mieć zdjęcie – powiedziała i lekko się chwiejąc, podeszła do regału. Spośród książek wyciągnęła wysoki album. Usiadła z powrotem na fotelu i zaczęła przewracać kartki. – O, tutaj! To Monika i Alicja w czwartej klasie.

Na zdjęciu widniały dwie uśmiechnięte dziewczynki w krótkich spodenkach. Stały na tle dwupiętrowego, pomalowanego na zielono domu. Obejmowały się w pasie i patrzyły prosto w obiektyw. Jedna z nich miała lekko falujące blond włosy do ramion i niebieskie oczy. Druga, chuda jak patyk, była obcięta na zapałkę i miała przeraźliwie krzywe zęby. Bilski wpatrywał się w zdjęcie z niedowierzaniem. Ciemnowłosa dziewczynka w niczym nie przypominała latynoskiej piękności, którą później stała się Monika Bogucka.

– A to zdjęcie klasowe z siódmej klasy. – Helena podała fotografię prokuratorowi.

Monika Bogucka stała w samym środku. Wokół niej inne dzieciaki. Pełniejsza buzia, krótkie włosy przylegające do uszu. Chyba był też lekki makijaż. Pod koszulką wyraźnie rysowały się piersi. Tak, ta osoba zdecydowanie bardziej przypominała Monikę.

– A tu Alicja. – Sędzia wskazała blondynkę stojącą tuż nad Moniką.

– Mhm – potwierdził Bilski. – Z łatwością poznałem. Natomiast Monika naprawdę mocno się zmieniła przez te trzy lata.

– W siódmej klasie Monika przeszła tak jakby, hmm, metamorfozę. Zaczęła dbać o wygląd, zapuszczała włosy, używała podkładu i kredki do oczu. Wie pan, weszła w wiek dorastania. Uparła się nawet na aparat korekcyjny na zęby. Faktycznie dobrze jej to zrobiło. – Helena Bogucka przyglądała się zdjęciu, na którym Monika odbierała dyplom szkoły podstawowej. Po chwili wstała i wyciągnęła z regału kolejny album. – A tu już liceum – powiedziała. – Zdjęcia klasowe z pierwszej i drugiej klasy. Tego z trzeciej klasy nie ma. Chyba Moniki akurat nie było w szkole, gdy je robiono. A Alicja jest... hmm... o tutaj. – Wskazała niczym niewyróżniającą się blondynkę. Dziewczyna na pierwszym zdjęciu stała obok Moniki. Na drugim była oddalona o kilka osób. Monika promieniowała urodą. Wydawała się przynależać do jakiegoś innego, elitarnego świata, do którego licealna młodzież nie miała dostępu.

– Piękna była ta moja Monika. To trzeba przyznać. Piękna – powtórzyła Helena i wychyliła kolejny kieliszek wina. – I zabili ją. Utopili i wycięli jej usta. Okaleczyli moją małą córeczkę. –

Zaczynała bełkotać. Pokręciła głową z niedowierzaniem. – A mówił, że nic jej nie grozi, obiecał, że będzie bezpieczna! – Bogucka zawyla i zwinęła się w kłębek na fotelu. Trzymała się za brzuch, jakby przeszył ją ogromny ból, z którym nie mogła sobie poradzić.

– Kto mówił? Kto obiecał? Pani Heleno?! – Bilski uklęknął obok Boguckiej i położył jej rękę na kolanie. – Pani Heleno? – powtórzył.

Bogucka łkała. Nie docierały do niej żadne słowa. Zanosila się płaczem tak pełnym bólu, że Bilskiemu stanęły w oczach łzy. W końcu zaczęła się uspokajać, a po chwili zapadła w ciężki sen. Prokurator nakrył ją kocem, zgasił palącą się na parapiecie świecę i cichutko zatrzasnął za sobą drzwi mieszkania.

12

– Wypytałem dokładnie przyjaciółki Kalety – powiedział Pająk, wchodząc do gabinetu Bilskiego. – Nie mają żadnych podejrzeń, z kim umawiała się Martyna. W sumie to były trochę zbulwersowane, że koleżanka mogła przed nimi coś ukrywać. Twierdzą, że nie miały przed sobą żadnych tajemnic. – Policjant usiadł ciężko w fotelu i poprosił o kawę. – Ale! – Uniósł palec. – Jak twierdzi jej koleżanka z pracy Bożena Krasieńska, ponoć kilkakrotnie odebrał ją spod galerii jakiś mężczyzna. I nie był to jej narzeczony. Niestety, ta Krasieńska nie widziała z daleka jego twarzy. I marki samochodu też nie zna. Mówi, że dla niej wszystkie auta wyglądają tak samo. Więc wiemy tyle, że samochód jest średniej wielkości, czarny.

– Taa, to zdecydowanie zawęży krąg podejrzanych – prychnął Bilski. – Jakies nagrania z monitoringu?

– Mają monitoring, ale obejmuje tylko główne wejścia. Na parkingu są zamontowane atrapy.

– Okej. Mimo to przejrzyjcie wszystkie ostatnie nagrania z godzin, w których wychodziła z pracy. Może coś ważnego się zapisało. A Adrian Jakubiak? Powiedział jeszcze coś nowego?

– Nie, zupełnie się teraz zapał. Musiał go adwokat zrugać, że wczoraj dał się ponieść. Milczy jak grób. Nawet nie nawiązuje kontaktu wzrokowego.

– To było do przewidzenia. Przeszukaliście wszystkie rzeczy osobiste Kalety i Jakubiaka?

– Tak, pokoje, auta, miejsca pracy. Żadnych tropów, nic co mogłoby mieć znaczenie dla sprawy.

– A wyciągi z telefonu stacjonarnego ze sklepu jubilerskiego, w którym pracowała Martyna? – Bilski dopiero teraz o tym pomyślał. – A nuż tak się z nim kontaktowała?

– Już wzięliśmy to pod lupę. Telefony głównie o charakterze handlowym. Listę zostawiłem u Ani.

– No dobra, jakies inne pomysły?

– Null. Na razie się wypstrykaliśmy – odpowiedział Pająk i popił kawy z kubka, który postawiła przed nim Górska.

– W takim razie jadę na spotkanie z prokuratorem Jerzym Bieluniem.

Pająk pytająco podniósł brwi.

– To on prowadził sprawę Moniki Boguckiej siedemnaście lat temu. Teraz pracuje w krajówce. Awansował kilka tygodni po umorzeniu sprawy.

– Taa – przytaknął Pająk. – Kawał skurwiela. Nie poznałem osobiście, ale podobno ciężki typ. Wiesz, taki z zamierzchłej epoki, co policjantów ma za swoich sługusów, a siebie za wielkiego pana.

Cwaniak, niemający dla nikogo szacunku.

– Ha, czyli zapowiada się ciekawe spotkanie – westchnął Bilski.

– A może pojechałabym z tobą, co? – Anna Górską szybko weszła do pokoju. – Może bym trochę, wiesz, rozładowała atmosferę? Jak to kobieta? – Uśmiechnęła się do Leopolda promiennie.

Bilski spojrzał na nią niepewnie. Nie był przekonany.

– No dobra – zdenerwowała się Ania. – Nie będę owijać w bawełnę. Jestem tutaj, żeby się czegoś nauczyć. Nie jestem jakąś tam sekretarką od parzenia kawy! Jestem prawie po aplikacji i w przyszłości mam zamiar zostać prokuratorem. Ale na razie nie mam pojęcia, na czym ten zawód polega, bo nic mi nie pokazujesz! Niczego się nie uczę! – Asystentka naprawdę się uniosła. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

Leopold i Pająk patrzyli na nią oniemiałi. Jeszcze nigdy nie pozwoliła sobie na taki wybuch. Zawsze była usłużna i uprzejma; może faktycznie Bilski nigdy nie traktował jej stanowiska zbyt poważnie.

– Okej – wydusił prokurator. – Jedziesz ze mną.

Pająk podniósł ręce w geście poddania i zaczął się śmiać.

– No! Czasami trzeba huknąć na takiego, żeby się opamiętał. Lecę, Bilski. – Poklepał Leopolda po łopacie i ukłonił się Ani.

Górską, nie patrząc Bilskiemu w oczy, wybiegła do swojego pokoju.

– Biorę płaszcz i jestem gotowa!

Leopold stał chwilę zupełnie skonsternowany, po czym włożył kurtkę. Asystentka, która po chwili stanęła w drzwiach, miała na sobie biszkoptowy wełniany płaszcz i czarne kozaki na wysokim słupku. Wyglądała elegancko. Bilski przyjrzał jej się z uznaniem, zawahał się i zrzucił kurtkę na oparcie krzesła. Podszedł do szafy i wyciągnął z niej ciemnoszary płaszcz, który wkładał tylko na specjalne okazje.

Pomorski Wydział Zamiejscowy Departamentu do spraw Przystępności Zorganizowanej i Korupcji w Gdańsku miał siedzibę przy ulicy Niepodległości w Sopocie. Wystarczyło skręcić w lewo w główną ulicę i przejść kilkaset metrów. Niespodziewanie zza chmur wyszło słońce. Odbijało się od kałuż rozlanych na krzywych chodnikach. Obcasy Ani stuknęły przyjemnie o bruk. Bilski poczuł się nagle pełen pozytywnej energii. Choć do przełomu w sprawie było jeszcze daleko, jego prokuratorski nos podpowiadał mu, że lada chwila na coś wpadną. Sprawa Skalpela, bo taka nazwa ostatecznie przyjęła się w mediach (nie bez drobnego udziału Pajaka, który mimochodem i zupełnie przypadkiem użył jej podczas rozmowy z jakimś dziennikarzem), budziła w nim niemałą ekscytację. Pierwszy raz w swojej karierze pracował nad rozwiązaniem takiej detektywistycznej zagadki i wkładał w nią cały swój zapał. To nie była tylko kwestia ambicji, choć trzeba przyznać, że akurat ambicji prokuratorowi Leopoldowi Bilskiemu nie brakowało. Zaangażował się emocjonalnie. Wiedział, że to nie jest profesjonalne. Zazwyczaj w swojej ocenie bazował na faktach i dowodach dostarczanych mu przez policjantów z wydziału dochodzeniowo-śledczego. Tym razem jednak, być może przez wzgląd na sędzię Bogucką, a po trosze z powodu ewidentnego niedopełnienia obowiązków przez służby siedemnaście lat temu, czuł powinność zastosowania niekonwencjonalnych działań, w pewnym sensie wykraczających poza przyjętą metodologię pracy prokuratora.

Spojrzał na Górską. Szła przed siebie zdeterminowana, w niemal bojowym nastroju. Miała zaciśnięte usta i widać było, że przygotowuje się w myślach na spotkanie z Bieluniem. Włosy zebrane w gładki kok i aktówka, którą ze sobą wzięła, dodawały jej powagi. Bilskiemu zrobiło się nagle głupio, że dotychczas bagatelizował asystentkę, faktycznie obarczając ją obowiązkami parzenia kawy i pisania projektów orzeczeń. Była na stażu już pięć miesięcy, więc za miesiąc mógł jej zaproponować stałą umowę. Miał miesiąc, by naprawić błędy, które popełnił jako mentor. Postanowił, że od tej pory Ania będzie mu towarzyszyć przy wszystkich czynnościach związanych z dochodzeniem. W końcu to była przyszła kadra prokuratorska i od niego zależało, jakim typem prokuratora zostanie asystentka po ukończeniu aplikacji.

Zbliżali się do celu. Posępny, nieco przysadzisty budynek Prokuratury Krajowej znajdował się między główną ulicą a torami SKM. Weszli na pierwsze piętro i zapukali do dwuskrzydłowych drzwi. Gabinet prokuratora Jerzego Bielunia urządzony był w męskim stylu. Ciężkie, obite brązową skórą fotele, monumentalne biurko z ciemnego drewna, zgniłozielone zasłony. Na malutkim stolyczku pod ścianą stały rżnięte szklanki i karafka, sądząc po barwie, wypełniona whisky. Zza biurka wyszedł tęgawy, wysoki mężczyzna z krzaczastą brodą i siwą czupryną. Zdecydowanie uściśnął Bilskiemu dłoń, a kiedy Leopold przedstawił Annę Górską, podniósł jej rękę niemal na wysokość swojej brody i złożył na niej szybki pocałunek.

„Stara szkoła” – pomyślał zgryźliwie Bilski, hamując uśmiech, gdy kątem oka zobaczył skrzywioną minę asystentki.

– Zapraszam, zapraszam. – Bielun wskazał im fotele, a sam usiadł za biurkiem.

Miał w sobie coś z dostojnego urzędnika państwowego i coś z dwulicowego ojczulka, który uśmiechem tuszuje swoje prawdziwe intencje.

– Czym mogę państwu służyć? – zapytał formalnie i złożył ręce jak do modlitwy.

– Prowadzimy obecnie śledztwo dotyczące morderstwa Martyny Kalety. Jej ciało zostało znalezione na plaży niecałe dwa tygodnie temu. Na pewno pan słyszał? Głośna sprawa.

– Tak, naturalnie. Okrutne morderstwo z okaleczeniem ofiary – rzekł Bielun, z ubolewaniem kręcąc głową. – Niestety, psychopatów nie brakuje na tym świecie, oj, nie brakuje. I jak postępy?

– Zatrzymaliśmy podejrzanego, jednak nadal występuje kilka nieścisłości.

– Zatem w czym mogę pomóc? – Prokurator krajowy oparł się o fotel, który pod jego ciężarem przechylił się nieco do tyłu.

– Sprawa Martyny Kalety w dużym stopniu przypomina morderstwo Moniki Boguckiej sprzed siedemnastu lat. Na pewno zresztą sam pan to dostrzegł...

– Moniki Boguckiej, Moniki Boguckiej. – Bielun zdawał się szukać w pamięci.

– Córka sędzi Heleny Boguckiej. Śmierć przez utopienie. Okaleczona, analogicznie do obecnej ofiary, przez wycięcie czerwieni wargowej. Pełnił pan funkcję prokuratora w tamtej sprawie.

– Ach tak, najmocniej przepraszam, ale minęło wiele lat. Od tej pory tyle się działo. Zresztą z tego, co pamiętam, w związku z brakiem materiału dowodowego sprawa dość szybko została umorzona. Nie było niestety żadnych śladów, które pozwoliłyby wyjaśnić, co się wydarzyło. Wiadomo, brak odcisków palców, świadków, monitoringu, ciało leżało długo w wodzie, więc również z niego niewiele można było wyczytać. Ogólnie czarna plama.

– Tak, rozumiem. Tylko, proszę mi wybaczyć, wydaje się, że działania podjęte w tej sprawie

również nie były zbyt szerokie, biorąc pod uwagę rangę i bestialstwo przestępstwa.

Bieluń pochylił się do przodu i uważnie popatrzył na Bilskiego. Leopoldowi wydało się, że dostrzegł w jego oczach poirytowanie. A jednak prokurator krajowy odpowiedział uprzejmym tonem:

– Wie pan, to były inne czasy. Nie mieliśmy wówczas tylu środków na prowadzenie rozległych czynności, a przede wszystkim możliwości zbierania dowodów były znikome. Dziś dysponujemy zupełnie innym sprzętem, technikami. A wtedy... Zresztą nie muszę panu tłumaczyć. Jest pan wykształconym człowiekiem.

– Z pewnością zestaw narzędzi śledczych był zdecydowanie mniejszy – wtrąciła się Górska. – Jednak jak wytłumaczyć fakt, że sprawa tak szybko została zamknięta? Przecież chodziło o morderstwo młodej dziewczyny, które zmroziło mieszkańców Trójmiasta. No i to była córka sędzi, tym samym odszukanie sprawcy miało charakter...

– Pani Anno – przerwał jej Bieluń – nie mogliśmy upolitycznić ani uprywatnić sprawy. Walczyliśmy o demokrację, więc było ważne, żeby potraktować to przestępstwo tak jak każde inne. Zrobiliśmy tyle, ile się dało. Tyle ile zrobilibyśmy, gdyby morderstwo dotyczyło anonimowych osób. Z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że wykazaliśmy się całkowitym profesjonalizmem. – Jego głos był stanowczy i nieznoszący sprzeciwu.

– Naturalnie – odparła Ania. Mówiła teraz łagodniej, jakby postanowiła obrać inną strategię. – Nie wątpię, że zachował pan najwyższy poziom profesjonalizmu. Ale na pewno był pan ciekaw przez te wszystkie lata, co naprawdę się wydarzyło. Prokuratorzy o takim doświadczeniu jak pan nigdy nie przestają się zastanawiać nad sprawami, które zostały nierozwiązane, prawda? – zakończyła niemal słodkim tonem i kokieteryjnie zatrzepotała długimi rękami.

Bieluń lekko poczerwieniał. Musiał się poczuć polechtany, gdyż znowu wygodnie rozparł się w fotelu i złożył ręce jak do modlitwy.

– Zdecydowanie. Takie sprawy chodzą za człowiekiem latami. Na szczęście w mojej karierze było takich niewiele. W przeważającej mierze złoczyńcy znaleźli się za kratami. Tam gdzie ich miejsce. Nie bez powodu zajmuję teraz stanowisko w krajówce – zakończył chełpliwie.

– A czy nie objął pan tej posady kilka tygodni po umorzeniu sprawy Moniki Boguckiej? – spytała niewinnie Górska.

Bieluń znów poczerwieniał. Tym razem z nerwów. Zanim zdążył odpowiedzieć, Bilski szybko zadał kolejne pytanie:

– Po tych wszystkich latach ma pan jakąś hipotezę, kto mógł zabić Monikę Bogucką?

Bieluń zastanawiał się przez chwilę, po czym chłodno stwierdził:

– Nie mam pojęcia. Gdybym miał choćby cień jakichś podejrzeń, na pewno sprawa nie zostałaby zamknięta tak szybko.

– A czy rozważał pan jakieś powiązania z mafią? – spytał Bilski.

– Z mafią?! – oburzył się prokurator krajowy. – Gdzie takiej młodej dziewczynie z dobrego domu do mafii? Moim zdaniem to było przypadkowe zabójstwo. Ofiara znalazła się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Tyle w temacie. A teraz przepraszam. – Bieluń wstał i wyciągnął do Bilskiego rękę. – Obowiązki wzywają.

Gdy znaleźli się przed budynkiem, Ania w końcu wyparowała:

– Co za wstrętny typ! Czuje, że coś kręci.

– Taa. Mojego zaufania też nie wzbudził. Widać, że ta sprawa nie była mu na rękę. Pewnie czuł, że będzie się ciągnąć miesiącami, jak nie latami, a to kolidowało z jego planem kariery.

– Albo zaoferowano mu stanowisko w zamian za zamknięcie sprawy. – Anna Górską wzruszyła ramionami, gdy Bilski popatrzył na nią z niedowierzaniem. – No co, takie były czasy. Rączka rączkę myła, jak to się mówi. Ten cały awans po takim niefarcie śmierdzi na kilometr!

– Chyba trochę za daleko pędzisz w swoich teoriach spiskowych. – Leopold się zaśmiał. – No dobra, lecimy dalej. Za godzinę umówiłem się na spotkanie, a tymczasem idziemy na kawę. Znam fajne miejsce.

Skierowali się w stronę Monciaka. W powietrzu można było wyczuć zapach nadchodzącej wiosny.

13

Stanęli przed lekko obdrapaną ciemnozieloną kamienicą. Przy domofonie widniały dwa nazwiska. Bilski przycisnął guzik przy plakietce „Grędzińscy”. Po chwili furtka zabuczała i weszli. W drzwiach stanęła trzydziestoczteroletnia Alicja Grędzińska. Niewiele się zmieniła od szkoły średniej. Blond włosy do ramion, niebieskie podkrążone oczy, brak makijażu. Na rękach kołysała różowego bobasa owiniętego kocykiem. Wpuściła ich do środka. Na dywanie dostrzegli jeszcze dwójkę bawiących się dzieci w wieku przedszkolnym i wczesnoszkolnym.

– Proszę do środka – zachęciła Alicja. – Napiją się państwo kawy albo herbaty?

– Chętnie. Herbaty – odparli jednocześnie Ania i Leopold.

Spojrzeni na siebie z głupimi minami. Alicja poszła do kuchni nastawić czajnik. Tymczasem oni przysiedli na kanapie. W pokoju stały meble pamiętające pewnie jeszcze czasy Peerelu. Dywan, na którym siedzieli chłopiec i dziewczynka, był jednak puszysty i czysty. Dało się wyczuć, że dawnej koleżance Moniki nie wiedzie się najlepiej, jednak próbuje utrzymać dom w schludności.

– Jest herbata – powiedziała Alicja, pojawiając się z tacą. – I szarlotka. Sama piekłam. Proszę się częstować. Jasiu na szczęście zasnął, więc możemy przez chwilę spokojnie porozmawiać.

Choć Leopold i Ania dopiero co zjedli po dużym kawałku jabłeczniaka w kawiarni, sięgnęli po ciasto. Było zdecydowanie lepsze niż to kawiarniane.

– Państwo pewnie w sprawie Moniki Boguckiej, tak? – spytała kobieta, a Bilski i Górską spojrzeli na nią zaskoczeni. – No, to oczywiście. Ta sprawa Skalpela. Głośno o tym przecież. Co włączyć telewizor, widzę zdjęcia tej biednej Martyny, ale i Moniki. Wspomnienia wracają, o matko. – Alicja wytarła łzę, która spłynęła jej po policzku. – Cieszę się, że znów ktoś się zainteresował losem Moniki. Jak siedemnaście lat temu poszłam po jej śmierci na policję, to nikt nawet nie chciał ze mną rozmawiać. Powiedzieli, że się odezwą, spisali numer telefonu i nic. Cisza.

Bilski podniósł brwi jeszcze bardziej zaskoczony.

– To faktycznie dziwne – stwierdził. – Muszę panią uprzedzić, że sprawa Moniki nie została wznowiona. Ale sprawdzamy różne ślady i powiązania w sprawie śmierci Martyny Kalety.

Alicja pokiwała głową.

– Tak, rozumiem. Tak czy siak, morderca Moniki nadal gdzieś tam jest. To przerażające! – Kobieta z lękiem spojrzała na swoje dzieci. – To niebywałe, jak szybko tę sprawę wyciszono!

Tym razem to Bilski pokiwał głową. Nie miał ochoty tłumaczyć się za innych.

– Pani Alicjo – zaczął. – Wiemy, że przyjaźniła się pani z Moniką Bogucką.

– Tak, przyjaźniłam. W sumie przez całą podstawówkę. Mieszkałyśmy niedaleko siebie i byłyśmy niemal nierozłączne. Potem Monika zrobiła się, hmm, jak by to ująć, popularna, zaczęła mieć wielu znajomych, popalała papierosy i trochę się rozeszło. Jakoś tak przestałyśmy nadawać na tych samych falach. Wiecie, że mówili na nią Puma? Wcześniej przezywali ją Małpka, ale jak zaczęła dojrzewać, okazało się, że jest naprawdę ładna. Przestali się z niej śmiać. I nagle wszyscy chcieli się z nią kumplować.

– Puma, mówi pani? – zastanowił się Leopold.

– Tak, Puma. O mnie za to mówili, że jestem „żałowo-kałowa”. Wyobrażają sobie państwo? Szkoła to nie był dla mnie najlepszy czas. Dzieci są naprawdę okrutne. Może dlatego Monice tak bardzo zależało na akceptacji? Nie znosiła tego przezwiska „Małpka”.

– A proszę powiedzieć, jaka była Monika Bogucka? Jakie miała usposobienie?

– Monia była spokojną, wyciszoną, chorowitą dziewczynką. Często zapadała na zapalenie płuc i długo nie bywała w szkole, więc nie miała zbyt wielu znajomych. Potem, po jednych wakacjach, wróciła jakby odmieniona. Nie była już tak przeraźliwie chuda, zapuściła włosy, zaczęła się malować. Nagle została duszą towarzystwa. No i stała się tak jakby szalona. No, w sensie, że przed niczym się nie cofała, chciała wszystkiego spróbować. Ale ja wiem, że tak naprawdę w środku niewiele się zmieniła. To wszystko były tylko pozory. Ona była naprawdę wrażliwą i skrytą osobą. To wszystko naokoło to była tylko gra. A, no i Monika pięknie śpiewała! Miała totalnie odpalony głos, taki melancholijny, lekko zachrypnięty, a mimo to wyciągała piękne góry! Serio! Od dziecka powtarzała, że chce być piosenkarką. Zawsze się śmiałyśmy, że zostanę jej menedżerką i będziemy razem jeździć na tournée. – Alicja się zaśmiała.

– A czy Monika w okresie poprzedzającym śmierć może się pani zwierzała? Czy powiedziała coś, co mogłoby wskazywać na to, że ma jakieś kłopoty, że czuje się zagrożona?

– Niestety, w liceum nasze drogi rozeszły się jeszcze bardziej i w zasadzie niewiele rozmawiałyśmy. Ale ja ją bacznie obserwowałam i widziałam, że coś nie gra. To się zaczęło od momentu, gdy podjęła pracę w Cockneyu. Nawet raz czy dwa wpadłam tam z koleżankami na imprezę. Monika była adorowana przez jakichś starszych facetów. Widać było, że to jej odpowiada. Z tego, co wywnioskowałam, jeden z nich był jej chłopakiem czy coś. Taki podejrzany typek w skórze. Całe to towarzystwo śmierdziało! To nie było miejsce dla niej. Zresztą po pewnym czasie zaczęła chodzić po szkole jakaś oswiała, zamyślona. Wyraźnie było widać, że czymś się martwi. Ale nie chciała ze mną o tym gadać. Raz ją zapytałam, czy wszystko dobrze, to sztucznie się uśmiechnęła i powiedziała, że wspaniale.

– Myśli pani, że to któryś z tych mężczyzn mógł... – Bilski spojrzał na bawiące się dzieci i ściszył głos – ...pozbawić ją życia?

– Trudno powiedzieć. Ale pierwsze, co bym zrobiła, to rozejrzałabym się za zabójcą w tym gronie.

– A czy Monika miała kogoś, komu ufała, z kim się w tym czasie przyjaźniła? Kogoś, komu mogła się zwierzyć ze swoich kłopotów?

Alicja Grędzińska zastanowiła się.

– W sumie nie miała wtedy żadnej przyjaciółki. Jakoś tak przed śmiercią zrobiła się znowu

wyciszona, mniej towarzyska. Choć... – wyraźnie usiłowała sobie przypomnieć – był taki chłopak. Kilka razy widziałam, jak przyjechał po nią pod szkołę. Młody, blondyn. Jeździł pomarańczowym dużym fiatem. Nazywał się... hmm, jakoś tak jak ci bracia hydraulicy z tego filmu, eeee, no... Mario! – wykrzyknęła.

– Mario. – Bilski zapisał w notatniku.

– Tak, Mario. To chyba był jej przyjaciel. Tak mi powiedziała, jak ją o niego zapytałam.

– Czy on też był z tego towarzystwa z Cockneya?

– Nie sędzę. To był normalny chłopak. Po aucie można się domyślać, że niezbyt bogaty, no na pewno nie wyglądał jak tamte nażelowane i napakowane misie.

– Nie wie pani, jak miał na nazwisko, gdzie mieszkał, chodził do szkoły lub czym się zajmował?

– Niestety nie. Monika nic mi więcej o nim nie powiedziała.

W tym momencie w domu rozległ się płacz niemowlaka. Alicja zerwała się na równe nogi i popędziła do sypialni. Po chwili pojawiła się z płaczącym dzieckiem na ręku.

– Muszę go przewinąć – powiedziała i uśmiechnęła się przeprasząc.

– Tak, oczywiście – odparła Ania. – My już właściwie wychodzimy. Była pani bardzo pomocna. Jeśli coś by się pani jeszcze przypomniało, to prosimy o kontakt.

Bilski zostawił na stole wizytówkę i szybko wyszli z kamienicy.

Na dworze zapadał już zmrok, przynosząc znów mroźniejsze powietrze. Ania postawiła kołnierz płaszcz. Prokurator miał ochotę ją objąć, żeby było jej cieplej. Na szczęście się powstrzymał. Ciszę ciemniejącego świata przerywały rytmiczne uderzenia obcasów Ani, a Leopold z każdym dźwiękiem odczuwał dziwną przyjemność.

14

Helena Bogucka wkładała produkty do koszyka. Masło, jogurty, śmietana. Wyliczała w głowie, skupiając się na tej prostej czynności. Była zwykłą kobietą w zwykłym supermarkecie. Była taka sama jak tysiące innych kobiet robiących w tej chwili zakupy. Lubiła tak o sobie myśleć. Stawała się anonimowa, pozbawiona przeszłości, przestawała być naznaczona. Chleb, szynka, ser. Produkty ładowały w koszyku, a ona starała się nie myśleć, że Monika najbardziej lubiła krakowską drobiową i ostry ser z małymi dziurkami. Szynka była tylko szynką, a ser był tylko serem. Nauczyła się blokować te przedziwne drobne informacje z tamtego czasu, które bombardowały ją kiedyś na każdym kroku. Wiedziała, że czają się gdzieś z tyłu głowy, ale nie pozwalała się im wydostać. Każda tego typu myśl sprawiała, że Helena przez sekundę czuła w sobie życie. Po sekundzie życie zabierała śmierć. Dlatego też siedemnaście lat temu poprosiła Romana, żeby włożył wszystkie rzeczy Moniki do pudła, które schowała głęboko w szafie w przedpokoju. Książki, perfumy, płyty, zdjęcia i pamiątki. Helena nigdy do nich nie zajrzała. Bała się, że ich obrazy będą nawiedzać ją przy każdej codziennej czynności.

Podeszła do kasy i położyła artykuły na ruchomej taśmie. Ekspedientka przesuwiała czytnikiem po każdym z produktów, a cena pojawiała się na wyświetlaczu.

– Sto dwadzieścia złotych – powiedziała kasjerka, uprzejmie się uśmiechając.

Podobnie jak Helena była zupełnie anonimowa. Była zwykłą ekspedientką wykonującą swoją

pracę. Nikt z setek ludzi, których dziennie obsługiwała, nic o niej nie wiedział. Czy ktoś w ogóle się zastanawiał, kim tak naprawdę jest?

Helena zapłaciła jak każdy inny człowiek na ziemi. Wyciągnęła z portfela banknoty, które nic o niej nie mówiły. Nie niosły z sobą żadnego dodatkowego przekazu oprócz tego, że może sobie pozwolić na zaspokojenie podstawowych potrzeb. Sędzia Bogucka lubiła robić zakupy. Na te kilka minut przestawała być sobą.

Siatki nie były ciężkie. Wzięła je w obie ręce i zjechała windą na parking. W mrocznym pomieszczeniu z betonu, w którym niosło się echo jej obcasów, Helena powoli wracała do swojej postaci. Każdy kolejny krok napawał ją lękiem. Wiedziała, że niebawem znajdzie się w pustym mieszkaniu i wspomnienia rzucą się na nią jak bomby na Hiroszimę. Światło reflektora, pod którym przechodziła, zamigotało i zgasło. Parking stał się jeszcze ciemniejszy i Helenie wydało się, że za filarem nieopodal czai się jakiś cień. Echo odbiło chrobotanie, złowieszczy dźwięk skradającej się postaci. Sędzia zamarła. Jej serce biło mocno. Wyraźnie czuła je w gardle. Szła dalej, chcąc tylko dostać się do auta. Przechodząc obok filara, zmusiła się, by spojrzeć. Jakaś kobieta pakowała zakupy do bagażnika. Przez szybę samochodu dojrzała dwóch małych chłopców, którzy wyrwali sobie zabawkę. Helena kątem ust uśmiechnęła się do kobiety, która przesunęła po niej wzrokiem. Przyspieszyła kroku i dotarła do samochodu. Rzuciła zakupy na tylne siedzenie i usiadła za kierownicą.

Chciała przekręcić kluczyk w stacyjce, gdy przypomniała sobie o parkometrze. Zaklęła pod nosem i wzięła kilka głębokich wdechów. Pomyślała o swojej polanie. Pokrywała ją gruba powłoka lodu, a ona przemierzała ją w ciepłym kozuchu. Wiatr smagał jej policzki, które zrobiły się czerwone i odrętwiałe. Helena czuła, że serce się uspokaja. Przemieściło się na swoje normalne miejsce i systematycznie, cichutko pompowało krew. Wysiadła z auta i podbiegła do parkometru. Wsunęła bilet w odpowiednią szczelinę. Licznik pokazał należność. Dwa osiemdziesiąt. Helena wsunęła dłoń do małej kieszonki torebki, do której niedawno wrzuciła drobne. Złotówka, dwadzieścia groszy. Tuż przy niej stanęła kobieta. Helena widziała ją kątem oka. Nieznajoma przysunęła się naprawdę blisko, niemal stykając się z jej ramieniem. Sędzia Bogucka nie znosiła, gdy ktoś wchodził w jej przestrzeń. Miała ochotę nastroszyć się jak kot i wypchnąć ją ze swojej strefy. Pięćdziesiąt groszy, dwadzieścia. Małe monety wypadły z parkometru, choć rysunek wyraźnie informował, że urządzenie je przyjmuje. Helena wsadziła rękę głęboko do kieszeni, starając się wymacać jakąś dwójkę. Przewidziany czas się skończył. Parkometr zwrócił wszystkie monety.

– Teraz ja skorzystam, a pani spróbuje znów po mnie – orzekła nieznajoma poirytowanym tonem.

Helena spojrzała na nią. Spodziewała się choćby nikłego uśmiechu wyrażającego uprzejme zrozumienie. Ale nieznajoma miała skrzywioną twarz i nieprzyjazną minę. Tłustawe blond włosy spadały jej na twarz. Napała jeszcze bardziej na Helenę, starając się dopchnąć przed parkometr. W sędzi odezwał się sprzeciw.

– Niby dlaczego? – zapytała.

– Bo pani najwyraźniej sobie nie radzi – stwierdziła kobieta i zacisnęła pogardliwie szczęki.

– Jeśli pani się spieszy, to ja chętnie panią przepuszczę. Nie ma sprawy. Wystarczy powiedzieć innym tonem – odrzekła sędzia i odsunęła się do tyłu.

Wpojone w dzieciństwie dobre maniere ograniczyły jej umiejętność formułowania ciętych ripost.

Wycofała się. Tak przecież zrobiłaby każda cywilizowana osoba.

Nieznajoma wsunęła swój bilet do parkometru. Helena przyglądała się jej niebieskiej znoszonej kurtce i przybrudzonym džinsom. Tanie buty na korkowym obcasie ledwo utrzymywały jej ciężar. Licznik pokazał kwotę. Kobieta przesunęła kartą bankomatową po czytniku. Opłacony bilet wyskoczył z okienka.

Obok Heleny przystanął wysoki młody mężczyzna w okularach, czekający na swoją kolej. Nieznajoma odwróciła się tryumfalnie od ściany i w dwóch krokach znalazła się przy sędzi Boguckiej. Nachyliła się ku jej twarzy i pogardliwie oznajmiła:

– Tak to się robi, nieporadna kobieto!

Odwróciła się na pięcie i szybko zniknęła za rogiem. Helena poczuła się tak, jakby dostała w twarz. Oczywiście nie zdążyła zareagować. Była w zupełnym szoku. Spojrzała na blondyna, którego mina wyrażała obojętność.

– Słyszał to pan? – upewniła się Bogucka, nadal nie dowierzając.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Zachowanie wulgarnej kobiety nie zrobiło na nim wrażenia. Helena pokiwała głową i roztrzęsiona podeszła do parkometru. Znów wsunęła bilet i wrzuciła piątkę, którą odnalazła w torebce. Odebrała kartonik i czym prędzej ruszyła do samochodu.

„Tak to się robi, nieporadna kobieto!” – dudniło w jej głowie.

Poczuła wściekłość. Tak, ta okropna baba miała rację. Helena faktycznie była nieporadna. Przez siedemnaście lat nie zrobiła nic, żeby odnaleźć sprawcę zabójstwa swojej córki. Pozwoliła, żeby policja tak szybko się poddała. Nie protestowała, gdy zamykano śledztwo. Nie starała się w żaden sposób pomóc osobom prowadzącym sprawę. Nie miała wtedy dość siły. Nie dopuszczała do siebie tego, co się stało. Może nawet bała się poznać prawdę. Ale koniec z tym. Koniec z biernością i uzalaniem się nad sobą. Pomyślała o Romanie. Wiedziała, co musi zrobić. Już dawno powinna była podjąć działanie.

15

– Salwinia pływająca – powiedział Tadeusz Dubiela. – Paproć wodna będąca jedynym przedstawicielem tego rodzaju i rodziny salwiniowatych rosnącym w Polsce w stanie dzikim. Gatunek szeroko rozpowszechniony w Eurazji. Spotykany jest też w południowo-wschodniej i centralnej części Europy. W Polsce występuje przede wszystkim na Górnym i Dolnym Śląsku oraz wzdłuż dolin Odry i Wisły. Poza tymi obszarami jest bardzo rzadko notowany.

Bilski i Dubiela przyglądali się przezroczystej próbce z mazią wydobytą z zaciśniętych zębów Martyny Kalety.

– Każdy kontakt pozostawia ślady – powiedział lekarz medycyny sądowej i zadowolony zmrużył oczy. – Edmond Locard, który w 1910 roku założył pierwsze na świecie laboratorium kryminalistyki – zaczął wyjaśniać, gdy napotkał pytające spojrzenie Bilskiego – opracował jednozdaniową zasadę wzajemnej wymiany, która stała się najważniejszym wkładem w rozwój tej dziedziny: każdy kontakt pozostawia ślady. Twierdził, że gwałtowność wydarzeń na miejscu zbrodni powoduje, że nie jest możliwe, by zbrodniarz nie pozostawił żadnych śladów swojej obecności. Mogą to być odciski palców, nitki z odzieży, włosy, fragmenty skóry, broń czy inne przedmioty. Zasada działa też

w drugą stronę. Mówi, że zbrodnia pozostawia ślady na sprawcy. W każdym razie tutaj mamy wyraźny ślad: salwinie pływającą. Zbrodnię zawsze trzeba traktować jak opowieść. Jeśli dobrze określi się miejsce, które ślad zajmuje w historii zbrodni, można zrekonstruować jej przebieg.

– No dobrze. Czyli stosownie do śladu można przyjąć granice mapy mentalnej sprawcy. – Bilski usiłował przypomnieć sobie informacje, które pozostały mu z zajęć kryminalistyki. – Mordercy nigdy nie działają w przestrzeni, która jest dla nich trudna i niebezpieczna. Wybierają miejsca sobie znane, w których swobodnie się poruszają. A zatem – dedukował – skoro ciało wypłynęło w Sopocie, założylibym, że musimy poszukiwać miejsca leżącego nieopodal Wisły, w odległości nie większej niż trzydzieści, góra czterdzieści kilometrów? Oczywiście trzeba skonsultować z hydrologiem, czy ciało wrzucone do Wisły w takiej odległości od ujścia mogłoby wypłynąć aż w Sopotie. Chyba że w Sopotie zostało podrzucone już po pozbawieniu życia ofiary i zadaniu obrażeń... – Bilski zaczął spacerować po pomieszczeniu, zdając się mówić sam do siebie. – W każdym razie hipotetycznie zabójca musiał dokonać morderstwa i cięcia chirurgicznego w granicach obszaru wyznaczonego przez salwinie. Precyzja zabiegu wskazuje na to, że postępował w sposób przemyślany, niespieszny, a więc musiał mieć jakąś bezpieczną kryjówkę, w której mógł działać bez obawy, że ktoś go przyłapie.

– Hmm, to zupełnie prawdopodobne. Z drugiej strony... – Dubiela na chwilę zawiesił głos. – Salwinia bywa czasem spotykana w akwariach, do których trafia wraz z odłowionym planktonem. Niekiedy hoduje się ją też w stawach i oczkach wodnych.

– Czyli do zabójstwa i okaleczenia mogło dojść praktycznie wszędzie? Świetnie – podsumował zawiedziony prokurator. – No dobra, na początek trzymałbym się jednak pierwszej wersji. Przynajmniej to jakiś trop.

Tadeusz Dubiela pokiwał głową.

– A, panie Tadeuszu. – Bilski cofnął się już od drzwi. – Kilkakrotnie czytałem wyniki sekcji Moniki Boguckiej. Tam chyba nigdzie nie wzmiankowano o obecności żadnych słodkowodnych roślin, prawda? Ale może wypadałoby się jeszcze raz przyjrzeć dowodom pod tym kątem?

– Nie wiem, na ile dokładnie została przeprowadzona sekcja. Może coś przeoczono, hmm... Sprawdzę to – obiecał Dubiela. Po chwili dodał niepewnie: – Ewentualnie należałoby wystąpić o zgodę na ekshumację ciała, ale... nie wiem, jak przyjęłaby to Helena Bogucka.

– Taaak. – Bilskiemu stanęła przed oczami twarz śpiącej sędzi. – Na pewno nie byłoby to dla niej łatwe. Ale... chyba warto spróbować. – Prokurator westchnął i stwierdził w myślach, że jego emocjonalny stosunek do matki pierwszej ofiary już dawno przestał być profesjonalny.

16

Na biurku stało pudło. Lekko sfatygowane, tekturowe pudło oklejone brązową taśmą. Bilski przystanął i wpatrywał się w nie z niejasnym uczuciem. Coś lekko załaskotało go w brzuchu.

Z sąsiedniego pokoju wychyliła się Anna Górka.

– Ha, wiedziałam, że będziesz zdziwiony. – Stanęła obok niego. – Ale myślałam, że dopiero wtedy, gdy dowiesz się, kto je tu dziś przytachał.

Bilski nadal stał bez ruchu i nie mógł oderwać oczu od pudła. Łaskotanie się wzmogło.

– Helena Bogucka – powiedział. – Przyniosła je Helena Bogucka.

Teraz Ania zrobiła zaskoczona minę.

– Skąd... eee... czyli ty wiedziałeś?

– Nie – odpowiedział Bilski. – Nic nie wiedziałem.

Asystentka przyjrzała się twarzy szefa. Zmrużyła oczy i próbowała zrozumieć, co się właśnie stało. Po chwili dała za wygraną.

– No dobra, przyniosę nożyk, co?

I ruszyła w stronę szuflady z przyborami.

Bilski trzymał w ręku mały ostry nóż, ale nie mógł się zdecydować na odpieczętowanie paczki. Czuł podekscytowanie niemal takie samo jak za dawnych czasów w święta. Oczekiwanie i napięcie tuż przed otwarciem prezentu zawsze były dla niego najprzyjemniejsze. Nieważne, co znajdowało się w środku. Liczył się sam fakt, że paczka coś ukrywa. Tym razem było jednak inaczej. To, co tkwiło zamknięte w pudle, mogło być przełomowe. Mogło też jednak nic nie wniesć.

Powoli zaczął sunąć nożem po taśmie. Ta bez oporu pękała i rozwierała się na boki. W końcu rozchylił tekturowe skrzydła i z biciem serca zajrzał do środka. Kilka książek, płyt, zdjęć, zestaw pędzli do makijażu, szkatułka ze sztuczną i srebrną biżuterią, bilety z koncertów i inne bibeloty, jakie wypełniają pokoje dorastających dziewczyn. Bilski powoli wyjmował przedmioty na biurko. Wydobył dzieła Kierkegaarda, Sartre'a i Heideggera, pełne powkładanych między strony karteczek. W środku na marginesach drobnym pismem skreślone były hasła, postawione wykrzykniki, spisane myśli. Widać było, że Monika Bogucka miała pociąg do filozoficznych rozważań. Później trzeba się będzie temu przyjrzeć dokładniej. Prokurator sięgnął po białe-różowe pudełko z dziurką na kluczyk. Już się zastanawiał, w jaki sposób je otworzyć, gdy okazało się, że bez problemu uniósł jego górną część. Ze środka wydobyła się piskliwa, trochę zacinająca się melodia pozytywki. Bilskiego przeszły ciarki; zabrzmiała jak nie z tego świata.

„Ile razy Monika Bogucka podnosiła wieczko i wsłuchiwała się w tę muzykę? Co mogła tutaj trzymać?”.

Pudełko było puste. Na dnie ukrywało się tylko kilka kłaczek kurzu; zawirowały, gdy Bilski w nie dmuchnął.

Na fotografiach w drewnianych ramach Monika uśmiechała się do aparatu. Na czarno-białym zdjęciu z końca podstawówki dziewczynki tłoczyły się wokół niej niczym gwiazdy wokół słońca. Na innej fotce Monika siedziała po turecku na trawie z wiankiem na głowie. Wyglądała pięknie. Emanowało z niej coś nieokreślonego, co nie pozwalało oderwać od niej wzroku. Na kolejnym zdjęciu Monika pozowała. Miała czarną obcisłą sukienkę do kolan i duże kolczyki koła. Kokieteryjnie przytrzymywała ręką falujące włosy.

Bilski zaczął wyciągać płyty CD. Całkiem ładna kolekcja jak na tamte czasy. Same zagraniczne. Dużo trip-hopu. Wśród nich kasetka w białym pudełku. Prokurator je otworzył, ale kasetka była niepodpisana. Przewinięto ją mniej więcej do jednej trzeciej objętości. Leopold miał gdzieś w mieszkaniu swojego pierwszego walkmana Sony. Gdy był chłopcem, zbierał na niego pieniądze przez okrągły rok i potem jakoś nigdy nie miał serca, by go wyrzucić. Ciekawe, czy sprzęt jeszcze działa. Trzeba będzie sprawdzić. Wsadził kasetę do kieszeni spodni.

W sumie pośród zgromadzonych rzeczy nie było nic, co mogłoby rzucić jakieś światło na sprawę.

Choć bez wątpienia te osobiste przedmioty coś o Monice mówiły, dodając małe drobinki do obrazu, który Bilski powoli układał sobie w głowie, to jednak prokurator poczuł się zawiedziony. Liczył na jakiś pamiętnik, w którym Monika zdradziłaby, co tak naprawdę działo się u niej w ostatnich miesiącach życia. Ale to nie był film, w którym wskazówki pojawiają się na każdym kroku, pozwalając ostatecznie ująć złoczyńcę. Może rzeczywiście sprawa Moniki Boguckiej została tak szybko zamknięta nie bez powodu. Po prostu nie było żadnych śladów, które mogły prowadzić do rozwiązania tej zagadki.

Leopold Bilski westchnął i zrezygnowany usiadł przy biurku. Poprzeglądał jeszcze książki, przyjrzał się zapiskom na marginesach odnoszącym się do treści utworów, uważnie wpatrywał się w twarz Moniki Boguckiej na zdjęciach w ramach, które postawił przed sobą na blacie. Starał się wyczytać z niej coś, co naprowadziłoby go na trop. Ale Monika patrzyła na niego tajemniczo, nieprzenikniona. Ukrywała w sobie tragiczną historię i nikomu nie dawała do niej dostępu.

Prokurator postukał kilkakrotnie palcami w stół i rozejrzał się, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Zatrzymał wzrok na stojącej w rogu srebrnej wieży CD, służącej głównie jako stojak na kwiat, który pewnego dnia przytargała do gabinetu Ania, „żeby było przytulniej”. Leopold sięgnął po jedną z płyt. Beżowa okładka z odwróconym czerwonym kwadratem. Czarny płomień. Massive Attack *Blue Lines*. Znał tę płytę doskonale. Kojarzyła mu się z młodzieńczymi latami, kiedy palił bluny i rozbijał się po domówkach. Podeszedł do wieży i wsadził płytę. Kojący bit rozszedł się po pokoju. Gdy Leo chciał zamknąć pudełko, zauważył numer. Zapisany długopisem. Ledwie wyraźny na niebieskim tle środka. Stacjonarny siedmiocyfrowy numer telefonu i imię: Mario.

„Bingo”.

Bilski chwycił komórkę i szybko wybrał numer. Usłyszał sygnał, ale nikt nie odbierał. Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta. No tak, raczej o tej porze rzadko ktoś jest w domu. Spróbuje później. Tymczasem biegł na kolejne przesłuchanie Adriana Jakubiaka, a potem musiał nadrobić masę papierkowej roboty. Ambroziak i tak już był na niego niezłe cięty, że tyle czasu poświęca sprawie Moniki Boguckiej, nie posuwając się za bardzo z postępowaniem dotyczącym Martyny Kalety. Prokurator nie umiał natchnąć szefa ideą, że każdy nowy trop z przeszłości prowadzi do rozwiązania zagadki sprzed kilku tygodni. W zasadzie nie miał na to żadnych dowodów, ale wiedział swoje. Prokuratorowska intuicja jeszcze nigdy go nie zawiodła i był pewien, że tym razem również się sprawdzi. Pomacał kasotę, która lekko wbijała mu się w udo. W brzuchu poczuł znajome łaskotanie.

17

Helena Bogucka miała tego dnia jeszcze jedną sprawę. Cały dzień automatycznie zadawała pytania stronom. Nie skupiała się nawet szczególnie na odpowiedziach. Wieloletnie doświadczenie pozwoliło jej przejść przez dzień bez zbędnego wysiłku, wiedziała jednak, że będzie musiała poświęcić zdecydowanie więcej energii na przegłądanie akt. Ale dziś chciała jak najszybciej wyjść z sądu, by spotkać się z Romanem. Zastanawiała się, czy w kancelarii przekazano mu wiadomość.

Zebrała akta ze stołu, by udać się na salę. W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Do pokoju wszedł szpakowaty, elegancko ubrany mężczyzna. Musiała przyznać, że Roman jest nadal bardzo przystojny. Młodsza żona i dzieci wyraźnie mu służą.

– Chciałaś ze mną porozmawiać? – Były mąż poważnie spojrzał na Helenę.

– Tak. Teraz idę na salę, ale spotkajmy się w Tajemniczym Ogrodzie, tu naprzeciwko. Powinam szybko skończyć.

Roman przytaknął i wyszedł. Helena oparła się o biurko i wzięła kilka głębokich oddechów. Czy była przygotowana na to, co mogła usłyszeć? W sumie nie wiedziała nawet, czego się spodziewać. Czy Roman chciał jej powiedzieć coś ważnego, czy też sprzeda jej jakąś tandetną historyjkę bez znaczenia?

Po półgodzinie była już przed budynkiem sądu. Powoli zmierzchało. Otoczyła ją zimna i lepka szarość. Sędzia Bogucka postawiła kołnierz płaszcz i przebiegła na drugą stronę ulicy. W kawiarni, która była jednocześnie kwaciarnią, unosił się zapach kawy i róż, co tworzyło naprawdę dziwną mieszankę doznań. Roman siedział przy stoliku pod ścianą. Lokal był pusty. Kelnerka uśmiechnęła się promiennie do wchodzącej i bez chwili zwłoki podała jej menu.

Helena podeszła do stolika. Roman pomógł jej zdjąć płaszcz. Trzeba przyznać, że zawsze miał ogładę.

– Od razu przejdę do sedna i uprzedzam, że rozmowa nie będzie miła – cierpko zaczęła Helena, gdy kelnerka przyjęła zamówienie na herbatę.

Roman spojrzał na nią wymownie.

– Zawsze musisz być taka cyniczna?

– A ty taki dyplomatycznie uprzejmy?

Zamilkli. Nie było sensu tak się do siebie odnosić. Oboje to wiedzieli, a jednak nie umieli się powstrzymać. Chyba tak to już jest z eksmałżonkami.

Helena spojrzała przez okno. Na dworze zupełnie się już ściemniło. Jej twarz, wyraźnie zmęczona, odbiła się w szybie. Szare cienie pod oczami zniekształcały jej rysy. Usłyszała, że deszcz mocno się wzmógł. Ciężkie krople odbijały się od parapetu. Czuła, że Roman patrzy wprost na nią. Z ociąganiem w końcu odwróciła ku niemu głowę. Spoglądali na siebie smutno i poważnie.

– Hela – szepnął Roman z drzeniem w głosie. – Wiem, o co chcesz zapytać. Chciałbym ci to wyjaśnić. Pewnie powinienem zrobić to dawno temu, ale...

– Tego nie zrobiłeś – dokończyła Helena.

– Nie, nie zrobiłem. Miałem różne powody, wydawało mi się, że tak należy. Myślałem, że nie chcesz wiedzieć. Zresztą nie będę się teraz tłumaczył. Powiem ci po prostu, jak było.

Bogucka podniosła do ust filiżankę z parującą herbatą earl grey. Mocny napar miał intensywny, zmysłowy zapach. Wzięła łyżeczek, który rozgrzał jej przełyk. Zamknęła powieki. Chciała choć na chwilę odwlec moment, w którym znowu wszystko się zmieni. Wiedziała, że to, co zaraz usłyszy, może zburzyć jej prowizorycznie poskładany świat. Czy naprawdę tego chciała?

– Hela? – usłyszała głos Romana. – Dobrze się czujesz?

– Tak, dobrze się czuję – odparła. – Zaczynaj.

Musiała poznać prawdę. Bez względu na wszystko. Bez względu na swoje samopoczucie, swój spokój. Bez względu na konsekwencje.

Roman przełknął ślinę. Następnie wypił duszkiem pół stojącej przed nim szklanki wody i zdenerwowany odstawił ją na stolik. Szkło zgrzytnęło o taflę metalowego blatu.

– Kilka miesięcy przed tym, jak Monika... – na chwilę zawiesił głos – ...zginęła... – w końcu użył

trudnego słowa, które wypełniło przestrzeń między nimi – zjawilo się u mnie trzech mężczyzn. Właśnie wychodziłem do domu. W kancelarii nie było nikogo. – Jeden z nich miał półdługie jasnobrązowe włosy zaczesane do tyłu i skórzaną czarną kurtkę. Ewidentnie on był szefem. Rozrośnięte byczki w dresach, które stały za nim, miały tradycyjnie ogolone głowy. Zdziwiłem się ich widokiem i powiedziałem, że kancelaria jest już nieczynna. Ten w skórze dał znak dryblasom, żeby zamknęli drzwi do gabinetu, nic sobie nie robiąc z moich słów, usiadł w fotelu i wskazał mi fotel naprzeciwko. Wiedziałem, że nie jest dobrze. Słyszałem o takich najściach, choć wydawało mi się, że tego typu rzeczy dzieją się tylko w książkach albo filmach. Byłem pewien, że to ktoś z jakiegoś lokalnego gangu, kto zaproponuje mi „opiekę” w zamian za haracz. Jednak długowłosy podsunął mi dokumenty. Otworzyłem je. Chodziło o działanie kilku osób z grupy przestępczej na Pomorzu. Zobaczyłem znane mi z mediów nazwiska. Facet w skórze powiedział, że szukają adwokata. Ja na to, że nie specjalizuję się w takiej problematyce i nie jestem zainteresowany. I wtedy tamten głupio się uśmiecha i mówi, że mój teść mnie polecił i zaręczył, że jestem najlepszy. Gość otwiera kolejną teczkę i czyta: „W ciągu piętnastu lat praktyki tysiąc dwieście poprowadzonych spraw, w tym tylko pięć przegranych. To statystyki – dodaje i znów czyta: – Te przegrane wiązały się z tak oczywistymi dowodami winy, że sam Mefisto by nie podołał. To komentarz mecenasa Deskura. A zatem chcemy właśnie pana”. Więc ja na to, że teść raczej przecenił moje umiejętności, a przede wszystkim ja sam wybieram sprawy, którymi się zajmuję, a nie mecenas Deskur, i akurat w tym wypadku dziękuję za współpracę. Gość wyjmując papierosa. Ja na to, że tutaj nie można palić, ale on go zapala i podchodzi z nim do okna. Opiera się o parapet i wydmuchuje dym. „A córka w zdrowiu?” – pyta. Ja patrzę na niego oniemiały. Nie mogę wydusić głosu. Mam zupełny mętlik w głowie. Koleś rzuca na biurko żółtą kopertę, którą podaje mu jeden z goryli. Biorę ją do ręki, a tam zdjęcia Moniki. W różnych sytuacjach. Jak idzie ulicą, przed szkołą, za barem w tym całym Cockneyu, nawet przez szybę w kuchni naszego domu. Przerzucam zdjęcia, a tam Monika siedząca na kolanach stojącego przede mną faceta. On ją obejmuje, ona uśmiechnięta szepcze mu coś do ucha. A potem... Monika w koronkowej bieliźnie. Rzuciłem zdjęcia na stół. Nie chciałem dalej patrzeć. Zebrało mi się na wymioty. Ten cholerny dupek zaczyna się śmiać, gasi kiepa na parapecie i mówi: „Wrócimy za kilka dni. Proszę jeszcze raz przemyśleć naszą ofertę”.

Helena słuchała, truchlejąc. Przed jej oczami przewijały się obrazy Moniki idącej do szkoły, robiącej sobie herbatę w kuchni, przytulającej się do jakiegoś podejrzanego mężczyzny z skórzanej kurtce, Moniki w koronkowej bieliźnie. Zrobiło jej się niedobrze. Złapała na wpół wypitą szklanek wody Romana i wypila ją do dna. Musi się uspokoić. Musi wysłuchać tej opowieści do końca. Chwyciła klamkę okna i uchylila je. Do kawiarni wpadł zapach wiatru i deszczu. Krople uderzyły o parapet ze zdwojoną siłą.

– Mów dalej – poprosiła, nie odrywając wzroku od otwartego okna.

Szaruga koila jej myśli.

Roman pokręcił z niedowierzaniem głową i kontynuował:

– Jak tylko wyszli, zadzwoniłem do twojego ojca, ale nie odebrał. Popędziłem więc samochodem do jego willi. Bez słowa wpuścił mnie do środka. Dobrze wiedział, po co przyjechałem. „W co ty nas wjechałeś?!” – krzyknąłem zdenerwowany. „Uspokój się – powiedział. – To nie jest tak, jak myślisz”. I zaczął opowiadać. Okazało się, że Monika w tym całym Cockneyu wpadła w jakieś podejrzone

towarzystwo, że zupełnie nieświadomie opowiadała o naszej prawniczej rodzinie, że ci ludzie dużo o nas wiedzą. I Monika też dużo wiedziała o tych ludziach. Zaczęła się czuć zagrożona, chciała się od tego uwolnić, ale nie było to takie proste. Więc przysłała do twojego ojca po pomoc.

– Co?! – wykrzyknęła Helena.

Kelnerka podniosła na nią zdziwiony wzrok, ale ona miała to gdzieś. Poczwała się zdradzona. Monika wpadła w kłopoty i zamiast zgłosić się z tym do rodziców, poszła do dziadka! Surowego, zimnego, apodyktycznego człowieka! Helenę zalała wściekłość. Z drugiej strony jakiś głos szeptał jej, że przecież ona nie zrobiła nic, by Monika zaufała właśnie jej. Czy tak naprawdę córka mogła kiedykolwiek na nią liczyć? Znów przymknęła oczy. Przez jej umysł przetaczało się tysiąc sprzecznych emocji. Poczwała się tak, jakby miała zaraz wybuchnąć. Musi się opanować. Wzięła kilka głębokich wdechów i wsłuchiwała się w deszcz.

„To było dawno – pomyślała. – Tak bardzo dawno. Uspokój się. Już nic teraz nie zmienisz”.

– A więc poszła do mojego szanownego ojca – powiedziała. – I tatulek wymyślił, żeby wyręczyć się tobą?

– Nie do końca. Najpierw myślał, że zdoła Monikę „wykupić”, jak to ujął. Myślał, że chodzi o pieniądze. zaproponował im naprawdę dużą sumę za to, że dadzą Monice odejść. Ale o dziwo, im nie chodziło o pieniądze. Im chodziło o kontakty. Chcieli przejąć trójmiejski system sprawiedliwości. Chcieli zdobyć bezkarność. Z tego, co zrozumiałem, mieli na swoich usługach ludzi z policji, prokuratury, pewnie i sędziów. Chcieli mieć też adwokatów. Stary Deskur i ja byliśmy dla nich idealni. Nas nie musieli zresztą kupować. Nas wystarczyło postraszyć. Obiecali, że jeśli będziemy grać w ich zespole, to Monika będzie bezpieczna. Mówili, że chodzi tylko o tę konkretną sprawę i jeśli ją wygramy, to wszystko się skończy. Deskur na to przystał. I mnie też wydawało się to wtedy jedynym rozwiązaniem.

– I dlatego podjąłeś się współpracy z mafiosami? Wtedy myślałam, że po prostu cię przekupili. Myślałam, że się sprzedałeś.

– Nigdy nie wziętem od nich żadnych pieniędzy. Choć proponowali, oczywiście. Pewnie chcieli mieć na nas jeszcze jednego haka, ale nigdy nic od nich nie przyjąłem. Poprowadziłem tę sprawę. Dowody były mocne. Ci ludzie byli winni. Przemyt, narkotyki, morderstwa. Ale linia obrony, którą opracowałem z twoim ojcem, przekupieni funkcjonariusze i jak przypuszczam, sędzia prowadzący sprawę, wszystko to sprawiło, że ich uniewinniono. Pamiętasz sprawę mafii Kazara, o której było tak głośno w mediach? To było właśnie to. Wygrana zapewniła mi ogromny rozgłos. Stałem się rozchwytywany. Co za pieprzony paradoks! Sprawa skończyła się jakiś tydzień przed tym, jak Monika zaginęła. Obiecali, że dadzą jej spokój! Obiecali! – Roman miał łzy w oczach. – Sam Kazar podszedł do mnie po ostatniej rozprawie, poklepał mnie po policzku i powiedział, pamiętam dokładnie: „Możesz, Roman, odetchnąć!”. Myślałem, łudziłem się, ech...

– Czyli to mafia zabiła Monikę – cicho powiedziała Bogucka. – Mafia zabiła moją córkę! Matko, co za absurd! – Chwyciła się za głowę. – Niby w aktach przewijały się te wszystkie nazwiska, ale nigdy nie wierzyłam, żeby Monika mogła mieć coś wspólnego z tymi ludźmi!

– Znalazła się w złym miejscu o nieodpowiedniej porze. To wszystko. – Roman spoglądał na Helenę pełen smutku.

Boguckiej wydało się, że postarzał się w ciągu tej rozmowy o kilka dobrych lat. Nie był już tym

świetnie wyglądającym facetem z młodą żoną i małymi dziećmi. Był podstarzałym mężczyzną, który doświadczył w życiu czegoś strasznego. Przez chwilę wydał jej się bliski.

Przeniosła wzrok na okno. Nie zdawała sobie sprawy, że Monika przed śmiercią miała tyle problemów i zmartwień. Wciąż myślała o cierpieniu, jakie zadał córce oprawca. Powracał do niej obraz mężczyzny, który chwyta głowę jej córki, zaciska rękę na włosach, przytrzymuje pod wodą i czeka, aż dziewczyna przestanie oddychać. Nie myślała o tym, co się działo wcześniej. Była pewna, że śmierć przyszła nieoczekiwanie, zupełnie przypadkowo. Nie zastanawiała się nad lękiem, który Monika odczuwała pewnie od kilku miesięcy. Nie domyśliła się strachu, zagubienia, osaczenia. Powinna była się domyślić. Była matką. Matka powinna była wiedzieć. Nic nie przeczuwała, skupiona na sobie, na romansie, na swoim miłosnym niespełnieniu. Zawiodła. Zawiodła swoją kochaną, piękną córkę i nigdy tego nie odpokutuje.

Deszcz powoli słabł. Ledwo było go słyszeć. Helena miała ochotę wyjść na dwór i wchłonąć w siebie oczyszczone, rześkie powietrze. Chciała, żeby coś ją wypełniło. Coś oprócz rozpacz i smutku. Potrzebowała czegoś. Zdała sobie sprawę z tego, że musi się napić. Szybko i dużo. Zdusiła jednak w sobie tę myśl i zapytała:

– Czemu nic nie powiedziałeś? Mnie, policji? Przecież można było ich oskarżyć, można było ich wsadzić, wymierzyć sprawiedliwość. Nie rozumiem...

– Bałem się. Dzień po tym, jak odnaleziono ciało Moniki, dostałem esemesa z prywatnego numeru. Napisali: „Jeśli coś piśniesz, została jeszcze żona”. Tylko tyle i aż tyle. Nie mogłem do nikogo z tym pójść. Wiedziałem, że mają swoich ludzi w policji, wszędzie. Nie wiedziałem, komu mogę zaufać. Przecież oni wywinęli się już z takich oczywistych przestępstw! A tu?! Nie miałem nic, co dałoby się wykorzystać przeciwko nim. A jedno nieopatrzne słowo i tym razem ty znalazłabyś się w niebezpieczeństwie. Nie mogłem do tego dopuścić. Nie mogłem zrobić nic. Czułem się bezsilny, zupełnie bezradny. Nawet nie wiesz, przez co musiałem przejść, nie zdajesz sobie sprawy, z czym musiałem się zmierzyć! Nie było ciebie! Nie miałem nikogo, kto mógłby mnie uratować!

Roman zaczął szlochać. Siedział przy stoliku w kwaciarniokawiarni i płakał jak dziecko. Łzy lały mu się ciurkiem po policzkach. Zamknął twarz w dłoniach i podrygiwał w spazmatycznym bólu.

Helena przyglądała mu się z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony czuła zażenowanie jego zachowaniem. Z drugiej – miała ochotę podejść i go objąć. Oczywiście tego nie zrobiła. Ciało przygnęło do krzesła i nie chciało się podnieść. Nie chciało wykonać działania, które podpowiadał umysł. Siedzieli dłuższą chwilę. W końcu Bogucka zmusiła się do wstania. Włożyła płaszcz i wyszła na dwór. Szła szybko, głęboko wdychając powietrze. Potrzebowała, by wypełniło ją bez reszty.

18

No pewnie. Czemu wcześniej nie pomyślał o bateriach? Leopold Bilski wbiegał po schodach, biorąc po trzy stopnie naraz. Cały dzień nie mógł doczekać się chwili, gdy wróci do domu i odsłucha kasetę. Gdy w końcu wynurzył się spod sterty papierów, wrócił do domu, a następnie wydobyl walkmana z dna szafy pełnej zachomikowanych pamiątek z przeszłości, okazało się, że nie pomyślał o bateriach. Musiał zbiec na dół i podjechać na najbliższą stację benzynową, bo osiedlowy sklepik był już zamknięty. Teraz baterie paluszki pobrzękiwały w kieszeni kurtki. Bilski modlił się tylko

w duchu, by sprzęt mający niemal trzydzieści lat nadal był sprawny.

Zawiesił kurtkę na haczyku przy drzwiach wejściowych, oparł ręce na kolanach i głośno sapał. Jego kondycja pozostawiała wiele do życzenia. Był świadomy, że powinien wrócić na siłownię, gdzie miał wykupiony abonament, ale nieustannie brakowało mu czasu. Ciągłe łudził swój umysł nadzieją, że jak tylko nadejdzie porządna wiosna, będzie miał zdecydowanie więcej wigoru i treningi nie będą się wydawać takim ogromnym wyzwaniem.

Gdy w końcu zaczął oddychać prawie regularnie, podszedł do walkmana przygotowanego na stoliku i nakazał sobie spokój. Przecież na taśmie nie musi być nic istotnego. Może to być po prostu jakiś przegrany album albo audycja radiowa. On sam w taki właśnie sposób zagospodarowywał puste kasety magnetofonowe. Ale nieodparte przecucie mówiło mu, że jednak będzie inaczej, że znajdzie coś istotnego.

Z namaszczeniem włożył kasetę do walkmana i wcisnął guzik. Nic.

– Szlag by to – syknął Bilski i przewinął kasetę kawałek do przodu.

Ponownie wcisnął guzik i usłyszał śmiech. Głos był kobiecy i delikatny. Leopold poczuł ciarki na całym ciele. Wcisnął przewijanie i tym razem odczekał, aż taśma nawinie się w całości na lewą szpulkę.

„Nagranie numer jeden. Monika Bogucka”. – Głos należał do mężczyzny.

Po chwili pauzy rozbrzmiała muzyka gitarowa, a następnie wszedł kobiecy wokół. Monika Bogucka śpiewała naprawdę pięknie. Przejmująco, płynnie, trochę gardłowo.

„Wolałabym nie mieć wzroku niż zobaczyć, jak odchodzisz. Wolałabym piekło niż raj bez ciebie” – śpiewała, a Leopold Bilski słuchał jak urzeczony.

Monika Bogucka umiała śpiewać. Naprawdę umiała. Wyciągała wysokie dźwięki, balansowała na granicy chrypienia w dolnych rejestrach. Dawno żaden wokół nie zrobił na Bilskim takiego wrażenia.

Prokurator zastanawiał się, czemu sędzia Bogucka nigdy nie wspomniała o tym fakcie. Przecież jeśli dziewczyna miała taki talent, to on mocno ją określał. Może wpływał na jej wybory? Może któraś z tych podejrzanych osób z jej nowego towarzystwa obiecała jej nagranie płyty? Może tak to się właśnie zaczęło? – dedukował Bilski. Musi koniecznie jeszcze raz porozmawiać z Heleną Bogucką. Może Monika chodziła do kogoś na lekcje śpiewu, uczęszczała do jakiegoś kółka. To mocno rozszerzyłoby krąg osób, z którymi warto porozmawiać, może pojawiłby się jakiś podejrzany?

Bilski był podekscytowany. Wybrał numer Ani, gdyż chciał się koniecznie podzielić newsem. Automatyczny głos poinformował go, że abonent jest czasowo poza zasięgiem. Ponownie odsłuchał nagraną na taśmie piosenkę i znów poczuł przyływ adrenaliny. Zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem i myślał o Monice Boguckiej. Wyobrażał sobie, jak stoi przed mikrofonem i kołysze biodrami w takt gitarowych dźwięków. Kim był mężczyzna, który ją nagrywał? Czy to był Waldemar, Kazar, a może... Mario? Leopold przypomniał sobie o numerze telefonu z płyty i wstukał go w komórkę. Po chwili usłyszał coś na kształt trzasku i jakby spod ziemi rozległo się męskie „halo”.

– Halo! – krzyknął Bilski. – Czy zastałem Maria?!

– Nie, nie. Syna nie ma – odpowiedział głos, który rozbrzmiewał jak za taflą wody. – To znaczy...

(trzask, trzask) nie mieszka. A z kim mam przyjemność?

– Jestem kolegą Maria jeszcze ze szkoły. – Kłamstwo pojawiło się jak na zawołanie. – Czy nie wie pan, jak mogę się z nim skontaktować?

– (trzask, trzask)...zepsuty... (trzask) aparat (trzask, trzask). Czy pan mnie słyszy? – ostatnie zdanie było dość wyraźne, a Leopoldowi przez sekundę wydało się, że skądś zna głos z drugiego końca linii.

– Tak, słyszę! – Bilski niemal wrzasnął. – Ma pan do syna jakiś telefon, pod którym mógłbym go złapać?

– (trzask, trzask) zapisać? To będzie... – rozmówca wymieniał cyfry.

Bilski chwycił długopis leżący na stoliku i zapisał dziewięciocyfrowy numer.

– Halo?

– (trzask, trzask) halo? ... słysząc... widzenia. – Mężczyzna zakończył rozmowę i w słuchawce rozbrzmiał ciągły sygnał.

Prokurator Bilski rzucił telefon na kanapę i wpatrzył się w skrawek gazety, na którym jaśniał zdobyty numer Maria. Na twarzy prokuratora pojawił się szelmowski uśmiech.

1

Powoli zmierzchało. Monika wpatrywała się w okno. Jej twarz rysowała się na tle ośnieżonego ogrodu. Nad zamrzniętą rzeką kołowały dwa duże ptaszyska, wydając przedziwny dźwięk. Śnieg sypał coraz gęściej. Wielkie płatki osiadały na krzewach udających ogrodowe figury. W szybie odbiło się pomarańczowe światło. Powoli zaczęło narastać, sięgając językami ognia ku górze. Pomieszczenie się ogrzewało. Monika zatarła zamrznięte dłonie i odwróciła się do Maria.

– Uwielbiam tu być – powiedziała. – To chyba jedyne miejsce na ziemi, w którym panuje taki spokój.

Chłopak uśmiechnął się zadowolony i dorzucił jeszcze jedną kłodę do kominka.

– Możesz tu przyjeżdżać, kiedy tylko zechcesz! – zapewnił. – Zaraz powinno zrobić się cieplej. A tymczasem przygotuję kolację.

Monika poczuła, że w brzuchu jej zbulgotało. Oczywiście nie jadła nic od rana. Stres odbierał jej apetyt. Ale teraz na myśl o jedzeniu poczuła przyjemne łaknienie. Tak jakby tutaj nie mogły jej złapać żadne zmory z prawdziwego świata.

– Mogę jakoś pomóc? – spytała ochoczo.

– Pewnie! – odparł Mario. – Szczerze mówiąc, nie wiem za dużo o gotowaniu. Zazwyczaj coś z ojcem zamawiamy. Ale robię świetną jajecznicę z grzybami i boczkiem.

– Super – odparła Monika. – A ja jestem mistrzynią krojenia. Zainteresowany? – Zaśmiała się.

– Zawsze. – Mario popatrzył na Monikę z uwielbieniem, a gdy napotkał jej wzrok, oblał się rumieńcem. – Ale gorąco! – szybko zmienił temat i zgrabnym ruchem zrzucił gruby sweter, który miał na sobie.

Jajecznica faktycznie była wyborna. Monika pałaszowała w milczeniu, raz po raz zagryzając wiejskim chlebem z chrupiącą skórką. W końcu wyczyściła talerz piętka i rozciągnęła się na krześle.

– Matko, ale musiałaś być głodna! – skostatował Mario, przyglądając się czystemu naczyniu.

– No. Rzeczywiście byłam – potwierdziła dziewczyna i szeroko ziewnęła.

– Chodź, kłapniemy przy kominku i wyciągniemy nogi – zaproponował Mario.

Usiedli na kanapie. Mario otulił Monikę kocem. W kominie co jakiś czas huczał wiatr, który sprawiał, że w środku robiło się jeszcze przyjemniej.

– Uciekasz – stwierdził Mario.

– Tak jakby... uciekam – westchnęła Monika.

– Mówiłem ci, że to niebezpieczni ludzie.

– Mówiłeś.

– Ale mnie nie słuchałaś. A przecież... – Mario zamilkł, jakby zrozumiał, że wymądrzanie się nic teraz nie pomoże. – W każdym razie możesz tu zostać tak długo, jak tylko potrzebujesz.

– Dzięki. – Monika szturchnęła go ramieniem w ramię. – Czasami mam wrażenie, że jesteś jedyną osobą na świecie, na którą mogę liczyć.

– Eeee, chyba nie jest tak źle. – Mario był wyraźnie wzruszony, choć starał się tego nie pokazywać. – No właśnie, powiesz mi w końcu, o co chodzi?

Monika milczała. Zacisnęła szczęki i widać było, że myśli intensywnie.

– Im mniej wiesz, tym lepiej – wyznała w końcu. – Może zabrzmiało to jak z kiczowatego kryminału, ale taka jest prawda. Wpakowałam się w coś, ale chyba jest szansa, że się z tego wykręcę. Muszę przeczekać. To wszystko.

– Mhm – skwitował Mario. – Jak chcesz. Ale pamiętaj, że możesz mi powiedzieć wszystko. Tak na przyszłość...

– Wiem, wiem. – Monika oparła głowę na jego ramieniu i wpatrzyła się w ogień na kominku.

Płonące drewno co jakiś czas strzelało snopami iskier. Za oknem gruba pokrywa śniegu rozświetlała ciemność.

„Dobrze było uciec” – pomyślała Monika i zapadła w głęboki sen.

2

Myśl o Tadeuszu jątrzyła się w jej mózgu jak przykra rana. Nie przyszedł. Po raz pierwszy nie przyszedł, choć ona była gotowa rzucić dla niego całe swoje życie. Podjęła decyzję, by rozbić rodzinę, by pozbawić Monikę poczucia stabilizacji, by przyznać się mężowi do zdrady, a on się nie pojawił, choć czekała prawie godzinę. Nawet nie zadzwonił, nie napisał, choć ona jak idiotka wlepiła wzrok w hotelowe drzwi. Ból przeszył jej podbrzusze, a ona zdała sobie sprawę z faktu, że w całym swoim życiu cierpiała tylko przez jednego mężczyznę – Tadeusza.

Sterylnie biały korytarz był zupełnie pusty. Helena siedziała na plastikowym krześle pod ścianą i czekała. Była sama. Monika wyjechała na ferie z paczką znajomych, a do Romana nie mogła się dodzwonić. Czekala na wieści o stanie zdrowia ojca, choć on na pewno by sobie tego nie życzył. Nie chciał jej znać – tak jej powiedział podczas ostatniej rozmowy i Helena wiedziała, że na pewno mówił szczerze. Ojciec nigdy nie wypowiedział zdania, którego by później żałował. Jego kodeks moralny był jasny i precyzyjny. Nie było w nim miejsca na żadne wątpliwości czy chwilowe rozterki. Deskur nie życzył sobie znać córki, która tak mocno go zawiodła, chcąc zniszczyć świat, który on z wielkim staraniem dla niej zbudował.

Czy ten zawał to była jej wina? Czy Ryszard Deskur mógł się aż tak przejąć rozmową z córką, że serce nie wytrzymało obciążenia? Helena zastanawiała się, czy to możliwe, żeby zdarzenie sprzed tygodnia zaważyło na jego zdrowiu. Na pewno nie przejął się tym, że stracił córkę. Była pewna, że to, co wpłynęło na atak, nie mogło bezpośrednio wiązać się z bólem wynikającym z kłótni. Aż tak stary Deskur jej nie kochał i Helena wiedziała to w zasadzie od zawsze. Ale poczucie porażki wychowawczej, gniew, że córka chciała postąpić wbrew jego woli, a przede wszystkim fakt, że Helena mu się wymknęła i nie mógł już wpływać na jej życie i decyzje – tak, to musiało go rozgniewać. Helena przypomniała sobie czerwoną ze wzburzenia twarz ojca tuż przed jej wyjściem z gabinetu. Po części była winna tego zawału. Na pewno. Bez względu na to, jak bardzo chciała siebie oszukać. Jej ojciec o mało nie umarł, bo okazała się niewdzięczną córką.

Helena westchnęła i rozejrzała się po pustym korytarzu. Nikt w ciągu dwóch godzin do niej nie przyszedł, żeby udzielić jej informacji. Wiedziała tylko, że ojciec jest operowany, a jego stan jest

poważny. Siedziała więc sama z dręczącymi ją wyrzutami sumienia i gonitwą myśli o Tadeuszu.

Przecież to on ją wcześniej prosił, żeby odeszła od Romana. Leżeli obok siebie nadzy, a Tadeusz ścisnął jej dłoń i patrząc w sufit, powiedział:

– Już czas, Helena. Tak dłużej nie można. Już czas, byśmy naprawili to, co kiedyś zostało zepsute.

Ona milczała, mimo że doskonale wiedziała, co miał na myśli. To z nim miała spędzić życie. To on był jej pisany. I choć ich związkowi sprzeciwił się jej ojciec i każde z nich poszło w swoją stronę, to jednak po latach znów napawali się swoją nagością, wciąż mieli siebie za mała.

– Odejdź od niego, Helena. Wiesz, że tak musi być. Zaczniemy na nowo. Razem. Pozwólmy sobie na szczęście – przekonywał Tadeusz, odwróciwszy się do niej twarzą i starając się złapać jej spojrzenie.

Bała się na niego spojrzeć. Nie chciała, by dojrzał w jej oczach wątpliwość, która przez lata ją uwierała. Jasne, że już dawno mogła opuścić Romana i zbudować nowe życie. Nie była pewna, czy kiedykolwiek łączyła ich miłość, choć przez te wszystkie lata bezsprzecznie zbudowali pewną więź pozwalającą im razem funkcjonować. Monika też raczej zrozumiałaby sytuację, była już prawie dorosła i niewątpliwie miała świadomość, że związek jej rodziców nie jest modelowy. Ale Helene zawsze coś powstrzymywało. Coś elementarnego i dogłębnie jej wpojonego. Strach przed gniewem ojca.

Głupio jej było przyznać przed kimkolwiek, że choć jest dorosłą kobietą na poważnym stanowisku i szanowaną w sędziowskim środowisku, to jednak kryje się w niej mała dziewczynka, która wciąż boi się ojca. Nie chciała, by Tadeusz to z niej wyczytał. Nie chciała, by tak właśnie ją widział. W końcu opanowała więc mimikę, starając się ukryć w sobie absurdalne lęki. Odwróciła do niego twarz i zmusiła się do lekkiego uśmiechu.

– Zobaczmy – powiedziała i zaczęła zbierać się do wyjścia.

W całej tej sytuacji najbardziej wkurzało ją to, że ojciec jednak miał rację. Decyzje, które sama podejmowała, okazywały się zgubne, podczas gdy te, które zapadły pod jego dyktando, były trwałe i solidne. Gdy raz zdobyła się na to, by sprzeciwić się woli ojca, okazało się, że zrobiła to na marne. Tadeusz nie przyszedł. Kropka. Nie było o czym mówić.

Helena znów popatrzyła w głąb korytarza, gdzie dostrzegła pielęgniarkę. Zerwała się z krzesła i zdecydowanym krokiem do niej podeszła. Kobieta w białym kitlu i miękkich chodakach uśmiechnęła się do niej promiennie i oznajmiła:

– Będzie żył. Już dobrze. Najgorsze za nami. Pani tata jest już bezpieczny.

3

Monika stała z parującą kawą w ogrodzie i spoglądała na linię horyzontu. Niebo było bezchmurne, a słońce powoli przesuwające się ku górze połyskiwało w wodach rzeki. Śnieg pokrywał wszystko masywnymi czapami, tworzącymi przeróżne kształty. Dziewczyna pomyślała o swoim ulubionym filmie Tima Burtona, w którym Edward nożycorękami formował przepiękne rzeźby z żywopłotów. Przypomniała też sobie ożywające zwierzęta ze śnieżnego żywopłotu z książki Kinga, ale szybko odrzuciła ten obraz, ponownie skupiając się na czystości zimowego poranka. Choć mieszkała w Trójmieście przez całe życie, wcześniej nie odwiedzała miejscowości leżącej tak niedaleko. Miała

ona w sobie coś pierwotnego, jakby świat zatrzymał się tu w czasie.

Gruba czapka i otulający szyję wełniany szal sprawiały, że Monika w ogóle nie czuła zimna. Było bezwietrznie, więc mróz tworzył przyjemny kokon. Wzięła łyk parującej kawy i poczuła orzeźwiająco gorycz. Przed oczami stanęła jej zawsze pachnąca ziarnami kawy babcia Stefania i Monika nagle zapragnęła znów być małą dziewczynką. Chciała przeobrazić się w tę chudą niewinną postać z krzywymi zębami. Gdyby mogła cofnąć czas, nigdy nie stałaby się Pumą. Teraz nie rozumiała tego ciągłego pragnienia ekscytacji, które przez długi czas odczuwała. Dokąd ją zaprowadziło? Musiała się ukrywać w domku nad rzeką, podczas gdy jej dziadek kombinował, jak ich wyciągnąć z całej tej sytuacji.

„Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę” – mawiała babcia Stefania, przejeżdżając szorstką dłonią po policzku Moniki. Czy już przed laty dostrzegła w dziewczynce coś, co dziś doprowadzi ją do zguby? Monika z czułością wspominała twarz babci, tęskniąc do jej kojącego dotyku i bezpiecznej aury, którą roztaczała. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz czuła się w pełni bezpieczna. Czy Waldemar i Kazar już jej szukali? Od jej zniknięcia minęło kilka dni. Telefon, za pomocą którego się z nią kontaktowali, wyrzuciła do rowu przez okno samochodu. Wcześniej, tak jak polecił jej dziadek, zniszczyła kartę sim. Miała nadzieję, że dziadkowi Ryszardowi uda się wszystko tak załatwić, by już nigdy nie musiała mieć kontaktu z tymi ludźmi.

Przypomniała sobie spocone dłonie Kazara na swoim ciele. Jego zawsze trochę lepkie ręce błądzące po jej twarzy i włosach. Zrobiło jej się niedobrze. Na szczęście Kazar nigdy nie chciał uprawiać z nią seksu. Lubił na nią patrzeć. Kazał się jej rozbierać i prezentować przed nim wdzięki. Podchodził do niej i obmacywał. Przejeżdżał dłońmi po jej brzuchu i piersiach, gładził uda, wsadzał swoje małe grube paluszki w każdy zakamarek jej ciała. Lubieżnie przy tym mruczał, mrużąc głęboko osadzone brązowe oczy. Monika nigdy nie widziała, by sam się przy tym dotykał. Karmił się swą psychiczną ekstazą, nie potrzebując rzeczywistego spełnienia. Dziewczyna przypuszczała, że Kazar musiał mieć jakiś problem z potencją albo wstydział się swojego ciała. Nie była do końca pewna, jakie podłoże miały jego bariery. Nigdy też nikogo o to nie zapytała – podejrzewała, że wyjawienie sekretu szefa miałoby dla niej zgubne skutki.

Jej myśli przerwało lekkie pukanie w szybę. Zobaczyła Maria stojącego w dresach za oknem. Miał potargane włosy i promiennie się do niej uśmiechał. Monika pomachała mu i ruszyła w jego stronę. Gdy weszła do domku, poczuła, jak bardzo zmarzły jej odsłonięte policzki.

– Dzień dobry – przywitał się chłopak. – Robię śniadanie i zabieramy się do pracy – zakomenderował.

Monika szczerze się ucieszyła nie tylko na śniadanie, ale też na perspektywę pracy. Szczerze powiedziawszy, ta druga propozycja od kilku dni wywoływała w niej radość, łagodząc pełną nerwów rzeczywistość. Szybko pochłonęli po kilka kanapek i wąskimi schodami poszli na górę. Gdy Mario otworzył drzwi swojego pokoju, Monika aż gwizdnęła z zachwytu. Pod ścianą znajdowała się kabina dźwiękoszczelna, za którą dostrzegła stojący na statywie mikrofon lampowy Neumann.

– Kabina dość amatorska, ale akustycznie obojętna, czyli skutecznie odetnie niepożądane sygnały – oznajmił Mario zadowolony. – A to Commodore 64. – Wskazał na komputer stojący obok sporych kolumn. – Używany, ale zupełnie sprawny. A co najważniejsze, wyposażony w możliwości graficzne i muzyczne. Łączy audio z funkcją midi, dzięki czemu można dopalić werbel. – Zauważył pytające

spojrzenie Moniki i dodał: – Jednym słowem będziemy mogli korzystać z technologii trigerowania, czyli zaprojektujemy instrumenty klawiszowe i perkusyjne. Tym samym mamy wszystko, żeby nagrać demo.

– Nic z tego nie rozumiem, ale jaram się – stwierdziła uśmiechnięta Monika.

– To najważniejsze. – Mario puścił do niej oko. – Mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę. – Podał dziewczynie kilka zapisanych kartek. – Piosenki. Skomponowane przeze mnie specjalnie dla ciebie.

4

Ależ ona śpiewała. Mario wsłuchiwał się w głos Moniki, czując, jak w jego wnętrzu rozchodzi się masa znajomego ciepła. Już wcześniej uważał, że głos dziewczyny jest unikatowy. Lecz dzisiaj miała w nim coś jeszcze – jakiś smutek i drżenie, które wcześniej się nie pojawiały. Monika doskonale interpretowała jego słowa. Gdy śpiewała o niespełnionej miłości, w jej oczach połyskiwały łzy. Choć Mario pisał te utwory ze swojej perspektywy, wiedział, że Monika widzi w nich siebie. Domyślał się, że śpiewając, myśli o kimś innym. Ale to mu nie przeszkadzało. Czuł, że wspólny wyjazd mocno ich do siebie zbliżył. Miał nadzieję, że przy nim Monika zapomni o Waldemarze. Marzył, żeby w końcu spojrzała na niego jak na mężczyznę, a nie tylko jak na kumpla.

Monika stanowiła dla Maria ideał. Była delikatna, wrażliwa i krucha. Chłopak miał ochotę zamknąć ją w ramionach i ochronić przed całym światem. Jednocześnie odznaczała się wyjątkową siłą i charyzmą. Była nieprzewidywalna, odważna, wiecznie czegoś poszukiwała. W pewien sposób Monika przypominała Mariowi matkę. Nie z wyglądu. Chodziło o to, że matka również miała w sobie dwie osoby. Jedna była nieprzejednana, silna i bezkompromisowa. Druga, szczególnie gdy chorowała, okazała się słaba, wątpiąca i potrzebująca pomocy.

Śpiew Moniki przeniósł Maria kilka lat wstecz, do czasów, gdy u matki wykryto raka piersi. W tamte wakacje nie mógł znaleźć sobie miejsca, jej walka z chorobą napawała go lękiem, a zarazem w pewien sposób odpychała. Kotłowało się w nim wiele sprzecznych uczuć. Choć wiedział, że zbliża się termin operacji, postanowił wyruszyć w trip. Miał wtedy tylko czternaście lat, ale rodzice się zgodzili. Świadomość, że syn nie będzie musiał tego wszystkiego przeżywać wraz z nimi, była chyba dla nich w jakiś sposób pocieszająca. Z kolegą o ksywce Babun Mario dostał się promem do Sztokholmu. Potem pojechali stopem nad wielkie jezioro Vänern w Karlstad i biwakowali tam przez kilka dni. Następnie postanowili pojechać do Göteborga. Trudno było złapać stopa. Stali z plecakami po pięć, sześć godzin, by ktoś w końcu przewiózł ich niewielki kawałek. Gdy dotarli do celu, niepokój Maria się wzmógł. Mimo że chłopak starał się w ogóle nie myśleć o matce, to jednak myśli ciągle do niej uciekały i choć był setki kilometrów od jej choroby, czuł, że rak zżera go od środka. W przeddzień operacji Mario poczuł, że powinien być w Gdańsku. Pomysł wyjazdu na wakacje w takiej sytuacji wydał mu się nagle szaleństwem. Nakłonił Babuna, żeby wracali.

Postanowili, że się rozdziela, bo w pojedynkę łatwiej było znaleźć kogoś z wolnym miejscem. Podzielili się jedzeniem i resztką pieniędzy. Babun wyszedł na drogę, a Mario poszedł na stację benzynową nagabywać ludzi. Pamiętał, że wszystko, czego wtedy doświadczał, wydawało mu się snem – Rumuni, którzy na trawniku tuż obok stacji gotowali na ognisku jajka na twardo, bezżebny

Czech z tira, który zmierzał do Treleborga, rudy gruby ksiądz z czarnego cinquecento, który wysadził go przy pierwszym zjeździe z obwodnicy, bieg poboczem przez pastwiska i pola, by dostać się do drogi prowadzącej do Ystad. Następnie zatrzymało się dwóch muzułmanów w białym starym volvo, którzy poinformowali go, że są niezadowoleni, ale muszą go zabrać, bo wiara nakazuje im pomagać bliźnim. To oni dowieźli go aż na prom, którym dwanaście godzin płynął do Świnoujścia. Ktoś zabrał go prosto do Trójmiasta. Mario stanął przed Wojewódzkim Centrum Onkologii w Gdańsku dokładnie w tym czasie, gdy matkę mieli zabierać na salę. Ale nie wszedł do środka. Gnał całą dobę, by zdążyć, a w ostatnim momencie się wycofał. Wsiadł do taksówki i pojechał do kolegi, który miał zawsze jaranie. Spędził u niego dwa dni, paląc marihuanę i nie ruszając się przed telewizora.

Gdy teraz o tym myślał, nadal nie rozumiał, co się wtedy stało. Czemu stchórzył? Czemu nie pożegnał się z matką, choć był tak blisko? Nadal nie potrafił sobie tego wytłumaczyć.

Monika zaśpiewała wysokie tony. Jej głos zabrzmiał niemal anielsko. Mario wpatrzył się w sylwetkę dziewczyny za szybą. Tak, coś w niej przypominało mu matkę, choć nie do końca potrafił wyłapać ten pierwiastek. Czy lgnął do kobiet takich jak Monika ze względu na matkę? Intuicyjnie wybierał je na obiekt pożądania? Wzdrygnął się na samą myśl o tym. To głupie. Monika była zupełnie inna. Matka była przecież irytująca i nieznośna. Natomiast Monika była powalająca i w każdym calu intrygująca. Nie wyobrażał sobie, żeby kiedykolwiek mógł mieć jej dość.

5

Monika stanęła przed Uniwersyteckim Centrum Klinicznym w Gdańsku. Choć matka zapewniła ją, że po godzinach odwiedzin i tak jej do niego nie wpuszczą, to jednak nie chciała czekać do jutra. Dwa tygodnie odpoczywała w domku nad rzeką, podczas gdy jej dziadek leżał w szpitalu. I to zapewne przez nią. Monika zacisnęła powieki, a po jej policzku potoczyła się łza. Czy dziadek widział się z Kazarem i jego ludźmi? Czy udało mu się ich przekonać, by dali jej spokój? Czego mogli chcieć w zamian za ten spokój? Zawał dziadka nie pozostawiał jej złudzeń, że wszystko poszło gładko. Czuła, że nadal znajduje się w potrzasku, jednak teraz nie była w nim sama – była w nim również cała jej rodzina.

Monika wbiegła po schodach do drzwi wejściowych, minęła recepcję i wsiadła do windy. Wjechała na drugie piętro i poszła pod salę numer 215. Rozejrzała się wokół. Korytarz był zupełnie pusty. Słyszała tylko dźwięki telewizora dochodzące z jakiegoś dalszego pokoju. Powoli nacisnęła klamkę. W sali panował mrok. Odczekała chwilę, by oczy przyzwyczaiły się do ciemności, i podeszła do łóżka wyraźnie odcinającego się bielą od reszty sprzętów. Dziadek spał. Na jego twarz padała lekka poświata znajdującej się na zewnątrz latarni. Wyglądał spokojnie. Jego oddech był regularny. Klatka piersiowa systematycznie podnosiła się i opadała. W prawym przedramieniu znajdowała się igła połączona za pomocą plastikowej rurki z kroplówką.

– Dziadku. – Monika nachyliła się nad Ryszardem Deskurem i starała się go delikatnie obudzić. – Dziadku! – powiedziała głośniejszym głosem i ścisnęła jego dłoń.

Ryszard Deskur zamruczał i powoli otworzył oczy. Patrzył wprost na nią, ale dziewczyna nie była pewna, czy ją widzi.

- Dziadku, to ja, Monika – szepnęła, a on się szarpnął.
- Monika – powiedział w końcu. – Chcesz, żebym dostał kolejnego zawału? – jęknął.
- Przepraszam, nie chciałam cię wystraszyć.

Zapaliła małą lampkę przy łóżku, którą właśnie dostrzegła. Chwilę przyzwyczajali się do światła. Monika przysiadła na stołku.

- Jak się czujesz? – spytała.
- Jak rydz – zgryźliwie odparł Deskur i wysilił się na sarkastyczny uśmiech.
- Co się stało? – Monika zadała w końcu nurtujące ją pytanie, choć bała się poznać odpowiedź.
- Załatwione – odparł Deskur. – Już nie musisz się niczym przejmować. Ja i twój ojciec musimy coś dla nich zrobić. Nic wielkiego. Nic niebezpiecznego. Nie martw się. Ale obiecali, że ciebie nie będą już potrzebować.

Monika zaczęła płakać. Nie wytrzymała napięcia.

- Ale czemu w takim razie jesteś w takim stanie? Czy oni coś ci zrobili?
- Eeee, serce już mam stare, a zawód wymagający, to prędzej czy później zawał musiał się zjawić. No, nie bec mi już. Wiesz, że tego nie lubię.

Monika otarła oczy rękawem kurtki i się uśmiechnęła.

- Dziękuję, dziadku. Nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie zrobiłeś.

Przytuliła się do niego, a on zamarł, potem zaś wykrztusił:

- No już, już. Wystarczy. Idź, zanim jakaś pielęgniarka cię wypatrzy.

Dziewczyna wymknęła się z pokoju i zjechała windą na parter. Zbiegła po stromych schodach i stanęła na ulicy. Miała ochotę krzyknąć z radości. Poczowała się wolna.

Gdy już miała skierować się ku mostowi prowadzącemu do kolejki SKM, pod szpital podjechało czarne BMW, z którego wyskoczył Waldemar. Dopadł do niej jednym susem, mocno wykręcił rękę do tyłu i pchnął na maskę. Nie była w stanie się ruszyć.

- Myślałaś, że tak łatwo ode mnie uciec? – syknął.

6

W pomieszczeniu panowały ciemności. Nie było żadnego okna, przez które wpadałoby światło. Goła posadzka była lodowata. Monika drżała na całym ciele. Podkurczyła nogi pod siebie i starała się usiąść na stopach. Nie wiedziała, ile czasu minęło, odkąd Waldemar ją tu zamknął. Wiedziała tylko, że znajduje się w jakiejś komórce piwnicznej. Słyszała otwieranie kłódki, a następnie zeszli na dół. Znów zgrzyt klucza, a potem on wepchnął ją tutaj. Gdy zdjęła opaskę, którą miała na oczach, nadal nic nie widziała.

Bała się. Nie pierwszy raz w życiu się bała, ale teraz strach sprawiał, że niemal nie mogła oddychać. Choć temperatura nie mogła przekraczać kilku stopni, Monika czuła, że jest jej duszno. Wsłuchiwała się w ciszę, starając się wydedukować, gdzie znajduje się ulica. Ale nie słyszała nic oprócz słabego chrobotania. Wyobrażała sobie, że w mroku zbliżają się do niej wygłodniałe szczury, i lęk jeszcze bardziej się wzmagał.

Zastanawiała się, czy Kazar wie, że Waldemar ją tu przetrzymuje. Była pewna, że nie. Kazar, choć szybko tracił nad sobą kontrolę, gdy ktoś wchodził mu w drogę, był człowiekiem honorowym. Jeśli

obiecał dziadkowi, że nic jej nie grozi, na pewno dotrzymałby słowa. To Waldemar. Wyłącznie on. Ta myśl sprawiła, że po jej ciele przeszły ciarki. Nikt nie wiedział, gdzie się znajduje. Nie było w tym żadnego planu. Był tylko chory, zazdrosny umysł Waldemara, a ona nie miała bladego pojęcia, jaki pomysł się w nim zrodził.

Musiała przysnąć, bo gdy otworzyła oczy, przez dłuższą chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Myślała, że nadal jest w domku nad rzeką, dlatego nie rozpoznaje pokoju. Jednak po minucie poczuła zmarznięte ciało i zdrętwiałe nogi. Dotknęła lodowatego betonu, na którym siedziała, i do jej świadomości dotarło, że nadal jest zamknięta w komórce. Zaczęła płakać. Powoli wstała i walcząc z mrowieniem przebiegającym przez stopy, dobrnęła do drzwi. Wymacała spróchniałe, nieheblowane drewno, które pozostawiło w jej palcach drzazgi, i zaczęła walić w nie pięścią. Krzyk, który chciała z siebie wydobyć, okazał się chrapliwy i słaby. Z wysiłkiem przełknęła ślinę i znów zaczęła wołać. Jej głos odbił się echem po pustym pomieszczeniu. Łomotanie w drzwi wydało jej się przeraźliwie głośne. Nikt nie zareagował. W budynku nie było nikogo, kto mógłby ją uratować.

Ponownie osunęła się na podłogę. Była zupełnie wyczerpana. Przestała czuć cokolwiek. Zimno i strach nagle ją opuściły. Znów zapadła w głęboki sen.

Nagle usłyszała zgrzyt. Otworzyła oczy, a pomiędzy desek, z których zbite były drzwi, przedostawało się światło poranka. Drzwi się uchyliły i po chwili stanął w nich Waldemar.

– Jak się spało, babe? – zapytał.

7

Nareszcie przyszła wiosna. Słońce tego dnia świeciło naprawdę mocno. Ciepły łagodny wiatr przyjemnie muskał jej twarz. Helena Bogucka stała w pierwszym rzędzie, choć czuła, że nie powinna zajmować tego miejsca. Najchętniej stanęłaby zupełnie z tyłu, za wszystkimi. Przyszło dość sporo ludzi. Nie spodziewała się, że Ryszard Deskur miał aż tylu przyjaciół. Z drugiej strony pewnie część zebranych przybyła, bo tak wypadało. Nie mogło to być podyktowane jedynie sympatią.

Nie znosiła pogrzebów. W obrządku nie było nic wzniosłego, mistycznego czy poruszającego. Nigdy nie czuła, by pogrzeb stanowił formę pożegnania. Zawsze odbierała to jako bezduszne praktyki, podczas których zimne ciało nieboszczyka znika pod mokrą glebą. Cała oprawa tego wydarzenia była mdła, nie wywoływała w niej żadnych wyższych uczuć. Zresztą z ojcem nie musiała się dziś żegnać. Tak naprawdę pożegnała się z nim tego dnia, gdy przyszła mu oznajmić, że odchodzi od Romana. Od tamtej pory Deskur nie powiedział do niej ani jednego słowa. Nawet gdy odwiedziła go kilkakrotnie w szpitalu. Ona zresztą też nie starała się prowadzić żadnej kurtuazyjnej rozmowy. Przynosiła torby z owocami i sokami, stawiała je na półeczce i wychodziła.

Serce ojca nie wytrzymało zawału, który przeszedł miesiąc po pierwszym ataku. Gospoia Deskura wspominała, że miało to miejsce tuż po odwiedzinach mężczyzny w czarnej skórzanej kurtce. Helena domyślała się, że musiał to być jakiś klient, który niekoniecznie był zadowolony z wyników pracy ojca. Zresztą kto to wie? Starego adwokata już na długo przed śmiercią byle co wyprowadzało z równowagi.

Bogucka spokojnie spoglądała na trumnę, która na grubych linach powoli opuszczana była do grobu.

„Pani lepiej sprawdzi, czy ojca odpowiednio ubrali do trumny – ostrzegła ją kilka dni temu sąsiadka. – Lepiej dopilnować samemu” – dodała i opowiedziała, jak coś ją tknęło i przed samym pogrzebem pomimo wcześniejszych ustaleń kazała otworzyć trumnę, by jeszcze raz zobaczyć dziadka. „Okazało się, że leżał jak go Pan Bóg stworzył, a spodnie, koszulę i marynarkę po prostu położono na jego nagim ciele. Pomiędzy stopy wciśnięte były buty. Policję trzeba było wezwać i pogrzeb przełożyć! Tak, za grosz szacunku dla zmarłego nie mają”. Po tych słowach Helena nie mogła się pozbyć smutnego obrazu pomarszczonej skóry, po której wędrują robaki.

Pierwsza do grobu Deskura podeszła Monika. Wzięła garstkę leżącego obok piasku i sypnęła na wieko trumny. Gleba z pustym dźwiękiem opadła na dębowe drewno. Helena przyjrzała się córce. Miała szare cienie pod oczami i bladą cerę. Wydało jej się też, że mocno schudła. Była wątła i koścista; kobiece kształty z okresu dojrzewania zniknęły.

„Czy aż tak przeżywa śmierć dziadka?”

W sumie Monika nigdy nie była szczególnie blisko z Deskurem, choć na pewno łączyła ich pewna nić porozumienia, jakiej Helenie nigdy nie udało się stworzyć z ojcem. Gdy teraz się nad tym zastanawiała, stwierdziła, że Monika od jakiegoś czasu przeżywa okres buntu. Często wychodziła gdzieś wieczorami, w weekendy wracała późno w nocy. Stała się jeszcze bardziej milcząca, na pytania odpowiadała półsłówkami.

„Cóż, taki wiek” – pomyślała Helena.

Teraz Monika zastygła nad grobem Deskura. Ręka, która przed chwilą zrzuciła grudkę piasku na trumnę, zatrzymała się w przedziwnym ruchu. Dziewczyna przechyliła tułów w stronę ciemnego dołu, tak jakby chciała zajrzeć do jego wnętrza. Jej czarny szal trzepotał na wzmagającym się wietrze niczym wstęga. Helena patrzyła jak zahipnotyzowana. Wydało się jej, że już kiedyś widziała taką właśnie surrealistyczną scenę i że to właśnie Monika brała w niej udział. Helena musiała być już bardzo zmęczona, skoro odczuwała coś tak niemożliwego. Ostatnio źle sypiała. Miała wrażenie, że całe jej życie rozpada się kawałek po kawałeczku, a ona nie ma nad nim kontroli. Wszystko odbywało się jakby obok niej.

Helena w końcu zmusiła się do ruchu. Podeszła do grobu i również rzuciła symboliczną garść ziemi na trumnę ojca. Objęła Monikę i poprowadziła ją z powrotem na miejsce.

8

Monika Bogucka stanęła przed budynkiem posterunku policji. Choć dzień był naprawdę ciepły, miała na sobie dzinsy i golf z długim rękawem. Nie lubiła już odsłaniać swojego ciała. Naga skóra kojarzyła się jej z dotykiem Waldemara. Z jego obleśnymi dłońmi, mokrym od potu torsem, mięsistymi udami, które się o nią ocierały. Zacisnęła powieki. Chciała jak najszybciej wyrzucić te obrazy z głowy, ale wspomnienie nie odchodziło. On miał nad nią władzę. Pełną i niekwestionowaną. Noc spędzona w komórce piwnicznej nauczyła ją, by nigdy mu się nie sprzeciwiać. Była na każde jego zawołanie, kiedy tylko zechciał. Wszystko straciło dla niej znaczenie. Szkołę zupełnie olała. Rzadko się tam pojawiała, a jeśli nawet, to równie dobrze mogłoby jej tam nie być. Życie toczyło się niezależnie od niej, jakby Monika nie mogła zrównać się z rzeczywistością.

Poprzedniego wieczoru Waldemar zabrał ją do lasu. Było zupełnie ciemno. Prosta piaszczysta dróżka, a wokół rozłożyste świerki. Przez pewien czas jechali samochodem w głąb lasu. Monika zastanawiała się, dokąd tym razem ją wywiezie. Oczami wyobraźni widziała już drewniany domek, zatechły materac i zabawki, które kręciły Waldemara. Zebrało jej się na wymioty. Rozglądała się wokół i zastanawiała, czy zdołałaby wrócić do głównej drogi, gdyby udało jej się rozbić jakiś przedmiot na jego głowie i uciec. Zawsze miała słabe rozeznanie w terenie. Gdyby zeszła z głównej ścieżki, na pewno już nigdy nie wydostałaby się z lasu. Umarłaby w nim z odwodnienia i wycieńczenia. Czy to byłoby gorsze od obcowania z Waldemarem, znoszenia jego wydumanych pomysłów, bólu, który za każdym razem jej zadawał, jego rozkoszy czerpanej z jej niedoli, lęku i cierpienia? Nie była pewna. Zarówno jedna, jak i druga wizja wydawały się przerażające.

Jak mogła wcześniej nie widzieć jego inklinacji do sadyzmu? Od samego początku seks z Waldemarem był inny. Nie pamiętała, by on kiedykolwiek był czuły lub delikatny. Za każdym razem wymyślał coś innego – kochali się w różnych dziwnych miejscach, wykorzystywali nowe narzędzia rozkoszy. Czasami ją wiązał, przykuwał kajdankami albo okładał pejcem. Ale nigdy się nie bała. Czuła się podniecona, podekscytowana. Teraz wyglądało to zupełnie inaczej. Waldemar odkrył karty i przestał udawać. Jej ból stanowił dla niego największe źródło rozkoszy, a on znał różne sposoby zadawania go. Co ciekawe, niemal nie zostawiał na jej ciele śladów. Wiedział, jak uderzać, jak wykręcać członki, jak penetrować ją najróżniejszymi przedmiotami, by nikt niczego się nie domyślił.

Nagle zatrzymał samochód. Mocne przednie światła padały na drogę, wydobywając z mroku gołe konary drzew. Las za snopem ostrej poświaty wydawał się jeszcze bardziej mroczny i przerażający.

– Wsiadaj – powiedział Waldemar.

Monika zamarła. Powoli zaczęła ją ogarniać panika.

– Tutaj? – zapytała cicho.

– Tak, tutaj. Wsiądź i idź przed siebie.

Monika odczekała jeszcze chwilę, przyglądając się drodze. Bała się. Strach coraz bardziej rozchodził się po jej ciele, zupełnie ją paraliżując. W uszach słyszała cichy pisk. Wydało jej się, że zaraz zemdleje. Zacisnęła oczy i starała się opanować.

„Uspokój się – myślała. – Panika nic ci nie pomoże. Oddychaj”.

Otworzyła oczy, a uczucie gorąca powoli zaczęło opadać.

– Won, suko – warknął Waldemar.

Otworzyła drzwi auta. Nabrała powietrza do płuc. Wystawiła na zewnątrz stopy i znalazła się w lesie. Zatrzasnęła za sobą drzwi i wyszła przed samochód. Obejrzała się na Waldemara, a ten dał jej znak ręką, że ma ruszać. Zachwiała się na wysokich obcasach, które kazał jej dziś włożyć oprawca. Zaczęła iść. Grunt był nierówny, więc uważnie stawiała stopy. Samochód jechał powoli za nią. Po chwili przystanął. Silnik zawył – w ten sposób Waldemar dał jej znać, że ma się pospieszyć. Przyspieszyła kroku, bojąc się, że on się w końcu zirytuje i po prostu w nią wjedzie. Czuła ciepło silnika na łydkach odzianych w cienkie rajstopy. Rozejrzała się. Drogę zamykała głęboka ciemność. Las był gęsty i nieprzenikniony. Pulsowanie krwi rozsadało jej uszy. Nie miała dokąd uciec. Zastanawiała się, co Waldemar chce z nią zrobić. Rozjedzie ją na tej leśnej ścieżce i wyrzuci na pobocze jak bezwartościową rzecz? Zgwałci w krzakach i skatuje? A może odjedzie i zostawi ją samą

w ciemności? Łzy napłynęły jej do oczu. Potknęła się o kamień i upadła. Obtarła sobie kolana. Rajstopy pękły, pod skórę dostały się ziarenka piasku. Mocno piekło, ale szła dalej. Gdzieś w oddali zahuczała sowa. Skończy jak Laura Palmer – tego była pewna. Prędzej czy później czekała ją śmierć.

„Czeka mnie śmierć – pomyślała Monika, stojąc przed posterunkiem. – Muszę coś zrobić. Muszę”.

Co z tego, że Waldemar w końcu kazał jej wsiąść do auta i odwiózł ją pod dom? Co z tego, że tym razem jej się upiekło? Wiedziała, że pewnego wieczora jego gra zabrnje za daleko i nie będzie odwrotu.

Nie miała do kogo pójść. Dziadek już nie mógł jej pomóc. Ojciec udawał, że nic się nie dzieje. Ani razu nie podjął rozmowy. Uśmiechał się do niej tylko jakoś tak głupkowato, ile razy spotkał się z jej wzrokiem. Myślał, że już wszystko załatwione. Musiała to zgłosić na policję. Przecież po to ona była. Żeby pomagać ludziom w potrzebie. A Monika potrzebowała pomocy. Tak bardzo potrzebowała pomocy.

Znów popatrzyła na ceglany budynek z przeszkloną fasadą. W końcu podbiegła do drzwi i nacisnęła kłamek.

9

Dochodziła dziewiąta. Sędzia Bogucka, coraz bardziej zniecierpliwiona, spojrzała na zegarek.

„Czy to dziecko Bóg opuścił?” – pomyślała wściekła.

Był czwartek, środek tygodnia, a Monika znów się gdzieś szwendała. Helena zupełnie przestała ją rozumieć.

Wcześniej córka była taka rozsądna i odpowiedzialna. A teraz tylko spodnie i kita... Sędzia Bogucka poczerwieniała, bo właśnie w myślach zastosowała ulubione powiedzonko swojego ojca, które zawsze doprowadzało ją do furii.

„Tylko spodnie i kita”. Deskur mrużył oczy i patrzył na nią z pogardą, gdy jako młoda dziewczyna szykowała się na spotkanie z Tadeuszem.

Ech, kiedy Helena stała się taka? W końcu Monika miała prawo do swoich spraw, do randek i imprez. Kiedy, jak nie teraz? Z drugiej strony nie można pozwolić, by córka opuszczała się w nauce. Jakież zasady muszą obowiązywać.

Helena nalała sobie kolejny kieliszek wina. Butelka była już prawie opróżniona, a ona czuła, że lekko kręci jej się w głowie. W tym momencie usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Po chwili Monika zdjęła buty i kurtkę w korytarzu i ruszyła ku schodom na górę.

– Już się nawet nie witasz? – Głos Heleny był cierpki. – To nie jest hotel. Nie możesz wchodzić i wychodzić, kiedy tylko masz na to ochotę.

Monika się cofnęła i weszła do dużego pokoju.

– Cześć – powiedziała bez entuzjazmu.

– Gdzie byłaś?

– U koleżanki.

– Której?

– Jej, mam, nie męcz mnie.

– Proste pytanie. U której koleżanki byłaś?

– Od kiedy to cię interesuje?

Helena poczerwieniała. Faktycznie, gdy teraz się nad tym zastanawiała, nigdy nie pytała córki, z kim spędzała czas.

– Od kiedy nie wiem, czy mogę ci ufać – odparła.

Monika prychnęła. Matka naprawdę nie mogła znaleźć sobie lepszego momentu na tego typu gadki.

– Proszę, daj mi już dziś spokój. Jestem zmęczona – rzekła zniecierpliwiona.

– Chcę wiedzieć, z kim codziennie spędzasz do późna czas. Chyba mam do tego prawo?

– Nie. Nie masz prawa! – krzyknęła Monika. – Już dawno straciłaś prawo do mówienia mi, co mam robić. Od kiedy zaczęłaś zdradzać ojca, nie możesz mi prawić morałów!

Helena zalała fala gorąca. Nie wiedziała, co powiedzieć. Wpatrywała się w Monikę z otwartymi ustami i nie potrafiła znaleźć odpowiedniego kłamstwa.

– Więc nic ci do tego, z kim się puszczam, kiedy ty nie jesteś lepsza! – dodała wściekła Monika i nagle poczerwieniała.

Wiedziała, że tym razem przesadziła. Mama na to nie zasługiwała. Monika po prostu się na niej wyżyła, bo tak naprawdę była zła wyłącznie na siebie.

– Mamo... – zaczęła skruszona, ale Helena jej przerwała.

– Ty świntucho! – warknęła. – Jak śmiesz! Co ty w ogóle wiesz o moim życiu, co ty w ogóle wiesz? Ja się puszczam? To ty gdzieś ciągle znikasz, wszystko olewasz, zadajesz się z jakimiś podejrzanymi typami, dajesz się wykorzystywać! To ty, jak przypuszczam, dajesz dupy na lewo i prawo!

Helena zamilkła. Zagalopowała się. Zdecydowanie za bardzo ją poniosło. Przecież nie miała żadnych dowodów, że jej córka jest rozwiązła. Tak tylko powiedziała. Wstała z kanapy, a w głowie lekko jej zawirowało. Za dużo wypiła. To była wina alkoholu, ale nie potrafiła już cofnąć czasu. Słowa padły, a jej córka zamarła i smutno się w nią wpatrywała. Stała chwilę bez słowa, po czym zrezygnowana spuściła głowę. Powoli wyszła z pokoju i cichutko wspięła się po schodach na górę.

10

Monika Bogucka czekała na dole z wypchanym plecakiem. Na nosie miała duże okulary przeciwsłoneczne, które dodawały jej szyku. Rozpuszczone włosy rozwiewał wiatr, który tego dnia był mroźny i nieprzyjemny. Mario pokiwał jej ręką i w kilku krokach znalazł się przy niej.

– Co się stało? – zapytał i przyciągnął ją do siebie. – Taki miałaś głos przez telefon, że aż się zląkłem.

Monika wtuliła się w niego i zaczęła płakać.

– Cii... – Mario gładził ją po głowie. – Już dobrze. Jestem przy tobie – mruzczał i po jakimś czasie łkanie dziewczyny ucichło. – Chodź, ojca nie ma w domu. Możemy spokojnie porozmawiać.

Weszli po schodach na trzecie piętro bloku na gdańskiej Zaspie. Mieszkanie Maria lśniło czystością. Wszystkie rzeczy poukładane były równiutko, niemal jak od linijki. Każdy przedmiot miał swoje miejsce. W domu chłopaka nic nie pozostawiono przypadkowi.

Gorąca herbata koїła nerwy. W małym pokoju Maria było miło i przytulnie. Monika poczuła się

spokojniejsza. Płynąca muzyka była łagodna i piękna. Dziewczyna po raz pierwszy od miesiąca zaczęła cicho nucić.

– Monique – zaczął Mario – musisz w końcu wszystko mi powiedzieć. O cokolwiek chodzi, nie powinnaś być z tym sama.

– Nie wiem, czy zrozumiesz.

– *Try me*² – odrzekł chłopak i spojrzał na nią wymownie.

Więc Monika zaczęła opowiadać. Na początku szło jej opornie, ale powoli się rozkręcała. Najbardziej krępowało ją opisywanie tego, co Waldemar z nią robi, do czego ją zmusza. Nie wdawała się w szczegóły sytuacji w piwnicy i w lesie. Wstydziła się powiedzieć Mariowi, na co tamtemu pozwalała. Nie przeszłoby jej to przez gardło.

„Świntucha” – zadźwięczał jej w uszach głos matki.

Tak, była świntuchą. I do czego ją to zaprowadziło? Monika przypomniała sobie namiot. Zdała wtedy do ósmej klasy i jak co roku pojechała na kolonie. Była już wtedy naprawdę popularna. Wszystkie koleżanki chciały się z nią bujać. Koledzy nie spuszczały z niej wzroku. Jej piersi były duże i jędrne, miała zdecydowanie kobiece kształty. Nieobcinane od szóstej klasy włosy sięgały jej wtedy za ramiona. To było nocą. Wyszła zrobić siusiu. Kucnęła pod jakimś drzewem i wtedy usłyszała głos: „Niezła dupeczka”. Chłopak był dużo starszy. Nie rozpoznała jego twarzy. Szybko wstała i podciągnęła majtki. Chłopak zaczął się śmiać i stanął tuż obok niej. Śmierdział alkoholem i trawą. Lekko się zataczał, coraz bardziej na nią napierając. Po chwili złapał ją za brodę, palcami przytrzymując jej usta. Monika starała się wyrwać, ale był silny. Bez problemu zaciągnął ją do swojego namiotu. Nie trwało to długo. Kilka ruchów i było po wszystkim. Zdyszany chłopak opadł na śpiwór. Ona leżała chwilę skonsternowana, po czym sięgnęła po majtki. Spojrzała na swoje ręce i w świetle zawieszanej na haczyku biwakowej latarki dostrzegła krew. Było jej naprawdę dużo. Chłopak podniósł głowę i gdy dostrzegł jej pobrudzone uda, zaczął się śmiać. „Fleja” – rzucił w końcu i opadł z powrotem na śpiwór.

Monika przymknęła oczy. Czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby nie tamto zajście? Czy byłaby kimś innym? Czy znajdowałaby się gdzieś indziej?

– Musisz iść na policję. – Mario był wyraźnie przejęty. – Przecież ten facet cię maltretuje! Musisz to zgłosić!

– Już byłam – odparła Monika.

– I?

– I nic. Najpierw czekałam kilka godzin, aż ktoś zechce ze mną porozmawiać. A jak w końcu przytoczył się taki spaślak, to postukał długopisem w pustą kartkę i stwierdził, że ściemnam.

– Powiedziałaś mu o wszystkim? Ze szczegółami? Podałaś nazwisko tego całego Waldemara?

– Tak, opowiedziałam wszystko dokładnie. Początkowo był nawet zainteresowany. Słuchał z wypiekami na twarzy. Ale gdy padło imię i nazwisko, tylko się głupio uśmiechnął i stwierdził, że zmyślam. Zupełnie mnie zbył. Powiedział, że sprawdzi sprawę, i wyprosił mnie z pokoju.

– Ale jak to?! – Mario był oburzony.

– Nie rozumiesz? Oni mają wszystkich w policji w kieszeni. Dopiero wtedy to do mnie dotarło. Tylko sobie zaszkodziłam. Jak Waldek się dowie, że chciałam na niego donieść, to mnie skatuje. Mario, muszę się ukryć. Znów muszę skorzystać z domku. Tylko tym razem nie wiem, na jak długo.

2013

1

Studio nagrań Universus znajdowało się w suterenie jednej z kamienic przy ulicy Pułaskiego w Sopocie. Składało się z dwóch niewielkich pokojów zastawionych sprzętami muzycznymi, wśród których królowała perkusja. Duża konsoleta zwieńczona była dość okazałym ekranem. W suterenie panował mrok rozświetlany nastrojowymi lampkami.

„Idealny nastrój do tworzenia muzyki” – pomyślał Leopold Bilski i usiadł na wskazanym miejscu na malutkiej sofie.

Kanapa była niska, więc zajmujący wysoki fotel mężczyzna zdecydowanie nad nim górował.

Mariusz Wierucki, dla przyjaciół Mario, miał jasne włosy postawione do góry, krótko przycięte po bokach. Szczupły, średniego wzrostu. Gdyby nie wyraźnie rysująca się lwia zmarszczka pomiędzy brwiami, wyglądałby jak nastolatek.

– Chciał pan rozmawiać o Monice – stwierdził i wpatrzył się w prokuratora.

– Tak. Rozumiem, że znał pan Monikę Bogucką? – spytał Bilski.

– Przyjaźniliśmy się – odparł Wierucki, a jego oczy posmutniały.

– Jakiego rodzaju była to przyjaźń?

– Zwykła przyjaźń. Nie łączyły nas stosunki cielesne, jeśli o to pan pyta. Spotykaliśmy się często, dużo rozmawialiśmy, spędzaliśmy razem czas. Normalnie. Mieliśmy wtedy po siedemnaście lat. Byliśmy dziećmi, tak można to chyba ująć.

– O czym rozmawialiście najczęściej?

– O życiu. – Mario lekko się zaśmiał. – O rozterkach dorastania, marzeniach. Normalnie.

– O muzyce?

– O muzyce również. Monika bardzo się nią interesowała i chyba właśnie to nas wtedy połączyło.

– Czy wiedział pan, że Monika była uzdolniona wokalnie?

– Pewnie. Pięknie śpiewała. Miała coś takiego w głosie... nie wiem, poruszającego.

– Nagrywał pan ją? Na kasety?

Mario się zdziwił.

– Tak. To były takie dziecinne podejścia. Monika marzyła, żeby w przyszłości zostać piosenkarką. A ja chciałem mieć własne studio nagrań. Jak pan widzi – Mario zatoczył krąg ręką – udało się. To znaczy ja zrealizowałem swoje marzenie. Monika... Niestety, nie było jej dane.

Spojrzał w podłogę i pokiwał głową. Jego policzki oblał nieregularnych kształtów rumieniec. Widać było, że ta rozmowa budzi w nim silne emocje.

– Czy Monika kiedykolwiek mówiła panu, że ktoś jej grozi? Czy coś wskazywało na to, że znajduje się w niebezpieczeństwie?

Mario wbił w Bilskiego nienawistny wzrok.

– Nie za późno trochę na takie pytania? – rzucił sarkastycznie.

Bilski zachował kamienną twarz, choć miał ochotę przyznać mu rację.

– Tak, Monika czuła się zagrożona i znajdowała się w niebezpieczeństwie – powiedział Wierucki.

– Kto jej zagrażał?

– Nazywał się Waldemar. Przez jakiś czas Monika się z nim spotykała. Ale kiedy zerwała znajomość, gościowi odbiło. Raz ją porwał i więził całą noc w jakiejś piwnicy. Kiedy indziej wywiózł do lasu nocą i kazał jej iść ścieżką, a sam jechał tuż za nią samochodem. Generalnie ją zastraszał. Kazał jej robić różne rzeczy. Monika bardzo się bała, ale nikt nie chciał jej pomóc.

– Co ma pan na myśli?

– Poszła na policję, ale ją spławili. Nie potraktowali poważnie. Ja też po jej śmierci poszedłem złożyć zeznanie, ale powiedzieli, że nie mam żadnych dowodów. Że słowo przeciwko słowu czy jakoś tak. Monika uważała, że wszyscy policjanci byli kupieni, wie pan, przez mafię, bo ten cały Waldemar to był mafioso. Nikt nic nie zrobił. A facet nadal chodzi na wolności i nigdy nie poniósł żadnej kary!

Ostatnie zdania Mariusz niemal wykrzyczał. Był wzburzony, twarz mu płonęła. Wstał i zaczął chodzić po pomieszczeniu. Dwa kroki w jedną stronę. Sto osiemdziesiąt stopni i dwa kroki w drugą stronę.

Bilski również był przejęty. Może Ania miała rację? Może faktycznie mafia Kazara przekupiła wszystkie elementy w systemie? Bo jak inaczej tłumaczyć fakt, że w aktach Moniki Boguckiej nie znajdowały się zeznania osób z najbliższego otoczenia zmarłej? Jak wytłumaczyć brak podejrzanych, którzy od razu się narzucali, jak argumentować tak szybkie zamknięcie sprawy drastycznego zabójstwa?

– Panie Mariuszu, już nie będę pana dziś męczył. Bardzo dziękuję za rozmowę i cenne informacje. Niestety, nie mogę panu nic obiecać. Sprawa Moniki Boguckiej nie została formalnie wznowiona, ale ze swojej strony mogę zapewnić, że będę dążył do odkrycia prawdy.

Leopold Bilski uklonił się i wyszedł. Nie był do końca pewien, czy oprawca Moniki Boguckiej mógł być sprawcą zabójstwa Martyny Kalety. Ale jedno wiedział bezsprzecznie – musi odszukać Waldemara Miłę.

2

Siedzieli w jednym z sopockich kawiarnianych ogródków. Nie było jeszcze zbyt ciepło, ale słońce świeciło już mocno, dodając wszystkim energii. Helena Bogucka okryła nogi kocem, który leżał na wiklinowym fotelu. Było miło. Wystawiła twarz ku promieniom, napawając się ciepłem, które ostatni raz chłoneła wiele miesięcy temu. Czuła się inaczej. Wydawało jej się, że wstąpiła w nią siła, której była pozbawiona przez wszystkie te lata. Jakby nastąpił w niej jakiś przełom, który pozwolił jej wrócić do rzeczywistości.

Spojrzała na Tadeusza. W sumie niewiele się zmienił od czasów młodości. Jego nadal gęste włosy zrobiły się szpakowate, a na twarzy pojawiły się drobne zmarszczki. Jednak jego ciało było silne i trzymał się prosto. Skóra na dużych dłoniach była delikatna. Oczy jaśniały błękitem. Helena nie pamiętała, kiedy ostatni raz spędzali w ten sposób czas. Pewnie na studiach. Siedemnaście lat temu ich spotkania ograniczały się do pokoju w hotelu Maryła. Przez dwa lata uprawiali seks i niewiele rozmawiali. Helena nie chciała wtedy budować z Tadeuszem emocjonalnej więzi. W ten sposób

czuła się mniej winna. Zdrada wydawała jej się mniej istotna.

Uśmiechnęła się do niego, a on się rozpromienił. Helena rzadko obdarzała go uśmiechem, więc jej nowe zachowanie trochę go onieśmielało, jednocześnie napełniając radością.

Powoli sączyli gorącą latte, delektując się zapachem nadchodzącej wielkimi krokami wiosny. Wymienili kilka zdań na temat pogody. Tadeusz starał się nie podejmować żadnych tematów, które mogłyby zaburzyć spokój Heleny. To ona nagle rzuciła pytanie:

– Jakież nowe informacje związane ze sprawą Martynty Kalety?

Tadeusz spojrział na nią spłoszony. Zastanawiał się, na ile ta jej dzisiejsza równowaga jest trwała, a na ile to tylko iluzja, którą można zburzyć jednym nieopatrzonym zdaniem.

– W sumie nic nowego – powiedział ostrożnie. – A przynajmniej nic na tyle ważnego, by mogło przyczynić się do jakiegoś przełomu w śledztwie.

Helena spojrzała na niego pytająco.

– Okazało się, że jedna z próbek pobranych z... ciała ofiary to salwinia pływająca – rzekł po cichu, bojąc się wypowiedzieć o jedno słowo za dużo.

– Co to znaczy? – rzeczowo zareagowała Helena.

– Znaczy to tyle, że Martyna została utopiona w zbiorniku, w którym żyje taka roślina. W naszym regionie najczęściej salwinię spotyka się w dolinie Wisły. Można zatem hipotetycznie wyznaczyć pewne granice obszaru, na którym doszło do zbrodni.

Helena podniosła brwi i nad czymś się zastanawiała. Po chwili milczenia podjęła:

– A czy... a czy wśród próbek związanych ze sprawą Moniki też znajdowała się ta roślina? – Jej głos lekko zadrżał, ale Helena nadal wydawała się opanowana. Widać było, że bardzo się stara trzymać emocje na wodzy.

– Sprawdziłem – odparł Tadeusz. – Jednak patolog nie pobrał wiele materiału. Być może nic nie znalazł, a może... hm... Możliwe, że coś przeoczył.

Helena trawiła informację. Napiła się kawy i ponownie wystawiła twarz do słońca.

– Myśleliście o ekshumacji? – spytała.

Jej podbródek był lekko podniesiony, a powieki nadal przymknięte.

Tadeusz przyglądał się jej profilowi. Nie potrafił zrozumieć, skąd w Helenie ta nowa aura. Czy powinien wierzyć w tę nieoczekiwaną przemianę? Czy może Bogucka była przez te wszystkie lata silniejsza, niż mu się wydawało?

– Naturalnie. Taka opcja wchodziłaby w grę, jeśli...

– Zdobylibyście moją zgodę – dokończyła.

– Tak.

– Czy to by coś zmieniło? – zapytała Helena, nie zmieniając pozycji.

– Trudno powiedzieć. – Tadeusz wzruszył ramionami.

– Zastanowię się – odparła.

Jej mina była zupełnie obojętna. Nie drgnął jej nawet jeden mięsień.

– Czemu wtedy nie przyszedłeś? – rzuciła ni stąd, ni zowąd, niemal niezobowiązująco.

– Nie przyszedłem? – zdziwił się Tadeusz.

– Wtedy, siedemnaście lat temu. Czemu wtedy do mnie nie dotarłeś?

– Nigdy nie pozwoliłaś mi się wytłumaczyć.

- Teraz przyszedł czas.
- Czy to jeszcze ma jakieś znaczenie?
- Być może.

Tadeusz chwilę milczał. Starał się skoncentrować. Chciał jak najlepiej oddać sytuację, w której się wtedy znalazł. Ileż to razy odtwarzał w myślach tamten dzień. Ileż razy tłumaczył w myślach Helenie, czemu ją zawiódł, czemu wszystko tak niefortunnie wyszło. Teraz nie wiedział, jak zacząć, choć tamten dzień wrył mu się w pamięć tak dokładnie, że mógł go opowiedzieć minuta po minucie. W końcu słowa zaczęły płynąć.

– Był 13 lutego. Piątek. 1996 rok. Nigdy nie wierzyłem w przesady, aż do tamtego popołudnia. Wracałem z Warszawy. Wezwano mnie na konsultację patomorfologiczną. Sprawa była głośna. Chodziło o ciało, które po trzydziestu latach odnaleziono zamurowane w piwnicy jednej z przedwojennych kamienic. Wracałem krajową siódemką. Powoli się ściemniało. Droga zaczęła marznąć. Na poboczu tuż przed Gdańskiem dostrzegłem auto. Leżało na dachu, koła nadal się kręciły, jakby nie mogły się zatrzymać. Do wypadku musiało dojść dosłownie przed chwilą. Zatrzymałem samochód i podbiegłem do poszkodowanych. Z przodu mężczyzna i kobieta. Z tyłu dwójka dzieci. Dziewczynka miała jakieś sześć lat. Chłopczyk młodszy. Wszyscy zwisali głowami w dół, przytwierdzeni do siedzeń pasami. Ściekała po nich krew. Widok był przerażający. Zadzwoiłem szybko po karetkę i próbowałem otworzyć drzwi, ale były zablokowane. Musiał je zaryglować centralny zamek. Odszukałem w bagażniku łom i starałem się je podważyć. Bez skutku. Chodziłem wokół wraku i czułem się bezradny. Czekałem na erkę. Wtedy spod maski zaczął się wydobywać dym. Dopiero wówczas zorientowałem się, że silnik wciąż pracuje. Dłużej nie zwlekając, rozbiłem łomem tylne okno i wśliznąłem się do środka. Dziewczynka była przytomna. U chłopca wyczułem puls. Powolutku odpiąłem małą, modląc się, by moje działania nie przyczyniły się do jej paraliżu. Była leciutka jak piórko. Złapałem ją i wyciągnąłem na zewnątrz. Położyłem ją na swojej kurtce kilkanaście metrów dalej, na polu, a ona leciutko się do mnie uśmiechnęła. Pobiegłem po chłopca i z nim postąpiłem tak samo. Gdy wracałem do rodziców, zobaczyłem pierwsze płomienie. Szybko zbiłem łomem szybę kierowcy. Staralem się wyczuć puls na szyi mężczyzny, ale nic nie wskazywało na to, by żył. Przebiegłem więc na drugą stronę i ostatkiem sił wyciągnąłem z auta kobietę. Gdy kładłem ją na ziemi obok dzieci, samochód wybuchł. Huk był potężny. Niemal rozsadził mi uszy. Dziewczynka krzyknęła, zaczęła płakać. Wtedy przyjechała karetka. – Tadeusz urwał. Ciężko oddychał. Jego czoło błyszczało od potu. Przeciągnął po nim ręką i kontynuował: – Dzieci przeżyły, ale straciły oboje rodziców. Pojechałem z nimi karetką do szpitala. Nie chciałem opuszczać dziewczynki, która wciąż łapała mnie za rękę, intuicyjnie czując, że może mi ufać. Dopiero gdy złożyłem zeznania i upewniłem się, że zdrowiu dzieci nic nie zagraża, pojechałem taksówką do domu. Była późna noc. Położyłem się na sofie i od razu zasnąłem. Zadzwoiłem dopiero następnego dnia, lecz ty już nie chciałaś rozmawiać. Nigdy więcej nie odebrałaś ode mnie telefonu.

Helena patrzyła na Tadeusza przejęta.

„Czy byłoby inaczej, gdyby...” – pomyślała.

3

– ...więc gość chwali się, że zamontował szybę kuloodporną w swoim biurze. „Patrz! – wykrzykuje i wali w szkło pięścią. – Nic jej nie ruszy. Twarda jak gład. Kilkanaście tysięcy mnie kosztowała, ale nic to. Jak ktokolwiek będzie chciał mnie zdjąć, to nie ma szans”, przechwala się. To chwyciłem młotek i walnąłem w szybę. Huk był jak diabli. Szkło poszło w proch. Cały pokój w tej ciasnej budzie pokrył się odłamkami. Otrzeptałem kurtkę i stwierdziłem tylko: „Ładnie ktoś cię oskubał, Zyzio”, a potem wyszedłem. Byś widział jego minę! – Pająk trząsał się ze śmiechu. Jego długie, cienkie członki podskakiwały w rytm tubalnego rechotu.

Kita siedział naprzeciwko i również się śmiał.

– Co za frajer – stwierdził. – Wielki szef security, a taki kit dał sobie wcisnąć.

Pająk osuszył łzy rozbawienia i dopiero wtedy zauważył Bilskiego stojącego w drzwiach.

– Siema, Leo! – przywitał go. – Słyszałeś, jak urządziłem Zygmunta Wartę? Wiesz, bo on kupił ostatnio szybę kuloodporną... – I zaczął opowiadać od początku.

– Tak, tak. Wszystko słyszałem. Rozwaliłeś ją w drobny mak. – Leopold uśmiechnął się.

W sumie historia była całkiem zabawna, biorąc pod uwagę samouwielbienie Warty. Chyba mało kto za nim przepadał, a on ciągle występował w roli świadka w związku ze sprawami o kradzieże.

– Sprawę mam – oznajmił prokurator bez ogródek i rozsiadł się na krześle.

– A jak – rzucił Kita. – I pewnie coś na cito.

– Tak jakby. Chodzi o Waldemara Miłę. Nie mogę go namierzyć. W bazie ostatnie dane aktualizowane były w dziewięćdziesiątym dziewiątym.

– Mhm – mruknął Kita. – Ambroziak wie, że nadal gonisz cię Boguckiej?

– Od razu gonię – zeźlił się Leopold. – Po prostu muszę coś sprawdzić. A jemu nic do tego. Nie o wszystkim musi wiedzieć. Zresztą nad Bogucką pracuję po godzinach.

Pająk ostentacyjnie spojrzął na zegarek. Dochodziła czternasta.

– Ja nie oceniam. – Rozbawiony podniósł ręce w geście poddania.

Bilski spurpurowiał.

– Sprawdzicie go czy nie? – Był coraz bardziej poirytowany.

– Się robi, szefie – odparł z uśmiechem Kita. – Zresztą mnie też intryguje tamta sprawa. Byłem wtedy młodym chłopakiem, ale doskonale pamiętam, jakie wrażenie zrobiło na mnie to zabójstwo. Mój pierwszy rok w policji. Byłem wtedy w drogówce i marzyłem, żeby kiedyś pracować nad czymś tego kalibru.

Leopold spojrzął na Kitę z wdzięcznością, choć nie był pewien, czy tak naprawdę facet go nie wkręca.

– Widzieliście *Dziewczynę z tatuażem*? – ciągnął Kita. – No więc tam pojawia się coś takiego jak „sprawa Rebeki”. Chodzi o nierozwiązaną zagadkę śmierci dziewczyny sprzed lat. „Każdy policjant ma swoją sprawę Rebeki”. – Zniżył głos, naśladując aktora. – Tak powiedział glina, któremu kiedyś nie udało się wyjaśnić tajemnicy. No i właśnie. To morderstwo Boguckiej to nasza sprawa Rebeki, nie? – zwrócił się do Bilskiego, który niepewnie mu się przyglądał.

Pająk siedział z rozbawioną miną, przysłuchując się rozmowie.

– Nieważne. – Kita odchrząknął, bo uświadomił sobie, że tamci zaraz zaczną drzeć z niego łacha. –

W każdym razie już zarzuciłem sieci na Milę. A tymczasem mam dla ciebie coś, co może cię ucieszyć. Świeżynka. Dziś wjechała na maila.

Kita zapisał coś na skrawku papieru i podsunął prokuratorowi. Adres zamieszkania Łukasza Kazarskiego.

4

„Obłuże” – ucieszył się Bilski. Przynajmniej będzie miał okazję znów przejechać obok portu gdyńskiego. Tymczasem zostawił sobie ten plan na popołudnie i zajął się sprawą Martyny Kalety. Termin rozprawy Jakubiaka został już wyznaczony. Prokurator wprawdzie sporządził projekt aktu oskarżenia, lecz brakowało mu jakiegoś istotnego elementu. Czuł, że cały zebrany materiał prowadzi w ślepy zaułek, choć racjonalnie można było go uznać jedynie za niepełny.

Dzień ciągnął się niemożliwie. W końcu Bilski odłożył papierkową robotę i wyszedł z prokuratury. Przy samochodzie czekała Anna Górską, która tego dnia musiała być na zajęciach na aplikacji. Włosy ściągnięte w kucyk, okulary przeciwsłoneczne, oversize’owy płaszcz. Zadbana i świeża. Leopold stłumił westchnienie i szarmancko otworzył dziewczynie drzwi. Potem, w drodze, zrelacjonował jej życiorys Kazara. W internecie pełno było informacji o byłym szefie trójmiejskiej mafii. Artykuły, zdjęcia. Bilski kupił również kilka książek na temat mafii na Wybrzeżu, w tym autobiografię Łukasza Kazarskiego wydaną kilka lat temu i napisaną z pewnością przez ghostwritera. Kazarski zaprezentował się w niej jako niebywały twardziel, wychowany w ubogiej rodzinie i dorastający w trudnych warunkach mężczyzna, któremu ciężką pracą udało się otworzyć małą firmę transportową rozrastającą się z biegiem lat w poważne przedsiębiorstwo eksportowe. Społecznik, aktywista, założyciel fundacji wspierającej dzieci z rodzin dysfunkcyjnych i patologicznych „Masz Szansę”. Głowa rodziny, ojciec dwóch synów. Ani słowa o działaniach w środowisku mafijnym, o przemytach, handlu narkotykami czy licznych uprowadzeniach i zabójstwach, które nieformalnie przypisywano jemu i jego świcie. Zapoznając się z publikacją, Bilski miał wrażenie, że czyta propagandowe dzieło o Stalinie z lat pięćdziesiątych, w którym skonstruowano obraz człowieka doskonałego, podejmującego trudne decyzje w imię wyższego dobra. Na szczęście artykuły internetowe nie były już tak bezkrytyczne. Nikt tu nie krył, że Kazar przez lata stał na czele trójmiejskiego gangu i chyba jako jedyny z wielkich szefów przeżył zamach na swoje życie. Postrzał przed jednym z gdańskich lokali okazał się jednak gorszy niż śmierć, gdyż odebrał mu możliwość zostania miejską legendą, jaką Kazar mógłby się stać, gdyby odszedł w sposób godny sycylijskich bossów. W dodatku uczynił z niego kalekę.

Na estakadzie Kwiatkowskiego natknęli się na korek. W oddali zarysował się port. Wysokie rude dźwigi i niebieskawe stalowe konstrukcje górowały nad wielokolorowymi kontenerami. Powolutku przejechali obok doków, które w świetle dnia wyglądały jak zbudowane z gigantycznych klocków Lego. Leopold uśmiechnął się pod nosem i spojrzął na Anię. Dziewczyna z zaciekawieniem przyglądała się rozciągającemu się po ich prawej stronie portowi.

– Uwielbiam ten port. Gdy patrzy się na jego rozmach, aż dziw bierze, że początkowo miał być tylko niewielką przystanią – powiedziała nagle, a Bilski niemal zakrztusił się śliną. – Nie wiem czemu, ale od dziecka zachwycało mnie to miejsce. – Dziewczyna odwróciła głowę do Leopolda. –

Mój tata pracował tutaj jako dźwigowy. Czasami latem zabierał mnie ze sobą. Biegałam pomiędzy kontenerami i bawiłam się w chowanego z jednym chłopcem, który też w wakacje przychodził tu z ojcem. Było gorąco i pomarańczowo. Słońce miało wtedy kolor sepii. Przynajmniej tak to pamiętam. A tata machał do mnie z wysoka i brał na widły takie ogromne konstrukcje. Zawsze marzyłam, by móc kiedyś znaleźć się z nim na górze i zobaczyć, jak operuje tymi wszystkimi skomplikowanymi gałkami i przyciskami. Obiecał, że jak będę starsza, to mi wszystko pokaże. Ale jak miałam trzynaście lat, zmarł na zawał. – Ania znów zapatrzyła się w okno. Port został za nimi. – Ech, to było tak dawno temu. – Machnęła ręką i wysiliła się na uśmiech.

Leopolda na chwilę zatkało.

– Mój ojciec też umarł, jak byłem mały – wykrztusił w końcu. – Był policjantem i zginął w jednej z akcji. I jako dzieciak również uwielbiałem port. Nadal uwielbiam – dodał cicho, zdając sobie sprawę, że zabrzmiało to naiwnie na tle opowieści Ani.

Bilski nie potrafił rozmawiać o swoich uczuciach. Chyba też nigdy nikomu nie zwierzał się ze swojej miłości do portu. To były tylko jego emocje i nie pomyślał, żeby się nimi z kimś dzielić. Ale teraz zdał sobie sprawę, że Ani mogłby powiedzieć wszystko. Wiedział, że ona by zrozumiała.

Zjechali z estakady na prawo i skręcili w lewo w stronę ulicy Unruga. Dwupiętrowy dom jednorodzinny w pomarańczowym kolorze stał pod lasem, wpisując się w krzyżówkę ulic ciągnących się wzdłuż bloków. Duża działka ogrodzona była wysokim płotem, zza którego widać było choinki i drzewka owocowe. Bilski zaparkował przy chodniku i rozejrzał się wokół. Łukasz Kazarski wychował się w jednym ze stojących nieopodal bloków. Ciekawe, że mając tak złe wspomnienia z dzieciństwa, na starość chciał tu wrócić.

Stanęli pod bramą i zadzwonili domofonem. Odebrała kobieta, która kazała im spojrzeć w górę, gdzie zamontowana była kamera. W końcu furtka odskoczyła, drzwi wejściowe brzdęknęły. Bilski wraz z Anią weszli do domu i znaleźli się w ciemnym korytarzu, a gdy nikt po nich nie wyszedł, wspięli się po schodach na piętro. Tu przywitała ich młoda dziewczyna. Miała długie, proste blond włosy i ubrana była w kusą spódniczkę. W ręku trzymała małą miotełkę do kurzu, co w połączeniu z jej aparycją sprawiło, że wyglądała jak żywcem wyjęta z filmów dla dorosłych. Leopoldowi przemknęła przez głowę dziwna myśl, że sexy sprzątaczką zaraz zaprosi ich do jakiejś sprośnej zabawy, i spojrzawszy na Anię, oblał się rumieńcem. Cóż zrobić, był tylko samcem.

Dziewczyna poprowadziła ich do obszernego pokoju. Pośrodku stał pięćdziesięciocalowy telewizor, a regały pod ścianą wypełniały płyty DVD. Ogromna skórzana sofa, imponująco zaopatrzony bar. Za barem stała druga dziewczyna. Ciemnowłosa i zgrabna. Miała na sobie biało-czarny fartuszek nałożony na skąpą obcisłą sukienkę. Wszystko to wyglądało jak plan filmowy niskobudżetowej produkcji, tak jakby Kazar zdecydował się żyć w wirtualnym świecie.

Rozglądali się po pomieszczeniu, gdy do pokoju na elektrycznym fotelu inwalidzkim wjechał mężczyzna. Głowa opierała się bezwładnie na skórzanym podgłówku. Jedna ręka leżała bez ruchu na kolanach, druga – na oparciu z dwiema głowicami służącymi do obsługi wózka. Mężczyzna w niczym nie przypominał dawnego Kazara ze zdjęć. Skóra jego twarzy była pomarszczona i sucha. Wystające niegdyś czoło obniżyło się ku nosowi, tworząc coś w rodzaju półki. Zupełnie łysa głowa sprawiała wrażenie wątlej i małej. Tylko oczy pozostały te same. Ciemne, głęboko osadzone, patrzące bystro i nieufnie.

– Dziękuję, że zechciał się pan z nami spotkać – zaczął Bilski.

– Nie ma sprawy – odpowiedział Kazar.

Jego głos brzmiał, jakby mówił przez megafon, i prokurator zorientował się, że były szef trójmiejskiej mafii wspomaga się syntezatorem mowy.

– Nie mam obecnie dokąd biec – dodał sarkastycznie gospodarz i zaczął się śmiać.

Elektronicznie przetworzony śmiech brzmiał przerażająco. Po chwili przeszedł w kaszel. Dziewczyna zza baru podbiegła do Kazara i przez słomkę podała mu wody. Jego życie musiało być mordęgą. Nic dziwnego, że chował się przed światem wśród anonimowych blokowisk.

– Pewnie się zastanawiacie, czemu wybrałem Obłuże, co?

Kazar podjechał do okna i ustawił się plecami do nich. Dziewczyna w fartuszkę pospieszyła za nim i wytarła mu ślinę z brody, jak matka małemu dziecku.

– Wróciłem na stare śmieci, choć mogłem zamieszkać, gdzie tylko chciałem. Z moimi pieniędzmi mogłem wybrać jakiegokolwiek miejsce na mapie. Ale zdecydowałem się na Obłuże. Głupie, co?

Odwrócił się z fotelem w ich stronę. Wydawał się rozbawiony.

– Tutaj dorastałem. Niedaleko. W bloku, który widać z okna mojej sypialni. Mieszkaliśmy na trzecim piętrze w dwóch pokojach. Była nas szóstka. Ojciec był wiecznie pijany, a matka ciągle zmęczona. Pracowała jako sprzątaczką w dwóch szkołach. Nadal słyszę jej głos, gdy wołała mnie z okna na obiad: „Ukasz, Ukasz!”. – Podniesiony głos Kazara zabrzmiał przez syntezator piskliwie. – Matka nie umiała, a może nie chciało jej się wymawiać „ł” w moim imieniu. To po cholere dała synowi na imię Łukasz, prawda? Okazuje się, że wiele kobiet ma problem z tym „ł”. Więc byłem jednym z osiedlowych Ukaszów, a inne dzieciaki szybko to podłapały. Nie znosiłem, gdy ktoś się do mnie tak zwracał. Dlatego wybiłem zęby jednemu z chłopaków w szkole metalową rurką. Od tej pory miałem poszanowanie. Nauczyłem się, że siłą można wiele zdziałać.

Kazar podjechał do stolika kawowego i oczami wskazał gościom miejsca na sofie. Leopold i Ania szybko usiedli. Pomimo swojej kondycji fizycznej Łukasz Kazarski miał w sobie coś, co sprawiało, że nie sposób było mu się sprzeciwić.

– Matka finalnie od nas odeszła. Chyba nie wytrzymała tego wszystkiego psychicznie. Jednego dnia się spakowała, wyszła z domu i tyle żeśmy ją widzieli. Zostawiła mnie i trzech braci z ojcem pijakiem, który nami pomiatał i rąbał pasem, gdy mu się tylko zachciało. Więc pewnego dnia my też nie wytrzymaaliśmy i skatowaliśmy ojca. Był tak pijany, że nawet nie mógł się bronić. Kopaliśmy go tak długo, aż przestał się ruszać. I wylądowaliśmy w poprawczaku. Tam było nam o wiele lepiej niż w domu. Gdy patrzę dzisiaj na ten blok, przypominam sobie, co jest ważne. Siła, determinacja i niezłomność. To dzięki tym cechom tak daleko zaszedłem. Dzięki tym cechom nadal żyję.

Nastąpiła cisza. Leopold i Ania siedzieli bez słowa. Wyraźnie się czuło, że to Kazar decyduje, w jakim kierunku potoczy się rozmowa. Gospodarz wodził po nich nieprzeniknionym wzrokiem.

– Leopold Bilski – podjął. – Z wyróżnieniem skończył aplikację prokuratorską. W zawodzie od dziewięciu lat, od pięciu na stanowisku prokuratora w Prokuraturze Rejonowej w Sopocie. Wychowywany przez matkę i ciotki. Nieżonaty. Szanowany w środowisku, pomijając ostatnią wpadkę na konferencji prasowej...

Bilski się wyprostował i chciał zadać pytanie, jednak Kazar go uprzedził.

– Pewnie zastanawia się pan, skąd to wszystko wiem? Ja zawsze wiem o wszystkim, co się dzieje

w moim rejonie. Może pan myśleć, że zupełnie mnie wyeliminowali, ale prawda jest taka, że nadal mam swoje wtyki i nic bez mojej wiedzy się nie dzieje.

Leopold Bilski pomyślał o Wacie. No tak, z pewnością Krystian Borowiec zrelacjonował już Kazarowi ich spotkanie. Miał jego wizytówkę, więc sprawdzenie danych Bilskiego nie stanowiło większego problemu.

– A pani to kto? – zwrócił się Kazar do Ani.

– Anna Górńska. Asystentka. Nadal na aplikacji. Również wychowana przez matkę. Od kilku miesięcy w związku. Na razie bez żadnych wpadek konferencyjnych – zrelacjonowała i sarkastycznie się uśmiechnęła.

Na twarzy Kazara wykwitł uśmiech.

– Zapomniała pani dodać, że inteligentna i piękna – stwierdził, a jego oczy błysnęły. – Bez dwóch zdań. – Lubieżnie zmrużył powieki i bez skrepowania zmierzył Anię wzrokiem od głowy do stóp.

– Czyli wie pan, w jakiej sprawie przyszliśmy? – zapytał Bilski, chcąc jak najszybciej przerwać tę platonyczną wiwisekcję.

– Monika Bogucka – rzekł Kazar i przeniósł spojrzenie na prokuratora. – Tak, Monika. To była dziewczyna. – Westchnął. – Niezwykła. Takich to ze świecą dzisiaj szukać. Można powiedzieć, że ją kochałem, a przynajmniej, że była mi bliska. Szkoda było dziewczyny, oj, szkoda – stwierdził, choć jego twarz nie wyrażała większych emocji.

– Co się z nią stało? – wypalił Leopold bez ogródek.

Kazar wydawał się rozbawiony.

– Umarła – rzucił.

– Tak. Ale kto ją zabił?

– Hmm. Chyba to stanowi meritum sprawy, czyż nie? Kto ją zabił? Kto ją utopił, a następnie pieczołowicie pozbawił ust? – Kazar podniósł głos, syntezator zaskrzeczał. – Pewnie słyszeliście różne pogłoski, co? Jak to mafia wycina usta tym, którzy za dużo mówią? Tak, nie powiem, ta historia przydała mi nieco blasku. – Zaczął się śmiać, a przetworzony dźwięk wbijał im się w uszy. – Może was to zdziwi, ale ja nie miałem z tym nic wspólnego, choć to za moją sprawą tak szybko umorzono postępowanie. Najprościej mówiąc, śledztwo nie było mi na rękę, bo po drodze mogło wypłynąć to i owo. Rozumiecie. W każdym razie wcześniej zawarłem z jej dziadkiem i ojcem pewien układ i oni bardzo dobrze się z niego wywiązali. Po co miałbym zabijać Monikę? Tak jak mówiłem, dziewczyna była mi droga.

– W takim razie kto mógł mieć powód? – spytał Leopold.

– Trudno powiedzieć. Monika Bogucka to jedna z tych kobiet, które przyciągają kłopoty. A te kłopoty nazywają się zazwyczaj „niewłaściwi mężczyźni”, jeśli pan rozumie, o czym mówię. – Kazar puścił oko do Ani. – Pewnie chcielibyście adres, co? Burzyńskiego. Zaspas. Aaaa! Przypadek? Nie sądzę! – zaskrzeczał triumfalnie, gdy zobaczył ich zdziwione spojrzenia. – A znacie to? – dodał. – Dlaczego mąż zakopał żonę i zostawił dupę na wierzchu? Żeby mieć stojak na rower. – Jego rehot wypełnił pokój.

Gdy wyszli od Kazara, było już po ósmej. Szli do samochodu w ciszy, jakby wizyta w domu szefa trójmiejskiej mafii zupełnie pozbawiła ich energii.

– Czuję się jakaś taka... – zaczęła Ania, gdy wsiedli do samochodu.

– Tak – potwierdził Bilski.

On też czuł się jakiś... Nie umiał tego sprecyzować. Spotkanie z Kazarem było zupełnie surrealistyczne. Wykreowany świat, w którym funkcjonował ten sparaliżowany facet, jego swobodna pewność siebie tak bardzo odbiegająca od jego kondycji fizycznej, jego starcze ciało i niemal młodzieńczy, przepełniony okrucieństwem spryt – to wszystko było tak nierzeczywiste, że Bilski nie mógł się wyzbyć odczucia, że uczestniczył przed chwilą w śnie szaleńca.

Mrok powoli okrywał wszystko wokół. Zapalały się uliczne latarnie. W zmultiplikowanych oknach otaczających ich bloków pojawiały się światła. Wjechali na estakadę. Po lewej stał biały prom Stena Line, rozświetlony jak choinka. Tym razem Leopold poczuł pragnienie, by na niego wsiąść i popłynąć jak najdalej. Daleko od zwłok pozbawionych ust, daleko od psychopatów, których w Trójmieście nie brakowało, daleko od Ani, która spotykała się z kimś od kilku miesięcy.

„Czemu mi o tym nie powiedziała?” – pomyślał Bilski, choć wiedział, że nie ma powodu, by Ania zwierzała mu się ze swoich prywatnych spraw. On też nie powiedział jej o Kasandrze, choć nie był pewien, czy jeszcze jest o czym mówić. Od rozpoczęcia sprawy Martyny Kalety ich kontakt się urwał. Bilski nie odczuwał ani potrzeby, ani chęci, by dalej się z nią umawiać. Ale teraz po raz pierwszy od dłuższego czasu pomyślał o niej ciepło. Była nieskomplikowana, przez co mógł w niej czytać jak w otwartej księdze. Bilski nie musiał się przy niej wysilać. Właśnie tego dziś potrzebował. Spotkania z Kasandrą.

Na tę myśl zrobiło mu się raźniej. Starał się nie patrzeć na Anię, która siedziała zamyślona. Spojrzał przyjaźnie na znikające za balustradą doki, ciesząc się ich uporządkowaniem. Klocki Lego znów stały się tylko jego.

6

Tadeusz Dubiela trzymał w ręku skalpel. Cienki i lśniący. Od zawsze wydawał mu się magnetyczny. To było jego narzędzie. Sprawne posługiwanie się nożykiem chirurgicznym wymaga wielu miesięcy wprawy. Niezwykle ostry przyrząd musiał być prowadzony precyzyjnie. Ręka nie mogła drgnąć nawet o milimetr. Lekarz medycyny sądowej pamiętał doskonale swój staż. Ćwiczył codziennie po kilka godzin na owocach i warzywach, następnie pracował na zwłokach, po które nikt nie zgłosił się do szpitala. Nie było to do końca legalne, ale praktyka czyni mistrza. Musiał trochę nagiąć zasady, by stać się najlepszym w swoim fachu.

Przeciął skórę na klatce piersiowej. Linia była idealnie prosta, wręcz ujmująco doskonała. Rozchyliły się dwa równiutkie płaty. Po ciele Tadeusza przebiegł dreszcz. Pierwsze cięcie było jak zaproszenie do nieznanego świata. Nie wiadomo, co znajduje się po drugiej stronie. Niby u wszystkich mógł odnaleźć to samo – serce, przeponę, wątrobę, śledzionę, żołądek, woreczek żółciowy i jelita. Ale dla niego liczyły się szczegóły. Małe, niekiedy wręcz niedostrzegalne zmiany, które czyniły każde wnętrze innym. To one opowiadały historię człowieka, były jak tekst, który Tadeusz potrafił czytać.

Rozszerzył kości żeber za pomocą specjalnego imadła i zajrzał do środka. Pierwsze spojrzenie zawsze go ekscytowało, choć wiedział, że rzadko coś mówi. Sekcja wymagała cierpliwości, której Tadeuszowi nie brakowało. Potrafił czekać, gdyż czas ofiarowywał mu największą rozkosz. Praca lekarza medycyny sądowej nie jest dla wszystkich. Wymaga skupienia i zaangażowania. Nie można przeskoczyć żadnego etapu, trzeba podążać małymi kroczkami. Tylko takie działanie prowadzi do celu. Tadeusz Dubiela to właśnie najbardziej lubił w swojej pracy – perfekcyjną organizację. Nic nie było kwestią przypadku. To on o wszystkim decydował. Porządkował organy wewnętrzne, mierzył i ważył, oglądał. Odnajdował w tym spokój. Metodyczne działanie koilo nerwy. Podobało mu się też, że praca ze zwłokami zawsze odbywała się w odpowiednich warunkach. Prosektorium traktował jak swoje sanktuarium, w którym inaczej płynął czas. Obowiązywały tu inne niż na co dzień zasady. Tu lekarz stawał się przyjacielem zmarłego, a ich kontakt był bardziej intymny niż pomiędzy kochankami. Nie każdy umiał to zrozumieć.

Tadeusz z namaszczeniem posuwał się do przodu, a godziny mijały niepostrzeżenie. W końcu dokładnie zaszył klatkę piersiową i zamknął notes, do którego w toku pracy wpisywał dane i uwagi. Ponownie przyjrzał się denatce. Na szyi miała wyraźne ciemne ślady od liny. Wybroczyny w oczach były tak rozległe, że niemal nie było widać twardówki. Ciemne długie włosy swobodnie spadały poza stół. Lekarz nadal trzymał w ręku skalpel. Nachylił się nad twarzą kobiety i przyłożył nożyk do czerwieni ust. Nacisnął lekko ostrze, pod którym pojawiła się kropla krwi. Szybko zwolnił nacisk i w powietrzu obrysował kształt warg.

7

– A więc mamy czarne sfatygowane BMW serii 5 – stwierdził Leopold Bilski, pochylając się nad filmem z monitoringu.

Nie było widać tablic rejestracyjnych ani kierowcy. Jednak za szybą po stronie pasażera wyraźnie zarysowała się twarz Martyny Kalety. Film został zarejestrowany kilka dni przed zgłoszeniem jej zaginięcia. Była godzina siedemnasta cztery, a zatem kierowca samochodu odebrał ją prosto z pracy spod centrum handlowego. Adrian Jakubiak jeździł dziesięcioletnim srebrnym Passatem CC.

Pająk miał zadowoloną minę. Długie ręce złożone na krzyż niemal obejmowały w pasie szczupłą talię.

– A teraz coś, co powinno cię ucieszyć – zaczął. – Sprawdziliśmy w wydziale komunikacji samochody, które były zarejestrowane na Waldemara Milę. Ostatnie auto kupił na siebie w dziewięćdziesiątym piątym. Zgadnij jakie?

– Nie mów – Leopold Bilski niemal krzyknął z podniecenia.

– Właśnie. BMW 530i. Sprowadzony z Niemiec. Dokładnie taki jak na filmie z kamery.

Prokurator gwizdnął przeciągle. W końcu coś zaczynało się sklejać. Waldemar Milla, podobnie jak Martyna Kaleta, mieszkał obecnie na Zaspie. Kilka ulic od niej. Dziewczyna mogła go bez problemu gdzieś poznać. Na spacerze w Parku Jana Pawła II, przez jakichś znajomych albo po prostu w sklepie.

Bilski wypadł z komisariatu i popędził do znajdującej się trzysta metrów dalej prokuratury. Ambroziak był w swoim gabinecie. Akurat miał spotkanie służbowe. Trzy tłuste twarze mężczyzn

odzianych w przyciasne garnitury odwróciły się do Leopolda, gdy ten wparował do pokoju. Ambroziak sztucznie uśmiechnął się do gości, rzucił Bilskiemu gniewne spojrzenie i powiedział:

– Panie Bilski, proszę zgłosić się do mnie później.

Leopold nie mógł czekać.

– Z całym szacunkiem, szefie, ale to ważne. Mógłbym pana prosić na słówko?

Ambroziak zaśmiał się tubalnie, niczym dobry ojciec ponaglany przez synka. Zrobił przeproszający gest w stronę swoich gości i wyszedł na korytarz.

– Mamy Waldemara Milę – rzucił podekscytowany Leopold.

– Kogo?! – Ambroziak nie krył irytacji.

– Waldemara Milę, sadystycznego mafiosa, z którym spotykała się Monika Bogucka. Okazuje się, że mieszka niedaleko ostatniej ofiary! No i mamy nagranie z miejsca pracy Martyny Kalety, na którym widać, jak odjeżdża z kimś w czarnej piątce, takiej samej, jaka w dziewięćdziesiątym piątym została zarejestrowana na Milę! – Ostatnie zdanie Leopold powiedział na jednym wydechu. Dawno nie był tak podniecony.

– Przecież mamy Jakubiaka! Dowody są mocne, prasa uspokojona, termin rozprawy wyznaczony. A ty mi tu znowu wymyślasz, Bilski! Niech cię szlag! – Ambroziak zrobił się purpurowy.

– Szefie, a jeśli to nie Jakubiak i zginie kolejna dziewczyna? Kogo obwinia? Prokuraturę, która nie dopełniła obowiązków. A poza tym może Jakubiak działał w porozumieniu z Milą? To tłumaczyłoby pewne luki, które mamy w materiale dowodowym.

Ostatni argument chyba przemówił do Ambroziaka. Szef zaciskał i rozluźniał szczęki, jakby coś żuł. Zastanawiał się.

– No, w takim razie... Zgadzam się na formalne przesłuchanie. Tylko po cichu, tak żeby media nic na razie nie zwęszyły, rozumiemy się?

– Tak, szefie! – odparł uradowany Leopold i popędził korytarzem niczym mały chłopiec.

Niosła go myśl o przyciśnięciu Waldemara – sadystycznego gnoja, który zabił dwie młode kobiety.

8

Bilski przez lustro weneckie wpatrywał się w jego twarz. Waldemar Mila już nie przypominał tamtego przystojnego mężczyzny z lat dziewięćdziesiątych, choć jego styl zupełnie się nie zmienił. Niemal sześćdziesięcioletnia twarz była poorana zmarszczkami, półdługie jasnobrązowe włosy były mocno przerzedzone, a skórzana czarna kurtka wytarta. Czy mógł być nadal atrakcyjny dla kobiet? Leopold starał się wypatrzyć w nim coś, co mogłoby pociągać płęć przeciwną. Mila wyglądał jak podstarzały rockman, z pewnością miał w zanadrzu szereg opowieści z dawnych lat, które przydawały mu blasku, pod obcisłą koszulką prokurator dostrzegał dobrze utrzymane, muskularne ciało. Niewykluczone, że coś w nim mogło zauroczyć Martynę Kaletę. Jakiś seksualny wabik, którego Leopold z oczywistych przyczyn mógł po prostu nie dostrzegać.

Mila siedział w pokoju przesłuchań od kilku dobrych godzin. Policja zabezpieczyła już jego laptopa i telefon. Przeszukano również jego niewielkie mieszkanie.

– Niestety nic – stwierdził Kita, wchodząc do pokoju. – Laptop czysty, żadnych sadystycznych zdjęć, żadnych śladów znajomości z Martyną Kaletą, na koncie mailowym żadnej korespondencji

z dziewczyną. Codzienne wejścia na portale erotyczne, przede wszystkim o tematyce sado-maso, ale to nie jest karalne. W telefonie tak samo. Żadnych połączeń lub esemesów z Martyną Kaletą. Numer telefonu zarejestrowany na matkę Mili. Oczywiście nie można wykluczyć, że to on zakupił pre-paida, z którego zadzwonił do Marty, by zwabić ją na plażę.

– A samochód? – spytał Leopold, nie odrywając oczu od twarzy podejrzanego.

– Twierdzi, że nie ma go już od wielu lat. Że poszedł na szrot. Teraz jeździ volkswagenem matki. Przed blokiem brak jakiegokolwiek czarnego BMW. Sprawdziliśmy też wszystkie pobliskie garaże, niestety, z takim samym skutkiem.

– Alibi na noc zamordowania Kalety?

– Pił ze znajomymi z bloku w sąsiednim mieszkaniu. Kilka osób biorących udział w libacji to potwierdziło. Same pijaki i patole, więc alibi potencjalnie do podważenia.

– Cholera – mruknął Bilski. – To jeszcze nic nie znaczy. Widocznie dobrze się zabezpieczył, ale gdzieś musiał popełnić błąd. No dobra, zobaczymy, co uda mi się z niego wyciągnąć.

Gdy prokurator wszedł do pokoju przesłuchań, Mila skierował na niego nienawistny wzrok.

– Długo jeszcze będziecie mnie tu przetrzymywać? – spytał.

– Tak długo, jak będzie trzeba – odparł Bilski. – Zależy, co ma nam pan do powiedzenia.

– W tym sęk. – Głos Mili był głęboki i szorstki. – Nie mam nic do powiedzenia.

– Zobaczymy – skwitował Leopold i usiadł po drugiej stronie stołu.

Czuł zdecydowaną niechęć do Mili. Bez względu na to, czy facet miał się okazać zabójcą, czy nie, Bilski doskonale wiedział, jak traktował Monikę Bogucką. Po raz pierwszy w swojej karierze ledwo nad sobą panował podczas przesłuchania. Miał po prostu ochotę zrobić Mili fizyczną krzywdę.

Położył na stole zdjęcie Marty Kalety.

– Czy rozpoznaje pan tę kobietę?

– Nie. – Mila nie rzucił nawet okiem na zdjęcie.

– Proszę się przyjrzeć jej twarzy. Czy kiedykolwiek widział pan tę kobietę? – Leopold starał się zachować spokój.

Tym razem mężczyzna zatrzymał na zdjęciu wzrok na kilka sekund.

– Nie, nigdy jej nie widziałem – odparł zdecydowanie.

– To ciekawe, gdyż był pan widziany z tą osobą na parkingu Tesco na Osowej. Świadczenie twierdzą, że kobieta wsiadła do czarnego BMW, które pan prowadził – zablokował Leopold.

Waldemar spiorunował go wzrokiem i wykrzywił usta.

– Już mówiłem, czarnego BMW nie posiadam od wielu lat. Do niczego się już nie nadawało, więc oddałem na złom.

– Ma pan jakieś pokwitowanie?

– Pokwitowanie?! – parsknął Mila. – Nie, nie mam. Po cholere miałbym je trzymać przez tyle lat.

– Hmm. Jednak nigdy nie wyrejestrował pan auta w urzędzie.

Waldemar wzduszył ramionami i nadal przeszywał prokuratora niebieskimi oczami, które otaczały jasne, rudawe rzęsy.

– Wyrejestrowałem czy nie, z tą laską ze zdjęcia to nie byłem ja.

– A jak to możliwe, że nie ma pan samochodu i mieszka pan w klatce w bloku, gdy w połowie lat dziewięćdziesiątych tak świetnie pan prosperował? Miał pan nowe BMW, ekskluzywny apartament

tuż nad morzem, a teraz taka bida, co?

Mężczyzna złożył ręce na piersi i prychnął.

– Czyżby ktoś pana wykolegował z interesu? – kontynuował prokurator. – Czyżby ktoś pana za coś ukarał? Za coś, co pan zrobił pomimo wyraźnych wytycznych, by zostawić kogoś w spokoju, hmm?

Waldemar milczał, ale żuchwa chodziła mu ze zdenerwowania.

– Lubi pan małpiatki? – spytał nieoczekiwanie Bilski.

Po twarzy Waldemara Mili przemknął cień.

– Małpiatki? – powtórzył, lekko zbity z tropu.

– No, małpiatki, wie pan – zadarte noski, zielone oczy, lekko wysunięte szczęki. Rozumie pan?

Przesłuchiwany lekko się uśmiechnął i zmrużył oczy.

– W przeciwieństwie do ciebie nie jestem zoofilem – stwierdził.

– Ale małe sado-maso cię kręci, co? – ripostował Bilski, również przechodząc na ty.

– Każdy lubi się zabawić – odparł przesłuchiwany. Uśmiezek nie schodził mu z ust. – Każdy na swój sposób.

Leopold podniósł brew i pokiwał głową.

– Tak, każdy na swój sposób. A jaki jest twój sposób?

– To moja zaszrana sprawa, nie uważasz?

– Może twoja, a może nie tylko. Zależy, kogo jeszcze w to angażowałeś.

Waldemar odsunął gwałtownie krzesło i wstał. Palce same złożyły mu się w pięści. W sekundę do pomieszczenia wpadli Kita i Pająk i posadzili go na miejscu.

– Spokojnie, Walduś. Po co się tak unosić? Chyba nie chcesz sobie zaszkodzić, co? – Kita przytrzymał przesłuchiwanego za ramiona.

Ten kilkakrotnie się szarpnął, ale po chwili się uspokoił.

– Dobry chłopiec – pochwalił go policjant i zwolnił uścisk.

Leopold tymczasem położył przed Milą zdjęcie Moniki Boguckiej.

– Rozpoznajesz ją?

Waldemar Mila zerknął przelotnie na zdjęcie, odwrócił na moment wzrok i znów przeniósł go na postać na fotografii. Milczał.

– Liczni świadkowie potwierdzają, że byliście parą, więc nie musisz udawać, że jej nie znałeś. Wiemy też, że wielokrotnie się nad nią znęcałeś.

Mila zrobił minę Jokera. Jego uśmiech był szeroki i złowieszczy.

– Monika Bogucka puszczała się z kim popadnie. Fakt, że mną również miała przyjemność. Ale to wszystko. Łatwa lala z krótkim terminem przydatności – stwierdził i głośno się roześmiał.

Bilski zacisnął pięści i resztkami sił powstrzymał się, by nie przetrącić mu karku. Podsunął przesłuchiwanemu zdjęcia zwłok sprzed siedemnastu lat. W różnych ujęciach. Waldemar Mila wybrał fotografię, która w dużym zbliżeniu ukazywała okaleczoną twarz nastolatki. Przyglądał się jej z zaciekawieniem.

– Co ty na to? – Głos Bilskiego wyraźnie drżał. Prokurator nie mógł znieść rosnącego napięcia.

– Żałuję, że ktoś pozbawił mnie tej przyjemności – odparł przesłuchiwany, a jego oczy zaiskrzyły szaleństwem.

Pięść Bilskiego wylądowała na twarzy Waldemara Mili. Prokurator bił, dopóki Kita i Pająk go nie

odciągnęli.

9

– Ambroziak kazał wypuścić Milę – poinformował Kita, wchodząc do gabinetu Bilskiego. – Nie było podstaw, by go zatrzymać. – Policjant cmoknął i złożył usta w dzióbek.

Leopold siedział na biurku. Wyglądał na zrezygnowanego.

– Co cię opętało? – Kita przysiadł obok niego. – Tak się dać podpuścić gnojowi.

Bilski wzruszył ramionami. Sam nie wiedział, jak to się stało. Zupełnie się nie poznawał. Pozwolił sobie na osobiste zaangażowanie. Emocje wzięły górę.

Kita poklepał go po plecach i westchnął.

– Wiesz, możemy powiedzieć, że Mila był agresywny, że się na ciebie rzucił i...

– Nie – przerwał mu Leopold. – Dzięki, ale nie. Muszę wziąć za to odpowiedzialność.

– Mhm – mruknął policjant. – Dzielny chłopak. To ile cię nie będzie?

– Na razie mnie nie zawiesili. Ale Ambroziak zasugerował, żebym wziął miesięczny urlop dla poratowania zdrowia.

– Taa, to niegorzej – stwierdził Kita. – Wiesz, czasami trzeba się zdystansować, żeby zobaczyć cały obraz.

– Może – zgodził się Leopold i zsunął się z biurka.

– To samo mu powiedziałam. – Do pokoju weszła Anna Górską, niosąc na tacy trzy kubki z kawą.

– Nie ma co się mazać, tylko wykorzystać ten miesiąc jak najlepiej.

– O! I to jest plan – rzucił policjant i z wdzięcznością przyjął parujący kubek.

– A ja chętnie pomogę, bo przez miesiąc też chyba nie będę miała co ze sobą zrobić. – Dziewczyna zerknęła na Leopolda z uśmiechem, lecz ten stał bez ruchu przy oknie i wydawał się ich nie słuchać.

Leopold Bilski był w szoku. Całe życie brzydził się przemocą. Matka i ciotki od małego wpajały mu, że siłą nigdy nic nie osiągnie, że to doraźne rozwiązanie, które przynosi więcej krzywdy niż pożytku. Nigdy nikogo nie uderzył, a teraz zadał cios, i to niejeden. Waldemar Mila stracił przedni ząb, miał rozciętą wargę i rozbity nos. Prokurator po raz pierwszy poczuł do kogoś tak ewidentny wstręt, który wprowadził go w stan furii. Zawsze się dziwił, jak człowiek może popaść w stan, w którym zapomina o wszystkich obowiązujących normach zachowania i wkracza w ciemną strefę bez barier. Niekiedy, analizując przypadek jakiejś zbrodni, zastanawiał się, jak to jest wbić nóż w czyjeś żywe ciało. Najbardziej ciekawił go moment podjęcia działania – ta chwila przekroczenia niewidocznej linii, za którą nie ma odwrotu. Zadawał sobie pytanie, czy on byłby w stanie kogokolwiek zranić, gdyby od tego zależało jego życie lub życie innych? Tym razem nikt nie był zagrożony, a on nie znalazł się w ekstremalnych okolicznościach, które nakazywałyby mu zadziałać w ten sposób. A jednak uderzył. Poczul w sobie zwierzęcy instynkt i zaatakował. Chyba niewiele się różnił od tych, których zawsze osądzał.

Bilski spojrział na swoją dłoń. Knykcie były otarte i piekące. Ze wstydem wsunął rękę do kieszeni spodni.

W tym momencie ktoś zapukał do pokoju. W drzwiach pojawiła się Sylwia Mazurek. Przyjaciółka Martyny Kalety miała na sobie obcisłą czarną sukienkę, botki na wysokim obcasie i szare futerko.

Przez ramię przewiesiła małą torebkę z dużym złotym zapięciem w kształcie liter GG. Mocny makijaż oczu i ust sprawiał, że wyglądała na dużo starszą, niż była.

– Można? – rzuciła, patrząc niepewnie na zebrane w gabinecie osoby. – Ja do prokuratora Leopolda.

Bilski odwrócił się od okna i spoglądał na dziewczynę bez słowa. Jego wzrok był pusty. Po chwili powiedział:

– Niestety, ja jestem na zwolnieniu, więc nie bardzo...

Jednak Ania szybko mu przerwała.

– Bardzo prosimy. Proszę usiąść. – Wskazała krzesło. – Zrobię kawę i spokojnie sobie porozmawiacie.

Pociągnęła Kitę za sobą i zostawili Leopolda samego z Sylwią Mazurek.

Bilski westchnął i niechętnie usadowił się za biurkiem. Położył ręce na blacie i szybko zakrył obolałą rękę drugą dłonią.

– Czym mogę służyć, pani Sylwio?

Dziewczyna poczuła się trochę pewniej. Założyła nogę na nogę, odsłaniając udo okryte tylko cielistym nylonem rajstop.

– Ładny gabinet – pochwaliła, rozglądając się.

– Mhm. – Bilski wysilił się na mruknięcie.

– Ja pracuję w małej firmie spedycyjnej jako sekretarka. Siedzę w takiej kliteczce, co nawet okna nie ma, wie pan? A to chyba nie jest zgodne z przepisami BHP, prawda? – Spojrzała na prokuratora pytająco.

– Nie wiem, nie znam się na tym. – Leopold wzruszył ramionami.

Był znużony. Dzisiejsze przesłuchanie zupełnie odebrało mu siły.

– No cóż – odparła Mazurek. – Nie wie pan, to pan nie wie. – Zrobiła lekko zniesmaczoną minę. Chyba oczekiwała od prokuratora znacznie większego entuzjazmu w związku ze swoją wizytą.

– A więc, pani Sylwio, co panią tu przywiodło? – spróbował ponownie Bilski.

– Martyna, naturalnie. Wie pan, jaka ona była. Dość skryta, rzadko się z czegoś zwierzała. Nigdy nie opowiadała na przykład o Adrianie – jaki był w łóżku, co lubił, co ona lubiła i tak dalej. My zawsze mówiłyśmy sobie wszystko ze szczegółami o takich rzeczach. Wymieniałyśmy się sposrzeniami na temat facetów, z którymi się umawiałyśmy, komentowałyśmy szczegóły, omawiałyśmy budowę i takie tam. – Sylwia spojrzała kokieteryjnie na prokuratora, lecz ten siedział zupełnie nieporuszony. – No nieważne. – Lekki uśmiech zszedł dziewczynie z twarzy. – A Martyna nigdy nic. Tłumaczyła, że to są ich intymne sprawy i nieładnie jest o nich opowiadać. Nawet często ją podpuszczałyśmy, żeby coś jej się wymsknęło, ale nigdy nic nie udało się wyciągnąć. Śmiałyśmy się, że w łóżku też pewnie była taka wstydliva i uprawiała seks tylko na misjonarza. – Znów posłała Leopoldowi znaczące spojrzenie.

– Martyna Kaleta była wstydliva – rzeczowo skonstatował Bilski.

– No tak, była wstydliva – potwierdziła Sylwia, która znów przybrała naburmuszony wyraz twarzy.

– Rozumiem, że do czegoś ten wywód prowadzi?

– Tak, naturalnie. No właśnie miałam do tego dojść. Bo my sobie często pożyczamy ciuchy. Wie

pan, jak to dziewczyny. Wymieniamy się fatałaszками, coś się weźmie, coś się odda. Normalna sprawa wśród przyjaciółek.

– Aha. – Bilski był coraz bardziej zniecierpliwiony.

– No więc wczoraj włożyłam taką moją casualową marynarkę, co ją w Zarze na noworocznej przecenie kupiłam. Martynie ta marynarka się bardzo spodobała i w sumie tak jakby ją sobie od razu przywłaszczyła. Śmiała się, że pasuje do każdej stylizacji. I do pracy, i do dzinsów. Wie pan. No i oddała mi ją dopiero na początku marca. Więc wczoraj wyciągnęłam tę marynarkę z szafy i się rozplakałam, bo od razu zobaczyłam w niej Martynę. Nawet jeszcze jej perfumami pachniała. Straszne. – W oczach Sylwii stanęły łzy, a Leopoldowi zrobiło się trochę głupio, że tak obcesowo odnosił się do przyjaciółki zmarłej.

– Tak, pani Sylwio? I co dalej? – zachęcił.

– Więc wsadzam rękę do kieszeni, a tam jakiś papierek. Patrę, a to rachunek ze sklepu Venus, wie pan, z tego sex shopu na Grunwaldzkiej. Prawie trzysta złotych za komplet bielizny! No to mnie zamurowało, bo nigdy bym nie przypuszczała, że Martyna taką bieliznę może nosić, no a przede wszystkim, że odważyłaby się do takiego sklepu wejść! Więc pomyślałam, że to dość podejrzane, prawda?

– Tak, można uznać to za podejrzane – przyznał Bilski, choć kupno seksownej bielizny na krótko przed ślubem nie wydało mu się aż tak dziwne.

Sylwia Mazurek podała mu rachunek.

– Jakby tego było mało – dodała, gdy prokurator przyjrzał się paragonowi. – Wkładam rękę do drugiej kieszeni, a tam jakiś kartonik. Patrę... – zawiesiła głos, starając się budować napięcie – a tam bilet! Bilet na prom!

– Na prom? – Teraz Leopold był autentycznie zaskoczony.

– Tak, na prom. Zdziwiłam się jeszcze bardziej, bo kto pływa promem na początku marca? Przejazd na trasie Świbno–Mikoszewo z Wyspy Sobieszewskiej. I co ciekawe, tego samego dnia co ten rachunek za bieliznę. Tylko bielizna była rano, a prom dopiero po południu. No i to było dwa tygodnie przed jej zaginięciem. Sprawdziłam datę, wypadła niedziela.

– Czy Martyna wspominała wcześniej, że wybiera się na Wyspę Sobieszewską? – spytał prokurator.

Dziewczyńie w końcu udało się skupić na sobie całą jego uwagę.

– Nie, nigdy nic nie mówiła o żadnych wycieczkach promem, a przecież mówiłyśmy sobie wszystko, no może właśnie poza tymi intymnymi rzeczami.

Bilski wpatrywał się w bilet z Wyspy Sobieszewskiej.

„Wisła – przemknęło mu przez myśl. – Czy na Wyspie Sobieszewskiej rosną salwinie?”

Być może był to jakiś trop, a być może zwykła niedzielna wycieczka, która nic nie znaczyła. Jednak Bilski znów poczuł ukłucie ekscytacji. Ręka przestała piec.

Ogień w kominku przyjemnie buzował. Helena Bogucka uwielbiała wpatrywać się w pomarańczowe języki pożerające rozgrzane do czerwoności drewno. Lubiła subtelny trzask płomieni. Sam zapach

palonych drew sprawiał, że się rozluźniała. Gdy była małą dziewczynką, marzyła, by zostać harcerką. Chciała chodzić na zbiórki, biegać po lasach, zdobywać sprawności i śpiewać wraz z grupą przy ognisku. Ale ojciec jej nie pozwolił. Mówił, że to nie jest zabawa dla dziewczynek z dobrego domu, że harcerstwo jest dla dzieci z biednych rodzin, które nie mają pieniędzy na zapewnienie im innych atrakcji. Helena chodziła więc na konie. Co weekend ojciec zabierał ją do stadniny, w której zbierali się inni bogaci ojcowie ze swoimi pociechami. Mężczyźni, siedząc w kawiarni, palili cygara i rozmawiali o polityce, a ich dziećmi zajmował się w tym czasie instruktor. Helena dostała białe rękawiczki i bacik, jednak te akcesoria wcale nie dodawały jej odwagi. Pamiętała strach przed zwierzęciem, które wydawało jej się ogromne i nieprzyjazne. Nie działały argumenty, że konie są piękne i dostojne. Ona nie dostrzegała w nich tego uroku, którym inni się zachwycali. Parskały, tupwały kopytami, strzygły uszami i pokazywały wielkie żółte zębiska. Patrzyły na nią nieufnie, nie okazując żadnej przychylności. Ojciec był bardzo zły, gdy nie chciała po raz pierwszy wsiąść na konia. Zapała się i płakała. Więc Deskur wsadził ją na siodło siłą. Lęk był potworny. Była jak sparaliżowana i choć instruktor kazał jej unosić pośladki, nie potrafiła się ruszyć. Z biegiem czasu zaczęła jeździć dość sprawnie, ale szczerze tego nie znosiła. Zdecydowanie wolałaby biegać po lasach, grać w gry zespołowe i piec kiełbaski na ognisku.

Helena z przyjemnością zaciągnęła się unoszącym się w powietrzu zapachem. Zakołysała winem w szerokim kieliszku, który trzymała w dłoni, i spojrzała na siedzącego obok niej Tadeusza. Wahała się, czy skorzystać z jego zaproszenia, jednak teraz nie żałowała. Od dawna nie czuła się tak zrelaksowana. Ciepło ognia miło rozgrzewało jej twarz, a wino, którego od dawna nie piła w towarzystwie, smakowało wybornie. Tadeusz starał się być bardzo opiekuńczy. Zabrał ją na wycieczkę promem, przygotował kolację, włączył melancholijną muzykę, otulił kocem. Kiedy to ostatni raz ktoś się nią zaopiekował? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Nigdy nie pozwalała sobie na okazywanie słabości. Zawsze robiła wszystko sama, opierała się, gdy ktoś chciał zrobić coś dla niej. Czuła się wtedy niekomfortowo i niepewnie. Prawdopodobnie wyniosła taką postawę z domu. Ojciec zawsze powtarzał, by nie doprowadzać do sytuacji, w której jest się coś komuś winnym.

Jednak teraz nie oponowała. Pozwoliła, by Tadeusz czuł się przy niej mężczyzną.

Położyła głowę na ramieniu przyjaciela i tak trwała. W kominkowej szybie odbijała się jej twarz. Zadowolona. Rysy układały się miękko, oczy miały młodzieńczy błysk. Helena nie przypuszczała, że jeszcze kiedyś zejdzie się z Tadeuszem. Jakakolwiek bliskość z tym mężczyzną wydawała jej się przez lata nie do wyobrażenia. Pomimo ich wcześniejszej relacji kojarzył jej się wyłącznie z bólem i cierpieniem. A teraz znów stał się tamtym chłopakiem, którego poznała jako młoda dziewczyna. Był szarmancki, ciepły i dobry.

Helena Bogucka uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Tadeusz pocałował ją czule i odebrał z ręki kieliszek. Powoli rozpiął guziki jej bluzki. Sędzia Bogucka wygięła się w łuk i głęboko westchnęła.

Poranek był zimny. Otuliła się szczelnie kołdrą, jednak stopy nadal miała skostniałe. Tadeusz cicho pochrapywał. Jego rysy były rozluźnione. Helena spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma.

Wiedziała, że już nie zaśnie. Jej umysł był zupełnie rozbudzony.

Powoli wysunęła się z łóżka i szybko wciągnęła na nagie ciało leżący przy łóżku sweter. Włożyła dzinsy i grube skarpety i cichutko zeszła na dół. Słońce powoli przebijało się zza chmur. Zapowiadała się piękna sobota. Helena wstawiła czajnik i wsypała do kubka dwie łyżeczki kawy. Zalała mielone ziarna wrzątkiem i chwilę odczekała. Dolała mleka i upiła. Kawa była mocna i aromatyczna. Helena poczuła dreszcz przyjemności. Zawsze lubiła wstawać przed innymi. Dom wydawał się wówczas spokojny i tajemniczy. Rozglądała się po nim jak po nieodkrytym lądzie. Gdy inni śnili, przestrzeń rządziła się odmiennymi prawami.

Helena przyglądała się sprzętom kuchennym. Wiedzioną ciekawością otworzyła kilka szuflad i szafek, w których panował nienaganny porządek. Następnie z kubkiem kawy w ręku ruszyła do dużego pokoju. Zatrzymała się przed zdjęciami w ramach na jednej ze ścian korytarza. Młody Tadeusz obejmował brunetkę z lekko falującymi włosami. Na innym zdjęciu ta sama kobieta trzymała na rękach niemowlę. Na jeszcze innym cała rodzina płynęła małą łódką z silnikiem, wesoło machając do obiektywu.

„Musieli być kiedyś szczęśliwi” – pomyślała Helena i poczuła drobne ukłucie zazdrości. Zdawała sobie sprawę, że to uczucie jest głupie. W końcu to ona rzuciła Tadeusza, zaszła w ciążę i poślubiła innego mężczyznę. Więc on też miał prawo ułożyć sobie życie. Nie spodziewała się jednak, że nastąpi to tak szybko po ich zerwaniu. Tadeusz wziął ślub kilka miesięcy po niej, a jego dziecko przyszło na świat jeszcze w tym samym roku. Nie marnował czasu.

Ponownie spojrzała na kobietę na zdjęciu. Była dość atrakcyjna. Miała niewielki nosek i słodkie dołeczki w policzkach. Wydawała się sympatyczna i miła. Z pewnością była pełnym przeciwieństwem Heleny.

Bogucka wzięła łyk kawy, postąpiła jeszcze chwilę przed ścianą pełną wspomnień i przeszła do części wypoczynkowej. Nie było tu zbyt wiele do oglądania. Półki wypełnione książkami i żadnymi osobistymi przedmiotami, bibelotami czy przypadkowymi rzeczami. Panowała idealna czystość.

Helena podeszła do regału. Stały na nim głównie książki z zakresu medycyny sądowej i kryminalistyki. Zarówno polskie, jak i zagraniczne tytuły. Sędzia wodziła wzrokiem po okładkach i przed jej oczami pojawiały się hasła: „sekrety zbrodni”, „bestie”, „obsesja”, „skalpel”, „zmarli”, „identyfikacja”, „utonięcia”, „dzieciobójstwo”, „seryjni mordercy”, „plamy pośmiertne”. Choć wiedziała, że nie powinna tego robić, wzięła do ręki pierwszą z brzegu książkę i otworzyła ją na przypadkowej stronie. Trafiała na zdjęcie martwego mężczyzny. Miał wybałuszone oczy i napuchniętą twarz. Jego klatka piersiowa była rozcięta niemal na pół. Przy zwłokach pozował lekarz z maseczką na ustach. Helena szybko zamknęła książkę i odłożyła ją na miejsce. Po jej plecach przebiegł lodowaty dreszcz. Odstawiła pusty kubek na stolik. Musiała zaczerpnąć świeżego powietrza.

Włożyła buty, otuliła się kocem i wyszła do ogrodu. Powietrze było jeszcze chłodne. Spojrzała na niebo, po którym mknęły małe obłoczki. Dzień zapowiadał się wspaniale. Wzięła głęboki wdech i próbowała wyzbyć się obrazu zmarłego mężczyzny, który pozostał w jej głowie. Schyliła się nad małymi zielonymi łodyżkami, które wyłaniały się z ziemi. Zastanawiała się, jakie roślinki z nich wyrosną. Nie знаła się na kwiatach, ale usiłowała sobie wyobrazić, jakie kolory niebawem pojawią się w ogrodzie, gdzie co zakwitnie i jak będzie pachnieć. Mózg po chwili dał się oszukać i zdjęcie z książki zaczęło znikać, wypierane obrazem letniego ogrodu.

Helena doszła do połowy trawnika i przystanąła przy fontannie. Nie była specjalnie wymyślna. Z dna umieszczonego na dość sporej wysokości betonowego basenu wystawała długa, prosta dysza wodotrysku. Bogucka nachyliła się nad misą i przejrzała w wodzie. Woda była dość czysta, sięgała niemal brzegu ocembrowania. Helena przyglądała się swojej twarzy. Dotknęła wody i obraz zafalował. Nieopodal swojego odbicia dostrzegła zielone mięsiste listki. Zanurzyła dłoń i sięgnęła. Wyłowiła splątaną sieć wodnej paproci. Przyglądała jej się z dziwnym uczuciem i wreszcie skojarzyła obrazy z galerii Google'a, którą ostatnio przeglądała. To była salwinia.

– Helena! – usłyszała za sobą głos Tadeusza.

Podskoczyła, wrzuciła roślinę z powrotem do zbiornika i odwróciła się do mężczyzny. Stał na tarasie, wpatrując się w nią. Niecierpliwie kiwnął ręką.

– Chodź na śniadanie! – zawołał.

Jego głos wydał się Helenie jakiś dziwny, bardziej obcesowy i niepokojący. Podniosła rękę i odwzajemniła gest. Krople wody z wilgotnej skóry spłynęły pod koc. Zrobiło jej się zimno. Ruszyła w stronę domu. Chciała jak najszybciej wracać do Sopotu.

12

Poniedziałkowy ranek wydał się Bilskiemu abstrakcyjny. Nigdzie nie musiał pędzić, nigdzie nie musiał się stawić. Zapowiadał się piękny dzień. Słońce wędrowało powoli do góry, sypialnię wypełniało ciepłe światło. Leopold wygrzebał się z łóżka i poszedł do łazienki. Sąsiadka jak zwykle oglądała powtórki *Na dobre i na złe* i znajoma muzyka z czołówki wtórowała prokuratorowi przy myciu zębów. Leopold nastawił kawę, poprzeglądał w internecie najnowsze wiadomości i zamierzał odwiedzić dziś matkę Martyny Kalety. Zadzwoił, by umówić się na spotkanie. Co z tego, że jest na urlopie? Przynajmniej nikt nie może mu teraz zarzucić, że postępuje wbrew protokołowi czy wykonuje czynności, które formalnie do niego nie należą. Mógł dysponować swoim wolnym czasem, jak chciał.

Uśmiechnął się pod nosem, przekonując sam siebie, że cała ta sytuacja wyjdzie mu tylko na dobre. Spojrzał na swoją prawą rękę i zacisnął pięść. Dłoń już prawie nie bolała. Wkrótce przestanie mu przypominać o jego porażce. Źle poprowadził przesłuchanie Mili. Nie wykorzystał swoich ulubionych psychologicznych trików, zupełnie nie wszedł w rolę. Zachował się jak pierwszy lepszy narwany amator. Waldemar został wypuszczony, a nawet gorąco przeproszony przez przełożonego. Totalna porażka.

Leopold Bilski zastanawiał się, czy nie warto by poobserwować Mili z ukrycia, skoro miał kupę wolnego czasu, gdy usłyszał dzwonek do drzwi. W progu stała Helena Bogucka.

Prokurator poczuł na jej widok falę emocji. Przemknęło mu przez myśl, czy aby nie zadurzył się w tej starszej od siebie kobiecie, lecz ciało odpowiedziało mu, że nie o to chodzi. Helena Bogucka, choć nadal atrakcyjna, nie pociągała go fizycznie. Wywoływała w nim jednak jakieś głęboko zakopane uczucia. Cała była bólem, który on wyraźnie odczytywał.

Przez dłuższą chwilę siedzieli z kawą przy kuchennym stole w milczeniu, w którym nie było skrępowania ani napięcia. Każde z nich myślało. Ewidentnie łączył ich wspólny cel.

– Dowiedziałam się kilku rzeczy – zaczęła w końcu Helena.

Opowiedziała Leopoldowi o układzie Romana i swojego ojca z mafią Kazara, o ich groźbach, o zdjęciach Moniki, o sprawie sądowej. Leopold powoli przetwarzał nowe informacje.

– Rzeczy Moniki... Czy znalazł w nich pan cokolwiek, co się przydało? – spytała na koniec Bogucka.

– Tak, bardzo dziękuję. Na jednej z płyt był numer telefonu do Maria. Potwierdziła pani teraz sporo z tego, co usłyszałem od niego. Wiedział to od... Moniki. – Imię dziewczyny Leopold wypowiedział ciszej, jakby miało jakąś magiczną moc, której nie chciał budzić.

– Mario?

– Znała go pani?

– Nie, pierwszy raz o nim słyszę – przyznała Helena.

– Mariusz Wierucki. Przyjaźnił się z Moniką. Chłopak w jej wieku. Z tego, co udało mi się ustalić, z nim właśnie w tym okresie była najbliżej.

– Wierucki? – zastanowiła się Helena.

Nazwisko coś jej mówiło, ale nie była pewna, gdzie je słyszała. Może prowadziła jakąś sprawę, w której się przewinięło? To było całkiem możliwe.

– Jest jeszcze jedna rzecz, o której, hmm, chciałabym pomówić – wyznała Helena i gwałtownie się zaczerwieniła. – Nie wiem, jak zacząć. Wydaje mi się, że coś sobie wymyśliłam. Jako matka, która... Cóż, chyba nie bardzo mogę wierzyć swoim osądom. Ale coś mnie zaniepokoiło.

– Proszę mówić, pani Heleno. Nigdy nie bagatelizuję takich przeczuc – zachęcił Leopold.

– Tak, być może, ale w tym wypadku... To dość delikatna sprawa. W każdym razie zastanawiałam się ostatnio nad okaleczeniem mojej córki i tej ostatniej dziewczyny, Martyny Kalety. Żeby poprowadzić takie cięcie, trzeba mieć niewątpliwie odpowiedni sprzęt, ale też pewne umiejętności. Więc kto ma zarówno narzędzie, jak i kompetencje? Rzeźnik, tapicer, kuśnierz, może krawiec? Ale też z pewnością chirurg, no i... lekarz medycyny sądowej. – Bogucka popatrzyła na prokuratora zmieszana.

Leopold podniósł głowę zdziwiony i wpatrując się w twarz Heleny, ważył jej słowa.

– Czy pani coś sugeruje? – zapytał niepewnie.

– Nie chcę nic sugerować, ale przeglądałam ostatnio książki Tadeusza z zakresu medycyny sądowej i nagle do głowy wpadła mi pewna myśl. To znaczy w przypadku Moniki zajmował się tym ktoś inny, ale... Tadeusz też tam był. Co więcej, Tadeusz, odkąd pamiętam, opowiadał o swojej pracy z ogromną pasją. Zresztą zawsze poczytywałam to za ogromny walor, jednak patrząc z drugiej strony, takie obcowanie ze zmarłymi może przecież prowadzić do swoistej obsesji, prawda? Czy choćby pewnego skrzywienia psychicznego w związku z naturą tego zawodu. Nie mówiąc już o tym, że kto zupełnie zdrowy w ogóle wybiera taką profesję?

Leopold zastanawiał się przez chwilę. Rozumowanie sędzi nie było pozbawione racjonalizmu. Psychopatami nierzadko okazywały się osoby zupełnie niepozorne lub przeciwnie – wykazujące się wyjątkową bystrością, a tego drugiego nie sposób było Tadeuszowi Dubieli odmówić. Bilskiemu od razu przyszedł na myśl bohater serialu *Dexter*, który swego czasu prokurator namiętnie oglądał. Specjalista do spraw krwi pracujący w departamencie policji niezwykle metodycznie zabijał nocami złoczyńców, którym udało się uniknąć kary za swoje czyny. Pod latarnią najciemniej, jak to się mówi. Jednak Helena Bogucka nie przedstawiła żadnych dowodów, które mogłyby świadczyć

przeciwno medykowi sądowemu, cenionemu specjaliście i niezwykle sympatycznemu człowiekowi.

– Pani Heleno, coś w tym, co pani mówi, naturalnie jest... – Bilski nie chciał urazić sędzi – jednak wydaje mi się, że mocno pani wyolbrzymia. Nie ma tu się czego złapać.

– Być może. Sama jestem na siebie zła, że w ogóle mogłam coś takiego pomyśleć, tym bardziej że z Tadeuszem łączą mnie... dość bliskie stosunki. – Helena Bogucka lekko się zaczerwieniła i szybko dodała: – Jednak jest jeszcze coś, o czym nie wspomniałam. Otóż w weekend byłam u Tadeusza. – Widać było, że sędzia czuje się niekomfortowo, zdradzając ten fakt prokuratorowi. – W ogrodzie przy jego domu znajduje się fontanna po brzegi wypełniona dość świeżą wodą.

Leopold przyglądał się z zainteresowaniem Helenie i zastanawiał, do czego może zmierzać ta dziwna historia.

– Na wodzie, pod liśćmi i patykami, unosiła się ta roślina, którą znaleziono w ciele Martynty Kalety, salwinia.

Tego się prokurator nie spodziewał. Zaintrygowany rozważał usłyszane słowa. Choć to też nie musiało nic znaczyć. Dubiela mówił, że ta roślina może znajdować się praktycznie we wszystkich sadzawkach czy oczkach wodnych. Niewątpliwie jednak nie wspomniał, że rośnie również w jego fontannie.

– Faktycznie to dość ciekawe. – Bilski rzeczowo skwitował wyznanie sędzi. Jednak coś go tknęło i spytał: – A gdzie mieści się ten dom Dubieli?

– To było w jego domku wypoczynkowym tuż nad Wisłą. Na Wyspie Sobieszewskiej.

13

Bilski stanął pod blokiem na ulicy Pilotów. Mural z napisem „The future was here” ponownie wywołał w nim mieszane uczucia. Leopold wciąż myślał o rozmowie z Heleną Bogucką. Choć elementy układały się dość gładko w jeden obraz, to jednak nie miał wątpliwości, że wszystko, o czym mówiła dziś sędzia, stanowiło jeden wielki zbieg okoliczności. Musi dla świętego spokoju porozmawiać z Tadeuszem Dubielą. Tymczasem szybko skierował się do klatki budynku i wbiegł na ostatnie piętro. Pani Kaleta czekała na niego.

– Przygotowałam babeczki cytrynowe – powiedziała serdecznie, a Bilski pomyślał, że gospodyni tęskni do czasów, gdy mogła sprawiać przyjemność swoim dzieciom.

Nie wyglądała dobrze. Jeszcze bardziej schudła od momentu ich ostatniego spotkania, pod oczami malowały się głębokie cienie. Leopold przełknął ślinę i chętnie poczęstował się babeczką.

– Coś nowego wiadomo? – spytała cicho matka Martynty i wyczekująco popatrzyła na Bilskiego.

– Pojawiły się pewne nowe tropy – odpowiedział Leopold i lekko uśmiechnął się do kobiety. – W każdym razie intensywnie pracujemy nad sprawą i nie odpuszczamy. – Starał się dodać jej nadziei.

– To dobrze, to bardzo dobrze – odparła Grażyna Kaleta i spuściła wzrok na stół.

Zaczęła nerwowo bawić się brzegiem serwety.

– Chciałbym zadać pani jeszcze kilka pytań dotyczących córki. Mogę? – Leopold automatycznie położył rękę na dłoni kobiety i delikatnie ją ścisnął.

Czuł się bardzo nieswojo w obliczu takiego cierpienia. Dokładnie rozpoznawał to puste,

pozbawione złudzeń spojrzenie. Widział je już u Heleny Boguckiej.

– Tak, proszę. – Grażyna Kaleta zerknęła na prokuratora z wdzięcznością.

Z pewnością tego właśnie teraz potrzebowała – gestu otuchy w tej przepełnionej bólem rzeczywistości.

„Czy ma kogokolwiek, kto okazałby jej wsparcie?” – zastanowił się Bilski, ale szybko odrzucił tę myśl. Nie mógł sobie pozwolić na jeszcze większe zaangażowanie emocjonalne. Nie wiedział, czemu w tak osobisty sposób przyjmował ostatnio wszystkie zdarzenia.

– Pani Grażyno – zaczął. – Chciałem zapytać, czy często wybierali się państwo na Wyspę Sobieszewską?

– Na Wyspę Sobieszewską? – zdziwiła się kobieta. – Nie, nie bardzo. Wstyd się przyznać, ale nigdy tam nie byłam.

– A czy mają tam państwo jakichś znajomych, przyjaciół, rodzinę? Czy Martyna kiedykolwiek wspominała, że zna kogoś z tych okolic?

– Niestety, nic o tym nie wiem.

– Rozumiem.

– Czemu pan o to pyta?

– Odkryliśmy, że Martyna wybrała się niedługo przed śmiercią na wycieczkę promem z Wyspy Sobieszewskiej. Pewnie to nic nie znaczy, ale sprawdzamy każdy najmniejszy trop.

– Dziwne – szepnęła matka dziewczyny. – Martyna raczej rzadko jeździła na tego typu wycieczki. I wydaje mi się, że powiedziałyby mi o czymś takim. Szczerze mówiąc, córka często mi się zwierzała. Przychodziła do mnie z różnymi problemami, a ja zawsze jej wysłuchiwałam. Śmiała się, że jestem jej powiernicą. – Grażyna Kaleta otarła z twarzy łzy, lecz te nie przestawały płynąć. Kapały na obrus, jakby w jej oczach otwarto kranik.

– Czy Martyna wspominała kiedykolwiek o jakimś nowym mężczyźnie, który pojawił się w jej życiu?

– Nie. Ale miała coraz więcej wątpliwości co do ślubu, co do swoich decyzji. Generalnie zastanawiała się, czy obrała dobry kierunek w życiu.

– Nie widziała pani nigdy, by wsiadała do czarnego BMW lub z niego wysiadała?

– Niestety. Ale my nie mamy stąd zbyt dobrego widoku na ulicę przed blokiem. Balkon jest z drugiej strony. Boże... czy to ktoś z czarnego BMW ją zamordował? Jakiś mężczyzna? O Boże, Boże! – Pani Kaleta zaczynała wpadać w panikę.

– Spokojnie, pani Grażyno. Po prostu sprawdzam tropy. To nic na razie nie znaczy. Niestety, nie wiemy, kto był sprawcą, a jedynym podejrzanym jest pan Adrian Jakubiak. Spokojnie. – Leopold znowu położył rękę na dłoni kobiety i chwilę ją przytrzymał.

Oddech Grażyny Kalety stał się regularniejszy i spokojniejszy.

– Powiedziała pani, że Martyna zastanawiała się nad kierunkiem swojego życia – prokurator przypomniał jej słowa. – W jakim sensie?

– Ach, wie pan, dziewczyny mają różne marzenia, a życie potem tak to wszystko weryfikuje. – Matka Martyny z pewnym wysiłkiem wstała z krzesła i podreptała do kuchenki.

Nalała wody do czerwonego czajnika w starym stylu i zapaliła pod nim gaz.

– Martyna to zawsze marzyła o wielkiej karierze. – Uśmiechnęła się. – Oczywiście nikt nie

traktował tego poważnie. Wszyscy ją wyśmiewali, jak o tym mówiła, więc zarzuciła te swoje dziecięce plany, skończyła technikum i zaczęła się do pracy u jubilera. Ale nie znosiła tej roboty. Narzekała, że jest zwykłą sprzedawczynią, a czuła się kimś innym, wie pan. Więc tak się zastanawiała nad tym wszystkim.

– O jakiej karierze marzyła? – spytał zaciekawiony prokurator.

– Martyna ładnie śpiewała. – Grażyna Kaleta pokręciła smutno głową. – Chciała zostać piosenkarką. Ale co to za zawód, pan mi powie.

Leopoldowi Bilskiemu zrobiło się gorąco.

– Martyna ładnie śpiewała? – powtórzył.

– No całkiem, całkiem miała głos. Chodziła po domu i ciągle podśpiewywała. Miło było posłuchać. – Kobieta znów pokręciła głową, a łzy kapąły na kuchenną posadzkę. – Boże, teraz to ja bym się na wszystko zgodziła, co by ona chciała. Nie wiem, co my tacy uparci byliśmy. Chyba w nią nie wierzyliśmy po prostu. Teraz to ja bym się na tę płytę zgodziła i kredyt na to wzięła, byleby była szczęśliwa. – Grażyna Kaleta zanosła się płaczem i złapała się za brzuch.

Leopold Bilski zerwał się z krzesła i chwycił ją za ramiona.

– Pani Grażyno, proszę na mnie popatrzeć – powiedział zdecydowanym głosem. – Jaka płyta, o czym pani mówi?!

– Martyna mi wspomniała, że chciałaby nagrać jakiś krążek czy płytę, czy coś, nie znam się na tym dokładnie. I że znalazła kogoś, kto chciał jej w tym pomóc. I nawet poprosiła mnie, czybym kredytu na to nie wzięła, ale ja odmówiłam. Prosiła mnie, żebym nikomu o tym nie mówiła, bo nie chciała, żeby ludzie się z niej wyśmiewali. – Matka zmarłej zalała się łzami.

Leopold Bilski po chwili wahania przytulił ją i stał z nią bez ruchu przez jakiś czas. Wpatrywał się w stojące na półeczce zdjęcie zamordowanej dziewczyny, które znajdowało się na linii jego wzroku, a w jego głowie rozbrzmiewał głęboki śpiew Moniki Boguckiej.

14

Bilski podjechał na Dębową. Chmury leniwie sunęły po wiosennym niebie. Słońce raz po raz chowało się za nie i wychodziło. Prokurator wyłączył silnik i spojrzał na budynek Zakładu Medycyny Sądowej. Oparł się wygodnie o zagłówek i postukał palcami w kierownicę. Miał ochotę zapalić papierosa, ale ponieważ od dawna nie palił, oczywiście nie miał przy sobie żadnej paczki. Potrzebował jakiegoś uspokajacza. Musiał pomyśleć, jak rozegrać spotkanie z Dubielą.

Podejrzenia Heleny Boguckiej z perspektywy czasu wydawały mu się coraz bardziej absurdalne. Jednak w procedurze śledczej nie powinno się bagatelizować ani przeczuć, ani tym bardziej zbiegów okoliczności. Bilski przypomniał sobie słowa swojego ulubionego profesora na studiach, który zawsze powtarzał: „W kryminalistyce wszelkie zbiegi okoliczności są nieprzypadkowe. To uporządkowana sekwencja, która pomaga zinterpretować zdarzenia”.

Znów nerwowo zabębnił palcami o kierownicę. Na razie w sprawie morderstw Moniki Boguckiej i Martyny Kalety panował ogromny chaos. Obie dziewczyny zostały utopione w słodkiej wodzie, a następnie okaleczone poprzez wycięcie czerwieni wargowej. Monika Bogucka obracała się w środowisku mafijnym, w którym niejedna osoba mogła stanowić dla niej zagrożenie. Kazar zawarł

układ z jej ojcem i dziadkiem, z którego panowie pomyślnie się wywiązali, a tym samym, jak twierdzi były szef mafii, jego sprawy z tą rodziną zostały zamknięte. Z drugiej strony w środowisku śmierć Moniki Boguckiej przypisano Kazarowi, który nie dość, że pozbył się niewygodnego świadka i zapewnił sobie dyskrecję rodziny zmarłej, to jeszcze zyskał głębokie poważanie i szacunek gangsterów. Martyna Kaleta nie miała żadnych powiązań z Kazarem, który – sparaliżowany i wykluczony – nic nie zyskiwał na jej śmierci. A zatem czy mógł to być naśladowca? Ktoś zainspirowany drastycznym morderstwem sprzed lat?

Kolejnym punktem łączącym obie dziewczyny był Waldemar Mila – sadystyczny gnojek, zazdrosny o Monikę Bogucką, wyżywający się na niej. Mieszkając nieopodal Martyny Kalety, miał wiele okazji, aby nawiązać z nią kontakt. Podobna uroda i talent wokalny mogły stanowić czynniki, które go do Martyny przyciągnęły. Może przywołały wspomnienia, ożywiły dawne emocje? Podobieństwo Martyny do Moniki mogło obudzić potrzebę powtórzenia rytuału zadawania śmierci i ponownego doznania satysfakcji psychicznej, a może też fizycznej.

Zresztą podobnymi motywami mógł się kierować Adrian Jakubiak – narzeczony Martyny Kalety, który chodził z Moniką Bogucką do liceum. Zafascynowany Moniką w szkole średniej, wiedząc, że nie może jej zdobyć, przepelniony zazdrością dokonuje zabójstwa. Po latach powtarza schemat względem swojej narzeczonej, niezwykle przypominającej urodą ofiarę sprzed lat. Zazdrość o tajemniczego mężczyznę, być może kogoś, kto chciał pomóc Monice w karierze wokalne, wyzwoliła w nim potrzebę odtworzenia makabrycznej zbrodni. Zresztą nagranie z monitoringu pokazuje, jak Adrian śledzi swoją dziewczynę i wchodzi za nią na plażę, co stanowi silnie obciążającą okoliczność. Niewątpliwie tak silnie, że Adrian Jakubiak czeka w areszcie na rozprawę sądową. Czy Bilski zbyt mocno bagatelizował dotąd osobę narzeczonego? Czy zwykłe przecucia, zupełnie nielogiczna intuicja przesłoniły mu to, co przecież było na wyciągnięcie ręki? Coś, co dostrzegali wszyscy oprócz niego?

I kolejne pytanie – czy mężczyzną, który zaoferował Martynie Kalecie pomoc w nagraniu płyty, mógł być Mario? Czy jego przyjaźń z Moniką Bogucką mogła mieć inne podłoże, niż utrzymywał? Może Adrian Jakubiak nie był zazdrosny o starszego amanta w skórzanej kurtce, który wykorzystywał seksualnie Monikę, tylko o jej najlepszego przyjaciela, który pomagał jej spełniać marzenia i który prawdopodobnie zdobył również jej serce? Czy Mario mógł się okazać zapalnikiem także w sprawie śmierci Martyny Kalety? Wówczas Adrian Jakubiak zostałby dwukrotnie sprowokowany przez tę samą osobę. Zazdrość to przecież motyw, który od wieków stanowi podłoże największych zbrodni.

Skąd jednak Adrian Jakubiak miałby umiejętność perfekcyjnego posługiwania się skalpelem? Czy ćwiczył przez te wszystkie lata, odtwarzając w umyśle swoją zbrodnię, rozkoszując się jej wspomnieniem i być może planując popełnienie w przyszłości kolejnego morderstwa – tym razem doskonalszego w szczegółach?

Czy wycięcie czerwieni wargowej u obu zamordowanych dziewczyn miało oznaczać, że nie zaśpiewają już dla nikogo innego?

Do kogo należało czarne BMW?

Hipotezy i pytania mnożyły się w głowie Leopolda Bilskiego. Miał dwóch poważnych podejrzanych, ale także ślady kierujące uwagę na innych mężczyzn – wśród nich, o dziwo,

znajdował się Tadeusz Dubiela.

15

Lekarz medycyny sądowej sporządził ostatnie notatki i podpisał protokół z sekcji. Ciało zmarłego było już zaszyte i dokładnie umyte. Tadeusz Dubiela nakrył denata białym prześcieradłem i zdjął przezroczyste rękawiczki. Zatrzymał się jeszcze na chwilę przy stole i popatrzył na wybrzuszoną białą tkaninę. Leżał pod nią martwy człowiek, którego patolog podczas badania brał w posiadanie. Mógł z nim zrobić, co tylko zechce. Mógł go obnażyć, porozcinać, rozczłonkować, wsadzić ręce w jego trzewia, po kolei pozbawić go narządów. Ciało znikające pod materiałem przestawało być dla niego obiektem. Na powrót stawało się czyjeś.

W tym momencie do pokoju prosektoryjnego zapukał Leopold Bilski.

– Jak tam, panie Tadeuszu? – zagaił.

– A powolutku, powolutku – odpowiedział uprzejmie medyk i podał rękę prokuratorowi. – Jakieś nowe informacje w sprawie? – zapytał i zaczął układać wysterylizowane instrumenty na stalowym stoliku na kółkach.

Kleszczyki, nożyczki, rozwieracze, zaciski i skalpele połyskiwały przy każdym ruchu patologa, odbijając jaskrawe światło prosektoryjnych lamp. Dubiela przesuwiał narzędzia o milimetr w lewą i milimetr w prawą, dostosowując ich położenie do siebie tylko znanej mapy. Odchylał się w tył, oceniał i znów przesuwiał jakiś instrument, ciągle niezadowolony z ułożenia.

– Na razie chaos informacyjny – stwierdził Bilski. – Ale może coś w końcu z tego będzie.

Dubiela zrobił zaintrygowaną minę, ale Leopold nie kontynuował, więc znów spuścił wzrok na narzędzia, starając się dostrzec jakąś niedoskonałość.

– Jak pan myśli, którym skalpelem zostały zrobione cięcia Moniki Boguckiej i Martynty Kalety?

Patolog sądowy bez wahania sięgnął po najmniejszy nożyk znajdujący się na samym końcu zbioru skalpeli. Wziął go do ręki i odwrócił w dłoni. Jego oczy zaśniły.

– Cięcia czerwieni wargowej ostatniej z ofiar niewątpliwie wykonane były dziesiątką. Jednorazowe, niewielkich rozmiarów ostrze wykonane ze stali węglowej pozwala na bardzo precyzyjny ruch na małym i delikatnym obszarze skóry. Mając do wyboru cały zestaw skalpeli, ja osobiście wybrałbym dziesiątkę.

Dubiela wpatrywał się w narzędzie z dziwnym błyskiem w oku. Jego twarz przybrała skupiony i nieobecny wyraz.

– A u Moniki Boguckiej? – Leopold Bilski, zadając pytanie, czujnie śledził mimikę patologa.

Tamten przebiegł oczami po sprzęcie i sięgnął po czwarty z kolei nożyk z trochę większym ostrzem.

– Piętnastka – stwierdził. – Ostrze było zbyt duże, by ładnie wykroić doskonały kształt ust Moniki.

Leopold Bilski drgnął. Słowo „doskonały” wyraźnie zabrzęczało w przestrzeni. To określenie wydało się prokuratorowi tak nie na miejscu, że aż nie mógł uwierzyć, że użył go właśnie Tadeusz Dubiela – osoba zawsze wyważona i ponad wszystko profesjonalna.

Lekarz medycyny sądowej chyba nie zauważył, że jego wypowiedź była nadzwyczaj niestosowna. Nadal zafascynowany przyglądał się skalpelowi, obracając jego ostrze.

– Czyli można założyć, że niedokładność cięcia w przypadku czerwieni wargowej Moniki Boguckiej nie wynikała z braku kompetencji osoby, która je wykonała, lecz mogła być skutkiem wyboru nieodpowiedniego narzędzia?

Ta myśl pojawiła się nagle i zdumiała Leopolda Bilskiego.

Tadeusz Dubiela odwrócił wreszcie twarz ku prokuratorowi. Pojawiło się na niej zaskoczenie. Medyk sądowy chwilę się zastanawiał, po czym rzekł:

– Hmm, można by było przyjąć taką hipotezę. Jednak sam wybór niewłaściwego narzędzia wskazuje na brak elementarnej wiedzy, nieprawdaż?

– Chyba że zabójca nie miał pod ręką nic innego – rzucił Bilski.

Uważnie obserwował rozmówcę. Jednak Tadeusz Dubiela tym razem nie okazał emocji. Był nieprzenikniony, jakby w trakcie rozmowy wyczerpał cały arsenał środków wyrazu.

Bilski wyszedł z prosektorium z mocno bijącym sercem. Czuł się jak zdrajca, prowadząc w ten sposób rozmowę z osobą, którą zawsze bardzo szanował. Czy to możliwe, by Tadeusz Dubiela zwodził go przez cały czas trwania śledztwa? Leopold nie wiedział, co myśleć. Wydobył z kieszeni telefon i zadzwonił.

– Sprawdź, czy na Tadeusza Dubielę zostało zarejestrowane kiedykolwiek czarne BMW – poprosił.
– Zaraz u ciebie będę.

16

Gdy Leopold Bilski wpadł do pokoju dochodzeniowców, Kita siedział przy swoim biurku.

– I co? – spytał prokurator od progu.

– Jajco – odpowiedział policjant.

– Brak rejestracji?

– Brak połączenia.

– Że co? – spytał skonsternowany Bilski.

– No system się zesrał, za przeproszeniem. Muszą go zresetować i za chwilę oddzwonią.

– Ach – sapnął zdyszany prokurator i opadł na fotel Pająka.

– Tadeusz Dubiela? – Kita zrobił zaciekawioną minę, głupio się uśmiechając.

Leopold wzruszył ramionami. Sam był zdziwiony, że w ogóle sprawdza taką ewentualność.

– Ale że co? – drążył policjant.

– Wiem, że to brzmi absurdalnie, ale dla świętego spokoju muszę go sprawdzić. Poprosiła mnie o to Helena Bogucka.

Kita podniósł brwi.

– Okazało się – zaczął wyjaśniać Bilski – że Tadeusz Dubiela ma daczę na Wyspie Sobieszewskiej. I sędzia Bogucka odkryła, że w fontannie w jego ogrodzie rośnie salwinia.

– Hmm... – mruknął nieprzekonany policjant.

– Wiem, wiem, ale słuchaj dalej. Tadeusz Dubiela był obecny przy sekcji Moniki Boguckiej. Doskonale znał się z jej matką, a tym samym mógł się zainteresować jej atrakcyjną córką. – Patolog dokładnie wiedział, jakich rozmiarów skalpela użył sprawca morderstw do wycięcia czerwieni wargowej u obu kobiet.

Kita sceptycznie podniósł tym razem jedną brew.

– No i jest jeszcze kwestia samego wyboru zawodu lekarza medycyny sądowej. Kto normalny podejmuje się pracy polegającej na kontakcie ze zwłokami? Czy praca tego typu nie przekształca się z czasem w swoistą obsesję, nie prowadzi do jakichś psychicznych aberracji? Gdybyś widział dzisiaj Dubiele, z jaką fascynacją przyglądał się swoim skalpelom, jak mu oczy błyszczały, gdy mówił o wyborze ostrza. I powiedział coś o niedokładnym cięciu doskonałych ust Moniki. Użył słowa „doskonałe”! Serio!

Bilski po minie Kity wywnioskował, że jego tok myślowy zawiódł na całej linii. Dopiero, gdy sam głośno przedstawił argumenty, które podsunęła mu sędzia Bogucka, zrozumiał, że wpadł w pułapkę sugestii.

– Po pierwsze – powiedział w końcu Kita – fakt obecności Dubieli przy sekcji zamordowanych dziewczyn wynika z tego, że to najlepszy specjalista od tego typu spraw na Pomorzu. Po drugie, choć miał możliwość poznania Moniki Boguckiej, to z Martyną Kaletą nadal nie ma żadnego powiązania. Wiedza, jakiego skalpela użył morderca, świadczy tylko o profesjonalizmie Dubieli, który zresztą nie stanowi dla nikogo tajemnicy. A jeśli chodzi o salwinie w jego fontannie, sam wspominałeś, że to typowa roślina rosnąca w tego typu sadzawkach.

– A Wyspa Sobieszewska? Czy to nie dziwne, że Martyna Kaleta wybrała się na wycieczkę promem właśnie stamtąd, a teraz okazuje się, że w dolinie Wisły, którą od razu wpisaliśmy w mentalną mapę sprawcy, znajduje się domek letniskowy Dubieli? – Prokurator starał się skonfrontować z Kitą wszystkie swoje wątpliwości.

– W sumie wiedziałem, że Dubiela ma jakiś domek letniskowy, ale nie miałem pojęcia, że właśnie na Wyspie Sobieszewskiej. Ktoś mi opowiadał, że patolog kupił tę daczę w prezencie dla chorującej żony. Po jej śmierci zaczął tam spędzać niemal wszystkie wolne dni. Jak szukasz Dubieli i nie ma go w zakładzie, to na pewno jest w domku – powiedział Kita z lekkim uśmiechem.

Leopold Bilski nie słyszał, by Dubiela był wdowcem. Zakładał, że medyk sądowy rozwiódł się z żoną, jak jakieś trzydzieści procent mężczyzn, którzy weszli w związek małżeński.

– Śmierć zawsze jest szokiem – potwierdził i pomyślał o swoim ojcu. – Choć w wypadku raka można się w pewnym stopniu przygotować, o ile to w ogóle jest do wypracowania.

– Ale żona Dubieli nie zmarła na raka – przypomniał sobie Kita. – To było w tym wszystkim właśnie takie makabryczne. – Wstał od stołu i powiedział: – Żonie Tadeusza Dubieli udało się wyleczyć to paskudztwo, a po kilku tygodniach zdarzył się ten straszny wypadek. Wygrała z rakiem, a utopiła się w Wiśle.

W tym samym momencie zadzwonił telefon. Kita odebrał, kilkakrotnie przytaknął do słuchawki, zrobił ogromne oczy i obdarzył Leopolda Bilskiego znaczącym spojrzeniem.

17

Była już dwudziesta druga, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi. Helena Bogucka właśnie kładła się spać. Spojrzała na nieotwartą butelkę wina, która stała na blacie w kuchni. Dzisiaj chciała być w pełni trzeźwa. Po popołudniowym telefonie od Leopolda Bilskiego wiedziała, że musi pozostać czujna. Strach, który przeniknął ją na wskroś, wystarczająco ją sponiewierał.

Podeszła cichutko do wizjera i spojrzała przez szkło. Na klatce stał Tadeusz Dubiela. Helena przywarła plecami do drzwi i wstrzymała oddech.

„Jak bez dzwonienia domofonem udało mu się wejść na dziedziniec i do klatki?” – pomyślała.

Dzwonek rozbrzmiał ponownie. Tym razem bardziej natarczywie. Helena poczuła, że ze strachu zaciska się jej żołądek. Nie wiedziała, co robić. Odnalazła wzrokiem telefon komórkowy. Leżał na stoliku przy oknie. Podbiegła do niego na palcach i nieopatrznie uderzyła gołą stopą w nogę stolika. Mebel się zakołysał i na podłogę spadła porcelanowa lampa. Okropny huk rozniósł się po mieszkaniu.

– Szlag by to – stęknęła Helena i złapała się za bolącą nogę.

– Helena! – Usłyszała wołanie z za drzwi. – To ja, Tadeusz. Wszystko w porządku? Otwórz, słyszysz?

Wstrzymała oddech i rozejrzała się za telefonem. Nigdzie go nie było. Przy upadku stolika musiał się wsunąć pod kanapę, przy której było najwięcej odłamków rozbitej lampy.

– Helena! – Stukanie do drzwi było coraz bardziej donośne i dramatyczne. – Jak Boga kocham, jeśli nic ci nie jest, to się odezwij! Inaczej wyważę drzwi!

Sędzia desperacko myślała, co zrobić. Usłyszała głucho łupnięcie – to Tadeusz starał się dostać do mieszkania. Była pewna, że nie uda mu się wybić drzwi – były metalowe, antywłamaniowe. Sama o to zadbała, gdy się tu wprowadzała. Jednak z pewnością zaraz zejdą się sąsiedzi – zawsze wścibscy i ciekawscy. Może ktoś zadzwoni jeszcze po dziennikarzy? Ta myśl przestraszyła Helenę bardziej niż sam Tadeusz. Zresztą nadal żywiła do niego ambiwalentne uczucia. Z jednej strony paraliżował ją strach, z drugiej – coś ją do tego mężczyzny przyciągało. Wciąż był miłością jej życia.

Powoli podeszła do drzwi i zawołała:

– Otwieram! Nie napieraj teraz!

Odblokowała zamek. Tadeusz stał w progu nieco zziębnięty i czerwony.

– Matko Boska! Wiesz, jak się martwiłem! – zawołał i zrobił dwa kroki do przodu, by wziąć ją w objęcia.

Jednak Helena się cofnęła i spojrzała na niego poważnie. Sąsiad z naprzeciwka wystawił głowę przez szparę w drzwiach i obserwował całą scenę.

– Wszystko w porządku, pani Heleno, czy dzwonić na policję? – zapytał.

– Wszystko okej, panie Majewski. Dziękuję, ale nigdzie nie trzeba dzwonić – odrzekła Helena i przepuściła Tadeusza w progu.

Sama poszła do kuchni, rozglądając się za jakimś odpowiednim przedmiotem, który w razie potrzeby mógłby posłużyć do obrony. Przy zlewie leżał nóż. Z czarną rączką, średnich rozmiarów, bardzo ostry. Helena oparła się o blat i przysunęła w stronę noża. Prawą ręką trzymała krawędź szafki, by w razie czego móc szybko sięgnąć po narzędzie.

– Hela – zaczął Tadeusz, smutno się jej przypatrując. – Co się dzieje? Nic z tego nie rozumiem. Spędziliśmy taki cudowny weekend, a potem nie odbierasz telefonów, nie odpowiadasz na esemesy, nie odzywasz się, a teraz jeszcze barykadujesz się przede mną w mieszkaniu. Czy coś zrobiłem nie tak?

– Przepraszam, ale miałam masę pracy – wybąkała Bogucka.

– Ja rozumiem, że się boisz. I masz do tego powody – powiedział Tadeusz i zrobił kilka kroków

w jej stronę.

Serce Heleny podskoczyło.

– Naprawdę? – spytała, drętwiejąc ze strachu.

– Oczywiście. – Dubiela przystanął niedaleko, nie odrywając od niej wzroku. – To rozumiałe. Też bym się bał.

Nie spuszczała z niego spojrzenia. Czujnie obserwowała każdy jego gest, gotowa sięgnąć po nóż.

– To nie jest zwyczajna sytuacja. Każdy czułby się zagrożony – kontynuował patolog. – Ale ty nie musisz się mnie obawiać. Nic ci nie zrobię, obiecuję.

– Czyżby? – odparła sceptycznie Helena.

– Przecież wiesz, że tobie nic przy mnie nie grozi. Nigdy bym cię celowo nie skrzywdził. Ale rozumiem twoje racje, niewątpliwie bijesz się z myślami.

Sędzia przesunęła rękę kilka centymetrów bliżej noża. Jej palce niemal go dotykały.

– Minęło tyle lat i nagle znów do siebie wracamy. – Głos Tadeusza zrobił się łagodny. Zabrzmiiała w nim jakaś sentymentalna nuta. – Już dwa razy nam nie wyszło, sparzyliśmy się. Nie chcesz znowu cierpieć. Ale tym razem nie dam ci odejść, słyszysz? Tym razem się nie poddam, choćby nie wiem co. Kocham cię, Hela. I wiem, że ty czujesz do mnie to samo. Nie uciekaj ode mnie ponownie, bo tym razem chyba tego nie przeżyję.

Helena poczuła się zdezorientowana. Rozmowa skręciła na tor, którego się nie spodziewała. Była pewna, że Tadeusz domyślił się jej podejrzeń i dlatego przyjechał. Ale teraz nie wiedziała już, co tak naprawdę chodzi mu po głowie. Czyżby był zupełnie nieświadomy sytuacji, w której się obecnie znajdował? Sędzia postanowiła to wykorzystać. Chciała się dowiedzieć prawdy bez względu na to, z jakimi konsekwencjami się wiązała.

– Wiem, że masz czarne BMW – zaczęła.

Mężczyzna drgnął, zupełnie zaskoczony. Odchylił głowę do tyłu i zmarszczył czoło.

– Czarne BMW? – Głos miał niepewny, zupełnie zagubiony. – A co to ma do rzeczy?

– Masz czy nie?

– No mam takie stare BMW. Kupiłem je chyba ze dwie dekady temu i z sentymentu szkoda mi go było sprzedać. Ale stoi w garażu. Nie jeździłem nim od lat. W każdym razie nie rozumiem...

– Czemu mi nie powiedziałaś, jak zginęła twoja żona? – Helena wciąż napierała.

Tym razem Tadeusz pokręcił głową. Zaczynał się chyba irytować. Wpatrywał się w Helene, starając się wyczytać z jej twarzy, do czego to wszystko prowadzi.

– Nigdy o tym nie rozmawialiśmy – odparł. – Nigdy nie pytałaś. Nigdy o nic nie pytałaś, pamiętasz? – rzucił i zrezygnowany przysiadł na krześle.

– Myślałam, że chorowała na raka.

– Agnieszka chorowała na raka. – Dubiela podniósł głowę, a w jego oczach zapaliła się błyskawica.

– Ale zginęła inaczej?

– Naprawdę nie rozumiem, do czego ta rozmowa...

– Odpowiedz – przerwała mu Helena.

Tadeusz wstał i podszedł do okna. Skrzyżował ręce na piersi, chowając dłonie pod pachami, i zapatrzył się w ciemność.

– Agnieszka zachorowała na raka piersi zupełnie niespodziewanie. Wcześniej nigdy się nie skarżyła. Nic jej nie bolało, a przynajmniej o tym nie mówiła. Gdy postawiono diagnozę, rak rozprzestrzenił się już mocno. Podczas operacji musieli wyciąć jej... wszystko. Potem była chemioterapia. Po miesiącach walki została wyleczona z choroby. To był dla nas bardzo trudny czas. Duży sprawdzian dla naszej rodziny. – Westchnął ciężko, jakby wspomnienia były zbyt bolesne. Odczekał chwilę, uspokajając emocje, i podjął: – Gdy zachorowała, kupiliśmy tę działkę, na której byliśmy w weekend. Zaczęliśmy urządzać ogród, zbudowaliśmy domek. Cały ten projekt mocno nas pochłaniał, pozwalał odrywać myśli od wszystkiego, co wtedy się działo, można też powiedzieć, że nas wszystkich na powrót zjednoczył.

– Jak zginęła? – Helena niemal krzyknęła. Nie mogła już znieść napięcia.

– Był piękny letni dzień, gdy myśleliśmy, że wszystko, co złe, jest już za nami. – Tadeusz wpatrywał się w ciemność, nie zwracając uwagi na zniecierpliwienie Heleny. Opowiadał spokojnie, zatapiając się we wspomnieniach. – Agnieszka poszła popływać w rzece. Przeceniła swoje siły. Była jeszcze słaba po chemioterapii, a wypłynęła dość daleko. Musiała zasłabnąć. Mnie nie było akurat na miejscu, bo wezwali mnie do pilnej sekcji, ale wszystko widział nasz syn. Starał się do niej dopłynąć, ale było za późno. Nie udało mu się jej uratować. Tadeusz z niedowierzaniem pokręcił głową. – Chichot losu, co? Zwalczyć tak ciężką chorobę i polec w walce z wodą. To wszystko przez długi czas było dla nas niezrozumiałe. Nie mogliśmy się pogodzić z tym, że los tak z nas zadrywił. Najbardziej przeżył to Mario, w końcu był świadkiem śmierci własnej matki. To musiało być dla niego straszne.

Helena Bogucka słuchała wstrząśnięta. Gdy Tadeusz skończył opowiadać, miała ochotę do niego podejść i go objąć. Znow zobaczyła w nim mężczyznę, którego kochała przez te wszystkie lata. Nagle coś w niej drgnęło, a w głowie przeskoczył trybik. Zatrzymała się w pół kroku.

– Mario? – Jej głos był opanowany.

– Tak, mój syn.

– Jak się nazywa?

– Mój syn?

– Tak, jak się nazywa?

– No Mariusz. – Dubiela był lekko skonsternowany.

– To jest imię. Powiedz, jak się nazywa. Pełne imię i nazwisko.

Tadeusz zawiesił spojrzenie na twarzy Heleny. Uważnie przypatrywał się jej przez dłuższą chwilę.

– Mariusz Wierucki-Dubiela – powiedział w końcu i zobaczywszy zdziwioną minę Heleny, dodał: – Agnieszka uparła się na podwójne nazwisko dla syna, ale okazało się to niepraktyczne, więc zawsze używał tylko pierwszego członu.

Helena poczuła, jak rozluźniają jej się wszystkie mięśnie. Miętko osunęła się na stojące nieopodal krzesło.

18

„Mario”. Leopold Bilski kilkakrotnie powtórzył w myślach to imię.

Mario – najlepszy przyjaciel Moniki Boguckiej i tajemniczy mężczyzna z czarnego BMW, który skusił Martynę Kaletę obietnicą nagrania płyty. Był świadkiem utonięcia swojej matki, co musiało

wywołać wstrząs psychiczny, mający makabryczne reperkusje w przyszłości. Miał dostęp do skalpeli ojca i licznych książek na temat sekcji, a tym samym przez lata mógł ćwiczyć sprawność w posługiwaniu się narzędziem. Czy do zabójstw dochodziło w domku na Wyspie Sobieszewskiej? Czy to tam zwabiał swoje ofiary, a następnie topił je w Wiśle? A może w ogrodowej fontannie? Czy oprócz Moniki Boguckiej i Martyny Kalety były też inne ofiary?

Umysł prokuratora funkcjonował na najwyższych obrotach. Nareszcie wszystko zaczynało się układać w całość. Brakujące elementy wskoczyły na miejsce. Nadal jednak nie mieli żadnych materialnych dowodów. Mieli spójną historię, masę domysłów i hipotez, jednak to było za mało, by postawić zarzuty Mariuszowi Wieruckiemu. Tym bardziej że Leopold był na urlopie i Ambroziak znów by się wściekł, że prokurator na własną rękę prowadzi śledztwo, które swoją drogą w ogóle nie mieściło się w granicach jego uprawnień. Na szczęście Bilski miał za sobą Kitę i Pająka, którzy również zaangażowali się w sprawę pomimo braku formalnych podstaw.

– To co robimy? – spytała Ania.

Dziewczyna miała na twarzy rumieńce. Rewelacje, które przed chwilą wyłożyła sędzia Bogucka, na wszystkich zrobiły duże wrażenie. Byli na tropie zabójcy, którego nikomu nie udało się namierzyć w ciągu siedemnastu lat. Wiedzieli, że działania, które podejmą, muszą być bardzo przemyślane. To od nich zależało, czy sprawca zabójstw dwóch kobiet zostanie ujęty, czy też zostanie skazany niewinny człowiek oczekujący w areszcie na proces.

– Z pewnością trzeba poobserwować gościa. Może zrobi jakiś ruch, który go zdradzi – podsunął Kita.

Policjant spojrzał na Pająka, który przytaknął i dodał:

– No i warto byłoby przeszukać ten domek Dubieli. Może Mario zostawił tam jakieś ślady? Jeśli to właśnie tam odbierał ofiarom życie, to musiały pozostać ślady krwi, skóry czy włosów ofiar, no generalnie jakieś DNA.

– Do tego musielibyśmy mieć nakaz – odparł Bilski.

– Chyba że rozejrzemy się tam nieformalnie – rzekł Kita, wzruszając ramionami.

– Nie, Ambroziak odrzuci nam wtedy wszystkie dowody i oskarży o bezprawne wtargnięcie. Do tego trzeba wliczyć możliwość podrzucenia śladów, którą może wyciągnąć obrońca.

– W takim razie wyślijmy tam znowu Bogucką. Niech pojedzie tam z Tadeuszem i postara się znaleźć coś dodatkowego – zaproponował Pająk.

Leopold pokręcił głową. Nie podobał mu się ten pomysł.

– Bogucka jest zbyt emocjonalnie związana ze sprawą. Po pierwsze, jej osąd może być... hmm, jak by to ująć... zniekształcony, a po drugie, gdyby natknęła się na coś związanego z morderstwami, mogłoby to zbyt mocno odbić się na jej psychice. Ona i tak za dużo przeszła. Nie można dodatkowo jej obciążać.

Zapadła cisza. Wszyscy intensywnie myśleli. W powietrzu dało się wyczuć napięcie.

– W takim razie może trzeba wysłać wabik? – przerwała milczenie Ania.

– Co masz na myśli? – spytał Bilski.

– No, jakąś kobietę, która będzie chciała nagrać płytę. Kogoś w typie Maria. Wiecie, jakąś małpiatkę, jak wy to mówicie.

Wszyscy popatrzyli na Anię uważnie. Kita i Pająk wymienili uśmiechy. Tylko mina Bilskiego była

skrajnie sceptyczna.

– Z całym szacunkiem, ale to pomysł rodem z amerykańskiego filmu kryminalnego – stwierdził prokurator. – Na pewno sprawdziliby się na ekranie, ale musimy pamiętać, że to rzeczywistość.

– Ale... – zaczęła asystentka.

– Żadnego ale – uciął prokurator. – Nie możemy narażać osób postronnych. A jeśli nawet przyjęlibyśmy tak abstrakcyjny plan, to gdzie mielibyśmy znaleźć osobę o odpowiedniej urodzie i do tego z talentem wokalnym?

– No właśnie do tego zmierzam, ale nie dopuszczasz mnie do słowa. – Ania wydeła usta. – Pomyślałam, że może ja...

– Co niby ty?!

– No, że ja mogłabym być tym wabikiem. Znam sprawę, więc nie musiałbyś mnie wprowadzać w temat. I śpiewam całkiem, całkiem, w podstawówce brałam nawet udział w kilku konkursach. No a co do urody, to może nie jestem tak atrakcyjna jak Monika i Martyna, ale po lekkim upięczeniu mogłabym wpisać się w schemat.

Ania sięgnęła do gumki podtrzymującej kucyk i rozpuściła włosy. Brązowe, lekko falujące pasma otuliły twarz, podkreślając jej zielone oczy. Mężczyźni uważnie jej się przyjrzeni.

– Zadarty nosek, wyraźna szczęka – stwierdził Kita z akceptacją.

– Małpiatka jak nic – skostatował z zadowoleniem Pająk.

Leopold Bilski nie mógł oderwać wzroku od swojej asystentki. Nigdy wcześniej nie widział jej z rozpuszczonymi włosami. Nigdy wcześniej nie dostrzegwał w niej „małpiatki”.

Czy był gotowy zaryzykować i oddać ją w ręce chorego mordercy?

19

Anna Górka wyglądała jak milion dolarów. Ciemne kreski pod oczami dodawały wyrazistości kolorowi jej oczu, a opadające na piersi włosy podkreślały śniadą karnację. Sukienka w kwiaty, czarna skórzana kurtka i kozaczki przydawały jej dziewczęcości. Leopold Bilski zastanawiał się, jak mógł dotąd nie zauważyć ewidentnego podobieństwa pomiędzy swoją asystentką a ofiarami Skalpela.

Siedzieli w wozie obserwacyjnym na ulicy Pułaskiego w Sopocie. Pająkowi udało się wypożyczyć auto z komendy, choć Bilski podejrzewał, że policjant po prostu je wziął, nikomu się nie spowiadając. W każdym razie prokurator o nic nie pytał, zdając sobie sprawę z faktu, że jeśli ktoś ich przyuważy, wszystkim grozi dyscyplinarka.

– Na którą godzinę się umówiliście? – ponownie spytał Bilski i zerknął na zegarek.

– Na trzynastą – powtórzyła Ania. – Mamy jeszcze dziesięć minut.

– Może powinnaś się spóźnić? Wiesz, artyści zawsze się spóźniają. Żyją w innym wymiarze czasowym. – Leopold był naprawdę zdenerwowany. Na jego czole pojawiła się strużka potu.

– Myślę, że Mario nie będzie analizował, o której się zjawię. Ja osobiście nigdy się nie spóźniam i teraz też nie zamierzam.

Górka wydawała się pewna siebie. W ogóle nie było po niej widać stresu.

– Ej, no przecież mnie nie zabije na pierwszym spotkaniu.

Wzruszyła ramionami, gdy Bilski spytał, jak to możliwe, że jest taka spokojna.

– Sprawy Boguckiej i Kalety pokazały, że morderca nawiązuje najpierw bliższy, emocjonalny kontakt z ofiarami, a dopiero potem atakuje. Wiecie – paradygmat matki. W innym wypadku nie odczuwałaby pewnie żadnej satysfakcji z popełnionego czynu.

Wszyscy zwrócili głowy w stronę asystentki. Mieli pytające miny.

– Dwa semestry psychologii zachowań przestępczych. – Anna Górka wzruszyła ramionami i kontynuowała: – Co więcej, wydaje mi się, że sprawca wybiera kobiety, które w jego przekonaniu potrzebują pomocy: są w jakiś sposób skrzywdzone, słabe, nieszczęśliwe, niespełnione czy mają życiowe wątpliwości. I matka Maria, i Monika, i Martyna wpisują się w taki schemat. Więc też będę zmuszona zagrać tą kartą.

Kita i Pająk zrobili pełne uznania miny. Jednak Leopold Bilski nadal siedział spięty, ciągle pełen wątpliwości, czy postępują właściwie.

– No dobra. – Górka zerknęła na zegarek i poklepała nadajnik przyklejony na jej klatce piersiowej. W vanie rozległ się nieprzyjemny trzask wydobywający się z głośników. – Wszystko działa? – spytała dziewczyna i wyskoczyła z samochodu.

Leopold Bilski poczuł ucisk w żołądku i pomyślał, że praca policjantów wiąże się jednak z zupełnie innymi emocjami, do których on chyba nigdy nie zdołałby się przyzwyczaić.

Anna Górka przebiegła na drugą stronę ulicy i zniknęła w bramie. Po minucie usłyszeli z głośników: „cześć”.

20

Chili con carne wyszło prokuratorowi wyborne. Ostre i pełne smaku. Kita, Pająk i Ania zajadali się kolejnymi porcjami, podczas gdy Leopold Bilski nie mógł nawet podejść do pierwszej. Adrenalina w jego organizmie nadal utrzymywała się na wysokim poziomie. Dolał sobie wina i opróżnił kieliszek kilkoma łykami.

W mieszkaniu Bilskiego panował pewien nieład, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Wszyscy byli zbyt podekscytowani pierwszą przeprowadzoną operacją.

– No, Aniu – zaczął Kita, odstawiając pusty talerz. – Świetna robota. Pełna profeska, że tak powiem. Byłaś wyluzowana, otwarta, ale zarazem skromna.

– Tak. Nikt nie poradziłby sobie lepiej – pochwalił Pająk.

– Ach, to dopiero początek – odparła skromnie asystentka. – Ale myślę, że udało mi się już zdobyć jego sympatię. – Uśmiechnęła się. – Kurczę, jakoś nie mogę uwierzyć, że ten Mario mógłby być zdolny do tak makabrycznych działań. Taki sympatyczny, nieśmiały, cichy. Zrobił na mnie raczej dobre wrażenie.

– Cóż, musimy założyć, że mogliśmy się pomylić. O to tu właśnie chodzi – żeby poznać prawdę. Może się okazać, że ten cały Mario jest niewinny. Ale nie możemy też zapominać, że facet może się okazać naszym Skalpelem. W sumie historia pokazuje, że najwięksi zbrodniarze wydawali się na pierwszy rzut oka zupełnie nieszkodliwi – wyłożył Pająk.

Leopold nadal siedział bez słowa. Czy byłby tak samo przerażony, gdyby jako wabik wykorzystali kogoś innego? Pierwszy raz w życiu podjął tak ryzykowne działania, które mogły przekreślić jego

całą karierę. Ale nie chodziło tylko o to. Nie zniósłby, gdyby przez niego Ania znalazła się w niebezpieczeństwie. Nie mógł się już dłużej oszukiwać. Dziewczyna była mu droga, bez względu na to, że spotykała się z kimś innym.

– No, brachu. – Kita wstał od stołu i klepnął Bilskiego w łopatkę. – My musimy się zbierać. Służba wzywa.

Pająk też poderwał się od stołu.

– Czyli kolejna akcja w piątek. – Zwrócił się do Górskiej: – Nic się nie martw. Będziemy czujni na każdy niepokojący znak i w razie czego w ciągu pół minuty tam wpadamy.

– Myślę, że to nie będzie konieczne – odpowiedziała Ania spokojnie. – A w razie czego mam gaz pieprzowy w torebce, więc nie jestem zupełnie bezbronna.

– Phi – prychnął Bilski.

Anna Górską zmarszczyła czoło i rzuciła mu pytające spojrzenie.

– Coś chciałeś powiedzieć?

– Tylko tyle – odezwał się w końcu prokurator – że gaz pieprzowy to słaba obrona w zetknięciu z psychopatycznym mordercą.

– Może i słaba, ale zawsze może go spowolnić – odparła dziewczyna.

Kita i Pająk wymienili znaczące uśmiechy i opuścili mieszkanie. Nastąpiła krepująca cisza. Ania wstała i zaczęła składać talerze i sztucce. Pobrzękiwanie naczyń wydawało się nad wyraz głośne. Bilski przez chwilę przyglądał się ruchom dziewczyny, po czym uprzytomnił sobie, że powinien jej pomóc. Razem znieśli wszystko do kuchni i ułożyli naczynia w zmywarce.

– Masz piękny głos – odezwał się w końcu prokurator.

Przypomniał sobie, jak dziewczyna zaczęła dzisiaj śpiewać próbkę w studiu. Jej głos popłynął nagle z głośników vana i wszyscy wstrzymali oddechy. Nikt się tego nie spodziewał. Wokal był czysty i wysoki. Miał w sobie coś niewinnego.

– Dzięki – rzuciła Górską. Wyglądała na urażoną.

– Słuchaj. – Bilski oparł się o kuchenny blat. – Przepraszam, jeśli cię czymś obraziłem.

Ania podniosła na niego pochmurną twarz.

– Mógłbyś okazać trochę wsparcia, a nie ciągle rzucać zgryźliwe uwagi. Może tego po mnie nie widać, ale mocno się dziś stresowałam, a twoja postawa jeszcze to potęgowała.

– Przepraszam – bąknął Bilski. – Myślałem, że tylko ja tak mocno to przeżywam. Wybacz, masz rację, powinienem być bardziej motywujący. Wspólnie podjęliśmy decyzję, ale to ty musiałaś odwalić czarną robotę. Ja tylko... bardzo się o ciebie martwiłem.

– Okej – odpowiedziała Ania. Jej twarz zaczęła się rozjaśniać.

– A twój chłopak... nie miał nic przeciwko temu?

– Mój chłopak? – zdziwiła się Górską.

– Ach, nie powiedziałaś mu. No tak, w końcu lepiej, by o akcji nie wiedziało zbyt dużo osób...

– Nie mam teraz żadnego chłopaka – Górską przerwała wywód Bilskiego.

– Ale przecież... ale przecież wtedy u Kazara powiedziałaś, że od kilku miesięcy jesteś w związku.

– Ach – zachnęła się asystentka. – Tak tylko rzuciłam, dla picu. Chyba nie sądzisz, że gdyby to była prawda, zwierzałabym się Kazarowi?

– No nie... – Bilski się zawiesił, a na jego twarzy pojawił się szczery uśmiech.

Spontanicznie podszedł do Ani, złapał ją w talii, przyciągnął do siebie i pocałował. Smakowała winem i kolendrą. Nie opierała się.

21

Ulica Bohaterów Monte Cassino w Sopotcie wypełniona była ludźmi. Tłumy przeciskały się w jedną i drugą stronę, zajadając się lodami i goframi. Panował gwar. Dało się wyczuć nadchodzącą wakacyjną aurę. Maj w tym roku był wyjątkowo piękny. Od dwóch tygodni temperatura nie spadała poniżej dwudziestu stopni, po słonecznym niebie przepływały jedynie lekkie białe obłoczki. Z dnia na dzień przybywało turystów, a artystyczne środowisko kurortu kryło się przed ich najazdem. Jednym słowem Sopot poddawał się corocznej metamorfozie, rezygnując ze swojego charakteru.

Anna Górka przecięła deptak i weszła w boczną, znacznie spokojniejszą uliczkę. Usiadła przy stoliku w jednym z kawiarnianych ogródków. Delektowała się słońcem i przypatrywała przemykającym obok ludziom. Była podekscytowana. Dzisiaj Mario miał jej przynieść kilka autorskich utworów. Na myśl o tym poczuła przyjemne łaskotanie w brzuchu. Coraz częściej zastanawiała się, czy wybór ścieżki prawniczej był właściwy. Zapomniała już, jak ogromną radość daje śpiewanie. Tłumiony przez wiele lat talent teraz ponownie rozkwitał i Ania czuła się zupełnie inną osobą.

Wypatrzyła w tłumie Maria. Jego sterczące blond włosy, czarna koszulka z nadrukiem Tears For Fears, białe rurki i ciężkie buty sprawiały, że wyróżniał się z tłumu. On też ją dojrzał i kiwnął przyjaźnie głową. Górka odwzajemniła gest, rozpromieniona. Nie wiedziała czemu, ale przy Mariuszu czuła się wyjątkowa. Jakby obcowanie z nim sprawiało, że była spełniona. O dziwo, to właśnie przy nim nie musiała udawać. Przystawała być drętwą prawniczką i stawiała się sobą. Wiedziała, że Mario widzi ją taką, jaka jest głęboko w środku.

Może dlatego nikomu nie powiedziała o ich spotkaniach poza studium, choć ciągle przekonywała samą siebie, że robi to dla dobra śledztwa. Minął niemal miesiąc od pierwszej akcji. Dwa razy w tygodniu zakładała podsłuch i udawała się na Pułaskiego. Jednak podczas tych sesji nic szczególnego się nie działo. Ania i Mario skupiali się na śpiewie, próbowaniu różnych rozwiązań, myśleli, jaki charakter powinna mieć planowana płyta. Mario traktował to poważnie. Co ciekawe, naprawdę wierzył w powodzenie projektu, co mocno Ani schlebiało. Kita, Pajak i Bilski stawali się coraz bardziej znużeni. Urlop prokuratora mijał, a oni nadal nic nie mieli. Chyba wszyscy przestawali wierzyć, że cała ta akcja cokolwiek przyniesie. Zbliżał się termin rozprawy Adriana Jakubiaka i nie było jakichkolwiek dowodów, które mogłyby zmienić obronę przez prokuraturę linię oskarżenia. Wiedzieli, że Ambroziaka przekonałyby jedynie niepodważalne argumenty.

Dlatego Ania zaczęła umawiać się z Mariem na mieście – bez podsłuchu i kontroli z zewnątrz. Te spotkania były znacznie swobodniejsze, mniej formalne. Naprawdę dużo rozmawiali i okazało się, że doskonale się rozumieją. Ania opowiadała mu o śmierci swojego ojca, o bólu, który się z tym wiązał, o złym stanie matki po stracie męża, o tym, że musiała podjąć pracę w młodym wieku, o wyborze praktycznego kierunku studiów, o rozterkach związanych z dalszą drogą życiową i niespełnieniu miłosnym. W sumie wszystko, co opowiadała o sobie, było prawdą. Pomijała jedynie to, że pracuje w sopockiej prokuraturze; mówiła, że jest zatrudniona na pół etatu jako sekretarka w firmie

transportowej.

Mario również stawał się wobec niej coraz bardziej otwarty. Wspomnił nawet o odejściu matki po długiej walce z rakiem, nie zdradzając jednak prawdziwej przyczyny jej śmierci. Był przy tym bardzo naturalny. Niewątpliwie cechował się ogromną wrażliwością. Ania powiedziała o nim bez wahania, że ma duszę prawdziwego artysty.

– Cześć, piękna! – Mario przywitał się z Anią buziakiem w policzek. – Ale cudna pogoda, co? Czuję się trochę jak wampir, który wyszedł na słońce, bo przez ostatnich kilka dni nie wychodziłem w ogóle ze studia. Ale się opłaciło. Mam! – Wyciągnął z plecaka laptopa. – Żeby ci się tylko spodobało. – Puścił do niej oko.

Anna Górka przyglądała się zachwycona, jak Mario otwiera folder z kilkoma plikami MP3. Potem założył jej słuchawki.

– To na razie taki czyścioch, przed obróbką, ale mniej więcej wiadomo, o co chodzi. – Kliknął i muzyka rozbrzmiała w uszach dziewczyny.

Pierwsze dwa utwory były rytmiczne. Regularny basowy beat sprawiał, że głowa sama chodziła w przód i w tył. Kolejny kawałek był dość mroczny, utrzymany w triphopowym klimacie lat dziewięćdziesiątych. Ostatni był smutny i melancholijny. Ani stanęły łzy w oczach. Naprawdę się wzruszyła.

– Czad – szepnęła, odkładając słuchawki na stół. – Idealnie trafiłeś w mój gust. Nie mogę uwierzyć, że stworzyłeś takie cudeńka specjalnie dla mnie!

„Czy na pewno?”. Ta myśl nagle pojawiła się w jej umyśle, a przed oczami stanęły twarze Moniki Boguckiej i Martyny Kalety. Ale Mario złapał Anię za rękę i uradowany wykrzyknął:

– Uff, kamień z serca. Bałem się, że nie spełnią twoich oczekiwań. Ale sama przyznaj, są takie twoje, co?

– Są – potwierdziła Górka i znów poczuła się wyjątkowa.

– Mam jeszcze jedną niespodziankę – dodał Mario, podekscytowany. – Co byś powiedziała na to, żeby wykorzystać tę piękną pogodę i pojechać do mojego domku nad rzeką? To raptem pół godziny drogi, a zupełnie inny świat, zobaczysz! No i mam tam takie małe dodatkowe studio, więc moglibyśmy wypróbować od razu twój wokal w tych utworach, co ty na to?

Serce Ani przyspieszyło, a po plecach przebiegł lodowaty dreszcz. Na to właśnie czekali niemal cały miesiąc. Nie mogła zmarnować szansy.

22

Leopold Bilski podjechał pod budynek sopockiej prokuratury. Pogoda tej soboty była wspaniała. Mocne słońce i prawie trzydzieści stopni. Ptaki ukryte w zielonych koronach drzew śpiewały, pełne radości. Prokurator miał jednak przed sobą masę pracy przed poniedziałkowym powrotem z urlopu i wiedział, że nie opuści biura przed zmrokiem. Przez miesiąc wpłynęło do jego sekcji wiele nowych spraw, więc na biurku czekał stos dokumentów, które musiał przejrzeć. Westchnął głęboko na ich widok i pożałował, że poświęcił niemal cztery tygodnie na uganianie się za Skalpelem. Na panewce spaliły nagrywane spotkania Ani z Mariem i wieczorne obserwowanie Wieruckiego przez Leopolda. Prokurator na samo wspomnienie rozprostował bolący kręgosłup nadwreżony wielogodzinnym

siedzeniem w samochodzie. Mario całe wieczory spędzał w swoim studiu, a potem wstępował na małe piwo do którejś z okolicznych knajpek. Nie robił zupełnie nic, co mogłoby sugerować, że jest groźnym przestępcą. Kita i Pająk wystawiali na zmianę pod domem Waldemara Mili, gdyby się okazało, że jednak obrany przez nich trop się nie sprawdził. Jednak kochanek Moniki Boguckiej głównie pił z kumplami pod blokiem lub przesiadywał na alkoholowych libacjach u sąsiadów. Najwyraźniej od momentu wykluczenia go ze środowiska przez Kazara mocno się stoczył, nie mając żadnego pomysłu na swoje życie. Policjanci byli coraz bardziej przekonani, że zaplanowanie okrutnego, wyrafinowanego morderstwa przekraczałyby siły i możliwości zapijanzonego byłego watażki. Jednym słowem nie mieli nic, co umożliwiłoby sformułowanie nowego oskarżenia. Gdy tylko Bilski wspomniał Ambroziakowi przez telefon o nowym tropie, ten uciął rozmowę tonem nieznoszącym sprzeciwu. A zatem prokurator znajdował się w punkcie wyjścia i wiedział, że po raz pierwszy w życiu będzie zmuszony wystąpić w sprawie z oskarżeniem, z którym zupełnie się nie zgadzał.

– Taka jest praca prokuratora – huknął Ambroziak, gdy Leopold starał się wyłożyć swój punkt widzenia. – Nie zawsze musimy wierzyć w dowody, które trzymamy w rękę. Po to są sędziowie. To ich zadaniem jest ocena i wydanie stosownego wyroku. Ty nie musisz się tym przejmować.

Niby tak – przekonywał sam siebie Bilski, a jednak odczuwał ogromny dyskomfort. Tym bardziej że przez chwilę wydawało mu się, że są tak blisko rozwiązania zagadki Skalpela.

Prokurator usiadł przy biurku i wziął do ręki pierwsze akta z brzegu. Zaczął je czytać, ale wzrok uciekał mu wciąż w stronę pokoju asystentki. Ich stosunki były teraz dość napięte. Ani razu nie wrócili do kwestii pocałunku, który miał miejsce w mieszkaniu Leopolda. Z jakiegoś powodu Bilski od tamtej pory czuł się przy dziewczynie jeszcze bardziej skrępowany i nie miał pojęcia, jak się zachowywać. Natomiast ona wyraźnie miała mu to za złe. Z pewnością uznała, że jest niedojrzałym dupkiem, który sam nie wie, czego chce. I wiele się nie myliła. Leopold Bilski miał świadomość, że nic nie wie o prawdziwych związkach. Przelotne znajomości, które wcześniej nawiązywał, były niezobowiązujące i mało wymagające. Kobiety same podejmowały wobec niego działania, zadowolone, że im się poddawał. Bilski wiedział, że tym razem powinno być inaczej, bo Anna Górka nie należała do kobiet, które latają za facetem. A jednak uczucie zupełnie go obezwładniało. Tak jak zawsze, zamiast działać, czekał.

W tym momencie zadzwonił telefon. Już drugi raz w tym dniu dzwoniła jego matka. Bilski nie był teraz w nastroju do rozmów o tym, że powinien ustabilizować swoje życie, znaleźć porządną dziewczynę i zacząć myśleć o potomku. Wyłączył więc dźwięk telefonu i wziął się solidnie do pracy.

23

Gęste szaro-granatowe chmury zaczęły się zbierać, gdy byli mniej więcej w połowie drogi. Zrobiło się ciemno i parno. Raz po raz rozbrzmiewały głuche grzmoty. Stawały się coraz dłuższe i bardziej złowieszcze.

Biały błysk przeciął niebo w chwili, gdy znaleźli się pod drzwiami. W tym samym momencie przeraźliwie huknęło i zerwał się wiatr. Gdy tylko zamknęli za sobą drzwi domku, lunął deszcz. Ogromne krople głośno uderzały o okna i spadzisty metalowy dach. W środku było chłodno.

Mario szybko zapalił światła i zabrał się do rozpalania w kominku. Ania popatrzyła na komórkę. Zasięg kompletnie zanikł. Na ekranie nie dostrzegła żadnej nowej wiadomości. Nie była pewna, czy Leopold Bilski dostał jej esemesa.

– Kiepsko tu z zasięgiem – wyjaśnił Mario, zauważywszy, że dziewczyna podnosi telefon, starając się złapać sygnał. – A burza z pewnością nie pomaga. Ale po co nam technologia, gdy jest tak klimatycznie? – Uśmiechnął się szeroko. – Zrobię coś do picia, a ty się rozgość.

Anna Górską odwzajemniła uśmiech, choć ogarniał ją coraz większy niepokój. Rozejrzała się wokół, gdy tylko Mario zniknął w kuchni. Duża sofa przed kominkiem, na regałach masa książek. Pachniało kurzem i trochę grzybem, ale wszystko utrzymane było w idealnym porządku.

Mario wrócił po chwili z parującymi kubkami. Zapachniało imbirem i cynamonem.

– Grzaniec – wyjaśnił, wręczając dziewczynie ciemnobordowy płyn.

Ania niepewnie wzięła mały łyk. Napój był naprawdę pyszny. Idealna kompozycja przypraw i wina. Od razu zrobiło się cieplej. Deszcz nadal przyjemnie bębnił, a ogień w kominku syczał, raz po raz wyrzucając iskry.

„Może nie będzie tak źle – pomyślała Górską. – Muszę tylko zachować czujność”.

– To co? Pośpiewamy trochę? – spytał Mario, gdy opróżnili kubki.

Ania pokiwała głową. Poczwała, że alkohol zaczął krążyć w jej żyłach. Nie jadła dzisiaj zbyt dużo, a grzaniec okazał się dość mocny. Ale nie przeszkadzało jej to. Przynajmniej ustąpiło to nieprzyjemne uczucie napięcia. W domku było błogo i ciepło; poczucie zagrożenia, które jeszcze przed chwilą jej dokuczało, zupełnie zniknęło.

Mario przygotował kolejne porcje grzańca i zaprowadził dziewczynę na górę. Wydobył z kieszeni mały pęk kluczy i otworzył jedno z drzwi. Pokój stanowił małe studio. Nowoczesny komputer, ogromne głośniki, kabina dźwiękoszczelna i wygłuszone ściany. Aż trudno było uwierzyć, że stary drewniany domek krył w sobie takie чудо.

24

Gabinet powoli ogarniał mrok. Leopold Bilski spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta. Stos dokumentów leżących na biurku mocno się skurczył. Prokuratorowi udało się w końcu skupić i praca poszła całkiem gładko. Postanowił, że wróci tu z samego rana, a tymczasem musiał coś zjeść. W brzuchu burczało mu już od jakiegoś czasu i nawet kanapki, które ze sobą zabrał, nie oszukały systemu. Pomyślał o domowym obiedzie i zdecydował, że pojedzie do mamy. Choć mieszkał niedaleko, od ostatniej wizyty w domu rodzinnym minęło sporo czasu i wiedział, że matka musi mieć mu to za złe. Leopold przynajmniej odkupi dzisiejsze nieodebrane telefony.

Zebrał swoje rzeczy i wyszedł z budynku. Powietrze wyraźnie się ochłodziło po burzy, która przeszła nad Sopotem po południu. Pachniało mokrą ziemią i kwitnącą nieopodał azalią. Bilski przystanął i kilkakrotnie wziął głęboki wdech, co dodatkowo pobudziło jego apetyt. Wsiadł do swojego ukochanego saaba i skierował się w stronę ulicy Wybickiego.

Matka mieszkała w pięknej przedwojennej kamienicy tuż przy linii lasu. Samochód miękko przejechał brukowaną drogą. Bilski zaparkował auto w bramie i rozejrzał się. Drzewa rosnące wzdłuż chodnika kwitły wspaniale. Rzucane przez latarnie światło było ciepłe i znajome. Wokół

panowała typowa cisza wieczoru, przerywana jedynie cichym śpiewnym dźwiękiem wydawanym przez siedzące na korze cykady. Bilski poczuł, jak spływa nie niego spokój. Wszystkie problemy, które w ostatnim okresie zwały się na głowę, wydały się nieistotne. Uśmiechnął się do siebie i pokonawszy schody w kilku susach, wszedł do kamienicy.

Aleksandra Bilaska razem z trzema koleżankami siedziała przy nakrytym zielonym obrusem stole. Przed nimi piętrzyły się plastikowe monety. Kobiety trzymały w rękach karty.

– Piąty do pokera się przyda? – zapytał, stając w progu, Leo.

Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Rozległ się okrzyk radości. Zapowiadał się przyjemny wieczór.

25

Anna Góraska poruszyła głową i poczuła małe igielki bólu. Rozejrzała się. Przez okno przedostawało się szare światło. Była sama. Leżała na łóżku w ubraniu, przykryta grubym kocem. Powoli spuściła nogi na podłogę i wstała. Lekko zawirowało jej w głowie. Musiała wypić za dużo grzańca. W sumie nie wiedziała, ile było tych kubków. Pamiętała, że długo pracowali w studiu. Śpiew, śmiech i rozmowy. Potem film jej się urwał.

Przeszła w skarpetkach przez pokój i wyjrzała na ciemny korytarz. Wszędzie cisza. Stąpała ostrożnie, ale raz po raz któraś z desek skrzypiała pod jej ciężarem. Drzwi do drugiego pokoju były otwarte. Zajrzała za nie. W łóżku pod cienką kapą spał Mario. Lekko pochrapywał. Nie miał na sobie koszulki. Zauważyła, że jego dzinsy leżą zwinięte na podłodze.

Powolutku zeszła do kuchni. Napiła się wody prosto z kranu i połknęła aspirynę, która na szczęście leżała w małym koszyczku na blacie. Przystanęła na chwilę przy ścianie obwieszanej zdjęciami i wzdrygnęła się na widok ciemnowłosej kobiety machającej do aparatu. Z pewnością była to matka Maria, która utopiła się w Wiśle. Po plecach Ani przeszedł dreszcz. Jak mogła być tak lekkomyślna, by wypić morze alkoholu i zostać tu na noc?

Przeszła do dużego pokoju. Na stoliku przy sofie leżała jej komórka. Dochodziła piąta trzydzieści. Na wyświetlaczu nie było żadnych nowych wiadomości. Telefon nadal nie łapał zasięgu. Zakłęła w duchu, zastanawiając się po raz kolejny, czy jej esemes do Bilskiego doszedł. Czy on coś jej odpisał? Czy Leopold wie, gdzie ona się znajduje, czy jest zdana tylko na siebie?

„Okej. Myśl trzeźwo, a wszystko będzie dobrze” – dodała sobie odwagi i postanowiła działać. W końcu taki właśnie był plan. Miała się znaleźć w domu na Wyspie Sobieszewskiej i rozeznac się w sytuacji. Miała znaleźć ślady zbrodni albo wykazać, że Mario nie miał z nimi nic wspólnego.

Na górze są trzy pokoje i łazienka – analizowała. Dwie sypialnie i zamykane na klucz studio. Nigdzie nie dojrzała żadnych innych przejść czy drzwi. Na dole kuchnia i duży pokój. Drewniany domek nie miał piwnicy. Powoli uchyliła drzwi prowadzące do ogrodu. Donośny śpiew ptaków kontrastował ze spokojem poranka.

Włożyła trampki stojące równo przy drzwiach wejściowych wraz z innymi parami obuwia, choć nie przypominała sobie, by je tutaj zostawiała, i wyszła na zewnątrz. Panował jeszcze lekki chłód, ale jak na tę porę dnia, było już całkiem przyjemnie. Dla otuchy objęła się ramionami i uważnie szła wijącą się między drzewami a krzewami ścieżką wysypaną białym żwirem. W końcu jej oczom

ukazała się fontanna. Stała w centralnym miejscu ogrodu, otoczona z dwóch stron ławeczkami. Podeszła do cembrowiny. Woda po wczorajszym deszczu sięgała brzegów, niemal się z niej wylewając. Na powierzchni unosiły się liście wodnej paproci. Ania wstrzymała oddech i rozejrzała się. Ogród był pusty, a dom wydawał się nadal pogrążony we śnie. Nie bardzo wiedziała, czego szukać. Doszła do płotu, za którym ciągnęła się Martwa Wisła. Przeszła wzdłuż ogrodzenia, starając się dojrzeć jakieś drzewiczki. Nic nie znalazła. Wróciła do fontanny i usiadła na ławeczce.

„Skup się – nakazała sobie. – Gdybyś była mordercą, w którym miejscu okaleczałabyś ofiary?”.

Nic nie przychodziło jej do głowy. Nic tu nie było. Nie miała się czego złapać. Pomylili się. Musieli się pomylić. Dali się zwieść chorym przecuciom, oparli się na bajeczce zbudowanej z lęków i wyobrażeń matki jednej z ofiar. Ania z powątpiewaniem pokręciła głową i odetchnęła. Uśmiechnęła się do siebie i wsłuchała w śpiew ptaków.

„Pora się stąd zmywać” – pomyślała i ostukała o podłoże zabłocone trampki. Spojrzała w dół. Ziemia pod ławką wylana była betonem. Ania się schyliła i dostrzegła mało widoczny właz zabezpieczony kłódką. Poczowała ogarniającą ją falę gorąca.

26

Leopold Bilski obudził się w mieszkaniu matki punktualnie o szóstej. Był wyspany. Wczoraj padł przed północą, nie biorąc nawet prysznic. Nie pamiętał, kiedy tak dobrze spał. Nie męczyły go żadne sny o zamordowanych kobietach, wycinanych ustach i podstarzałych gangsterach, którzy wciąż wymykali mu się z rąk. Prokurator przeciągnął się na łóżku i pomyślał o minionym wieczorze. Dawno nie czuł się tak zrelaksowany jak podczas gry w pokera z matką i jej przyjaciółkami. Znał je niemal od dziecka i zawsze były mu bardzo bliskie. Wraz z ciotkami stanowiły jego najbliższe otoczenie. Tym bardziej dziwiło go to, że nie potrafi nawiązać intymnej relacji z kobietą, która naprawdę mu się spodobała. Może brak męskiego wzorca sprawiał, że Bilski nie umiał być tą silniejszą stroną, od której wymaga się działania i inicjatywy?

Pomyślał o Ani i ciężko westchnął. Poczul się jak kompletna dupa wołowa. Było mu wstyd przed samym sobą, że jest takim niedojdą. Gdyby po tamtym wieczorze pociągnął sprawę, z pewnością byłiby już parą. A tak Ania oddalała się od niego coraz bardziej, a on beczynnie się temu przyglądał.

Postanowił, że wieczorem zaprosi ją na kolację i wszystko wyjaśni. Powie jej, co czuje. Przyzna się do wszystkich swoich lęków. Otworzy się przy niej jak przed nikim do tej pory.

Poczul się znacznie lepiej.

Wysunął się z łóżka i chwycił leżącą na stoliku nocnym komórkę. Dopiero teraz zorientował się, że od wczorajszego popołudnia miał wyłączony dźwięk. Na wyświetlaczu migąła kopertka z nową wiadomością.

„Jadę z Mariem do domku na Wyspie. Nie wiem, co będzie. Jakby co, bądźcie w pogotowiu. Proszę. Ania”.

Bilskiego zmroziło.

– Ja pierdolę – syknął.

Sprawdził, kiedy przysłała ta wiadomość. W sobotę o szesnastej. Oblał go zimny pot. Ubrał się

pospiesznie, wybrał numer Kity i wypadł z mieszkania.

27

Po cichu weszła po schodach i zajrzała do sypialni. W pokoju było całkiem jasno. Mario nadal spał. Jego oddech był miarowy i głęboki. Lekkie chrapanie sprawiało, że Anna Górską poczuła się odważniejsza. Szerzej uchyliła drzwi i weszła do środka. Na palcach podeszła do spodni leżących na podłodze i zaczęła przeszukiwać kieszenie. W końcu wyczuła pod palcami zimny metal. Wydobyła klucze, które zabrzęczały cicho. Mario głośniej chrapnął i zadławił się śliną. Ania zamarła i wstrzymała oddech. Jej serce biło tak donośnie, że nie sposób było go nie usłyszeć. Jednak po chwili oddech Maria się wyrównał i dziewczyna opuściła pomieszczenie.

Zdenerwowana zbiegła po schodach i wypadła do ogrodu. Popędziła do ławeczki, odsunęła ją i klękła na beton. Ręce trzęsły się jej tak, że nie mogła trafić w dziurkę. Wypróbowywała kolejne klucze i nie wiedziała już, który wcześniej sprawdzała. W końcu pałak odskoczył i Górską zdjęła kłódkę. Z wysiłkiem uchyliła ciężkie, zabłocone wieko. Spojrzała w dół. Pod nią zarysowały się betonowe schody. Ogród nadal był pusty. Firanka powiewała w oddali w niedomkniętych tarasowych drzwiach. Dziewczyna wyjęła komórkę z kieszeni i poświeciła na stopnie. Powoli zaczęła schodzić w głąb ciemnej jamy.

Po chwili stanęła na ziemi. Niewielkie światełko z telefonu pozwoliło jej zauważyć wiszącą tuż przy zejściu linkę. Pociągnęła i pomieszczenie wypełniło jaskrawe światło gołej żarówki. Zamrugła powiekami, przyzwyczajając się do jasności. Dostrzegła duży stalowy stół. Na półkach ściennych stały brązowe buteleczki z białymi etykietkami. Nieopodal na haczykach wisiały piły, noże i rozwieracze. W metalowym pudełku z przegródkami równiutko ułożone były skalpele.

Ania trzęsącą się ręką zaczęła za pomocą komórki pstrykać fotografie.

„Przecież pomieszczenie może należeć do Tadeusza Dubieli, który zorganizował sobie w ogrodzie domowe laboratorium – przekonywała siebie w duchu. – To jeszcze nic nie znaczy”.

Nagle na wyświetlaczu aparatu dostrzegła coś dziwnego. Wyrzała zza komórki. Na przeciwległej ścianie znajdowała się przeszklona gablotka. Podeszła bliżej i przyjrzała się średniej wielkości słojom stojącym na dwóch półkach w równych rzędkach. Coś w nich pływało. Minęło kilka sekund, nim się zorientowała, że w formalinie unoszą się wycięte czerwienie wargowe.

Pisnęła i dopadła schodów. W kilku skokach znalazła się na górze, a wtedy ktoś zasłonił jej usta chusteczką. Poczula dziwny zapach i oblała ją fala ciemnego gorąca.

28

Ocknęła się kilka minut później. Ręce miała związane z tyłu. Było jej słabo. Lekko zachwiała się na nogach i poczuła, że ktoś podtrzymał ją przed upadkiem. Popychana od tyłu zrobiła kilka kroków w przód i zatrzymała się tuż obok fontanny. Woda sięgająca brzegu znajdowała się na wysokości jej piersi. Dopiero wtedy dotarło do niej, co się dzieje. Zaczęła się wrywać, ale uchwyt na karku i rękach był niezwykle silny.

– Cii... – Usłyszała szept. – Spokojnie.

Łagodny, głęboki głos ją przeraził. Ciało zrobiło się miękkie jak z waty. W uszach niepokojąco piszczalo.

– Nie miałas dzisiaj umierać. To nie była jeszcze pora. Ale zgubiła cię ciekawość. Sama dokonałaś wyboru. Swoją drogą, każda z nich w pewnym sensie wyznaczyła swój dzień, nawet o tym nie wiedząc.

Anna Górską stęknęła.

– Tak, zdecydowanie masz rację – ciągnął mężczyzna. – Nie były tylko dwie. Było ich znacznie więcej. Więcej niż słoików na półkach. Głównie przypadkowe dziewczyny, które zbierałem z ulicy. Bezdomne albo kurwy, których nikt nie szukał. Zabijałem je zupełnie bezboleśnie, gdy spały. Nawet nie wiedziały, że umierają. Nie chodziło mi o to, by być panem życia i śmierci, jak innym zwyrodnialcom. O nie. Mnie zależało przede wszystkim na tym, żeby ćwiczyć warsztat. Moje dłonie są nad wyraz duże, więc wypracowanie precyzji w ruchach wymagało ode mnie specjalnych starań. Chciałem być coraz lepszy. Pragnąłem poznać wszystkie tajniki ludzkiego wnętrza. – Mężczyzna mocniej ścisnął kark Górskiej. – Mario od małego towarzyszył mi w prosektorium. Godzinami obserwował moją pracę. Nigdy nie był znudzony. Gdy mówiłem, żeby wyszedł na dwór pojeździć na rowerze czy pobawić się z kolegami, wołał zostać. W szczególności lubił przyglądać się twarzom zwłok. Zwracał uwagę głównie na usta. Fascynowały go. – Ania usłyszała rozbawiony głos i zdała sobie sprawę, że stojący za nią Tadeusz Dubiela jest dumny ze swojego syna. – Gdy kupiliśmy tę działkę, postanowiliśmy wybudować pod ziemią własne domowe prosektorium. Matka Mariusza myślała, że pomieszczenie służy do przechowywania narzędzi i sprzętów gospodarczych. Myśleliśmy, że jest zbyt słaba po chorobie, by tam zejść. Jednak pewnego dnia wzięła z szuflady klucz i zobaczyła, co jest w środku. Na stole leżało ciało młodej Ukrainki... Nigdy nie zamierzałem zabijać żony. Ale jak wspominałem, sama tak wybrała. Zresztą może była zmęczona oczekiwaniem na śmierć, która ciągle czaiła się za jej plecami? Może podświadomie pragnęła, by do tego doszło? Mario był przy tym, gdy przytrzymałem jej głowę pod wodą. Przyglądał się. Tak samo jak ja wiedział, że nie ma innego wyjścia. To było dokładnie w tym miejscu. Jak na ironię, to Agnieszka marzyła o tej fontannie. Właśnie dla niej ją zrobiłem! – Mężczyzna zamilkł, przypominając sobie tamten dzień. – Znieśliśmy jej ciało na dół – podjął po chwili. – Mario włożył rękawiczki i wziął do ręki skalpel. Przyłożył go do ust, pragnął wyciąć ich czerwień. Jednak w ostatniej chwili go powstrzymałem. Obiecałem, że będzie mógł to zrobić kiedy indziej. Tym razem musieliśmy być ostrożniejsi niż zwykle. Mój zakaz musiał go zboleć, bo na trzy lata przestał interesować się sekcjami, choć to właśnie tamtego dnia mój syn odnalazł swój własny rytuał. Rytuał, o którym musiał myśleć i marzyć przez te wszystkie miesiące od śmierci matki. – Oprawca wydał pomruk zadowolenia. – Na dłuższy czas oddał się muzyce. Cieszyłem się, że ma jakąś pasję. Pasja moim zdaniem jest w życiu najważniejsza, chyba się ze mną zgodzisz?

Ania milczała. Gorączkowo zastanawiała się, co powinna zrobić. Czy miała jakieś szanse się oswobodzić? Uścisk na karku był silny. Ręce, przytrzymywane przez napastnika, musiała mieć związane jakąś linką, ale nie była pewna. Nadal była osłabiona po specyfiku, który jej podał. Na myśl o jakimkolwiek ruchu kręciło się jej w głowie. Język miała zdrętwiała i obolała. Mogła z siebie wydać jedynie jęk. Wodziła oczami wokół i dopiero wtedy go zauważyła. Mario siedział spokojnie na ławeczce i intensywnie wpatrywał się w jej twarz. Słuchał słów ojca z lekkim uśmiechem na

ustach, jakby ten opowiadał mu piękną bajkę na dobranoc. Z potarganymi sterczącymi blond włosami i niemal anielską urodą wyglądał jak chłopiec.

– Ale ten zastój został w końcu przerwany. Wszystko się zmieniło, gdy pojawiła się Monika. Ach, Monika Bogucka, co to była za dziewczyna!

Anna Górską poczuła, jak oddech oprawcy stojącego za nią muska jej skórę. Mężczyzna specjalnie zbliżył usta do jej ucha, starając się nadać swojemu głosowi teatralność. Sytuacja, w której wszyscy się znaleźli, najwyraźniej go bawiła.

Mario przeniósł na ojca wzrok, w którym Ania dostrzegła przebłysk nienawiści, choć może tylko się jej wydawało. Niewątpliwie na brzmienie imienia i nazwiska dziewczyny w twarzy muzyka coś się zmieniło, jakby zawisł nad nim cień.

– Oooo, mój chłopiec się chyba nie obraził? – Tym razem Dubiela zwrócił się do syna, specjalnie po dziecięcemu zmiękczając głos. – Tak, to Mario zabił Monikę Bogucką. – Znów mówił do Ani. – Gdy się o tym dowiedziałem, byłem wściekły. No, ale nie mogłem mu się dziwić, Monika była wyjątkowa. Jej zabicie musiało dostarczyć mojemu synowi szczególnie silnych przeżyć. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że Monika była córką jedynej kobiety, którą kiedykolwiek kochałem. Nieraz się zastanawiałem, czy gdyby Helena mnie nie opuściła, gdy byliśmy młodzi, czy gdyby wyszła za mnie, tak jak planowaliśmy, doszłoby do tego wszystkiego. Czy moja pasja również by się rozwinęła, czy pozostałaby w uśpieniu, stłumiona przez miłosne spełnienie? Kto to wie, kto wie... – Głos na chwilę zamarł, by zaraz ożyć. – W każdym razie Monika... Tak jak powiedziałem, dla mnie to był szok. Chwilę zajęło mi odkrycie, że to właśnie mój syn był sprawcą tego zabójstwa, choć przecież od razu powinienem był się zorientować, że dzieciak powtórzył zaobserwowany schemat zamordowania matki.

Ojciec musiał dać Mariowi jakiś znak, gdyż ten powoli wstał i zbliżył się do Ani. Złapał ją silnie za kark i przejął linkę ściągającą z tyłu jej ręce. Dziewczyna zdała sobie sprawę z tej wymiany dopiero wówczas, gdy przed fontanną stanął Tadeusz Dubiela. Musiała być nadal mało przytomna. Czy przepuściła jedyną okazję, by wyrwać się mężczyznom i zaatakować? Czy miała jakiegokolwiek szansę?

Lekarz medycyny sądowej radośnie się do niej uśmiechnął. Wydawał się całkowicie spokojny, jakby ta niecodzienna sytuacja w ogóle nie robiła na nim wrażenia. Złożył ręce na piersi i zaczął przechadzać się w tę i w tę.

– Co ciekawe, Mario naprawdę kochał Monikę Bogucką. – Zatrzymał się na chwilę i zmrużył oczy, taksując wzrokiem syna.

– Cze... czemu? – wychrypiła Anna Górską.

– Czemu ją zabił? – domyślił się medyk sądowy. – Tu tkwi cały szkopuł. Zrobił to z miłości! Czy nie tak, synu? – Dubiela zaczął się śmiać. – Myślał, że w ten sposób ją ratuje. Wyznał mi potem, że chciał jej pomóc, tak jak pomogliśmy mamie. Jak wiesz, Monika wpadła w dość poważne tarapaty, że tak to ujmę. Mój syn chciał jej ulżyć w cierpieniu. Ale nie tylko o to chodziło, prawda, Mario? – Znów przystanął i zerknął na syna. – Och, już nie rób takiej miny! W końcu Anna ma prawo dowiedzieć się wszystkiego, zanim odejdzie!

Mario stał za Anną Górską. Trzymał ją mocno, ale bezboleśnie, niczym kotka przenosząca z miejsca na miejsce swoje kociaki. Słowa ojca wbiły mu się ostrzem w mózg. Automatycznie zakleszczył palce na szyi dziewczyny, która wydała głuchy jęk. Był tak wściekły, że mógłby złamać jej kark jednym sprawnym ruchem.

Ojciec od dziecka mu to robił. Był niezwykle grzeczny, kulturalny, spokojny, ale też skrajnie wymagający i radykalnie wręcz drobiazgowy. Zawsze wiedział, jak uderzyć w najczulszy punkt syna. Doskonale zdawał sobie sprawę, w jaki sposób może go zranić, choć pozornie zachowywał się przyjaźnie. Nikt z zewnątrz nie potrafił się zorientować, że w życzliwej wypowiedzi ojciec przemycił treść mającą szczególny przekaz dla Maria. Chłopak uśmiechał się posłusznie, a w środku aż się gotował.

Pamiętał dzień, w którym ojciec po raz pierwszy zabrał go do prosektorium. Na stalowym stole leżało martwe ciało człowieka. Spod prześcieradła wystawały jedynie białe stopy. Do palucha przyczepiona była karteczka. Paznokcie pomalowane były lakierem w kolorze krwistej czerwieni. Chłopak bardzo się bał, ale nie mógł tego po sobie pokazać. Ojciec podszedł do stołu i odsłonił zwłoki. Mario po raz pierwszy zobaczył wtedy nagie piersi kobiety. Opadały trochę na boki. Na ich szczytach sterczały brunatne brodawki. Kobieta musiała mieć jakieś czterdzieści, czterdzieści pięć lat. Jej skóra była nieskazitelna. Nie było na niej śladów przemocy – żadnych ran czy siniaków.

- Co jej się stało? – spytał cicho Mariusz.
- Wsadziła głowę do piekarnika wypełnionego gazem – odpowiedział spokojnie ojciec.
- Czemu to zrobiła? – zdziwił się chłopak.
- Bo już nie chciała żyć – odparł lekarz medycyny sądowej i przyjrzał się zmarłej.

Mario też przechylił głowę i starał się dojrzeć w kobiecie coś, co sprawiło, że odebrała sobie życie. Podszedł do krótszej krawędzi stołu i spojrzał na twarz otuloną lśnjącymi brązowymi włosami. Zatrzymał wzrok na ustach. Były pięknie wykrojone i jędrne. Nie mógł oderwać od nich oczu. Zastanawiał się, jak mogły się układać, gdy mówiła. Pragnął usłyszeć jej głos – sprawdzić, czy był wysoki, czy niski, czy był śpiewny, czy może szorstki.

- No, Mario, jak to było? – słowa ojca wytrąciły go z zamyślenia.

Dubiela wpatrywał się w syna z uśmiechem, jednocześnie mrużąc złowieszczo oczy.

- Jak to było z Moniką Bogucką?

Mariusz oblał się rumieńcem. Znów wzmocnił uścisk, wyobrażając sobie, że to ojcu zadaje teraz cierpienie.

- „Monika” – pomyślał i przez jego ciało przebiegł dreszcz.

Nie planował tego. Po prostu chciał jej pomóc. Chciał, żeby była szczęśliwa.

Dojechali na Wyspę Sobieszewską po południu. Zrobili większe zakupy, tak by dziewczyna mogła spokojnie posiedzieć w domku kilka dni i pomyśleć, co zrobić z Waldemarem. Bała się. Mario nigdy nie widział jej w takim stanie. W pewnym momencie wyznała, że chciałaby, żeby to wszystko już się skończyło. Wiedziała, że umrze. Uważała, że to tylko kwestia czasu.

- Najgorsze jest to oczekiwanie – powiedziała, smutno spoglądając w kominek. – Wiesz, jak to jest być chodzącym trupem?

Wyglądała, jakby miała gorączkę. W jej oczach odbijał się ogień, a skóra niemal płonęła.

– Przestań, nie możesz tak mówić! – krzyknął Mario.

Wziął twarz Moniki w ręce i obrócił w swoją stronę.

– Spójrz na mnie! – nakazał.

Jej oczy były nieobecne.

– Nie mów tak, słyszysz? Coś wymyślimy! Ochronię cię. Kocham cię, Monique. Nie wiesz, że jesteś dla mnie najważniejsza?

Na twarzy dziewczyny odbiło się zdziwienie. Pokręciła głową i przymknęła oczy.

– Przestań, Mario – szepnęła. – Jesteś moim przyjacielem, ja...

Nie pozwolił jej mówić dalej. Jej usta były słodkie i miękkie. Odchyliła głowę i spojrzała na niego poważnie.

– Mario, nie...

Ale on znów zaczął ją całować. W końcu się poddała. Rozchyliła wargi i pozwoliła, by się działo. Mario ściągnął koszulkę i położył się na Monice. Całował jej zapłakane oczy, muskał policzki, wpijał się w usta – najpiękniejsze usta świata, z których wydobywał się najcudowniejszy głos. W końcu odpiął zamek jej spodni i zsunął je wraz z majtkami. Próbował w nią wejść. Tak bardzo chciał. Tak bardzo pragnął, ale umysł nie wysyłał bodźca do ciała.

Zrezygowany opadł na kanapę. I wtedy Monika zaczęła się śmiać. Początkowo tylko cicho chichotała, ale po chwili śmiech zrobił się donośny. Nie mogła się uspokoić.

Mario spojrzał jej prosto w twarz, zaskoczony. Jego źrenice rozszerzyły się z wściekłości. Wtedy dziewczyna zamarła. Nie odrywała wzroku od jego oczu.

– Są takie błękitne – szepnęła, w końcu je rozpoznając.

Chłopak wciągnął spodnie i wypadł do ogrodu. Przystanął dopiero przy fontannie i ciężko oddychał. Jeszcze nigdy nie czuł się tak upokorzony. W głowie kotłowały mu się tysiące myśli.

Po kilku minutach stanęła przy nim. Nic nie mówiła. Dłonią muskała wodę, w której przeglądał się księżyc.

– Mówiłam ci, że już jestem trupem – szepnęła beznamiętnie.

I wtedy to się stało. W tamtej chwili Mario pragnął pomóc Monice równie mocno, jak chciał ją zniszczyć. Chwył jej głowę i zanurzył w basenie fontanny. Dziewczyna się temu poddała. Dopiero po chwili zaczęła się szamotać. Im więcej czasu mijało, tym jej ruchy były silniejsze i bardziej desperackie. Ale Mario nie puszczał. Trzymał ją mocno i zdecydowanie. Zaciął zęby i dociskał jej głowę, ile tylko miał sił. Jego spełnienie nigdy nie było większe. W tym momencie doznał objawienia. Uświadomił sobie, że od zawsze był potworem.

Dziewczyna przestała się w końcu ruszać. Jej ciało powoli osunęło się w jego rękach na ziemię. W jej mokrych pełnych wargach odbijało się niebo.

Z pomieszczenia ukrytego na dole Mario przyniósł skalpel i przycisnął głowę Moniki do ziemi. Chciał uwiecznić wyraz zatrzymany na jej ustach. Gdy doświadczył kolejnego spełnienia, zaciągnął ciało do łódki. Martwą Wisłą dopłynęli do morza, ale woda była niemal nieporuszona. Płynęli długo. Buczenie silnika przecinało nocną ciszę. W końcu chłopak przekręcił kluczyk, położył się obok dziewczyny i leżał tak długi czas. Patrzył w niebo. Czuł ogromny smutek, a jednocześnie był spokojniejszy niż kiedykolwiek dotąd. Nie chciał się jeszcze żegnać z Moniką, ale powoli zaczął

skradać się świt. Przetoczył jej ciało przez burtę. Przez chwilę dryfowało, aż w końcu przykryła je woda.

Mario był pewien, że policja szybko do niego dotrze. Oczekiwał tego każdego dnia. Niemal pragnął, by w końcu zapukali do jego drzwi. Ale cały splot niepojętych wydarzeń sprawił, że nigdy do tego nie doszło. Uznał, że tak musiało być.

Teraz żałował, że opowiedział o tym ojcu. Ale przed laty czuł, że musi mu to w końcu wyznać. Tak wtedy pojmował lojalność. Oczywiście ojciec nie wiedział wszystkiego. Dubiela nie miał pojęcia, że od miesięcy Mariusz chodził za Moniką krok w krok. Obserwował ją, gdy szła do szkoły. Śledził, gdy szła do klubów. Patrzył, jak obłapiała się z Waldemarem. Zaciskał pięści, gdy ten okładał ją pejczem. Tak. Był tam tego wieczora. Posunięcie dość ryzykowne, ale nie mógł się powstrzymać. Bezgłośnie uchylił drzwi mieszkania Mili i patrzył. Nie mógł oderwać od niej wzroku.

Teraz ojciec uparcie się w niego wpatrywał. Ach, jak Mario go nienawidził. To przez niego takim się stał.

„Gdyby nie on...” – pomyślał przejęty i zacisnął sznur na nadgarstkach Ani.

– Mario nigdy nie był zbyt wylewny. – Patolog wzruszył ramionami i podjął swój spokojny spacer.
– Po latach zdradził mi, że w dniach przed morderstwem mocno zbliżył się z Moniką i w końcu wyznał jej swoje uczucia. Spełniły się jego sny i dziewczyna wylądowała z nim w łóżku. Ale jak się okazało, mój syn nie był zdolny do fizycznej miłości z kimś, kogo kochał. A Monika... cóż, nie wykazała się zbyt dużym zrozumieniem i zaczęła się śmiać. Wyobrażasz sobie? – zwrócił się do ślaniającej się przy fontannie Ani. – Tak jak powiedziałem, sama wybrała swoją śmierć. Okazało się, że była tylko wyrefinowaną suką, zresztą tak samo jak moja świętej pamięci żona. Wiesz, że to po Agnieszce Mario odziedziczył talent muzyczny? Była niby taka wrażliwa i subtelna, gdy ją poznałem. Ale po ślubie szybko się wydało, że to tak naprawdę gruboskórna, wiecznie niezadowolona, nieustannie głędząca jędrza. Po jej śmierci zrobiło się w domu znacznie ciszej.

Tadeusz Dubiela pstryknął palcami, zadowolony.

– Ma-arty... Ma-arty-na... – wychrypiąca Ania. Struny głosowe zaczęły w końcu powoli reagować.

– A! – Medyk sądowy ucieszył się, że dziewczyna okazała zainteresowanie jego wywodem. – Z Martyną było podobnie. Od czasu Moniki to była pierwsza dziewczyna, która zawróciła Mariowi w głowie, choć przypuszczam, że nie była nim w ogóle zainteresowana w ten sposób. Moim zdaniem zależało jej jedynie na karierze, chciała go wykorzystać. Mimo to i tym razem Mario doświadczył ekstazy połączonej z wyrzutami sumienia. Skąd to wiem? Nie interesowało go, co się działo z ciałami przypadkowych ofiar, które pojawiały się pomiędzy Moniką a Martyną. Ćwiczył na nich jedynie cięcie i to mnie pozostawiał pozbycie się zwłok. Jednak w przypadku Moniki i Martyny zależało mu, by ich ciała zostały odnalezione. Wywoził je nocą łódką w morze i bez obciążenia wyrzucał nieopodal plaży. Hmm, w sumie nie wiem dlaczego, Mario? Chciałeś, by rodziny ofiar mogły je pochować, czy pragnąłeś, by podziwiano twoje dzieło? Nigdy mi o tym nie mówiłeś. – Tadeusz Dubiela przerwał swój spacer i pytająco spojrzął na syna.

Nie doczekał się jednak odpowiedzi. Jedynie Ania poczuła mocniej zaciskającą się pętlę.

Lekarz medycyny sądowej wzruszył ramionami. Uśmiech wykrzywił mu twarz.

– A może Mario po prostu chciał być złapany – stwierdził i spojrzął na zegarek.

W tym momencie usłyszeli trzask gałęzi.

Drewniany domek na Wyspie Sobieszewskiej wydawał się pogrążony we śnie. Wyłaniał się z szarości majowego poranka. Wokół unosiła się mgła. Kita i Pająk podjechali pod daczę niemal w tym samym momencie, gdy dotarł tam Bilski. Na dachu policyjnej kii ceed migał niebieski kogut. Zegarek pokazywał za kwadrans siódmą.

Leopold Bilski popędził do furtki, lecz Kita złapał go za kurtkę.

– Masz zostać tutaj – szepnął obcesowo. – Zabezpieczaj tyły. My się tym zajmiemy.

Prokurator przystanął i wściekły spojrział na kolegów. Gdy ci ruszyli do przodu, wyciągając przed siebie pistolety, ruszył za nimi. W tylnej kieszeni spodni czuł twardy kształt glocka, który zabrał z gablotki ojca.

Pająk poszedł od frontu. Dał im znak, że drzwi do daczki są otwarte, i przedostał się do środka. Kita wybrał drogę prowadzącą do ogrodu wzdłuż płotu. Leopold Bilski rozejrzał się uważnie i bez chwili wahania pobiegł wysypaną białymi kamyczkami ścieżką.

Wyłapał męski głos i zatrzymał się tuż za pnem rozłożystej leszczyny. Wyjrzał zza gałęzi i dojrzał plecy mężczyzny. Sterczące blond włosy nie pozostawiały wątpliwości – to musiał być Mario. Przed nim była fontanna, za którą zdumiony prokurator dostrzegł Tadeusza Dubiele. Dopiero po chwili zorientował się, że przed Mariuszem Wieruckim stoi ktoś jeszcze. Przesunął się trochę w bok i zauważył drobną postać z rozpuszczonymi brązowymi włosami.

„Ania”. Serce Bilskiego przyspieszyło.

Miała związane z tyłu ręce. Męska dłoń zaciskała się mocno na jej szyi.

W tym momencie wzrok Bilskiego spotkał się ze wzrokiem Tadeusza Dubieli. Medyk uśmiechnął się do niego lekko, powiedział coś, czego prokurator nie dosłyszał, i spojrział na zegarek.

Od tej chwili wszystko potoczyło się szybko. Kita zaszedł Dubiele od tyłu i przyłożył mu broń do skroni. Ten stał spokojnie, nie oponował. Wydawało się, że na to czekał. Mario natomiast mocno chwycił kark Ani i przygiął jej tułów w dół. Głowa dziewczyny znalazła się pod wodą.

Leopold Bilski nie zastanawiał się długo. Dopadł Maria i próbował go odepchnąć, ten jednak okazał się nad wyraz silny. Na uderzenie prokuratora w bok nawet nie drgnął, więc Ania nadal szamotała się pod wodą. Bilski zebrał wszystkie swe siły i uderzył ponownie. Krew trysnęła z łuku brwiowego Mariusza, a jego głowa odskoczyła na bok. Leopold rzucił się na niego z byka i chwycił go w pasie. Upadli na trawę. Prokurator chciał zerwać się do dziewczyny, ale Mario go przytrzymał i zadał mocny cios w szczękę. Znów zaczęli się szamotać. W tym momencie pojawił się Pająk. Nim doskoczył do walczących, Bilski sięgnął do kieszeni po broń. Rozległ się głośny huk strzału.

W tym czasie ciało Ani bezwładnie osunęło się na ziemię.

Dziesięć miesięcy później

1

Leopold Bilski oczekiwał w korytarzu na wyrok. Ubrany w najlepszy garnitur wyglądał przez okno Sądu Okręgowego w Gdańsku. Pod gmachem stała liczna grupa dziennikarzy. Wiedział, że niebawem będzie musiał się z nimi zmierzyć. Zwinął palce w pięść, którą przycisnął drugą dłonią. Strzeliły stawy.

Przed oczami prokuratora stanęła scena sprzed dziesięciu miesięcy. Tadeusz Dubiela wpatrywał się w krwawiące ciało syna, nieznacznie się uśmiechając. Leopold przenosił wzrok to na patologa sądowego, to na leżącego na ziemi Mariusza, starając się zrozumieć, co się przed chwilą stało. Dubiela wydawał się spokojny, zupełnie wyciszony. Wspominając teraz jego rysy, Bilski mógłby przysiąc, że lekarz medycyny sądowej doświadczył w tamtym momencie pewnego rodzaju ulgi, jakby w końcu się doczekał, że ktoś zakończył ciągnące się latami bestialstwo. Leopold czytał kiedyś, że seryjni mordercy w pewien sposób pragną być powstrzymani. Może nigdy nie da się całkowicie uśpić ludzkiego sumienia?

Bilski wielokrotnie rozmyślał nad tym, czy mógł postąpić inaczej. Tworzył odmienne scenariusze, obmyślał różne wersje wydarzeń. Gdyby nie wyłączył dźwięku w telefonie, gdyby nie pojechał wieczorem do mamy, gdyby obudził się wcześniej, gdyby miał lepszą kondycję i szybciej odciągnął Maria od Ani... Tak, wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej. Nie odebrałby życia drugiemu człowiekowi. Nie stałby się mordercą.

„Morderca” – słowo, które niemal nieustannie podpowiadał mu mózg. „Jesteś mordercą” – szeptał i to niepodważalne twierdzenie tworzyło z niego zupełnie inną osobę. Bilski przypatrywał się swojej twarzy w lustrze, starając się znaleźć tego człowieka, którym kiedyś był. Choć pozornie nic się w nim nie zmieniło, Leopold wiedział, że w środku, gdzieś na dnie duszy, dokonana się przemiana. Głęboka i nieodwracalna.

Poczuł na swoich plecach dotyk, który wyrwał go z zamyślenia. Nie był pewien, czy zasługuje na taką czułość.

– Wszystko będzie dobrze – szepnęła Anna Górka. – Zobaczysz.

Leopold odwrócił się do niej i mocno ją przytulił.

– Wiem, wiem – odparł. – Co ma być, to będzie. – Musnął jej nos swoim nosem.

Czy Ania czuła się tak samo jak on? Czy zetknięcie ze śmiercią sprawiło, że stała się kimś innym? Trudno było mu to ocenić. Nie znał jej wcześniej zbyt dobrze. Nie oddychała podobno kilka dobrych minut. Lekarz nazwał jej powrót do życia cudem. Podobnie jak to, że długotrwałe niedotlenienie nie wywołało w mózgu żadnych spustoszeń.

Leopold od kilku miesięcy bacznie ją obserwował. Nie wykazywała żadnych oznak depresji czy stresu pourazowego. Mówiła, że bardziej docenia życie. Śmiała się, że przebudziła się z długiego snu. Czy udawała tak samo dobrze jak on?

Z sali rozpraw wyszła młoda protokolantka i poprosiła zebranych do środka. Za chwilę kariera

prokuratora mogła się skończyć raz na zawsze. Chyba nie robiło to na nim wrażenia.

Sędzia ogłaszająca wyrok poprosiła wszystkich o powstanie. Obecni wstrzymali oddech. Bilskiego zalała fala gorąca, która zamazała obraz i zagłuszyła dźwięk. Skrawki zdań docierały do niego jakby z oddali. Miał wrażenie, że nie potrafi ich połączyć w logiczną całość. „...po rozpoznaniu sprawy przeciwko Leopoldowi Bilskiemu oskarżonemu o zabójstwo Mariusza Wieruckiego-Dubieli...” – recytowała sędzia, a on czuł, że słowa kobiety przepływają przez jego ciało, nie zatrzymując się w umyśle. Układały się w mantrę, zawieszoną ponad wszelkim znaczeniem.

„...uniewinnia od zarzuconego czynu...” – orzekł w końcu głos wydobywający się zza gęstej mgły, a Ania rzuciła się Leopoldowi na szyję. Bilskiego otoczyli najbliżsi. On stał zobojętniały, usilnie starając się przypomnieć sobie sens wyłapanego określenia „przesłanka obrony koniecznej”. Przez szparę w tłumie dostrzegł siedzącą w ostatniej ławce Helenę Bogucką. Spotkała się spojrzeniem z jego wzrokiem i podniosła dłoń w geście pozdrowienia. Uspokajająco się uśmiechnęła i wyszła z sali.

2

Pojechała prosto na molo w Orłowie. Dzień był wyjątkowo piękny. Mocne słońce górowało na nieprzesłoniętym żadną chmurą niebie. Słaby wiatr był ciepły i przyjemny. Morze połyskiwało refleksami. Fale nie zaburzały jego powierzchni.

Helena Bogucka miała na sobie długą, powiewną suknię w kwiaty. Zdjęła marynarkę, którą miała na sali rozpraw, i przewiesiła ją przez ramię. Na nos zsunęła z czoła duże okulary przeciwsłoneczne. Szła pewnie, wyprostowana jak struna. Rozglądała się na boki, napawając się pięknem krajobrazu. Nieopodal zarysowywał się klif. Jego linia przecinała błękit morza.

Nad głową sędzi przelatywały mewy wydające znajomy, właściwy tylko dla nich dźwięk. Helena zatrzymała się przy ławce w bocznej zatoczce i przypomniała sobie, jak trzydzieści pięć lat temu dokładnie w tym miejscu karmiła z Tadeuszem gołębie. Byli tacy młodzi. Wszystkie wybory życiowe były wtedy przed nimi. Dopiero mieli się stać tymi, kim ostatecznie zostali.

Tadeusz Dubiela oczekiwał w areszcie na proces. Sprawa była nader skomplikowana. Choć lekarz medycyny sądowej przyznał się do licznych zabójstw, to jednak nie potrafił podać tożsamości swoich ofiar. Twierdził, że były to przypadkowe dziewczyny, których nikt nigdy nie starał się odszukać. Nie było żadnych ciał. W słoikach pozostały jedynie czerwienie wargowe wycinane przez jego syna. Sędzia prowadzący miał nie lada problem.

Helena z niedowierzaniem pokiwała głową. Prawda powoli do niej dochodziła, choć minie jeszcze sporo czasu, zanim pouklada sobie wszystko w głowie. Jedyne rzecz, która kiedykolwiek wydawała jej się niepodważalna, okazała się ułudą. Tadeusz nie był tym, za kogo go brała. Nie była też pewna, czy kiedykolwiek ją kochał. Zastanawiała się, czy był w ogóle zdolny do miłości. Czy to, co jej mówił i co względem niej robił, było jedynie grą, produktem jego chorej wyobraźni, wynikiem niespełnionego marzenia, by być taki jak inni?

Westchnęła głęboko i pomyślała o tamtym dniu, w którym Tadeusz pociągnął skrzydła drzwi w kolejce SKM, zapraszając ją do środka. Co by się stało, gdyby nie wsiadła do tego przedziału, gdyby nigdy nie spojrzała mu w oczy i nie podała swojego imienia? Czy byłoby inaczej, gdyby

Ryszard Deskur pozwolił im na ślub? Czy to ona skończyłaby w fontannie, walcząc o ostatni oddech, dławiąc się słodką wodą i kawałkami wodnej paproci?

Helena Bogucka doszła do końca mola i oparła się o balustradę.

„Co by było gdyby, co by było gdy...” – myślała, spoglądając na lustro spokojnej wody, w której przeglądało się słońce.

Podziękowania

Ta książka nie powstałaby bez pomocy wielu osób. Przede wszystkim składam wielkie podziękowania za garść zwierzeń, wspomnień i opowieści o Trójmieście lat dziewięćdziesiątych moim Przyjaciołom. To dzięki Wam przedstawiony w *Czerwieni* świat zyskał swój kształt.

Dziękuję Moim Osobom za wsparcie duchowe i emocjonalne. Dziękuję, że zawsze we mnie wierzyacie i z całej mocy dopingujecie. Wasza obecność w moim życiu sprawia, że jest ono kompletne i piękne.

Rodzicom – za akceptację moich marzeń: wiem, że cokolwiek by się działo, mogę na Was liczyć (co niejednokrotnie udowodniliście), a w szczególności za wpojenie mi przekonania, że wszystko jest możliwe, jeśli tylko się tego pragnie. Wasza troska, bliskość i wsparcie stanowią podstawę wszystkich moich marzeń, realnych sukcesów i dalszych planów. Kocham Was najmocniej.

Mojemu mężowi, który każdego dnia niesie mi miłość, motywację i zrozumienie – wszystkie niezbędne elementy, by móc tworzyć w spokoju i po prostu być. Kuba, bez Ciebie nie byłabym tą, którą jestem teraz. Dziękuję za wszystko i zawsze.

Mojej córce Lei, która dzielnie znosiła w brzuchu moje literackie zacięcie, czytała ze mną rozliczne książki z zakresu kryminologii oraz inne mroczne publikacje niezbędne do napisania niniejszej powieści, a przede wszystkim dodawała mi sił do pracy. Gdy piszę te słowa, przysypiasz obok – półroczna, taka zdolna, radosna, najwspanialsza. Kocham Cię nad życie, córeczko!

Dziękuję Katarzynie Sobczak-Bergmann za przybliżenie prawideł, jakimi rządzi się prawniczy świat. Dziękuję, że zawsze byłaś gotowa udzielać natychmiastowych odpowiedzi na moje telefoniczne zapytania, które padały w najrozmaitszych porach dnia i nocy.

Za konsultację z zakresu medycyny sądowej najmocniej dziękuję Katarzynie Berenice Miszczuk. Za ekspresowe, wyczerpujące odpowiedzi i „rozkminy” związane z kwestiami informatycznymi dziękuję Pawłowi Wawrzyniakowi i Mariuszowi Bachorze. Wyrazy wdzięczności dla Andrzeja vel Kyokushina za konsultację dotyczącą zagadnień policyjnych.

Stefanii Lewandowskiej najmocniej dziękuję za użyczenie historii poznania swojego męża. Usłyszana podczas nocnej przejażdżki w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia od razu zakradła się do książki.

Za entuzjastyczną recenzję dziękuję pierwszemu czytelnikowi *Czerwieni* – Michałowi „Wujkowi” Sierakowskiemu. To Twoje słowa sprawiły, że uwierzyłam w powodzenie tego projektu.

Bardzo dziękuję Megi Marzence za inspirujące rozmowy o barwnej sopockiej rzeczywistości lat dziewięćdziesiątych.

Mariuszowi „Noskowi” Noskowiakowi za wskazówki dotyczące możliwego wyposażenia nieprofesjonalnego studia dźwiękowego w latach dziewięćdziesiątych, no i – powiedzmy sobie szczerze – image książkowego Maria.

Ogromne podziękowania dla Anny Salwy za przemiłą i pełną cierpliwości współpracę przy redakcji tekstu.

Najmocniej dziękuję Agnieszce Trzeszkowskiej-Berezie i Marcinowi Mellerowi za to, że przeczytali

maszynopis, docenili go i uwierzyli w jego sukces. Przedświąteczny telefon Marcina z pozytywnymi wieściami był największą niespodzianką mojego życia i z pewnością najpiękniejszym prezentem, jaki może dostać początkujący pisarz.

Chciałam nadmienić, że pisząc *Czerwień*, korzystałam z wielu źródeł, wśród których szczególnie pomocne okazały się dwie pozycje: *Anatomia zbrodni. Sekrety kryminalistyki* Val McDermid (2015) oraz *Zbrodnia niedoskonała* Katarzyny Bondy i Bogdana Lacha (2016). Dla formalności dodam, że wszystkie przedstawione w książce postaci, pomimo pewnych podobieństw do faktycznie istniejących osób, są zmyślane. Zarysowana w *Czerwieni* fabuła również pozostaje wytworem mojego umysłu.

Przepraszam za kilka celowych przeinaczeń pojawiających się na płaszczyźnie topograficznej i faktograficznej. Przykładowo w Sądzie Rejonowym w Sopocie nie ma parkingu podziemnego, jednakowoż taki zaistniał w mojej wyobraźni, z którą nie lubię się kłócić. Na potrzeby książki kosztem obowiązków policji rozszerzyłam również prerogatywy, a przede wszystkim zakres praktycznych czynności podejmowanych przez prokuratora Leopolda Bilskiego (jemu też nie potrafię odmawiać ;-)).

¹ (ang.) Przyszłość tu była!

² (ang.) Wypróbuj mnie, daj mi szansę

Redaktor inicjująca: Agnieszka Trzeszkowska
Redaktor prowadząca: Anna Salwa
Redakcja: Maria Wirchanowska
Konsultacja: Katarzyna Berenika Miszczuk
Korekta: Artur Kaniewski, Zuzanna Leska
Projekt okładki: Joanna Strękowska
Ilustracja wykorzystane na okładce: © Ilina93/Shutterstock

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel./faks (22) 826 08 82, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-7240-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, lowercase, sans-serif font. The letter "v" is a vibrant blue, while the remaining letters "irtualo" are a dark grey or black. The logo is centered horizontally.